

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/115

1957



• *«La Culture»* • *Revue mensuelle* •

Al. HERTZ :

CZARNA AMERYKA

G. HERLING-GRUDZIŃSKI :

SĄD OSTATECZNY

MŁODZI POECI WROCŁAWSCY

DOKUMENTY - ZESZYT III

SPIS RZECZY

Aleksander Hertz :	<i>Czarna Ameryka</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński :	<i>Sąd Ostateczny</i>	33



Tadeusz Nuckowski, Jerzy Jan- kowski, Jerzy Kwapisz, Stani- sław Chaciński, Wiesława Schmuckówna :	<i>Młodzi poeci wrocławscy</i>	45
---	--------------------------------------	----

K R A J

Juliusz Poniatowski :	<i>Krwią czy myślą</i>	53
Piotr Wandycz :	<i>„Drewna mowa”</i>	64
Zbigniew Jordan :	<i>Socjologiczne diagnozy</i>	70

ARCHIWUM POLITYCZNE

Bohdan Osadczyk :	<i>Przerwana struna</i>	75
Juliusz Mieroszewski-Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	80
E. Hinterhoff :	<i>Armia niemiecka</i>	84

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

W. Srokowski :	<i>Obrona Belwederu</i>	87
----------------	-------------------------------	----

KRONIKA KULTURALNA

Szymon Szyszman :	<i>Nauka i sensacja</i>	105
A.D. Keneth :	<i>Nieboska Komedia w Anglii</i>	112
Zdzisław Broncel :	<i>Ostatni teatr żydowski</i>	120
Julian Dobrowolski :	<i>Teatralna przygoda</i>	123

K S I A Ż K I

Michał Sokolnicki :	<i>Przedwojenna polityka w oświetle- niu niemieckim</i>	125
Zbigniew Jordan :	<i>O socjologii i socjologicznych czaso- pismach</i>	132
Jan Torosiewicz :	<i>Z książek krajowych</i>	139
Józef Ursyn :	<i>„Buty”</i>	143
Marian Pankowski :	<i>Nowości poetyckie</i>	145
M.K. Dziewanowski :	<i>Bibliografia i chronologia ruchu robot- niczego w Rosji</i>	149
W. S. :	<i>Konfederacja</i>	150
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	151



Z. Broncel, W.W. Kosicki, W. K., Wł. Michniewicz, M.B. Lepecki, B. Heydenkorn, W. Gombrowicz, St. Westfal, A.J. Zielicki :	<i>Listy do Redakcji</i>	153
—	<i>Wyjaśnienie</i>	161

DOKUMENTY — ZESZYT III.

François Fejtő :	<i>Przyczyny rewolucji węgierskiej</i>	164
Wolfgang Harich :	<i>Testament buntownika Partii</i>	182

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj-Mai

1957

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA BIBLIOTEKĘ NARODOWĄ

Adam Kozłowski, Rio de Janeiro (Brazylia)	26.250 fr.
Edward Pomorski, Bruksela (Belgia)	350 "
Jan E. Grodzki, Clifton, N.J. (USA)	700 "
Henryk Schoenfeld, London, Ont. (Kanada)	4.500 "
E. Królikowski, Londyn (Anglia)	1.250 "
Andrzej B. Liebich, Montreal, Que. (Kanada)	3.800 "
M.A. Krystyniak, Pretoria (Afryka Poł.)	2.000 "
E.L. Hołdanowicz (W. Brytania)	1.000 "
L.E. Hołdanowicz (Polska)	1.000 "
B.L. Hołdanowiczówna (Polska)	1.000 "
Gustaw Herling-Grudziński, Neapol (Włochy)	3.500 "
Zbigniew Jordan, Paryż	5.000 "
Abraham Anyż, Meksyk	3.500 "

Zbiórka na terenie Argentyny, przeprowadzana przez przedstawiciela „Kultury” - Składnicę Książki Polskiej wspólnie z T-wem „Klub Polski” oraz T-wem Miłośników Historii przyniosła do dnia 1 kwietnia rb. łączną sumę pesos 3.350

Na sumę tę złożyli się: 1) Składnica Książki Polskiej: 100 pesos; 2) T-wo „Klub Polski”: 1.000 pesos; 3) Tadeusz Dąbrowski: 100 pesos; 4) Jeremi C. Stempowski: 300 pesos; 5) Izidor Dowgiałło: 100 pesos; 6) Albert Bukiet: 100 pesos; 7) Jan Rygier: 100 pesos; 8) Wanda i Wacław Kozłowscy: 500 pesos; 9) Stanisław Lis Kozłowski: 500 pesos; 10) Joachim Mandrysz: 100 pesos; 11) Jan Stefan Ryniewicz: 100 pesos; 12) Stosław Kowalski: 100 pesos; 13) Jan Bieles: 50 pesos; 14) Witold Tolłoczko: 50 pesos; 15) Jan Łaszewski: 50 pesos; 16) Ewa Banach Maciejewska: 50 pesos; 17) Apolinary Żebrowski: 50 pesos.

DZIĘKUJEMY



DALSZE WPLATY NA DOM “KULTURY”

Od czytelników z Kraju	12.500 fr.
Kazimierz Netzel, Barcelona (Hiszpania)	1.000 "
Irena i Stanisław Mrozowscy, Buffalo, N.Y. (USA) dodatk.	2.000 "

DZIĘKUJEMY

Czarna Ameryka

(Z CYKLU „REFLEKSJE AMERYKAŃSKIE”)

W jakimś piśmie krajowym przeczytałem kiedyś (a było to w okresie największego nasilenia stalinowskiego „mrozu” w Polsce), że sprawa murzyńska jest jedną z tych, które w Ameryce są wstydliwie przemilczane. Wstydliwie przemilczana sprawa! Mój Boże! Najwidoczniej autor polski nie mógł sobie wyobrazić, by tak drażliwa sprawa mogła nie być przemilczana. Byłoby to zgodne może z tradycjami polskimi, kiedy to uważało się za właściwe nie mówić o sprawach „drażliwych”. Choćby o sprawie antysemityzmu. Ale w Stanach Zjednoczonych — i to jest jedna z najbardziej pociągających stron Ameryki — zawsze znajdują się ludzie, którzy odważnie i z pasją mówią o najbardziej drażliwych sprawach.

I sprawa murzyńska z pewnością nie jest w Ameryce przemilczana. Jest głośna, bardzo głośna. Wciąż zajmuje się nią opinia publiczna — prasa, radio, stowarzyszenia. Poświęcona jej jest olbrzymia literatura — piękna i naukowa. Kto potrafi przeczytać wszystkie książki, które na ten temat zostały napisane? I wciąż są pisane. Zagadnienie murzyńskie jest badane i dyskutowane. Przecież jedna z najpoważniejszych instytucji zaprosiła specjalnie Gunnara Myrdala, by kilka lat poświęcił w Stanach Zjednoczonych na badanie problemu Czarnej Ameryki. Zaproszono Szweda, wybitnego uczonego o sławie światowej, właśnie po to, by mieć bezstronne, wolne od namietności opracowanie tematu. I zrobiono *wszystko*, by Myrdal mógł pracę swą prowadzić. Wyszło z tego fundamentalne dzieło (*An American Dilemma, the Negro Problem and Modern Democracy*), jedna z najgłębszych prac, jakie w ogóle o cywilizacji amerykańskiej zostały

napisane. A były tam rzeczy dla Ameryki przykre, nawet — bolesne. Ale nikt na autora się nie obruszał. Jego książka doczekała się wielu wydań, była czytana, studiowana, ba — stała się punktem wyjściowym dla całej szkoły badań.

Nie, sprawa murzyńska z pewnością nie jest wstydliwie przemilczana w Stanach Zjednoczonych! Sprawa ta jest tu odczuwana nadzwyczaj boleśnie, namiętnie — zarówno przez Czarnych jak i przez Białych, przez zwolenników pełnej integracji i jej przeciwników. Myrdał słusznie uważa ją za jedną z dominant duchowego klimatu Ameryki, za punkt wyjściowy dla wnikięcia w duszę tego narodu. Jest to trafne nawet w odniesieniu do Północy, gdzie problem murzyński przedstawia się stosunkowo dość łagodnie. A cóż dopiero mówić o Południu!

Spróbujmy rozważyć ten problem. A zacząć musimy od przypomnienia pewnych faktów historycznych. Taka dygresja w przeszłość będzie przydatna dla zrozumienia zjawisk teraźniejszości.

Wśród różnych pasm przędzy, które złożyły się na tkaninę Ameryki, Murzyni są jednym z najstarszych. Początki ich pobytu w Ameryce łączą się z początkami tego kraju. Albo raczej — części tego kraju. To zaś, że najwcześniej pojawili się oni na Południu, miało swe uzasadnienie historyczne. Albowiem od samego początku Ameryka wykazywała znaczne zróżnicowanie społeczne i gospodarcze. Było to następstwem różnych czynników, wśród których geograficzne i klimatyczne odgrywały poważną — choć nie wyłączną — rolę.

Kolonialna Ameryka rozwijała się na stosunkowo wąskim pasmie ziemi między Atlantykiem a górami. Pasma to inaczej wyglądało na Północy i inaczej na Południu. Na Północy góry zbliżają się do oceanu, są tu dość wąskie i długie doliny rzek — Hudsonu, Connecticut, Susquehanna i innych — linia brzegowa jest bardzo wycięta, pełna głębokich zatok, jakby stworzonych dla powstawania wielkich miast portowych. Do tego klimat jest raczej umiarkowany, zbliżony do południowo-europejskiego. Kolonizacja rolnicza, która tu się rozwijała, była w dużym stopniu przedłużeniem tego, co było w starej Europie. W dolinie Hudsonu pierwszymi kolonistami byli Holendrzy, wierni tradycjom gospodarczym i społecznym swej ziemi macierzystej. Warunki nie sprzyjały tu tworzeniu się wielkich latyfundiów. Gospodarka rolna miała charakter rodzinny, obszary uprawne nie były znaczne. Olbrzymia większość gospodarstw mogła się obywać bez pomocy zewnętrznej. Nie wiele się to różniło od gospodarstw chłopskich w Europie Zachodniej. Później nastąpiły tu wielkie zmiany, ale było to znacznie później.

Południe prezentuje się zupełnie inaczej. Tu góry odsuwają się od wybrzeża i między nimi a Atlantykiem ciągnie się wielka równina, miejscami bagnista. Klimat jest gorący, im bardziej ku południowi tym bardziej nabierający cech tropikalnego. Linia brzegowa jest stosunkowo niezbyt wycięta. A gospodarka od samego początku opierała się na nadaniach królewskich, nieraz

bardzo znacznych, obejmujących duże obszary ziemi. Istniały tu wszelkie dane dla rozwinięcia się gospodarki typu plantatorskiego.

W wieku XVII plantacje te przede wszystkim uprawiały tytoń, a obok niego — trzcinę cukrową, indygo, ryż itp. Od końca wieku XVIII zaczęła tu panować bawełna, owa królowa bawełna (King Cotton), która aż dotąd wyznacza oblicze agrarnego Południa.

Gospodarka plantatorska nie może mieć charakteru rodzinnego. Wymaga ona rąk do pracy, rąk licznych i bardzo tanich. Takich rąk na miejscu nie było. Miejscowi Indianie na plantacjach pracować nie chcieli. Zresztą nie było ich wielu, a poza tym byli bardzo trudni do ujarznienia. Potrzebne były inne ręce robocze.

Były to ręce niewolnicze i dostarczała ich Afryka, ściślej — północno-zachodnie pobrzeże Afryki. W wieku XVII niewolnictwo wciąż jeszcze nie było czymś osobliwym i wywołującym gwałtowne sprzeciwy moralne. Na to kolej przyszła znacznie później. Przecież w wieku XVII na znacznych obszarach Europy — by nie mówić o Azji i Afryce — panował system poddańczo-pańszczyźniany, który w praktyce nie wiele się różnił od niewolnictwa. Aż do połowy wieku XIX handel „duszami” był w Rosji zjawiskiem powszechnym i prawnie uznanym. Trudno się więc dziwić plantatorom Virginii, że bez skrupułów przyjęli propozycję dostarczania im niewolniczej siły roboczej. Widzieli w tym tylko rozwiązanie ich trudności gospodarczych.

Do tego niewolnicy byli Murzynami. W wieku XVII znane były teorie o „naturalnej” niższości ras czarnych i o ich przeznaczeniu do służenia białym. Teorie te opierały się na różnych interpretacjach Biblii i były wzmacniane przez ideologie purytańskie z ich koncepcją wybraństwa jednostek i całych grup ludzkich. Czarni jako potomkowie Hama byli odpowiedzialni za postępek swego praojca, który tak niewłaściwie zachował się wobec własnego rodzica. A więc za karę obowiązani byli służyć potomkom Sema. Te koncepcje zachowały swą żywotność aż do naszych czasów i sam bardzo niedawno czytałem sprawozdanie z pewnej konferencji religijnej, na której udowodniano, że z Biblii wcale nie wynika, by Ham i jego dzieci mieli czarną skórę...

Jest rzeczą jasną, że teorie tego rodzaju były znacznie mniej rozpowszechnione w środowiskach katolickich niż protestancko-purytańskich. Kościół katolicki nigdy ich nie głosił i nigdy nie występował przeciwko integracjom międzyrasowym, nawet jeżeli godził się z faktem istnienia niewolnictwa. To nam w dużym stopniu tłumaczy dlaczego w krajach katolickich nie utrzymała się doktryna niższości ras czarnych i dlaczego konflikty takie, jakie cechują życie amerykańskie, w krajach tych albo nie występowały, albo zaznaczały się bardzo słabo. Wszędzie tam, gdzie purytanizm mocno umiał zaznaczyć swą obecność, wytwarzała się atmosfera, sprzyjająca filozofiom rasistowskim.

Na temat ten dużo pisano i tu na szczególne podkreślenie zasługują prace profesora Franka Tennenbauma.

Północno-zachodnia Afryka już w starożytności była dostawcą niewolniczej siły roboczej. Handel niewolnikami miał tam swoje tradycje, był instytucją istniejącą od stuleci. Pozostawał on w rękach kupców arabskich, którzy wzdłuż wybrzeża, aż mniej więcej po rzekę Kongo, utrzymywali szereg osiedli i stacji handlowych. Robili oni wyprawy na pół wojenne w głąb kraju, by zagarniać niewolników, ale jeszcze częściej prowadzili handel z miejscowymi plemionami, które kupcom arabskim odstępowwały jeńców, zabranych w wojnach międzyplemiennych (niektóre z tych plemion były bardzo wojownicze), czy nawet mniej pożądanых rodaków. Wszystko to — powtarzamy — miało swoją długą tradycję.

I właściwie jedyną inowacją, jaką wprowadził tu wiek XVII, było ogromne wzmożenie się tych operacji. Zapotrzebowanie na czarny towar było teraz bardzo duże. Do wybrzeży Afryki napływali kapitanowie statków angielskich, holenderskich czy francuskich lub portugalskich, by przeprowadzać transakcje handlowe z lokalnymi arabskimi eksporterami żywego towaru. Handel kwitł ku zadowoleniu wszystkich zainteresowanych stron. Czy zadowolony był sam towar — to już inna sprawa!

Towar ten był dowożony do Ameryki i sprzedawany na plantacje Virginii i Indii Zachodnich. Oczywiście tylko część tych czarnych, których ładowano na statki, docierała do samych plantacji. Olbrzymia część ginęła po drodze. Podróż przez ocean w warunkach ówczesnych nie należała do łatwych. A cóż dopiero, gdy się ją odbywało w potwornym tłoku, o głodzie, gdy odbywali ją ludzie (towar był przecież złożony z istot ludzkich!), gwałtownie i nieoczekiwanie wyrwani z ram określonej egzystencji, znanej im dobrze i przez nich rozumianej. Rekiny stale towarzyszyły statkom niewolniczym i pokarmu im nie brakowało. Kupcy liczyli się z tymi stratami i odpowiednio kalkulowali ceny niewolników, których udawało się dostarczyć na rynek. Na szczęście dla kupców zapotrzebowanie było duże, a Afryka zasobna w towar.

Był to towar żywy zarówno w sensie biologicznym jak i społeczno-psychicznym. To ostatnie było szczególnie doniosłe. Czarni byli ludźmi określonych cywilizacji, dziećmi systemów plemiennorodzinnych właściwych tym częściom Afryki. Mieli nie tylko ciało, ale i duszę. Zostawali brutalnie wyrzynani z warunków dotychczasowego istnienia i przerzucani do warunków zupełnie innych, dla nich nowych i obcych. Rzecz jest nie w tym, że stawali się niewolnikami, że tracili wolność. Wolności w tym sensie, jak ją dziś rozumiemy, i przedtem nie mieli. Człowiek „natury” jest fikcją stworzoną przez racjonalizm i sentymentalizm wieku XVIII. Czarni Afrykańczycy wyszli z cywilizacji, w których pojęcie „wolności” nie istniało i istnieć nie mogło. Tragizm czarnych niewolników nie polegał więc na tym, że tracili wolność. Był on bodaj jeszcze większy i bolesniejszy: po-

legał na zniszczeniu całego sposobu życia człowieka, na przekreśleniu wszystkich wartości, z jakich człowiek ten wyrósł, na przerwaniu wszystkich więzi, jakie go łączyły z ludźmi innymi.

To niszczenie podstaw duchowych niewolników było robione świadomie i celowo. Handlarze dbali o to, by w tej samej gromadzie niewolniczej byli ludzie wywodzący się z różnych rodów i plemion, ludzie mówiący różnymi językami i narzeczaniami, obcy sobie, niezdolni do utrzymania jakichś więzi dawnej solidarności rodowo-plemiennej. Proces przemieszania czarnych był prowadzony bardzo systematycznie, zwłaszcza na terenie Virginii. Znacznie mniej systematycznie był on stosowany w Indiach Zachodnich, co, jak będzie o tym jeszcze mowa, miało swe poważne następstwa. W Wirginii natomiast na jednej i tej samej plantacji spotykali się niewolnicy, którzy nawet porozumieć się ze sobą nie mogli. Stąd tak szybko zaginęły tu tradycje dawnych języków afrykańskich, których miejsce zajęła prymitywna angielszczyzna. To, że żywy towar był w swej większości złożony z młodzieży (starsi nie mogli być właściwym obiektem handlu), musiało również być ważnym czynnikiem zatracania się dawnych więzi.

Ale nawet ludzie młodzi tragicznie odczuwali to wyrwanie ich z tradycyjnych kolein życia. Nie byli już dziećmi. Coś i kogoś za sobą zostawili. Mieli teraz przystosowywać się do zupełnie nowych warunków życia. Przemieszczenie i płynące stąd osamotnienie duchowe jednostki (choćby tylko w okresie początkowym) musiało straszliwie ciążyć na pierwszych krokach na nowej ziemi.

II

Robione są nieraz analogie między dolą Murzynów amerykańskich a dolą, na przykład, takich grup etnicznych jak Żydzi we Wschodniej Europie. Niewątpliwie są tu punkty styczności. Ale wynikają one z ogólnej sytuacji wszelkich gromad ludzkich, żyjących w sztywnych ramach systemów kastowo-ghettowych. Kasta wyciska piętno na swoich członkach, niezależnie od tego, czy są oni w Ameryce czy w Europie, w Azji czy w Afryce. I tam samo proces rozpadania się systemu kastowego wytwarza wszędzie analogiczne postawy w samej grupie i analogiczne reakcje w otoczeniu. To, co w Ameryce mówi się o Murzynach, że są „uppity”, żywcem przypomina oskarżanie Żydów o „arogancję”. Ale podobieństwa te nie sięgają zbyt daleko i nie mogą zasłonić zasadniczych różnic.

Przed wszystkim Żydzi w Europie Wschodniej byli grupą o niezmiernie żywych i bogatych tradycjach kulturalnych, o wielkiej spuściznie religijnej, prawnej, literackiej, obyczajowej itd. Mieli poczucie swej ciągłości historycznej i poczucie swej roli dziejowej, co starali się zachować i rozwijać. Tego w żadnym wypadku nie można powiedzieć o amerykańskich Murzynach.

Ich związek z Afryką i jej cywilizacjami był raptownie przerwany. Przemieszczenie i warunki życia na plantacjach sprawiły, że nie mogła się wytworzyć afrykańska „diaspora” że nie mogły się utrzymać żadne tradycje przeszłości. Jedynie w Indiach Zachodnich, zwłaszcza na Haiti, gdzie przemieszczenie nie było tak znaczne, utrzymały się jakieś tradycje dawnych wierzeń i obyczajów. Ale i one były szczątkowe i nie jest rzeczą pewną, ile na przykład w „voodoo” jest z Afryki, a ile z dodatków późniejszych. Zresztą i tam szybko zaginęła więź językowa.

W Ameryce północnej nawet i takie szczątkowe formy nie utrzymały się. Są wciąż próby doszukiwania się pewnych pozostałości afrykańskich w folklorze czarnej Ameryki. Ale jeżeli takie pozostałości rzeczywiście istnieją (co wcale nie jest pewne), to w całokształcie życia Murzynów amerykańskich są one czymś podrzędnym, w żadnym stopniu nie wpływającym na oblicze czarnego Amerykanina i jego gromady.

Murzyn amerykański powstał w Ameryce, tu jest jego kolebka i tu są jego dzieje. Kolebką jego była plantacja południowa. Urodził się pod znakiem tytoniu, zaczął dojrzewać pod znakiem bawełny. Cała jego historia jest nierozdzielnie związana z rozwojem cywilizacji amerykańskiej. Jest produktem tej cywilizacji. Z niej czerpie swe treści, z niej wyprowadza swój rodowód, jej zawdzięcza swą dolę i niedolę. Jest Amerykaninem. Dzięki specyficznym warunkom rozwoju tej cywilizacji stał się „czarnym” Amerykaninem, „czarnym” w sensie nie tyle biologicznym, ile społecznym i psychicznym. Ale jest Amerykaninem. I tak patrzy na siebie. Patrzeć inaczej nie może. I dlatego nonsensem jest mówić o czarnych Amerykanach jako o mniejszości narodowej, analogicznej do tych, jakie znamy z doświadczeń starej Europy.

Parę razy w dziejach czarnych Amerykanów były próby rozbudzenia w nich idei powrotu do afrykańskiej praojczyzny. Było to coś w rodzaju sjonizmu afrykańskiego. Ale — choć z jedną z tych prób związane jest powstanie republiki Liberii w Afryce — wyniki ich były bardzo mizerne i ów afrykański „sjonizm” nigdy naprawdę nie sięgnął do szerszych mas czarnych Amerykanów. Masy te były amerykańskie i za takie chciały się uważać.

Na marginesie warto tu dodać, że sprawa ta pozostaje w związku z niepowodzeniem komunistów w masach Czarnej Ameryki. W latach dwudziestych w Moskwie wymyślono, że jeden ze stanów amerykańskich powinien być całkowicie wyznaczony na osiedlenie się tam Murzynów. Mędrcy moskiewscy uważali, że Murzyni jako *mniejszość narodowa* powinni mieć osobny teren dla siebie. Był to pomysł szalony. Pomijając już reakcje białej ludności, niesłychanie ostro przeciwko niemu wystąpili sami Murzyni. Proponowano im właśnie to, czego oni w żadnym wypadku nie chcieli. Proponowano im wydzielenie się narodowe czyli *segregację*, gdy ich dążeniem była *integracja* z resztą Ameryki. O tej sprawie zresztą wypadnie nam szerzej mówić dalej. Tu jedynie zaznaczamy, że czarny Amerykanin jest

daleki od wszelkiej koncepcji narodowo-mniejszościowej. Jest i chce być Amerykaninem.

Nie ma też odrębnej cywilizacji czarno-amerykańskiej. To, co swoiście cechuje Murzynów amerykańskich, jest owocem tych specyficznych warunków, jakie w stosunku do nich stworzyła cywilizacja amerykańska. Odrębności czarnego Amerykanina mieszczą się w tej masie odrębności regionalnych, klasowych, kulturalnych w ogóle, jakie wynikły z rozwoju Ameryki i jakie składają się na całość amerykańskiej rzeczywistości narodowej.

Sprawę tę trzeba od razu postawić bardzo jasno. Murzyn amerykański jest czarnym Amerykaninem. Posiada pewne swoiste zewnętrzne cechy anatomiczne, ale kulturalnie nic go nie łączy ze światem Afryki. Mogą być w nim jakieś sentymenty pro-afrykańskie, może — jeżeli jest uczonym lub pisarzem — pasjonować się cywilizacjami afrykańskimi, może nawet w stwierdzeniu ich bogactwa znajdować argument na rzecz swego prawa do znaczenia, ponieważ wniósł swój wkład w życie Ameryki. To ostatnie zresztą jest już czystym mitem, z którym jednak spotkać się można w pewnych środowiskach czarnych intelektualistów. Wszystko to jednak razem nie zmienia faktu, że dla amerykańskiego Murzyna Afryka jest czymś obcym i dalekim. Krajem jego jest Ameryka, jego cywilizacją jest cywilizacja amerykańska.

III

Jak wyglądała ta kolebka Czarnej Ameryki — południowa plantacja? Harriet Beecher Stowe dała nam wstrząsający opis tragicznych losów Wuja Toma. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że szlachetna pisarka dała tu znacznie więcej *Dichtung* niż *Wahrheit*. Była propagatorką pewnej idei, ale nie obiektywną malarką ludzi i instytucji. W jej czasach wypadki okrucieństwa, o jakich mówiła, były czymś wyjątkowym. Przede wszystkich od końca wieku XVIII ustał dopływ siły niewolniczej z Afryki. Podaż zmniejszyła się, ceny na niewolnika poszły w górę. Ludzie są dbali o rzeczy kosztowne. Każdy plantator dobrze rozumiał, że okrucieństwo wobec niewolnika może go uderzyć po kieszeni. Tak kiedyś było u zmięchu państwa rzymskiego: ustał dopływ niewolników, ceny na nich rosły i w następstwie dola ich znacznie się poprawiła.

Ale i w wieku XVII, gdy dopływ żywego towaru z Afryki był tak znaczny i tym bardziej w wieku XVIII, gdy dopływ ten zaczynał się zmniejszać, położenie czarnego niewolnika nie zbyt różniło się od położenia pańszczyźnianego chłopu europejskiego. W wielu wypadkach było raczej lepsze. Z pewnością chłop rosyjski czasów Katarzyny II miał się znacznie gorzej niż czarny niewolnik amerykański.

Tym niewolnikom, którzy tworzyli obsługę osobistą plantatorów — kamerdynerom, lokajom, kucharzom, pokojówkom,

niańkom i tak dalej — powodziło się nawet bardzo dobrze. Szczególnie w wieku XVIII, w okresie największego rozkwitu gospodarki plantatorskiej, każdy zamożniejszy plantator utrzymywał na swym dworze potężny sztab czarnej służby. Była to arystokracja świata niewolniczego. Wpływ ich na dwór i na samego pana był bardzo znaczny. Było też rzeczą bardzo częstą, że między panem i jego rodziną a czarną służbą wytworzały się więzi mocnego sentymentu, wzajemnego przywiązania i oddania. Folklor amerykański pełen jest opowieści i wspomnień o czarnych kamerdynerach czy stangretach i szczególnie o czarnych niańkach, owych słynnych „mammies”, które wychowywały młode pokolenia, były wiernymi przyjaciółkami swych pań, nieraz prawdziwymi tyranami, gdy chodziło o młodzież. Takie stosunki przechodziły z generacji w generację, i pod względem swej treści emocjonalnej były dalekie od chłodu, by nie mówić o brutalności.

Przy wszystkich swych różnicach, cała gospodarka plantatorska na Południu miała bardzo wiele wspólnego z gospodarką pańską feudalnej czy po-feudalnej Europy. Dwór plantatorski niezbyt się różnił od zamożnego dworu ziemiańskiego w Starym Świecie. Gdy się czyta amerykańskie wspomnienia z tego czasu, znajduje się w nich coś bardzo znanego i bliskiego — atmosferę jakże podobną do atmosfery polskiego dworu szlacheckiego sprzed stulecia czy dwóch. Tylko że atmosfera na południowym dworze plantatorskim była na ogół bardziej wyrafinowana, pozbawiona tej rubaszności, jaka tak często cechowała dwór mniejszego szlachcica polskiego.

Intymność stosunków między panami a niewolnikami sięgała bardzo daleko. Jednym z jej następstw jest ta kolosalna ilość mieszkańców — mulatów, kwarteronów itd. — jaka uderza nas w Stanach Zjednoczonych. Możliwe, że mieszkańcy znajdowali się już wśród przywożonych do Ameryki niewolników. Północno-zachodnia Afryka od wieków знаła białych. Arabowie nie brzydzili się ładnymi Murzynkami. Ale te przed-amerykańskie naruszenia czystości rasowej — jeżeli były — mogły być czymś raczej sporadycznym. Mulat amerykański jest przede wszystkim produktem naruszenia czystości rasowej przez białych na ziemi amerykańskiej. I wobec tej ogromnej ilości mieszkańców w Stanach Zjednoczonych dość zabawnie brzmią argumenty tutejszych rasistów na temat „naturalnego” wstrętu białych do mieszania się z czarnymi.

Ten „naturalny” wstręt nie musiał być silny na plantacjach. Ani w sensie seksualnym, ani w żadnym innym. Ze strony białych panów nie było do czarnych jakiegś pogardy, ani nienawiści, ani nawet — pomijając rzadkie wypadki — jakiegś specjalnej bezwzględności.

Oczywiście wszystkiego tego nie można idealizować. To nie była idylla, choć nie było i piekła. Białemu nawet na myśl nie przychodziło traktować czarnego jako równego. Niewolnik był białego *własnością*, ale własnością, którą się lubiło, często

bardzo ceniło i do której nieraz odnosiło się serdecznie czy choćby życzliwie.

Nie było w tym nic osobliwego. Analogiczne postawy spotykają się wszędzie, gdzie istnieje niewolnictwo, i były one dobrze znane w feudalnej Europie. Wszędzie tam stosunek pana do niewolnika czy poddanego miał charakter wysoce ambiwalentny. Niewolnik-poddany był częścią składową szerszego systemu stosunków, którego ośrodkiem był pan i jego rodzina. W systemie tym niewolnik-poddany był wartością bardzo ważną — przede wszystkim dla samego pana. Był taką wartością zarówno w sensie ekonomicznym jak i społeczno-psychicznym. Był nieodłącznym składnikiem doświadczeń pana, głęboko wchodził w świat jego myśli i działań. W tym świecie pańskich doświadczeń niewolnikowi-poddanemu była wyznaczona i dokładnie zdefiniowana jego rola — gospodarcza, prawna, obyczajowa. Pan oczekiwał od niewolnika-poddanego dokładnego wykonywania tej roli i rzadko się zawodził. Ale jednocześnie pan patronował swemu niewolnikowi-poddanemu, traktował go jak coś sobie bliskiego, swojskiego. Dwór — zarówno w Ameryce jak i w Europie — mógł być bardzo bezwzględny wobec niewolników czy chłopów, gdy chodziło o wymagania natury gospodarczej albo o utrzymanie zależności prawnej i obyczajowej. Ale jednocześnie dwór umiał się zdobywać na patronacką życzliwość wobec swoich „ludzi”, mógł o nich dbać i im sprzyjać. Taka patronacka życzliwość była w plantatorskiej Ameryce bodaj częstsza niż w pańszczyźnianej Europie.

Ala podobnie jak w Europie tak i w Ameryce system taki nie mógł trwać bez końca. I tu i tam niszczyły go podobne okoliczności. Były to okoliczności ekonomiczne i społeczne. System pańszczyźniano-folwarczny nie wytrzymał w Europie postępów kryzysu agrarnego, powodowanego przez wielką rewolucję przemysłową. W jeszcze większym stopniu da się to powiedzieć o systemie plantatorskim na Południu Stanów Zjednoczonych. Już na początku wieku XIX w Stanach Zjednoczonych zaczęły rozlegać się głosy, że gospodarka niewolnicza przestaje się ekonomicznie opłacać, że staje się czynnikiem hamującym postęp. Głosy te były szczególnie częste na szybko uprzemysławiającej się Północy, która w zacofanej gospodarce niewolniczo-plantatorskiej widziała przeszkodę na drodze swej ekspansji gospodarczej. Były to już zarodki późniejszego konfliktu między feudalnym Południem a kapitalistyczną Północą.

Obok tego działały momenty społeczne. W końcu XVIII i na początku XIX nie wszyscy czarni Amerykanie byli niewolnikami. Przede wszystkim niewolnictwo jako instytucja prawna istniało tylko w stanach południowych. W stanach północnych nieliczni Murzyni, którzy tam przebywali, byli wolni. Ale i na Południu była pewna ilość wyzwolenców, którzy choć w praktyce nie mieli praw politycznych, posiadali jednak wolność osobistą. Wśród tych wolnych Murzynów znajdowali się — zwłaszcza na Północy — i ludzie bardziej wykształceni, niekiedy

— dość zamożni. Zaczęli się pojawiać i czarni duchowni. Jak we wszystkich ruchach tego typu, tak i w Czarnej Ameryce pionierami emancypacji byli nieliczni inteligenci, którym udało się wyjść z pierwotnych ram życia w kaście. A i wśród samych niewolników coraz więcej było ludzi o szerszych horyzontach i o pewnej wiedzy. Panowie nieraz sami pomagali swym utalentowanym niewolnikom, by się kształcili i „wychodzili na ludzi”.

Ci Czarni przestawali odpowiadać tradycyjnemu wzorowi niewolnika-Murzyna. Buntowników wśród nich było bardzo mało (choć i tacy się zdarzali), ale samym faktem swego istnienia i sposobem swego życia stwierdzali, że system tradycyjnej zależności i tradycyjnego podziału zaczyna szwankować. Mieli zaś oni poparcie w tych radykalnych ośrodkach Białej Ameryki, które — zwłaszcza na Północy — głosiły hasło zniesienia niewolnictwa. W Stanach Zjednoczonych rodził się ruch „abolicjonistyczny”, który w imię zasad moralnych domagał się likwidacji systemu niewolniczego. „Abolicjoniści” głosili, że niewolnictwo jest sprzeczne zarówno z Pismem Świętym jak i z Deklaracją Niepodległości. Przy wszystkich swoich błędach, „abolicjonizm” to jedna z najpiękniejszych kart w dziejach Ameryki. Wypowiedział się w nim duch protestu, płynący z sumienia oburzonego krzywdą ludzką, niezgodnością rzeczywistości z Amerykańskim Wyznaniem Wiary. Ten Duch Protestu to jeden z najpiękniejszych nurtów życia amerykańskiego. Płynie on przez całe dzieje Stanów Zjednoczonych — to słabiej, to przybierając na mocy. Nieraz błądzi, ale zawsze istnieje. To, że abolicjonizm został w praktyce wyzyskany przez mniej idealistyczne czynniki, w żadnym stopniu nie przekreśla jego znaczenia.

Było więc niemało czynników, które prowadziły do załamania się systemu niewolniczego. Załamanie się jego przyszło ostatecznie znacznie później, jako następstwo krwawej i długotrwałej Wojny Domowej. Nie będziemy tu zatrzymywali się nad opisywaniem tych wydarzeń historycznych. Chodzi nam jedynie o wyjaśnienie tych zasadniczych elementów kulturalno-historycznych, które złożyły się na powstanie zagadnienia Czarnej Ameryki. A o wypadkach Wojny Domowej mówią niezliczone tomy prac wszelkiego rodzaju i do nich pozwolę sobie odesłać czytelnika.

IV

O plantacji południowej mówiliśmy, że była ona kolebką Czarnej Ameryki. Tu kształtowało się oblicze duchowe czarnego Amerykanina, tu rodził się jego folklor, stąd wywodzi się to, co faktycznie przetrwało do naszych czasów i dziś dopiero zaczyna wchodzić w okres rozpadu — organizacja kastowa. Wszystkie te momenty wymagają nieco dokładniejszego omówienia.

Niewątpliwie warunki życia czarnego niewolnika na plantacji nie były zbyt różne od warunków życia dworskiego fornała

na polskiej czy rosyjskiej wsi szlacheckiej końca wieku XVIII czy początku wieku XIX. Były raczej od nich lepsze. Zachodziły jednak pewne zasadnicze różnice. Fornal był człowiekiem wsi, która mimo wszystkie przeciwności zachowywała charakter spoistej gromady, miała swe tradycyjne instytucje, jakieś wspomnienia odległej przeszłości, jakieś wspólne a żywe treści kulturalne. W czarnej gromadzie wszystkie te rzeczy były bardzo nikle i właściwie zaczynały powstawać dopiero na samej plantacji. Tradycje afrykańskie były gwałtownie przerwane i szybko zaginęły. Czarny wszystkie swe treści kulturalne, zaczynając od języka jako środka komunikowania się, wszystkie swe więzi społeczne musiał budować na nowo i to wśród okoliczności wyjątkowo niepomyślnych. Wśród tych treści i więzi najistotniejsze znaczenie miała religia.

Nie ulega wątpliwości, że pamięć dawnych kultów afrykańskich zaginęła wśród czarnych niewolników bardzo szybko. Kulty te zresztą, wyrosłe na podłożu rodowo-plemiennym, w warunkach plantacyjnych nie mogły się utrzymać. To, co mogło przemówić i faktycznie przemówiło do czarnej gromady, co dało jej jakieś treści duchowe i stworzyło jakieś więzi silniejsze — to było chrześcijaństwo.

Jakkolwiek początkowo niektórzy właściciele plantacji mieli wątpliwości, czy należy szerzyć chrześcijaństwo wśród niewolników, to jednak w wieku XVIII już nie było najmniejszych wątpliwości, że czarnych trzeba nawracać i w wierze utrzymywać. Działalność misjonarska była prowadzona przez samych plantatorów w sposób dość prymitywny i najczęściej prowadziła do tego, że niewolnicy przyjmowali wyznanie swych panów. Baptyzm i metodyzm były tu najbardziej rozpowszechnione, gdyż najbardziej były one rozpowszechnione na całym Południu. Niekiedy, gdy panami byli ludzie innych wyznań, zjawiały się tak odosobnione wypadki jak czarni katolicy (zresztą wcale liczni w Luizjanie) i nawet czarni Żydzi (w Harlemie są czarne synagogi).

Baptyzm i metodyzm z ich swoistą mistyką, z ich ubóstwem treści intelektualnych, z ich specyficznym emocjonalizmem, miały wszelkie dane, by zapuścić korzenie w świecie murzyńskim. Stawały się one źródłem silnych przeżyć religijnych, niewątpliwie prymitywnych, ale żywych i trwałych. Wchodziły one w całość życia i pracy na plantacji, zespalały się z tym, co niewolnikowi przynosił każdy dzień. Te religie wносиły jakieś nowe treści w życie czarnej gromady, jednoczyły ją, dawały jakieś nadzieje.

Na takim podłożu rozwinał się folklor murzyński, jeden z najwspanialszych na świecie. Przede wszystkim wypowiedział się on w różnych podaniach i legendach, oraz w słynnych *Negro Spirituals*. Biblia dostarczała tu tematyki, którą szybko aktualizowano, wiązano z rzeczywistością życia plantacyjnego. Przedziwna prostota słów, głębia wyrazu, piękno melodii, dos-

konała konstrukcja formy — wszystko to dotąd budzi w słuchaczach wzruszenie i prawdziwy podziw.

Stopniowo też, w miarę jak słabł pierwotny system, zaczynały dojrzewać bardziej śmiałe tęsknoty i dążenia. I tu Biblia była bodźcem i ułatwiała znalezienie wyrazu. Pojawi się taki *Spiritual* jak „*Let my people go*”, w którym wypowie się wiara, że czarni — podobnie jak niegdyś z Egiptu Żydzi — znajdą wyjście do wolności. Oczywiście nie widziano jej w Afryce, o której nikt nie myślał i mało co wiedział. Ale już od początku wieku XIX odważniejsi czarni zaczynają opuszczać swych panów, uciekać na Północ — do „wolnych” stanów i Kanady.

Trzeba stale i jak najmocniej podkreślać tę wielką rolę, jaką chrześcijaństwo odegrało w kształtowaniu się oblicza duchowego czarnego Amerykanina. Wprowadziło go w świat szerszy niż ciasny krąg plantacji, rozbudziło w nim poczucie człowieczeństwa, dało nowe spojrzenie na własną dolę. A równocześnie wytworzyło silną więź międzyludzką, wypełniając tę próżnię, jaką przyniosło wyrwanie Murzyna z tradycyjnego układu stosunków afrykańskich. To ułatwiło Murzynowi znalezienie sobie miejsca w tym nowym układzie stosunków społecznych, jakie stworzyła plantacja, a później — i pierwsze próby wyzwolenia się od systemu.

Istnienie tego systemu niewolniczo-plantatorskiego było centralnym punktem całego zagadnienia Czarnej Ameryki. System ów miał decydujący wpływ na przebieg historii amerykańskiej i nawet dziś, gdy niewolnictwo dawno jest zniesione, wciąż ciąży on na życiu Stanów Zjednoczonych.

Podobnie jak system poddańczo-pańszczyźniany w Europie, taki system niewolniczo-plantatorski na Południu Stanów Zjednoczonych wytworzył sztywny układ stosunków międzyludzkich, dzieląc ludzi na dwie odrębne i jaskrawo od siebie odbijające kategorie społeczne. Każda z tych kategorii zajmowała określone miejsce, miała ściśle wyznaczone role, swoisty styl życia, prawa i obowiązki. Ten podział utrzymał się, gdy niewolnictwo jako prawna instytucja zostało zniesione. Albowiem zasadnicze treści niewolnictwa znalazły dla siebie wyraz i przedłużenie w organizacji kastowej, która po Wojnie Domowej utrwaliła się w Stanach Zjednoczonych i istnieje nadal. Niewątpliwie kasta jest czymś znacznie szerszym niż plantacja z jej bardzo ograniczonym terenem zainteresowań i stosunków międzyludzkich. Ale kasta — podobnie jak plantacja — wytwarza w osobnikach, w niej zamkniętych, analogiczne cechy i postawy życiowe. Cechy te występują wszędzie, w każdym systemie społecznym, w którym kastowość w jakiejś formie się utrzymała. I dlatego to polski obserwator amerykańskich stosunków kastowych znajduje tu tyle momentów dobrze mu znanych. W masie swej stosunek czarnego do białego w Ameryce nie jest zbyt różny od stosunku chłopów pańszczyźnianych do dziedzica, czy też od stosunku Żyda do chrześcijanina w Polsce. Jest to ta sama zewnętrzna pokora, ta sama maska, ta sama swoista przebiegłość, jakie cechowały

„chłopa-roztropka” czy „Żyda-szachraja” tam, i czarnego Amerykanina tutaj. Podwójna moralność jest nieuniknionym następstwem wszelkiego systemu niewolniczego czy kastowego. Jest naturalną formą samoobrony czy przystosowywania się człowieka kasty niższej. Ślimak z „Placówki” Prusa nie zachowywałby się inaczej, gdyby miał czarną skórę i mieszkał w Alabamie czy Południowej Karolinie.

Jest jednak pewien moment, który kastowość amerykańską różni od pokrewnych zjawisk w Starym Świecie. Wszędzie tam, gdzie podział na kategorie społeczne jest ścisły, przejście od jednej kategorii do drugiej jest bardzo utrudnione. Jednakże w Europie była jakaś — choćby bardzo mała — szansa, że chłop otrzymywał szlachectwo, że mógł opuścić swego pana czy swoją wieś, osiąść w mieście i tam przedostać się do szeregów mieszczaństwa. Od końca wieku XIX zjawiska takie były coraz pospolitsze i stały się zapowiedzią wielkich ruchów emancypacyjnych mas chłopskich. W okresach wcześniejszych w Europie temu przechodzeniu z jednej kategorii do drugiej nieraz towarzyszyły ze strony awansujących jednostek próby zacierania przeszłości społecznej. Takie próby były dość pospolite. Zacierali ślady przeszłości ludzie pochodzenia chłopskiego, w Polsce dodając do swych nazwisk końcówkę „ski”, w Niemczech uzurpując sobie „von”, a we Francji „de”. Zacierali ślady swej przeszłości asymilujący się Żydzi, zmieniając nie tylko wyznanie, ale i nazwisko. Dla innych powodów takie zacieranie śladów pochodzenia ma miejsce dziś w Polsce w wypadku części Żydów, którzy uratowali się od rzezi hitlerowskiej. Zresztą przykłady te można mnożyć w nieskończoność.

Jeżeli przejścia takie nie były czymś prostym ani łatwym w Starym Świecie, to są one nieskończenie trudniejsze w wypadku amerykańskich Murzynów. Na przeszkodzie stoją tu cechy fizyczne osobnika, które od razu definiują jego miejsce społeczne. I tylko w wypadku zupełnego zatarcia się tych cech osobnik może mieć jakąś szansę zmiany swego miejsca. To się zdarza i podobno wcale nierzadko. Pewna ilość mieszanców tak dalece zatraciła swe cechy murzyńskie, że może uchodzić za białych. Jest to właśnie owe „passing”, które jako szersze zagadnienie znalazło swe odbicie i w literaturze (na przykład, jedna z powieści Sinclair’a Lewis’a). W olbrzymiej jednak większości wypadków cechy fizyczne utrzymują się i pozwalają niezwłocznie kastowo określić jednostkę. Zdarzają się omyłki — nieuniknione w takim konglomeracie ras i typów antropologicznych, jakim jest Ameryka — ale i one mówią o roli, jaką cechy zewnętrzne odgrywają w społecznym kwalifikowaniu człowieka.

Cechy fizyczne sprawiły, że zamknięcie Murzyna amerykańskiego w ramach kasty jest tak kompletne i nieublagane. A jednocześnie przyniosły one Murzynowi świadomość faktu, że indywidualnej ucieczki od kasty nie ma. „Passing” był możliwy tylko w wypadkach wyjątkowych. Był on uwarunkowany przez okoliczności od woli jednostki zupełnie niezależne. Murzyn mu-

siał albo przyjąć sam fakt istnienia kasty, albo — jeżeli szukał rzeczywistej emancypacji — musiał dążyć do obalenia systemu kastowego. Trzeciego wyjścia nie było. Obie te alternatywy wyznaczyły zasadnicze kierunki dążeń Czarnej Ameryki po zniesieniu niewolnictwa.

V

Wojna Domowa położyła kres niewolnictwu na Południu Stanów Zjednoczonych. Ale to było tylko podrzędne następstwo wielkiej walki bratobójczej. W rzeczywistości bowiem Wojna Domowa obaliła cały system społeczny i całą cywilizację, jaka na Południu powstała w wieku XVII, by utrwalić się i rozwinąć w stuleciach następnych. Dla stanów południowych Wojna Domowa była kolosalnym przewrotem, jednym z największych w dziejach ludzkości. Jego następstwa są odczuwane aż po dziś dzień i zapewne długo jeszcze będą odczuwane.

Wyobraźmy sobie, że w Polsce wieku XVII, lub w Rosji czasów Katarzyny, Aleksandra czy Mikołaja I, dochodzi w wyniku przegranej wojny z jakimś obcym państwem do zupełnego przewrotu gospodarczego i społecznego. Zwycięskie państwo *narzuca* stronie przegranej ustrój społeczno-gospodarczy, raptownie likwidujący ziemiaństwo, znoszący poddaństwo chłopów, obalający wszystkie te zasady, na których opierało się istnienie organizacji społecznych w podbitym kraju. Jeżeli potrafimy wyobrazić sobie taki przewrót, to łatwiej nam będzie zrozumieć to, co po roku 1865 miało miejsce w stanach południowych. Konsekwencje tego przewrotu były głębsze i sięgały dalej, niż to, co miało miejsce we Francji w czasie Wielkiej Rewolucji.

Ten przewrót na Południu miał w znacznie mniejszym stopniu charakter gospodarczy, niż społeczny i kulturalny. Gospodarczo niewolnictwo coraz bardziej stawało się ciężarem i zaporą na drodze rozwoju. Jest rzeczą wysoce możliwą, że i bez wojny zniknęłoby ono tam, a to po prostu dlatego, że przestawało mieć jakieś gospodarcze uzasadnienie. A i samo zniesienie niewolnictwa nie naruszyło, faktycznie rzecz biorąc, stanu posiadania plantatorów. Było z tym zniesieniem tak, jak z reformą Józefa II: czarnym zdjęto z nóg kajdany, ale razem z butami. Dano im wolność, ale nie pomyślano o tym, jak gospodarczo uczynić ich niezależnymi.

Stokroć ważniejsze było to, że obalony został cały układ stosunków, jaki wyznaczał życie i atmosferę duchową Południa. Układ ten wyrażał się we współistnieniu dwóch światów — białego i czarnego, oraz w tych obowiązkach, jakie w stosunkach wzajemnych obciążały każdy z tych światów. Role były tu dokładnie określone, ściśle przydzielone każdej stronie. Biali gentleman uważał za swój obowiązek utrzymywać określony styl życia, którego bardzo ważnym składnikiem był fakt władania czarnymi niewolnikami. Uznawał on swoje obowiązki wobec niewolników i, jak to już podkreślaliśmy, na ogół wykonywał je sumiennie.

Zarazem wyznaczał on czarnemu określoną rolę i określone obowiązki, których wykonywania oczekiwał od swego niewolnika. I rzadko się zawodził. Czarny niewolnik rolę przyjmował i obowiązki wykonywał.

Teraz to wszystko zostało zniszczone. Co zaś najgorsze — przewrót nastąpił w wyniku *interwencji zewnętrznej*. Tragizm Wojny Domowej polegał na tym, że gwałtem narzuciła ona Południowi układ stosunków, do którego Południe nie było przygotowane i — co więcej — który zapewne byłby z czasem dojrzał na Południu w wyniku ewolucyjnego rozpadu systemu niewolniczo-plantatorskiego. W roku 1861 ani biali plantatorzy, ani czarni niewolnicy nie byli przygotowani do przyjęcia wielkiej przemiany.

Nieźmiernie boleśnie przeżyła ją biała strona. Przez pięć lat z bronią w ręku prowadziła ona walkę na śmierć i życie o zachowanie Południa takim, jakim ono było. Była to walka o coś więcej niż o plantacje i niewolników. Była to walka o oblicze południowej cywilizacji. Taką walkę mogłaby prowadzić szlachta polska z rebelią Chmielnickiego.

W klęsce Południa zespoliły się dwa momenty: gorycz z powodu przegranej na polu bitwy i gorycz z powodu katastrofy społeczno-kulturalnej. Przemiany wprowadzili najeźdźcy z Północy — przekłeci „Yankees”. To było gorsze niż gorycz szlachty francuskiej czasów Rewolucji. We Francji upadek *ancien régime*'u był dziełem wewnętrznej rewolucji. Na Południu Stanów Zjednoczonych był dziełem najazdu. Trzeba stwierdzić, że Lincoln zdawał sobie sprawę z tych momentów. Gdy wojna się rozpoczęła, stale podkreślał, że celem Północy nie jest zniesienie niewolnictwa, ale utrzymanie jedności Unii. Proklamację znoszącą niewolnictwo wydał później, już w toku wojny, gdy wypadki posunęły się tak daleko, że w tak ważnej sprawie dłużej zwlekać nie mógł. Ale uczynił to z ciężkim sercem i ze świadomością niebezpieczeństw, jakie akt ten krył w sobie.

Okres powojenny przyniósł dalsze zaostrzenie się stosunków. Nastąpiły czasy tak zwanej Rekonstrukcji. Stany południowe były teraz okupowane przez wojska północne i władze północne na swój sposób przeprowadzały unifikację Południa z resztą Unii. Błędy, jakie wtedy Północ popełniała wobec Południa, dadzą się chyba porównać z błędami, jakie po wojnie ostatniej okupanci sowieccy popełnili wobec krajów satelickich. W jednym i drugim wypadku przejawiała się absolutna niezdolność rozumienia ludzi, którym narzucało się nowy ustrój.

Pod osłoną wojsk okupacyjnych na Południu przeprowadzono *polityczne* równouprawnienie czarnych z białymi. W całym szeregu stanów południowych władza lokalna na czas pewien przeszła w ręce czarnych. O nieudolności i korupcji tych rządów krążyły fantastyczne wieści. Nie były one usprawiedliwione. Dziś, gdy rzeczy te dzięki perspektywie czasu mogą być spokojniej badane, wiemy, że czarni wykazali raczej zdumiewające

zdolności w zakresie wykonywania władzy administracyjnej. Jako władcy nie byli gorsi od białych, a w wielu wypadkach umieli się wykazać umiarem, rozumem i uczciwością.

Rzecz jednak była nie w tym. Białe plantator czuł się wobec czarnego senatora tak, jakby się czuł polski szlachcic wieku XVII czy XVIII, gdyby miał otrzymywać rozkazy od Maćka czy Bartka — swoich dawnych parobków. A przede wszystkim ten czarny Maciek czy Bartek byli narzuceni. Za nimi stały bagnety przeklętych „Yankees”.

No i stali biali północni administratorzy, jakich cała masa zwalała się teraz na Południe. Do tej pory żywa jest w stanach południowych tradycja owych *carpet-baggers* (od *carpet-bag* — torba podróżna, zrobiona z materiału dywanowego; torby takie były ongiś popularne zarówno w Ameryce jak i w Europie), przybłędów z Północy, którzy pod pretekstem reformowania obyczajów południowych rzucili się jak szarańcza na pokonanych. I znów można dziś stwierdzić, że nie wszyscy z tych *carpet-baggers* byli oszustami, wyyskiwaczami czy złodziejami. Owszem, nie brakło tam typów spod ciemnej gwiazdy. Ale trafiali się i ludzie uczciwi, ideowi, szczerze wierzący, że mają na Południu do spełnienia ważną misję. Bieda była w tym, że byli to ludzie obcy, przedstawiciele zwycięzców, okupantów, że przychodzili po to, by niszczyć całą cywilizację, teraz — po przegranej — białym tym bardziej drogą. Straszliwe błędy, za które Ameryce wciąż jeszcze sądzone jest płacić.

Tym się tłumaczy, dlaczego Południe tak jednolicie było wrogie Partii Republikańskiej — partii Lincolna, i dlaczego stanęło przy Demokratach. Dopiero lata ostatnie zaczęły tu przynosić zmiany, spowodowane tym, że Południe weszło — wejść musiało! — w orbitę wielkich przemian, jakie dziś zachodzą w całych Stanach Zjednoczonych. I dopiero one zaczęły sprawiać, że Południe powoli — bardzo powoli — zaczyna zapominać o klęsce Wojny Domowej.

Ale od tych następstw w zakresie amerykańskiej polityki partyjnej znacznie ważniejsze były następstwa inne — przede wszystkim dla Czarnej Ameryki. Białe Południe niewolnictwo zastąpiło systemem kastowym, stwarzając niejako fikcję, że *dawny układ stosunków i dawna cywilizacja nadal istnieją*. Fikcja ta dla milionów ludzi miała zgolańskie następstwa.

Choć niewolnictwa już nie ma, system kastowy nadal utrzymuje się w stanach południowych. Istnieją dwie kategorie ludności: biali i czarni, kasta wyższa i kasta niższa. Oczywiście w obrębie każdej z tych kast zachodzą wszelakiego rodzaju różnicowania — majątkowe, z tytułu wykształcenia, stanowiska itd. Ale nie naruszają one zasadniczego podziału. A podział ten znajduje dla siebie wyraz w niepisanym kodeksie, ściśle określającym i wyznaczającym zachowywanie się członków jednej kasty wobec członków drugiej. Kodeks ten wciąż obowiązuje na Południu Stanów Zjednoczonych i dopiero od niedawna autorytet jego zaczyna słabnąć.

Zasadniczym artykułem tego kodeksu jest *segregacja*. Każda kasta ma wydzielone swoje własne miejsce we wszystkich dziedzinach, w rzeczach ważnych i małych. Przede wszystkim obowiązuje oddzielenie topograficzne: czarni mieszkają w dzielnicach innych niż biali. Aż do ostatnich decyzji Sądu Najwyższego obowiązywała ścisła segregacja w szkolnictwie: szkoły były osobne dla białych i osobne dla czarnych. A i dziś postanowienia Sądu Najwyższego z największym trudem wchodzą w życie i w wielu stanach „integracja” w szkolnictwie jest bardziej postulatem niż rzeczywistością. Zresztą w tym wypadku kodeks ma swe oparcie w prawodawstwie stanowym. Oddzielenie idzie jeszcze dalej. Czarni mają dla siebie osobne miejsca w pociągach, autobusach itp. Ba, na Południu, na stacjach kolejowych i autobusowych znajdziecie osobne ustronne a tak potrzebne miejsca z napisami: „For the White” i „For the Colored”. A cóż dopiero mówić o dziedzinie stosunków płciowych! W całym szeregu stanów nie tylko biało-czarne małżeństwo, ale stosunek płciowy między osobnikami tych dwóch ras jest uważany przez prawo za przestępstwo kryminalne. Nie wynika stąd jednak, by w takich stanach nie było mulatów. Jest ich bardzo wielu...

Ale — i to jest znamienne dla wszelkiego systemu kastowego — jest dziedzina, w której segregacja nie daje się utrzymać. Jest to dziedzina gospodarcza, ściślej — usług natury gospodarczej. Najbardziej fanatyczny zwolennik segregacji uważa za rzecz naturalną mieć kolorową służbę, zatrudniać czarnych w swym przedsiębiorstwie (choćby tylko jako najniższych i najgorzej płatnych pracowników), wydzierżawiać im swój grunt itp. Jest to płaszczyzna, gdzie stosunki są częste i nieraz niepozabawione cech intymności i serdeczności. Można w nich widzieć przedłużenie tego, co było tak pospolite w epoce niewolnictwa. Nie różnią się one zbyt od tych stosunków, jakie w dawnej Polsce łączyły dziedzica z jego Żydem-pachciarzem czy zaufanym służącym albo karbowym. Niemniej jednak częstość, intymność i serdeczność tych stosunków nie zmienia faktu, że wszystko to, co jest po za nimi, stoi pod znakiem zupełnego dystansu, zdefiniowania ról obu stron, jako zupełnie od siebie różnych i nierównych.

Z tego wynika dalszy ważny artykuł kodeksu. Jest nim *rytuał* zachowania się jednej strony wobec drugiej. Rytuał ten odnosi się nawet do najmniejszych szczegółów stylu codziennego życia. Na Południu biały nie przyjmie czarnego w swym domu jako gościa, z którym wypada być na równej stopie towarzyskiej. Nie będzie mówił do niego „Mister”, nawet gdy czarny jest osobą wykształconą czy zajmującą wybitne stanowisko społeczne. (Nie trudno się tu doszukać analogii i w dawnej Polsce!). W wypadkach specjalnych, gdy chodzi o czarnego z tytułem naukowym, jest właściwe mówić do niego „Doktorze” (Doctor Smith czy Brown), ale nie jest właściwe mówić do niego „Panie”. Czarny, odpowiadając na pytania białego, obowiązany

jest stale dodawać „Sir” (*Yes, Sir; No, Sir* — co w praktyce brzmi „*Yassih*”, „*Nossih*”). Czarny, znów bez względu na to, kim jest i jakie stanowisko zajmuje, obowiązany jest stać wobec białego, chyba że zostanie wyraźnie upoważniony, by usiąść. Bez końca można by wyliczać owe drobiazgi codziennego rytuału postępowania, jakie na Południu nawet dziś obowiązują w stosunkach między obu kastami.

Przez długie dziesięciolecie czarna masa na Południu przyjmowała obowiązki tego rytuału, uznając w ten sposób fakt swego miejsca w niższej kascie. Był to zresztą warunek zapewnienia sobie jakichś możliwości egzystencji. A i dziś jeszcze duża część południowych Murzynów — nawet inteligentów i przywódców — wciąż przyjmuje to, co bardziej buntowniczo usposobieni czarni Amerykanie pogardliwie określają jako filozofię Wuja Toma. Jest to koncepcja, że czarni muszą się pogodzić z istnieniem kastowości i jedynie dążyć do tego, by w *obrębie kasty* podnosić swój poziom intelektualny i materialny. W oczach białego na Południu czarny, który zajmuje takie stanowisko, to „a good Nigger” — dobry, porządny czarnuch. Owszem, można mu życzyć jak najlepiej, byleby tylko „znał swoje miejsce”. Ale nie inaczej przecież było w Polsce z „porządnymi” chłopami, Żydami czy Ukraińcami. I w Ameryce i w starej Europie „porządny” był ten, kto „znał swoje miejsce”, inaczej — kto poddawał się prawom kasty. Ileż podobieństw można znaleźć między tym amerykańskim kodeksem zachowania się Murzynów a kodeksem, jaki w dawnej Polsce obowiązywał chłopów! Bez względu na miejsce i na kolor skóry, wszędzie tu działał ten sam mechanizm społeczny.

VI

Każdy system kastowy działa tak długo, jak długo ludzie kasty godzą się z jej istnieniem i uznają je za naturalne i właściwe. System kastowy zaczyna się chwiać, gdy istnienie jego przestaje być przez ludzi kasty uznawane za naturalne i właściwe. To zaś powstaje wtedy, gdy w ludziach tych zaczyna się rozwijać przekonanie o własnym *prawie* do udziału w tych wartościach, jakie dotąd uznawali jako wyłączne atrybuty kasty wyższej. W ludziach kasty niższej musi przede wszystkim rozwinąć się śmiałość porównywania własnego losu z losem ludzi kasty wyższej, musi — następnie — wytworzyć się przekonanie o swej własnej wartości jako równorzędnej z wartością ludzi kasty wyższej. Inaczej — musi się rozwinąć poczucie godności osobistej. Dopóki tego nie ma, dopóty system kastowy może trwać bezpiecznie.

W taki sposób wszędzie na całym świecie rozpoczynały się wielkie ruchy emancypacyjne. W pierwszym stadium były to zjawiska jednostkowe — pojawianie się w kascie niższej jedno-

stek, które ośmielały się czuć uprawnionymi do korzystania z praw i przywilejów kasty wyższej. Zdobycie majątku czy wykształcenia było podstawą dla takiej przemiany psychicznej. W Polsce ludzie typu Judyma, asymilujący się wykształceni czy bogaci Żydzi — uosabiali to zjawisko społeczne. Celem ich było dostać się do kasty wyższej, asymilować się do niej, przejąć jej właściwości, zlać się z nią. Ludzie ci bardzo często starali się zatrzeć ślady swej przeszłości, zerwać całkowicie ze środowiskiem, z którego wyszli.

W Ameryce dla Murzynów analogicznym zjawiskiem było i jest owo „passing”, o którym wspominaliśmy poprzednio. Ale „passing” jest bez porównania trudniejsze od transmutacji społecznej ambitnych polskich chłopów czy Żydów. Na przeszkodzie stoją tu cechy antropologiczne. „Passing” było możliwe tylko w wypadku pewnych mieszanców.

Pod pewnymi względami było to okolicznością bardzo pomyslną dla rozwoju murzyńskich dążeń emancypacyjnych w Stanach Zjednoczonych. Ludzie, dla których indywidualne wyjście z kasty było niemożliwością, musieli myśleć o zmianie własnej kondycji społecznej jako o uwarunkowanej od zmiany kondycji całego swego środowiska. Ludzie ci siłą rzeczy stawali na czele ruchów emancypacyjnych Czarnej Ameryki. Początkowo zresztą ambicje ich nie sięgały tak daleko, by pójść w kierunku walki z istnieniem systemu kastowego. Godząc się z faktem kasty, mieli jedynie na celu poprawę warunków jej życia i zapewnienie jej członkom lepszych możliwości rozwojowych. Byli ewolucjonistami i organicznikami, nie chcieli iść za daleko, woleli zadowolić się tym, co w danych warunkach było osiągalne. Jeszcze dziś pewna — coraz jednak mniej liczna — część przywódców Czarnej Ameryki wyznaje tę filozofię.

Ale obok tego prądu coraz mocniej i mocniej zaznaczał swą obecność i prąd drugi, znacznie bardziej radykalny i dalej sięgający. Celem jego była walka z systemem kastowym. Rozwój swój prąd ten zawdzięcza tym wielkim przemianom, jakie w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci zaszły i wciąż zachodzą w Stanach Zjednoczonych.

Jak wiemy, ojczyzną i kolebką Czarnej Ameryki były plantatorskie stany południowe. Na Północy niewolnictwa nie było i nie było też Murzynów. Prawda, że już w wieku XVIII w niektórych miastach Północy — w Bostonie, Filadelfii, New Yorku — były pewne ilości wolnych czarnych. Sporo wśród nich posiadało kwalifikacje zawodowe, niektórzy byli bardzo wykształceni. Pewna ich część — tu znów nietrudno znaleźć analogie ze Starym Światem — starała się trzymać z dala od czarnych mas Południa, starannie podkreślając swą odrębność i wyższość. W sumie jednak czarnych na Północy było bardzo mało i całe to zagadnienie było obce tym częściom Stanów Zjednoczonych. A jeżeli nawet pewne ilości południowych Murzynów przesiedlały się do miast północnych, to nie miało to istotnego wpływu na całokształt obrazu.

Tak wyglądała sytuacja do wybuchu Pierwszej Wojny Światowej. Wojna zmieniła ją całkowicie. Nastąpił wtedy raptowny i potężny rozwój północnego przemysłu. I razem z tym szło kolosalne zapotrzebowanie na siłę roboczą. Emigracja europejska faktycznie wtedy ustala i jedyną siłą roboczą, jaką można było znaleźć, były czarne masy Południa.

W swej konstrukcji psycho-społecznej masy te miały wiele wspólnego z masami emigrantów z agrarnej Europy. Południe było rolnicze. Czarny Południowiec był najemnym robotnikiem rolnym, miniaturowym farmerem, nędzarzem, którego egzystencja w ten czy w inny sposób była związana z rolnictwem. W swym sposobie myślenia, w formach swego bytowania nie wiele się różnił od chłopca ze Wschodniej czy Południowej Europy. Wojna i warunki gospodarcze, jakie wywołała ona w stanach północnych, otworzyła przed tą południową czarną biedotą nowe perspektywy. Zaczyna się wielki napływ czarnych mas z Południa do miast Północy.

Te wędrowki, okoliczności, jakie im towarzyszyły, zmiany, jakie one powodowały — wszystko to było podobne do wędrowek mas emigracyjnych z Europy. Były jednak zasadnicze różnice: były to wędrowki wewnętrzne — z jednej części kraju do drugiej, wędrowki Amerykanów i były to wędrowki ludzi, którzy fizycznie wyraźnie różnili się od innych. W każdym razie łatwiej było jechać z Alabamy do New Yorku, niż z Polski do Ameryki, i łatwiej było człowiekowi z Alabamy dogadać się z człowiekiem w New Yorku, niż chłopu polskiemu, nie znającemu języka i obyczajów.

Jak zawsze, exodus rozpoczął się od śmielszych jednostek, które *psychicznie* czuły się na siłach do podjęcia tak śmiałego kroku. Po jednostkach poszły gromady, za gromadami — masy. Podobnie jak to było z robotniczymi emigracjami europejskimi, te czarne masy płynęły do miast przemysłowych, by przejść w nich transformacje niezbyt różne od tych, jakie przechodzili emigranci europejscy. W każdym razie w latach dwudziestych naszego stulecia New York, Chicago, Detroit, Boston, Pittsburgh, Filadelfia, Buffalo i inne wielkie ośrodki miejskie stały się siedzibą potężnych skupisk czarnej ludności. Ten prąd, raz wywołany, trwał nadal. Nowym dla niego bodźcem była druga wojna, kiedy to przemysł amerykański znów stanął wobec konieczności mobilizowania wszelkich sił roboczych. Tylko że w czasie tej wojny szybko posunął się naprzód i proces industrializacji samego Południa. Wielu czarnych mogło znaleźć pracę na miejscu, nie musiało wyrzekać się miejsc rodzinnych.

Ale Północ pociągała najsilniej. Nie tylko zarobki były tu lepsze, ale i same warunki życia mogły pociągać czarnych Południowców. Niewątpliwie i na Północy stosunek białego do czarnego nie był wolny od uprzedzeń i dyskryminacji. Przecież i obecnie niejedną brzydką rzecz dałoby się powiedzieć o zachowaniu się wobec czarnych robotników pewnych — co prawda mniejszych — związków zawodowych. A i w innych dziedzinach

wciąż notowane są niepiękne fakty. W sumie jednak stopień tego jest bez porównania mniejszy niż na Południu. Są to tylko uprzedzenia, ale *nie system*, nie sztywny i bezwzględny kodeks postępowania i oceniania. Północy obce są te prawne ograniczenia, jakie wciąż panują na Południu. Prawa stanów północnych nie znają przepisów segregacyjnych. W wielu natomiast obowiązują ustawy, wyraźnie zwalczające wszelkie dyskryminacje na tle rasowym. Obyczaje na Północy są znacznie swobodniejsze, niepociągające za sobą tych poniżeń, z jakimi czarny Amerykanin codziennie spotyka się na Południu.

Fakt, że Północ z tych właśnie względów stała się dla czarnych Południowców czymś wysoce pociągającym, sam przez się mówi o zmianach, jakie w nich zaczynały zachodzić. Migracja z Południa na Północ oznaczała nie tylko zmianę miejsca, ale i próbę wyjścia ze sztywnego systemu kastowego, oznaczała dążenie do wyzwolenia się od tych ciężarów i ograniczeń, jakie na Murzyna nakładały prawa i obyczaje południowej cywilizacji. Czarny, wędrując na Północ, tym samym stwierdzał — nie zawsze nawet zdając sobie z tego sprawę — że przestaje się godzić z systemem, jaki ojcowie jego uznawali za naturalny czy nieunikniony. Był to więc jeden z wyrazów budzenia się i dojrzewania wśród czarnych dążeń emancypacyjnych. Z drugiej strony miało to swój wpływ i na tych Murzynów, którzy decydowali się na nieporzucanie swych stron rodzinnych. Kształtowało się wśród nich przekonanie, że o swe prawa muszą walczyć na miejscu, na Południu. Dziś wśród przywódców południowych Murzynów istnieje cały prąd, który odrzuca rozwiązanie emigracyjne i wysuwa program prowadzenia na miejscu walki o pełne równouprawnienie.

Przy wszystkich próbach utrzymania południowych Murzynów w ramach kasty, docierały do nich oddziaływania współczesnych środków wychowawczych: szkoły, książki, prasy, radia, związków zawodowych. Miliony czarnych Amerykanów służyły w szeregach armii amerykańskiej w obu wojnach. Ze wszystkich stron docierały do nich ideały „Amerykańskiego Wyznania Wiary”. Mówiły one o prawach człowieka — o równości, wolności, o prawie do szukania szczęścia. A to, co one mówiły, pozostawało w głębokiej sprzeczności z systemem kastowym. Murzyn zaczynał porównywać, zaczynał uświadamiać sobie, że prawdy Jeffersona odnoszą się i do niego.

Poważne znaczenie miał też i inny czynnik, który w wypadku dawnych emigracji nie mógł odegrać większej roli. Był nim udział czarnego robotnika w amerykańskich związkach zawodowych. Czarne migracje z Południa odbywały się w tym czasie, kiedy rola ruchu zawodowego w Stanach Zjednoczonych stale rosła. Murzyn, pracując w przemyśle, nie mógł uniknąć związku zawodowego. Niewątpliwie niektóre związki zawodowe — zwłaszcza dawnej AFofL — nie były wolne od dyskryminacji w stosunku do czarnych. Ale wielkie masowe organizacje CIO starały się Murzynów organizować i rzetelnie walczyły z uprze-

dzeniami swych białych członków. Dla czarnych mas związki zawodowe stały się szkołą, która dała im poczucie własnej godności osobistej, wyrobiła nowe więzi społeczne, pokazała jak walczyć o swe prawa. Potężny związek tragarzy kolejowych, skupiający prawie wyłącznie czarnych, ma szczególnie wielkie zasługi na tym polu. Przywódcy jego wysunęli się na czoło Czarnej Ameryki.

Niezmierzennie doniosłym czynnikiem tych przemian społeczno-moralnych było wytwarzanie się czarnej inteligencji. We wszystkich nowoczesnych ruchach emancypacyjnych inteligencja, jako wydzielająca się od reszty grupa, odgrywa dominującą rolę. W rzeczywistości każdy z tych ruchów zaczynał się w momencie, gdy w obrębie danej grupy zaczynała powstawać intelektualna elita, która grupy tej nie porzucała, ale z nią się utożsamiała, formułowała jej ideały i zaczynała o nie walczyć. W czasach dzisiejszych fakty te są szczególnie uderzające w Azji i Afryce. Czy są to Chiny czy Indie, Żłote Wybrzeże czy kraje arabskie — wszędzie tam na czoło wysuwa się miejscowa inteligencja. W Polsce przedwojennej wystarczy tu wskazać na rolę inteligentów pochodzenia chłopskiego, albo na rolę inteligentów żydowskich, ukraińskich czy białoruskich.

Nie co innego da się powiedzieć i o Czarnej Ameryce. Ale tu pewna okoliczność zasługuje na specjalne podkreślenie. Cywilizacja amerykańska jest plebejska. Jest to cywilizacja praktycznego działania, w której czysty intelektualizm zajmuje miejsce podrzędne w układzie wartości społecznych. W Stanach Zjednoczonych inteligencja jako specyficzna kategoria społeczna nie wyłoniła się. Rola intelektualistów jest tu niewielka. Jedy-nym wyjątkiem pod tym względem jest społeczność murzyńska. Było to nieuniknionym następstwem jej kastowego charakteru, faktu, że była grupą upośledzoną, grupą, której ambitni i uzdolnieni członkowie widzieli przed sobą zamknięte te drogi, które stały otworem dla białych. Czarnego szanse w businessie były bardzo małe. Ograniczone były jego szanse w polityce, w karierze urzędniczej. Jedynie wykształcenie mogło mu dać jakąś możliwość „wykazania się”, osiągnięcia jakiejś pozycji, jeżeli nie w środowisku szerszym, to przynajmniej w swoim własnym. Nie oznaczało to, by owo wykształcenie miało mu zapewnić lepsze warunki ekonomiczne. Sam znam Murzynów z uniwersyteckim wykształceniem, którzy nie mogli znaleźć innej drogi zarabkowania jak kierowanie windą (*elevator man*). Ilość wykształconych Murzynów, nie znajdujących praktycznego zastosowania dla swej wiedzy, jest w Stanach Zjednoczonych zastraszająca. A jednak pęd do zdobywania wykształcenia jest wśród czarnych bardzo silny. Pęd to — powiedzielibyśmy — nie-amerykański. Świadczy on o potrzebie jednostki wykazania się w jakiś sposób i prowadzi do zjawiska — poza tym nie znanego Ameryce, ale bardzo pospolitego w innych częściach świata — oddzielenia wykształcenia od szans gospodarczych, zdobywania wykształcenia dla wykształcenia, wyłaniania się klasy ludzi, dla których zdo-

bycie wykształcenia jest *samo przez się* celem i kwalifikacją społeczną. To jest właśnie taka klasa ludzi, jaką nazywamy inteligencją.

Wyższe szkolnictwo dla czarnych zaczęło się na Południu dość wcześniej. Po Wojnie Domowej powstał tam szereg „college'ów”, głównie pod auspicjami różnych grup wyznaniowych. Celem ich przede wszystkim było kształcenie czarnych duchownych. Poziom tych zakładów nauczania początkowo był bardzo niski. Niski był zresztą w owym czasie poziom kolosalnej większości analogicznych instytucji dla białych. Jednakże wkrótce po Wojnie Domowej władze federalne założyły w Waszyngtonie specjalny uniwersytet dla czarnych i poziom jego jest dobry. Nawiasowo dodajmy, że uniwersytet ten (Howard University) jest jedynym w Stanach Zjednoczonych utrzymywanym przez władze federalne. Poważną też rolę odegrał słynny Tuskegee Institute w Alabamie. Miał on charakter ściśle utylitarno-zawodowy, ideowo stał na gruncie kastowości murzyńskiej, odnosił się nieufnie do prądów emancypacyjnych, ale niemniej położył — a i wciąż kładzie — wielkie zasługi w tworzeniu się czarnej inteligencji. Na Północy, gdzie segregacja w nauczaniu nie istnieje, czarna młodzież mogła napływać do wyższych uczelni, zwłaszcza do stanowych i municypalnych.

Ale zdobywanie wiedzy było nie tylko środkiem „wykazywania się” jednostek. Było ono także drogą „wykazywania się” całej Czarnej Ameryki. Masy murzyńskie mogły z dumą wskazywać na tych spośród nich, którzy stali się znanymi lekarzami, prawnikami, duchownymi czy uczonymi. Każdy z tych ludzi był przecież żywym świadectwem, do czego Murzyn dojść potrafi. W swych wybitnych i wykształconych przedstawicielach Czarna Ameryka znajdowała dowód wartości całej „rasy”, potwierdzenie jej znaczenia, ugruntowanie poczucia godności osobistej w każdym z jej synów. Murzyn zaczął siebie utożsamiać ze swymi wybitnymi przedstawicielami. W ten sposób ci ostatni stali się czynnikiem cementującym Czarną Amerykę, wnoszącym w jej życie nowe więzi i treści duchowe.

Tym się tłumaczy ten wyjątkowy kult, jaki czarni Amerykanie żywią dla tych Murzynów, którzy zabłądli na scenie ogóln-amerykańskiej czy światowej. Tu nie chodzi — albo nie tylko chodzi — o typowo-amerykański podziw dla sukcesu. Górują tu momenty inne — bardziej ogólnoludzkie. Czy jest to laureat Nobla Ralph Bunche, czy wielki pisarz Richard Wright, czy genialna śpiewaczka Marian Anderson, czy wreszcie znakomity pięściarz Louis — każdy z nich „wykazał” nie tylko siebie, ale i całą „rasę”, każdy z nich jest świadectwem tego, do czego ona jest zdolna. Trzeba stale podkreślać znaczenie, jakie fakt pojawienia się znakomitych Murzynów miał dla rozwinięcia się i spotęgowania prądów emancypacyjnych w masach Czarnej Ameryki.

Wszystkie te przemiany miały daleko sięgające następstwa. Całkowicie zmieniła się topografia Czarnej Ameryki. W wieku

XX Południe zatraciło swój charakter rodzinnej ziemi amerykańskich Murzynów. Dziś wszystkie większe miasta na Północy mają swe potężne skupienia murzyńskie i w niektórych stanach (New York, Illinois, Michigan) czarni stali się bardzo ważnym czynnikiem życia zbiorowego. Fakt, że od pewnego czasu któreś z czołowych miejsc w municypalnych władzach miasta New York jest powierzane czarnemu, dużo mówi o rozmiarach przemian. Równocześnie, pod względem swej struktury zawodowej i pod względem swych aspiracji społecznych, Murzyni zaczęli się coraz bardziej upodobniać do reszty Amerykanów. Znaczna ich część pracuje w przemyśle, jest czynna w ruchu zawodowym. Coraz bardziej rośnie liczba wykształconych Murzynów, coraz większy jest ich udział w tych dziedzinach życia zbiorowego, w których jeszcze niedawno nie było ich widać. Podnosi się poziom życiowy mas murzyńskich, choć wciąż jest on niższy od poziomu białych. Słowem, można by powiedzieć, że Czarna Ameryka — ten jeden z najbardziej amerykańskich składników rzeczywistości Stanów Zjednoczonych — jest coraz potężniej i wszechstronniej wciągana w wielkie procesy amerykanizacyjne.

Ale przemiany te tworzą nowe zagadnienia, bynajmniej nie łatwiejsze od dawnych. A może nawet trudniejsze. I dopiero na ich tle można zrozumieć, czym w chwili obecnej staje się sprawa Czarnej Ameryki. A jednocześnie — i sprawa całej Ameryki.

VII

Na całym świecie, we wszystkich wypadkach stosunków międzykastowych dochodziło do ostrych konfliktów wtedy, kiedy system kastowy zaczynał ulegać rozkładowi i kiedy w kaście podporządkowanej zaczynały się budzić tendencje emancypacyjne. Inaczej — kiedy kasta niższa próbowała przerwać tradycyjne ograniczenia i upodobnić się do kasty wyższej. Wszelkie antagonizmy „międzyrasowe” występują nie wtedy, gdy jedna grupa obiektywnie znacznie różni się od drugiej, ale wtedy, gdy grupa niższa zaczyna się upodobniać do wyższej. Zilustrujemy to na przykładzie ze stosunków polskich.

To, co w Polsce przedwojennej określało się jako antysemityzm, było zjawiskiem późnym. Aż do połowy wieku XIX istniały w Polsce wobec Żydów uprzedzenia, połączone z pogardą, ale trudno o nich mówić jako o określonej filozofii takiej, jaką w wieku XX stał się antysemityzm. W Polsce szlacheckiej stosunek do Żydów mieścił się w ramach szerszego układu międzygrupowego, w którym istniał podział na „wyższych” i „niższych” z ściśle określonymi rolami dla jednych i drugich, z ściśle wyznaczonym rytuałem stosunków międzygrupowych. W tym układzie chłop mógł być „chamem”, mieszczanin — „łykiem”, Żyd — „parchem”, ale wszystko to nie oznaczało jakiegoś specyficznego antagonizmu. Była to pogarda, ale nie wrogość, nie nienawiść. Przeciwnie — mogła być nawet znaczna

doza życzliwości, płynącej z prawa szlachcica do patronowania „swoim” „chamom” „łykom” czy „parchom”.

W wielu wypadkach szlachcic odnosił się pobłaźliwie czy życzliwie do tych jednostek, które wychodziły z podporządkowanych kast i starały się asymilować do kasty wyższej. Niewątpliwie jednostki te nieraz były traktowane jako intruzy (Judym!), ale wrogości nie było. Ostatecznie jednostkowy awans w niczym nie naruszał tradycyjnego układu społecznego, przeciwnie — raczej go utwierdzał. Był on świadectwem atrakcyjności kasty wyższej, jej prawa do przodownictwa. Stąd najlepsze elementy wśród polskiej szlachty popierały takie awanse i były z nich dumne.

Wszystko to mogło trwać tak długo, jak długo chłop jako całość godził się na rolę „chama”, mieszczanin — „łyka” a Żyd — „parcha”. Sytuacja zmieniła się radykalnie, gdy w grupach tych zaczęły się masowe ruchy emancypacyjne. Celem ich było usunięcie tradycyjnej organizacji społecznej, upodobnienie się i zrównanie wszystkich elementów społecznych. W Polsce antysemityzm wystąpił naprawdę dopiero wtedy, gdy masy żydowskie zaczęły się upodobniać do polskiego otoczenia, gdy zaczęły odchodzić od dawnych obyczajów, gdy zaczęły się „europelizować”. O tym, że Żydzi są zasadniczo różni od nie-Żydów, najgłośniej i najnamiętniej mówiono wtedy, gdy *obiektywne* różnice zaczynały się zmniejszać i zacierać, a proces upodobniania się wzrastać na sile. Takich przykładów można przytoczyć bardzo dużo ze wszystkich krańców świata. Istota rzeczy nie była w „różnicach” i „podobieństwach”, ale w tym, że tradycyjny układ stosunków społecznych ulegał rozkładowi, że grupy podporządkowane przestawały „znać swoje miejsce”. I wtedy to zaczynało mówić o „arogancji” Żydów czy o „zuchwalstwie” chłopów. Zarzuty te wyrażały dezaprobatę ludzi kasty wyższej, że ludzie kasty niższej „wypadają” z tej tradycyjnej roli, jaka im była wyznaczona, że zachowaniem swym nie odpowiadają temu, czego się od nich oczekiwało.

Te uwagi, odnoszące się do Starego Świata, pozwolą nam zrozumieć zjawiska, zachodzące w Świecie Nowym. Ale i tu, jak zawsze, musimy być ostrożni z analogiami. Są tu bowiem i bardzo poważne różnice.

Przede wszystkim proces gwałtownych przemian społeczno-gospodarczych coraz wszechstronniej ogarnia dziś stany południowe i sam przez się rozkładowo wpływa na tradycyjny układ kastowy. Na całym Południu mają dziś miejsce znaczne zmiany w strukturze zawodowej — zarówno po stronie białej jak i czarnej. Nie jest rzeczą przypadkową, że wśród białych Południowców coraz poważniejsze są wpływy przeciwników dotychczasowej dyskryminacyjnej filozofii. Gospodarczo — a co za tym idzie i społecznie — Południe coraz wyraźniej zaczyna się upodobniać do Północy.

Ale to jest dopiero jedna strona medalu. Albowiem te same przemiany, które powodują rozkład tradycyjnego systemu, jed-

nocześnie przynoszą zaostrenie się stosunków i nowe konflikty. Przemiany te bowiem niszczą fikcję istnienia tego układu stosunków społecznych, jaki na Południu stał się podstawą wszelkich ocen i stosunków międzyludzkich oraz czynnikiem wyciskającym swe piętno na całej cywilizacji południowej. Niejeden Południowiec nie może pogodzić się z obiektywnym faktem, że tradycyjny układ w rzeczywistości staje się martwym, że staje się zupełną fikcją. I Południowiec ten stara się zachowywać tak, jak gdyby układ ten istniał nadal i był żywotny. Nie chodzi tu o momenty gospodarcze. Byt nie wyznacza tu myślenia. Nie chodzi tu o powrót do gospodarki plantacyjnej. Chodzi wyłącznie o zachowanie dawnych form życia społecznego. W tym południowa biała biedota (*white trash*) idzie znacznie dalej, niż grupy gospodarczo uprzywilejowane. Dla tej kategorii białych Południowców zachowanie systemu kastowego ma kolosalne znaczenie moralne. Jak długo system ten istnieje, tak długo należą oni do kasty wyższej. Jest to rekompensata za biedę, za brak sukcesu materialnego. Tak ongiś w Polsce czuła się szlachta szaraczkowa, zagrodowa biedota, z pogardą patrząca na „chamów”. Południe wciąż jeszcze nie zasymilowało się całkowicie z cywilizacją sukcesu, mierzonego w dolarach.

Na tle zachodzących obiektywnych przemian Południowiec, który hołduje takiej filozofii, czuje się specjalnie zagrożonym. Prowadzi to do daleko sięgających obsesji psychicznych. Emancypujący się, czyli wypadający ze swej roli Murzyn, staje się symbolem niebezpieczeństwa, grożącego białemu i jego cywilizacji. I stąd na białym Południu mógł powstać cały szereg mitów, racjonalizujących „czarne niebezpieczeństwo”. Dla kogoś, kto badał choćby rozwój antysemityzmu europejskiego, nie są to rzeczy nowe. Są to pokrewne obsesje i pokrewne racjonalizacje.

Wśród tych różnych obsesji i mitów szczególne miejsce zajmuje mit seksualny. Z jednej strony wyraża on strach przed seksualnym obcowaniem z czarnymi („Czy chciał by Pan, żeby jego córka wyszła za mąż za Murzyna?”), z drugiej zaś strony — przekonanie, że Murzyni są specjalnie łapczywi na białe kobiety i że pełne równouprawnienie doprowadziło by do szybkiej bastardyzacji białej rasy. Stąd tak częste oskarżanie Murzynów o gwałcenie białych kobiet, oskarżanie, które — dodajmy — nadzwyczaj rzadko ma uzasadnienie faktyczne. Ale nie chodzi tu o fakty, dające się stwierdzić obiektywnie, tylko o stan psychiczny i połączone z nim racjonalizacje. Prowadzi on do zbiorowej hysterii, do patologicznego roznamietnienia, do samosądów (lynczowanie jest dziś zjawiskiem bardzo rzadkim, ale wciąż zdarzającym się), do powstawania takich organizacji jak Ku-Klux-Klan czy obecne Rady Białych Obywateli (*White Citizens' Councils*). Są to zjawiska jednakowo ciekawe dla socjologa jak i dla psychopatologa.

W takiej atmosferze nietrudno o konflikty. Pretekstem dla nich może posłużyć każdy wypadek, gdy czarny przestaje się zachowywać tak, jak się zachowywać „powinien”, gdy wyka-

zuje „arogancję” (*uppity*), albo gdy się go po prostu zaczyna podejrzewać o takie skłonności. Nic dziwnego, że w takich warunkach i czarny Południowiec w swych stosunkach z białymi jest w ciągłym napięciu psychicznym, że nigdy nie może być pewny, czego od białego może oczekiwać, że stale go podejrzewa o wrogość i stara się zachować ochronną maskę pokory i uległości. Jest to sytuacja, której konsekwencje psychiczne dla obu stron są jak najgorsze.

Jest jasne, że biały czuje się obrażonym wszędzie tam, gdzie czarny świadomie przekracza linię graniczną, wyznaczoną przez kodeks kasty. Gdy więc mieszka jak biały, ubiera się jak biały, mówi jak biały. I gdy zaczyna wymagać, by odnoszono się do niego z takim samym szacunkiem, z jakim obyczaj nakazuje odnosić się do człowieka białego. Oskarżenie o „*uppity*” może się już zacząć, gdy czarny wymaga, by biały mówił do niego „Mister”, by w sklepie był obsłużony tak samo jak biały, lub nawet gdy czarny, rozmawiając z białym, przestaje co kilka słów dodawać „Sir”. A coś dopiero, gdy czarny zaczyna protestować przeciwko segregacji na kolejach i w autobusach, gdy domaga się dostępu do szkół publicznych, przeznaczonych dla białych, gdy, słowem, chce być prawdziwie równouprawnionym obywatelem.

Napężenie powiększa i liczebność czarnych na Południu. Nawet dziś, po tylu wielkich migracjach z Południa na Północ, czarni wciąż stanowią w tych stanach bardzo wysoki odsetek zaludnienia. W niektórych okręgach — na przykład w stanie Mississippi — większość ludności jest czarna. Przy uzyskaniu rzeczywistych praw obywatelskich czarni staliby się tam potężnym czynnikiem politycznym, w niektórych okręgach — rządzącym. Widmo takiego stanu rzeczy spędza sen z powiek południowych fanatyków segregacji. We wszystkich też stanach południowych stosowany jest cały szereg sposobów i sposobików, uniemożliwiających czarnym korzystanie z praw obywatelskich, a przede wszystkim — z prawa głosowania. Obok zwykłego terroru są tam takie przepisy, jak egzamin ze znajomości konstytucji jako warunek dopuszczenia do urny (czarni z reguły obcinają się, biali — z reguły zdają !), jak słynny „podatek od urny” (*poll tax*), uzależniający wykorzystanie prawa głosowania od uiszczenia specjalnej opłaty. To ostatnie było bardzo skuteczne, gdy masa murzyńska żyła w zupełnej nędzy. Stawało się coraz mniej skuteczne, gdy materialna sytuacja czarnych nawet na Południu zaczęła się poprawiać. Ale i inne sposoby działają i nawet dziś ogromna większość czarnych Południowców jest odsunięta od udziału w wyborach. Oczywiście na Północy czarni korzystają z rzeczywistego równouprawnienia politycznego i ta część Stanów Zjednoczonych jest w Kongresie reprezentowana przez kilku czarnych przedstawicieli.

A jednak przemian zatrzymać się nie dało. I stąd na białym Południu pojawiły się próby, ażeby w jakiś sposób pogodzić obiektywnie zachodzące przemiany z utrzymaniem kasty. Dla

wielu południowych zwolenników segregacji w próbach takich było zarazem szukanie rozwiązania męczących ich problemów moralnych. Trzeba tu wyraźnie podkreślić, że dla Południowca, jak i dla każdego Amerykanina, słowa „Deklaracji Niepodległości” i Konstytucji nie są czczymi frazesami. Jak pogodzić „Amerykańskie Wyznanie Wiary” i obronę nierówności kastowej? Sprzecznność taka jest przez wielu na białym Południu odczuwana i prowadzi do poważnych konfliktów moralnych.

Rozwiązanie tej sprzeczności ma przynieść koncepcja „równi, ale osobno”. Tak, czarni powinni korzystać z tych samych praw co i biali. Powinni mieć nie gorsze szanse życiowe, dobre szkolnictwo, zabezpieczenie gospodarcze, ochronę prawną, słowem — wszystko to, co przysługuje białym. Ale — osobno od białych. Czyli segregacja całkowicie utrzymana — w nauczaniu, w zamieszkiwaniu, w środkach komunikacyjnych itd.

Brzmi to bardzo ładnie, ale w praktyce jest absurdem. „Równi, ale osobno” nie jest żadną równością. Oznacza to zachowanie wszystkich dawnych dyskryminacji kastowych. Jak ma przy tym wyglądać korzystanie przez Murzynów z praw obywatelskich, a szczególnie — z prawa głosowania? Jaką można mieć gwarancję, że osobne szkoły dla czarnych będą rozporządzały takimi samymi środkami materialnymi, jak szkoły dla białych? Mimo wszystkie uroczyste deklaracje nie ulega wątpliwości, że czarne szkolnictwo jest pod każdym względem upośledzone w porównaniu z białym. I pytań takich można stawiać bez końca. Słowem, zasada „równi, ale osobno” jest fikcją, która może przynosić ulgę dla pewnych sumień, ale nie potrafi rozwiązać zagadnienia.

Faktem jest, że system kastowy pozostaje w sprzeczności z Konstytucją. Inaczej — że istnienie jego jest nie tylko sprawą praw stanowych, ale wkracza na teren ustawodawstwa federalnego. Jak długo sytuacja na Południu była w stanie równowagi, tak długo władze federalne nie miały podstaw do ingerencji. Ale dziś wobec potężnych prądów emancypacyjnych wśród Murzynów Południa sytuacja jest inna. Strona czarna sama zwraca się do władz federalnych i domaga się od nich zajęcia stanowiska. Następnym tego jest cały szereg decyzji federalnego Sądu Najwyższego.

Decyzje te stwierdzają niekonstytucyjność segregacji. Oczywiście wyroki Sądu Najwyższego odnoszą się tylko do tych sfer, które podpadają pod kompetencje prawa federalnego. Jeżeli na przykład pasażer pociągu przejeżdża z jednego stanu do drugiego, to fakt ten ma charakter „międzystanowy” i z tego tytułu podlega jurysdykcji praw i władz federalnych. Zgodnie z decyzją Sądu Najwyższego stosowanie segregacji w takim wypadku jest bezprawne.

O wiele ważniejsze są decyzje dotyczące szkolnictwa. Decyzje te wychodzą z założenia, że każdy obywatel Stanów Zjednoczonych winien mieć zapewnione jednakowe szanse zdobycia wykształcenia. Jeżeli więc władze stanowe nie mogą zapewnić

Murzynom takich samych możliwości jak białym, to obowiązane są dopuszczać czarnych do białych uczelni. Konsekwencją tego jest wyrok, stwierdzający niekonstytucyjność praktyk segregacyjnych w szkolnictwie.

W wielu okolicach Południa wyroki te wywołały bardzo ostre sprzeciwy. Niektóre stany oświadczyły, że się im nie poddadzą. W wielu jednak miejscach „integracja” odbyła się bezboleśnie i ku zdumieniu tak zwolenników segregacji jak i jej wrogów — zdumieniu przykremu jednych i radosnemu drugich — okazało się, że uprzedzenia kastowe wśród białych zaczynają jednak słabnąć.

VIII

Sprawa Czarnej Ameryki jest jednym z najbardziej amerykańskich zagadnień narodowego życia Stanów Zjednoczonych. I to nie tylko dlatego, że jest tak bardzo specyficznym produktem całego rozwoju dziejowego narodu amerykańskiego. W sprawie tej spotykają się wszystkie najważniejsze momenty amerykańskiego bytu. Jest to wielkie zagadnienie regionalne i ogólnonarodowe, polityczne i obyczajowe, społeczne i gospodarcze, kulturalne i moralne. I nic dziwnego, że sprawa ta tak ciągle góruje w życiu amerykańskim. Uciec od niej nie można ani na Południu ani na Północy, ani wśród białych ani wśród czarnych. I nie można jej przemilczeć. Nikt zresztą nie stara się jej przemilczeć.

Ameryka jest społeczeństwem plebejskim. Że zagadnienie murzyńskie mogło tu powstać, było następstwem wyjątkowych warunków rozwojowych w pewnej części Stanów Zjednoczonych — na plantatorsko-feudalnym Południu. Tam czarny de facto odegrał taką rolę, jaką w starej Europie kiedyś odgrywał chłop-poddany. Południe jest tą częścią Stanów Zjednoczonych, w której cywilizacja plebejska nie powstała spontanicznie, ale do której przyszła z zewnątrz, jako coś narzuconego i opornie przyjmowanego.

Ale i Południe plebeizuje się. W społeczeństwie plebejskim systemowi kastowemu, jako stałej instytucji, trudno jest się utrzymać. Nie oznacza to, by społeczeństwo plebejskie nie mogło w swym łonie wytwarzać różnicowań, niekiedy przybierających postać zamkniętych kast. Wiele takich przykładów, nie mających nic wspólnego z Murzynami, można znaleźć i w samej Ameryce. Ale równocześnie społeczeństwo plebejskie cechuje wielki dynamizm, ciągła płynność form współżycia ludzkiego. Różnicowania nie są trwałe, granice między nimi łatwo się zacierają. I dlatego kaście trudno jest się tu utrzymać. Tak wygląda sprawa na Północy i tak zapewne będzie ona wyglądać na przeobrażającym się Południu.

Ale zmianom obiektywnym rzadko kiedy równorzędnie towarzyszą zmiany w myśleniu i odczuwaniu ludzkim. Co więcej —

nieraz, jeżeli zmiany obiektywne rzucają wyzwanie naszym nawykom myślowym i uczuciowym, te ostatnie buntują się i mówią „tym gorzej dla rzeczywistości”. Ten prymitywny hegelianizm jest zjawiskiem bardzo pospolitym i w całej pełni daje się dziś zauważyć w Stanach Zjednoczonych.

Ale dążeń emancypacyjnych Czarnej Ameryki zatrzymać już nie można. Mają one za sobą siłę zachodzących przemian obiektywnych i oparcie w nich. Czarna Ameryka walczy o pełne równouprawnienie. Wydała ona długi szereg znakomitych przywódców, stworzyła potężne organizacje, jak National Association for the Advancement of Colored People (N.A.A.C.P.), jak Urban League i inne, zaznacza swą obecność we wszystkich dziedzinach amerykańskiego życia politycznego, społecznego i kulturalnego. Cel jest jeden — czarny Amerykanin chce być takim samym Amerykaninem jak i jego biały rodak.

W tym ostatnim zawiera się zasadnicza różnica między zagadnieniem murzyńskim w Ameryce a rozmaitymi kwestiami „mniejszościowymi” w innych krajach i częściach świata. Dążenia emancypacyjne Czarnej Ameryki nie mają charakteru wyodrębniania się narodowo-kulturalnego. Czarna Ameryka jest amerykańską i chce być amerykańską. Jeżeli jakieś analogie mogą tu być użyte, to raczej z wielkimi ruchami społecznymi europejskich mas chłopskich, choćby chłopów polskich.

Czarną Amerykę wciąż czeka długa droga, zanim osiągnie swój cel. Droga to bardzo trudna, pełna niebezpieczeństw i wymagająca ofiar. Ale z drogi tej Czarna Ameryka już zejść nie może i nie chce. Pomaga jej historia, cały rozwój tej wielkiej cywilizacji plebejskiej.

Tak to rozumieją i ci biali Amerykanie, którzy zdecydowanie walczą o prawdziwe równouprawnienie Czarnej Ameryki. A nie jest ich mało i to nie tylko na Północy. Dla ludzi tych — szczególnie dla Południowców — sprawa murzyńska jest wielkim zagadnieniem moralnym, najtragiczniejszą sprawą sumienia. I stąd tyle w nich nieraz namiętności, oddania się, nawet fanatyzmu. Bo przecież południowy wróg segregacji idzie na walkę z własnym społeczeństwem, co więcej — idzie na walkę ze sobą samym, ze swymi uprzedzeniami i nawykami. Jeżeli na to idzie, to dlatego że tak boleśnie odczuwa konflikt między Amerykańskim Wyznaniem Wiary a rzeczywistością. Gdy czyta się wypowiedzi takich pisarzy jak Lillian Smith, można doskonale wyczuć głębię i moc przeżycia moralnego, jakie w nich istnieje. Dla nich sprawa murzyńska jest kwestią moralnego być albo nie być, jest miernikiem odczuwań i działań. A jednocześnie jest w nich głęboka wiara w słuszność tej sprawy i jest ów amerykański optymizm, który każe wierzyć w zwycięstwo tego, co słuszne.

Aleksander HERTZ

Sąd Ostateczny

CAMUS I KAFKA

Zdradzę ci wielki sekret, *mon cher*. Nie czekaj na Sąd Ostateczny. Odbywa się on codziennie.

Camus : „Upadek”.

Czytał pan gdzieś pewnie że wyrok skazujący człowieka zapada często w przypadkowym słowie wypowiedzianym przez przypadkową osobę w jakimś przypadkowym czasie.

Kafka : „Proces”.

W tym życiu mogło się łatwo zdarzyć, gdyby nie trzymał się ciągle na baczności, że któregoś dnia mimo uprzejmości władz i skrupulatnego spełniania wszystkich nałożonych nań i przesadnie lekkich obowiązków, mógłby — zwiedziony okazywanymi mu pozornie względami — zachować się tak nierozważnie że nastąpiłby jego *upadek*; a władze, nadal łagodne i przyjazne, i jak gdyby wbrew swojej woli lecz w imię jakiegoś nieznanego mu przepisu publicznego, mogłyby się natychmiast stawić i usunąć go z drogi.

Kafka : „Zamek”.

I

Któregoś wieczoru w Rzymie, w kawiarni na Piazza del Popolo, rozmawialiśmy w kilkuosobowym towarzystwie o „Upadku” Camusa.

— Jasne — powiedział rozdrażnionym głosem Alberto Moravia — że jest to opowiadanie o winnym bez winy. Rzecz wymyślona i zakotwiczona w powietrzu...

Jasne było przede wszystkim to że „Upadek” nie podobał się Moravii, pisarzowi zaczepionemu mocno o twarde dno życia kotwicą swego neorealizmu. Winny bez winy! Co za nonsens!

— Czy nie myśli pan — spróbowałem — że „Upadek” jest po prostu krótką wariacją na tematy z Kafki?

— A — zdziwił się Moravia, jakby ta możliwość stanęła mu po raz pierwszy przed oczami i rzucała na nową książkę Camusa nieco korzystniejsze światło.

Pokrewieństwo „Upadku” z twórczością Kafki uszło uwadze autorów wszystkich znanych mi artykułów i recenzji. Część winy za to ponosi sam Camus, który nadał temu co miał do powiedzenia w swej ostatniej książce niefortunną raczej i dwuznaczną formę literacką: na okładce oryginału pod „La Chute” widnieje napis „récit”, o „opowiadaniu” mówił pochopnie Moravia i w tekście znajdziemy istotnie sporo śladów kredy świadczących o takim zamiarze krojczego gdy zabierał się do roboty. Ale nie jest to opowiadanie i wielu czytelników (podobnie jak Moravia) dostrzegło tylko połowicznie lub zupełnie przeoczyło sens „Upadku”, dając się zbić z tropu realistycznym pozorom jego formy. Jest to traktat moralny, medytacja moralna w stylu przypowieści. Camusa pociągała pierwotnie nazwa „Bohater naszych czasów” i resztki tej pokusy oglądamy jeszcze na karcie tytułowej wydania angielskiego w kilku zdaniach motta z Lermontowa: „Niektórzy byli strasznie i to na serio obrażeni, mając przed oczami jako model tak niemoralną postać jak „Bohater naszych czasów”; inni zauważyli bystro że autor sportretował siebie i swoich znajomych... „Bohater naszych czasów”, panowie, jest rzeczywiście portretem ale nie jednostki; jest to agregat przywar całego naszego pokolenia w ich najpełniejszym wyrazie”. Jean-Baptiste Clamence z „Upadku” kończy swój monolog odsłonięciem metody artystycznej Camusa: „Konstruuję portret który jest wizerunkiem wszystkich i nikogo. Krótko mówiąc — maską, podobną do owych karnawałowych masek, jak żywych i stylizowanych zarazem, które wywołują u ludzi okrzyk: „Ależ na pewno go gdzieś widziałem!” Kiedy portret jest skończony, pokazuję go z wielkim smutkiem: „Oto jaki niestety jestem!” Rola oskarżyciela jest skończona. Ale równocześnie portret który trzymam przed moimi współczesnymi staje się zwierciadłem”. Po tej metodzie łatwo rozpoznać warsztat Mistrza gdzie terminował autor „Upadku”. W szkicu Camusa „Nadzieja i absurd w twórczości Franza Kafki” znajdujemy jedno zdanie, które przylega jak ulał do monologu Jean-Baptiste Clamence: „Do pewnego stopnia Kafka jest tym który mówi, chociaż to my jesteśmy tymi których spowiada”.

Lecz tu zachodzi rzecz dziwna i interesująca zarazem dla krytyków literackich: mimo określonego i pięknie opisanego tła amsterdamskiego spowiedzi bohatera „Upadku”, mimo konkretnego i osadzonego dokładnie w kalendarzu curriculum vitae adwokata paryskiego Jean-Baptiste Clamence, jest on znacznie mniej realny niż urzędnik bankowy Joseph K. z „Procesu”

i geometra Joseph K. z „Zamku” choć obaj beztwarzowi wysłannicy Kafki noszą te same umowne imiona i inicjały nazwisk i działają w jednakowo nieokreślonym czasie i miejscu. Dlaczego? Można oczywiście ten paradoks położyć na karb geniuszu Kafki: Edwin Muir przytacza z „Literarische Welt” trafną uwagę Willy Haasa, że Kafka miał wspaniały dar wyprowadzania realnego z realnego, startowania z czegoś konkretnego i pogrążania się myślą w czymś co wydaje się jeszcze bardziej konkretne. Byłoby to jednak tylko częściowe wyjaśnienie zagadki. Faktem jest że do tego typu traktatu moralno-metafizycznego, jaki za Kafką przedsięwziął Camus, nie nadaje się konwencjonalna technika realistyczna powieści czy noweli. Skutek jest taki że portret wydaje się zbyt niedokrzwisty by potrafił dać wizerunek żywej jednostki, a jednocześnie zbyt specyficzny by mógł od pierwszego spojrzenia uchodzić za „agregat przywar całego pokolenia”; słowem — będąc portretem namalowanym wyblakłymi już trochę farbami na zwierciadle, zajmuje tyle lustrzanej przestrzeni że w tym co z niej zostaje nie sposób się dobrze przejrzeć. Moravia miał pewne prawo w imieniu licznych czytelników „Upadku” do swojego grymasu irytacji.

2

We wspomnianym przed chwilą szkicu Camusa „Nadzieja i absurd w twórczości Franza Kafki” zainteresuje nas najpierw część dotycząca absurdu.

Po czym poznać się obecność absurdu w utworze literackim? Po wewnętrznych sprzecznościach które powstają wówczas, gdy „umysł rzutuje w konkretność swoją tragedię duchową, a może to uczynić jedynie środkami nieustannego paradoksu nadającego kolorom moc wyrażania próżni, codziennym gestom zaś siłę tłumaczenia odwiecznych dążeń”. W tej podstawowej dwuznaczności tkwi sekret Kafki. „Nieustanne wahania między naturalnym i niezwykłym, indywidualnym i powszechnym, tragicznym i codziennym, absurdalnym i logicznym występują w całej jego twórczości, nadając jej wydzźwięk i znaczenie”. Każdy symbol rozgrywa się na dwóch planach, w dwóch światach myśli i uczuć. „U Kafki te dwa światy to z jednej strony — świat codziennego życia, a z drugiej — świat nadprzyrodzonego niepokoju”. W doli człowieczej towarzyszą sobie wzajemnie zasadnicza absurdalność i nieubłagana wzniosłość. By dać pojęcie o tej absurdalności, trzeba tchnąć w nią życie w serii równoległych kontrastów. Kafka więc wyraża tragedię codziennością a absurd logiką”.

„Zamek” jest „dziwną powieścią w której nic się nie kończy i wszystko zaczyna od nowa, przygodami duszy w poszukiwaniu łaski”. W „Procesie” bohater „mógłby się nazywać Schmidt lub Franz Kafka. Ale nazywa się Joseph K. Nie jest on i równocześnie jest Kafką. Jest przeciętnym Europejczykiem,

jest podobny do każdego z nas. Ale jest również istotą K. — niewiadomą tego równania z krwi i kości. Podobnie gdy Kafka chce wyrazić absurd, używa konsekwencji. Znacze historię wariata łowiącego ryby w wannie. Lekarz z głową pełną nowoczesnych metod psychiatrycznych pyta go czy biorą, na co otrzymuje ostrą odpowiedź: „Oczywiście że nie, idioto, przecież to jest wanna”. Ta historia należy do typu barokowego. Ale można w niej uchwycić zupełnie jasno do jakiego stopnia absurdalny efekt związany jest z nadmiarem logiki. Świat Kafki jest w samej rzeczy wszechświatem nie do opisania, w którym człowiek pozwala sobie na męczący luksus łowienia ryb w wannie wiedząc z góry, że nic z tego nie wyjdzie”.

Ty cytaty są tak wymowne, że ludziom którzy czytali raz ale uważnie lub dwa razy „Upadek” wszelki komentarz wyda się zbyteczny. W interesie ciągłości eseju o Camusie i Kafce trzeba jednak to ogłosić choć pokrótce zaznaczyć. Jean-Baptiste Clamence jest człowiekiem absurdalnym. Zaczyna swoją błyskotliwą karierę jako bezgranicznie dobry, ofiarny i szlachetny adwokat, uosobienie wszystkich cnót mieszczańskich i ludzkich, obrońca słabych i pokrzywdzonych. Nagle uświadamia sobie, że jego dobroć i szlachetność są tylko maską bezgranicznej pychy, próżności i samoadoracji. Zaczyna nad tym cierpieć — nie bardzo wiadomo dlaczego, skoro świetnie przez Camusa sformułowana zasada „człowiek nie może kochać innych nie kochając siebie” dotyczy całego rodzaju ludzkiego, nie wyłączając świętych — traci apetyt, humor i gust do miłostek. Tu, na znak dany przez Mistrza Absurdu, stawiają się do apelu na „Zamku” przed trybunałem wiecznego „Procesu” pierwsze „wewnętrzne sprzecznosci”. Za nimi podążą następne. Clamence „rzutuje w konkretność swoją tragedię duchową”, wkracza jedną nogą ze „świata codziennego życia” w „świat nadprzyrodzonego niepokoju”, domyśla się że odkrył w codzienności tragedię a w absurdzie pewną logikę. Pełne potwierdzenie jego podejrzeń nie daje na siebie długo czekać: pewnego wieczoru słyszy na opustoszałej ulicy Paryża głośny śmiech — jest to pogardliwy „śmiech wszechświata”. Wkrótce potem, wracając z jakiejś nocnej libacji w lepszym nastroju, przechodzi przez jeden z mostów paryskich, widzi samotną dziewczynę opartą o balustradę, idzie dalej i słyszy krzyk oraz odgłos upadku ciała dochodzący z Sekwany. Zatrzymuje się na chwilę, ale nie pędzi na ratunek: dreszczem przejmuje go myśl o ryzyku życia i przerwaniu tego fizycznego błogostanu, jaki wywołuje krew pobudzona do żywszego krążenia winem. To był *jego* a nie owej nieznanej dziewczyny upadek: odkąd zrozumiał że jego dobroć staje jak wryta u progu prawdziwej ofiary i niebezpieczeństwa śmierci, wkracza obiema nogami w „świat nadprzyrodzonego niepokoju”, wie na pewno że nosił przez długie lata maskę która wyłobila mu na swoje podobieństwo rysy twarzy. Teraz staje się winnym bez winy (nawet Morawii udzielił się mimowoli absurd obecny w książce Camusa !): wyrok skazujący człowieka zapada często w przypad-

kowym krzyku dobywającym się z ust przypadkowej osoby w jakimś przypadkowym czasie i miejscu. Zwiedziony okazywanymi mu pozornie przez życie względami, zachował się tak nieostrożnie że nastąpił jego upadek. Ale nie czeka aż stawią się władze by go usunąć z drogi; usuwa się z drogi sam.

Wie bowiem także że na próżno szukałby na tym świecie uniewinnienia lub przynajmniej rozgrzeszenia („Proces” trwa wiecznie!) i dlatego odpowiada na absurd jeszcze większym absurdem: ciska w kąat karierę, pozycję społeczną i dobrobyt, wyjeżdża do Amsterdamu i zostaje własnym sędzią. Tam, w barze portowym Mexico City, spędza dzień w dzień z prawie pustymi kieszeniami smutne wieczory, rozmawiając z rzadkimi chętnymi lub z samym sobą. Jest obecnie arcyabsurdalnym już z nazwy „sędzią-pokutnikiem”, czyli innymi słowy — nad szklanką ginu pozwala sobie na męczący i jedyny jaki mu pozostał luksus łowienia ryb w wannie wiedząc z góry że nic z tego nie wyjdzie. Jakże mógłby o tym nie wiedzieć, skoro Sąd Ostateczny odbywa się codziennie? Do ostatniej chwili, do ostatniego słowa długiego monologu, nie opuszcza go ciągle jaśniejsza logika absurdalności doli człowieczej. Zamyka swój monolog tak: „O młoda dziewczyno, rzuć się znowu do Sekwany bym miał po raz drugi szansę uratowania nas obojga!”. Po raz drugi, eh, co za ryzykowna sugestia! Niech pan tylko pomyśli, *cher maître*, co będzie jeśli nas wezmą za słowo? Musielibyśmy przejść przez to jeszcze raz. Brr!... Woda jest taka zimna! Ale nie martwmy się. Jest już za późno. Zawsze będzie za późno. Na szczęście!”

Oczywiście że francuski krewny Josepha K. nie dostałby nawet po raz drugi łaski uratowania siebie wraz z tonącą dziewczyną! Gdyż w sferze władania „Zamku”, w świecie przygód duszy poszukującej łaski, nic się nie kończy i wszystko zaczyna od nowa.

3

Zanim pogłębimy bardziej związki między „Upadkiem” a „Procesem” i „Zamkiem” zatrzymajmy się chwilę nad jedną nowelą Kafki, która daje zdumiewająco precyzyjnie dopasowany klucz do genezy traktatu moralnego Camusa. Ta nowela, licząca wszystkiego piętnaście stron druku, nosi tytuł „Sąd” (lub „Wyrok”) i była Kafce wyjątkowo bliska; tak bliska że w testamencie-liście do Maxa Broda nazwał ją „książką” i postawił na pierwszym miejscu pięciu krótkich utworów zasługujących na ocalenie od ognia, który w myśl życzeń autora miał między innymi pochłonać dwa jego największe arcydzieła powieściowe.

Trudno ją w ogóle streścić i sam Kafka miał z tym nielada kłopot, gdy po zrobieniu korekty „Sądu” poświęcił mu pół stroniczki w swoim „Dzienniku” pod datą 11. 2. 1913. Rzecz wygląda z grubsza tak: w niedzielny poranek wiosenny młody kupiec Georg Bendemann siedzi przy oknie z błogim uczuciem

zadowolenia z życia. Umarła mu wprawdzie już dawno matka, ale ma za to miłą narzeczoną, i przedsiębiorstwo, odkąd przestał się nim zajmować zniedołężniały ojciec, prosperuje z każdym dniem lepiej. Georg skończyć właśnie pisać list do przyjaciela, którego nie widział od trzech lat — również kupca, nieszczęśliwego i osamotnionego w obcym Petersburgu, donosząc mu o swoich zaręczynach. Idzie z tym listem do sąsiedniego pokoju ojca gdzie wywiązuje się między nimi rozmowa: syn uprzątnia sobie stopniowo, że (jak powiada Kafka w „Dzienniku”) „nie posiada niczego”, że „wszystko co ich wiąże oparte jest na ojcu”. I oto „jedynie dlatego że nie pozostało mu nic własnego z wyjątkiem widoku ojca, wyrok który go odcina całkowicie od ojca ma taki piorunujący efekt”. Jakież to wyrok? Pod koniec rozmowy ojciec mówi: „A więc teraz już wiesz co jeszcze poza tobą istnieje na świecie, dotychczas wiedziałeś tylko o sobie! Niewinne dziecko — tak, to prawda że byłeś niewinnym dzieckiem, ale jeszcze większa prawda że byłeś diabelską istotą ludzką! I dlatego uważaj: skazuję cię w tej chwili na śmierć przez utopienie”. Georg wybiega jak szalony z domu, wpada na most i rzuca się do wody z okrzykiem: „Tym niemniej, drodzy rodzice, zawsze was kochałem”. Dudnienie tramwaju na moście „zagłusza dźwięk jego upadku”.

(W nawiasie króciutka ilustracja słuszności spostrzeżenia Camusa, że bohater „Procesu” mógłby się nazywać Schmidt lub Franz Kafka. W „Dzienniku” po tym streszczeniu następują przedziwne rozważania na temat imienia i nazwiska młodego kupca z „Sądu”: „Georg ma tę samą ilość liter co Franz. W Bendemann „mann” — człowiek — występuje jedynie po to by wzmocnić „Bende” — związki — na wypadek jakichkolwiek nieprzewidzianych możliwości w noweli. Ale Bende ma tę samą ilość liter co Kafka i samogłoska „e” powtarza się w tych samych miejscach co samogłoska „a” w nazwisku Kafka”).

Poza bezpośrednią i plastyczną wizją upadku, poza wyrokiem który znowu zapada w przypadkowym słowie wypowiedzianym przez przypadkową osobę w przypadkowym czasie, poza wreszcie typowo absurdalnym „tym niemniej” Kafki jakże przypominającym „zawsze będzie za późno” Camusa, muszą zwrócić naszą uwagę znacznie istotniejsze więzy pokrewieństwa łączące w tym stadium autora „Sądu” z głosicielem nieustannego Sądu Ostatecznego. Podobnie jak Jean-Baptiste Clamence, Georg Bendemann był „niewinnym dzieckiem”, faworytem losu, aż do chwili gdy upadek uprzątnia mu że „nie posiada niczego” (także porte-parole Camusa mówi o sobie: „nie posiadam niczego”) i zerwawszy z jego twarzy maskę mieszczańskich cnót, ukazuje w lustrze „diabelską istotę ludzką”. Podobnie jak adwokat paryski u szczytu powodzenia życiowego, ten Bendemann czyli „człowiek związany” i to zdawałoby się szczęśliwie związany! — zostaje nagle w okamgnieniu „całkowicie odcięty” od świata. I podobnie jak „sędzia-pokutnik”, zamyka w okrzyku „tym niemniej zawsze was kochałem” świadomość że jest rów-

nocześnie winny i niewinny. Obaj więc stają się najzupełniej nieoczekiwane (dokładnie tak samo jak wzorowy i stale awansujący urzędnik bankowy Joseph K. z „Procesu”, na którego spada pewnego ranka w błyszczącym od czystości pensjonaciku Frau Grubach grom z jasnego nieba w postaci dwóch policjantów z nakazem aresztowania) tym czym od początku był Meursault — „étrangerami, outsiderami w stosunku do istniejącego porządku rzeczy”. Osacza ich zniechęca pogardliwa obojętność wszechświata, widzą dokoła siebie zamiast królestwa mieszczańskiego porządku dzikie pola bezsensu, nawiedzeni tym szczególnym darem jasnowidztwa, który Kafka tak opisuje w opuszczonym przez Broda fragmencie „Zamku”: „Jeśli masz dość siły by patrzeć na rzeczy nieprzerwanie, bez zmrużenia choćby na ułamek sekundy oczu, zdołasz zobaczyć dużo; ale jeśli raz tylko pozwolisz sobie na wytchnienie i przymkniesz powieki, wszystko rozchwije się natychmiast w nieprzeniknionym mroku”. Mają jeszcze jedną powinowatą duszę. Jest nią geometra Joseph K., określany i unikany przez wszystkich niemal mieszkańców wioski u stóp Zamku jako „outsider”.

Możemy przekręcić klucz: Camus podjął w „Upadku” nie tylko ledwie widoczną w ciemnym labiryncie nić Kafki, lecz także porzucony ścieg swego własnego debiutu powieściowego. Z tym wszakże rozszerzeniem i wzbogaceniem starego haftu, że o ile Meursault jest niejako „étrangerem” z urodzenia, jednym z nielicznych wybranych, to Jean-Baptiste Clamence stając się nim bez żadnych po temu na pozór danych życiowych i dyspozycji psychicznych, zdaje się mówić do czytelników: „W gruncie rzeczy wszyscy bylibyście wraz ze mną „outsiderami”, gdybyście mieli dość siły by patrzeć na rzeczy nieprzerwanie, bez zmrużenia choćby na ułamek sekundy oczu”. Innymi słowy — kiedy odsłania przed współczesnymi swój skończony autoportret, chce aby każdy z nas dojrzał w nim jak w zwierciadle własne odbicie.

4

Georg Bendemann, mały winny bez winy z „Sądu”, stanowi jednak zaledwie preludium do Josepha K., wielkiego winnego bez winy z „Procesu”. I jeżeli w spojrzeniu na „Sąd” i „Upadek” uderzyło nas ważne wprawdzie lecz ciągle jeszcze dość płytko zakorzenione podobieństwo, to schodząc w głąb labiryntu „Procesu” musimy się dokopać cierpliwie do najniższych pokładów by zobaczyć zależność Camusa od Kafki w całej pełni.

„Wina człowieka nie jest nigdy wątpliwa” — czytamy w „Kolonii karnej” Kafki. „Proces” jest genialnym rozwinięciem tego twierdzenia do rozmiarów wszechobecnego koszmaru, w którym miazdzący ucisk logiki wzrasta wprost proporcjonalnie do kolejnych dawek absurdu. „Jestem niewinny — mówi w katedrze K. do księdza. — Jak można w ogóle nazywać kogoś winnym? Jesteśmy wszyscy prostymi ludźmi, podob-

nymi do siebie kropla w kroplę”. „To prawda — odpowiada ksiądz — ale tak mówią wszyscy winni”. Malarz Titorelli, głęboki znawca tego przedmiotu, wyjaśnia bohaterowi „Procesu” mechanizm działania Trybunału. Istnieją trzy możliwości uniewinnienia: definitywne uniewinnienie, pozorne uniewinnienie i bezterminowe odroczenie. Mimo że definitywne uniewinnienie przewidywane jest przez Prawo, nie sposób dowieść jego stosowania w praktyce — w każdym razie Titorelli nie zetknął się w czasie swej długoletniej zażyłości z Trybunałem z ani jednym takim wyrokiem. W wypadku pozornego uniewinnienia oskarżony wychodzi z sali sądowej jako wolny człowiek, ale w rzeczywistości jest tylko „pozornie wolny lub ściślej — prowizorycznie wolny. Gdyż Sędziowie niższego stopnia, do których należą moi (Titorellego) znajomi, nie posiadają władzy wydawania ostatecznych wyroków uniewinniających; ta władza zastrzeżona jest wyłącznie dla Sądu Najwyższego, do którego nikt z nas nie ma dostępu... Sędziowie niższego stopnia nie są zatem wyposażeni w wielki przywilej uwalniania z winy, ale przysługuje im prawo zdejmowania oskarżenia z ramion podsądnego. Znaczy to, że jeśli pan jest uniewinniony w ten sposób, oskarżenie zostaje zdjęte na razie z pana ramion lecz ciąży nad panem dalej i może, gdy tylko nadejdzie rozkaz z góry, opaść z powrotem na pana ramiona”. Nie dowierzając prawie własnym uszom, K. pyta czy cała sprawa zaczyna się wówczas od nowa. Oczywiście — odpowiada Titorelli — ale można także starać się znowu o pozorne uniewinnienie. I to drugie uniewinnienie nie jest również ostateczne? — dopytuje się z przerażeniem K. „Oczywiście że nie — wyjaśnia z niewyczerpaną cierpliwością Titorelli. — W ślad za drugim uniewinnieniem przychodzi trzecie aresztowanie, w ślad za trzecim uniewinnieniem czwarte aresztowanie i tak dalej. Jest to zawarte w samej idei pozornego uniewinnienia”.

Bezterminowe odroczenie polega na „zapobieżeniu by sprawa wydostała się kiedykolwiek ze swojej fazy początkowej”. Nie, nie chodzi tu o umorzenie postępowania sądowego — dodaje jednak zaraz Titorelli — „ale oskarżony ma niemal taką samą szansę uniknięcia wyroku jakby był wolny”. I w końcu krótki dialog zaokrąglający rozmowę. Titorelli: „Obie metody (pozorne uniewinnienie i bezterminowe odroczenie) mają tę wspólną cechę, że ratują oskarżonego od zbliżania się do wyroku”. Joseph K.: „Ale nie dopuszczają również do prawdziwego uniewinnienia”. Titorelli: „Uchwycił pan sedno sprawy”.

Rzecz jasna — i czytelnicy tego szkicu zauważyli to już na pewno sami — świat, w którym nie ma w ogóle definitywnego uniewinnienia, w którym powracająca wiecznie fala pozornego uniewinnienia jest powtarzaniem codziennie Sądem Ostatecznym gdzieś jak groźne memento brzmia słowa „zawsze będzie za późno”, w którym bezterminowe odroczenie jest tylko wątpliwym przywilejem zapomnienia lub nieświadomości „wybrańców powodzenia życiowego”, ucieczką w złudzenia „outsiderów” mrużących oczy w obliczu swego „outsiderstwa” — ten świat prze-

kroczył również próg baru Mexico City w Amsterdamie. „W filozofii i w polityce — mówi bohater „Upadku” — jestem po stronie każdej teorii, która odmawia przyznania człowiekowi niewinności i po stronie każdej praktyki, która traktuje go jako winnego. Ma pan przed sobą, *très cher*, oświeconego adwokata niewolnictwa”. Ta ostatnia uwaga jest ironiczna i można ją lepiej zrozumieć jedynie w zestawieniu z następującym *passusem*: „Myślą która najnaturalniej przychodzi do głowy człowiekowi jest myśl o jego niewinności. Pod tym względem jesteśmy wszyscy jak ów Francuz w Buchenwaldzie, który za wszelką cenę chciał złożyć zażalenie u współwięźnia zapisującego jego przybycie do obozu. Zażalenie? Ogólny wybuch śmiechu: „Szkoda czasu i atlasu, koleżko. Tu się nie składa zażaleń”. A Francuz na to: „Moja sprawa jest wyjątkowa. Jestem niewinny!” Ale istota rzeczy tkwi u Camusa gdzie indziej, nieprzed ludzkimi trybunałami odbywają się sprawy oskarżonych z „Upadku” i „Procesu”. Jean-Baptiste Clamence wie wraz z Josephem K. że „najdotkliwszą z męczarni człowieka jest być sądzonym bez prawa (1). A przecież znajdujemy się w kleszczach tej męczarni”.

Bohater „Procesu” nie może się z tym do końca pogodzić i dlatego w opustoszałej katedrze ksiądz krzyczy do niego z ambony: „Nie potrafisz niczego w ogóle zrozumieć?”. Był to „gniewny okrzyk, ale jednocześnie zabrzmiał jak bezwiedny alarm człowieka który widzi czyjś *upadek* i nie jest w stanie nad sobą zapanować”. W tej samej scenie katedralnej ksiądz opowiada Josephowi K. przypowieść która poprzedza Księgę Praw. Mowa w niej o człowieku przybyłym z prowincji z zamiarem dostania się do gmachu Prawa. Oddźwierny stojący na straży przed bramą gmachu oznajmia mu, że w tej chwili nie może go wpuścić. Petent czeka lata na właściwą chwilę i wreszcie przed śmiercią, złożony już niemocą, prosi strażnika by się do niego zbliżył. O cóż teraz chodzi? — mówi strażnik — jesteś *nienasycony*. „Każdy stara się dotrzeć do Prawa — pyta szepem petent — jak się to więc dzieje że w ciągu tych wszystkich lat nikt poza mną nie prosił o wpuszczenie do gmachu?” Z odpowiedzi wynika, że nikt poza nim nie mógłby otrzymać zezwolenia na wejście do Prawa, gdyż brama gmachu przeznaczona jest wyłącznie dla niego. Joseph K. oburza się że strażnik oszukiwał petenta, odsłaniając przed nim rąbek zbawienia gdy nie mogło mu ono już pomóc. (Clamence krzyknąłby tu: „zawsze jest za późno!”). Z tym kafkowskim ujęciem beznadziejności i tortury nadziei nie zgadza się ksiądz. Zdaniem wielu egzegetów Księgi Praw naprawdę oszukanym człowiekiem był strażnik, skoro nie widział nigdy na własne oczy Prawa i nie wiedział nawet na pewno czy istnieje cokolwiek za strzeżoną przez niego

(1) W „Problemie naszych praw” Kafka pisał: „Nasze prawa nie są powszechnie znane; niezmiernie to bolesna rzecz być rządzonym przez prawa których się nie zna”.

bramą. „Nie jest bynajmniej konieczne — precyzuje książd — przyjmować wszystko jako prawdę, trzeba tylko przyjmować wszystko jako konieczność”. „Melancholijna konkluzja — zamysła się K. — Kłamstwo obraca się w niej w uniwersalną zasadę”.

Przeciwno tej „melancholijnej konkluzji” buntuje się wielki winny bez winy z „Procesu” — nie dla niego prawa życia gdzie „nic się nie kończy i wszystko zaczyna od nowa” ! Idąc na egzekucję, trzymany mocno pod ręce przez dwóch katów, mówi sobie w duchu : „Czyż mam opuścić ten świat jako człowiek który odepchnął od siebie wszelkie konkluzje ? Czyż ludzie mają o mnie powiedzieć po moim odejściu, że na początku mojej sprawy chciałem ją zakończyć a pod jej koniec chciałem ją zacząć od nowa ? Nie chcę aby tak o mnie powiedziano”. W praktyce więc — choć ginie „jak pies” gdy jeden z oprawców trzyma go za gardło, a drugi wbija mu nóż w serce i dla pewności obraca go dwukrotnie w krwawym otworze, w praktyce Joseph K. popełnia samobójstwo.

Jego powinowaty, sędzia-pokutnik z „Upadku”, znalazł inną formę buntu : „im bardziej się samooskarża, tym większe ma prawo do sądzenia innych”; w chwilach słabości oddaje się marzeniom o „drugiej szansie uratowania siebie wraz z tonącą dziewczyną” mimo że „zawsze będzie za późno”; przy stoliku Mexico City w Amsterdamie korzysta w pełni z ostatniego luksusu łowienia ryb w wannie wiedząc z góry, że nic z tego nie wyjdzie...

5

Pokrewieństwo Camusa z Kafką w mrocznym świetle „Procesu” zamienia się w polemikę Camusa z Kafką kiedy zaczynamy śledzić „przygody duszy w poszukiwaniu łaski” na stronach „Zamku”.

Zapowiedź tej polemiki pojawia się już w szkicu „Nadzieja i absurd w twórczości Franza Kafki”. Do tego wszechświata wyzutego z postępu — pisze Camus z myślą o „Procesie” — Kafka wprowadzi nadzieję w przedziwnej postaci. Pod tym względem „Proces” i „Zamek” nie są powieściami jednokierunkowymi, lecz wzajemnie się uzupełniają... „Proces” stawia problem który „Zamek” do pewnego stopnia rozwiązuje”. Tak jest w istocie. W „Procesie” nie ma nadziei i kończy się on straceniem-samobójstwem bohatera. W „Zamku” jest nadzieja gdyż w przeciwieństwie do niewątpliwej zawsze winy człowieka w „Kolonii karnej” sekretarz Klamma, Momus, stwierdza w swym raporcie, że „wina geometry K. jest trudna do ustalenia”. Mimo że każda nowa próba wczepnego „étrangera”, geometry Josepha K., dostania się na Zamek i osiedlenia na stałe w wiosce zamkowej napotyka przeszkody nie do przewyżczenia i kończy się klęską, jest on — w odróżnieniu do swego imiennika z „Procesu”, szukającego z coraz większą pogardą

i rozpaczą sprawiedliwości — pełen w głębi ducha szacunku dla Nieosiągalnego Celu. Olga Barnabas dostarcza wyjaśnienia dlaczego, gdy zapewnia dosłownym echem z „Martwego domu” Dostojewskiego że „zupełnie bez nadziei żyć nie można”. „Zamek” pozostał nieukończony, wiemy jednak od Broda jak Kafka wyobrażał sobie jego epilog: geometra Joseph K. umiera do końca nieustępliwy, lecz zmęczony swoją długą i bezowocną wędrówką w poszukiwaniu łaski; nie była ona wszakże zupełnie bezowocna bo oto wokół jego łoża śmierci zbierają się mieszkańcy wioski zamkowej, a z samego Zamku nadchodzi wiadomość że jakkolwiek jego prośba o zezwolenie na stały pobyt w wiosce nie posiada podstaw prawnych, to z uwagi na pewne okoliczności wspierające pozwala mu się zostać i pracować na miejscu. Z drugiej strony od tegoż Broda wiemy również, że w brakujących i planowanych przez Kafkę rozdziałach, przed egzekucją postępowanie sądowe „Procesu” miało przejść przez cały szereg dalszych instancji, nie docierając nigdy aż do samego Sądu Najwyższego.

Trzeba było napisać „Proces” żeby zasiąść do pisania „Zamku” — powiada Camus. I dodaje: co jest przekładem twierdzenia Kierkegaarda, że człowiek musi zabić ziemską nadzieję, bo jedynie wtedy może być zbawiony przez prawdziwą nadzieję. W „Zamku” wkraczamy więc w nowy wymiar słusznie przez Broda podkreślonej „niewspółmierności ziemskich i religijnych celów”. Już książdz w „Procesie” powiedział, że prawda nie pokrywa się wcale z koniecznością. Tę antynomię odrzucił jako „kłamstwo obracane w uniwersalną zasadę” Joseph K. z „Procesu”, ale zdaje się z nią powoli oswajać Joseph K. z „Zamku” i otrzymuje w końcu częściową nagrodę za swoją cierpliwość i *nadzieję*. Dlatego niezupełnie ścisła jest uwaga Camusa o „Zamku” jako powieści, w której „nic się nie kończy i wszystko zaczyna od nowa”. W „Zamku” coś się jednak kończy. Formuluje on pewien ciąg nieprzewidywalnych antynomii — prawda i konieczność, prawda i moralność, łaska i sprawiedliwość, łaska i rozum ludzki, sprawiedliwość i niewinność — i przewycięża je przez ich przyjęcie. Jest to paradoksalna powieść w której rozpacz, daremność i bezsilność doprowadzają do nadziei przez sam fakt że są na dłuższą metę nie do wytrzymania, w której — jak trafnie notuje diagnoza Camusa — „absurd istnienia popycha trochę bardziej w kierunku rzeczywistości nadprzyrodzonej”. Można to jaśniej powiedzieć tak: w „Refleksjach o grzechu, bólu, nadziei i prawdziwej drodze”, pisanych po „Procesie” a na parę lat przed „Zamkiem”, Kafka twierdził, że „istnieje cel lecz nie ma drogi”; w „Zamku” odkrył że sama droga jest celem i już przez to choćby musi jednak prowadzić do jakiegoś celu. Ta buddyjska trochę pilnować nie nastąpił upadek. „Outsider” Kafki nie wytrzymuje swego „outsiderstwa” i z piekła absurdu ucieka do czystości nadprzyrodzonej pociechy religijnej.

Dokładnie w tym miejscu kryje się jądro polemiki Camusa z Kafką. „Outsider” Camusa nie tylko wytrzymuje swoje „outsiderstwo”, ale przyjmuje je. Co więcej — jest przekonany że tym większe odnosi zwycięstwo nad absurdem, rozpaczą i daremnością (i tym lepiej unika zasadzki nadprzyrodzonej pociechy religijnej), z im większą znosi je dumą, jasnością umysłu i heroizmem, a nawet — wyzywającą radością. Najważniejsze jest w „Upadku” ostatnie słowo na ostatniej stronie: „Na szczęście!” woła Clamence po uświadomieniu sobie że „zawsze będzie za późno”. Także on wie, że „sprawiedliwość należy raz na zawsze oddzielić od niewinności”, lecz odpowiada na to „nie martwmy się!”. Kafka pisał we wspomnianych przed chwilą „Refleksjach” że człowiek nie może żyć bez uporczywej ufności w coś niezniszczalnego w sobie samym, bywa jednak przez całe życie nieświadomy owej niezniszczalnej rzeczy i jedną z form tej ustawicznej nieświadomości jest wiara w Boga; dla Camusa ideałem jest pełna świadomość czegoś niezniszczalnego w sobie samym, która rzuca wyzwanie bogom, przekłada prawdę nad wybiegi konieczności, rozum ludzki nad łaskę, rozpaczliwą mądrość nad umyślną ślepotę i wraz z Nietzschem odpych od siebie dumnie nadprzyrodzoną pociechę w imię jałowej i zwycięskiej jasności umysłu. Sąd Ostateczny odbywa się codziennie — i cóż z tego? Codziennie też bohater „Mitu Syzyfa” toczy na szczyt góry swój głaz, wiedząc dobrze że jego wysiłek jest daremny. A przecież to właśnie w owej chwili gdy Syzyf patrzy z wierchołka na staczający się głaz i schodzi z powrotem w dół, budzi on zachwyt Camusa. Jest to „chwila świadomości”, w czasie powrotu w dół Syzyf „wznosi się ponad swój los”. „Jeśli ten mit jest tragiczny, to dlatego że jego bohater jest świadomy... Jasność umysłu która miała stanowić jego torturę wieńczy równocześnie jego zwycięstwo. Nie ma takiego losu, którego nie można by pokonać pogardą... Samo wdzieranie się na szczyt starczy by wypełnić serce człowieka. Trzeba sobie wyobrazić Syzyfa jako szczęśliwego”.

Jedyną postacią bliską Camusowi w „Zamku” jest zapewne tragiczna i bohaterska Amalia Barnabas, która „stała oko w oko z prawdą i żyła dalej, znosiła swe życie wczoraj i dzisiaj”. Pora podsumować rachunek: W ostatniej książce Camusa — gdzie w epizodzie na Zuyderzee, podobnie jak w „wszechświecie Kafki wyzutym z postępu”, ma się uczucie że choć statek „robi postęp nic się zarazem nie zmienia” — jasność umysłu i świadomość bohatera, która powoduje jego upadek, oznacza równocześnie jego podniesienie się. Jean-Baptiste Clamence upada, podnosi się, ogląda się za siebie i wraca do punktu wyjścia. W czasie tego powrotu wznosi się ponad swój los. Trzeba go uważać za szczęśliwego. Dał nam do tego zresztą sam prawo, gdy wracając do wylotu swej drogi krzyknął: „Na szczęście!”.

Młodzi poeci wrocławscy

Tadeusz NUCKOWSKI, ur. w roku 1915, w województwie lwowskim. Studia polonistyczne zaczyna we Lwowie, kończy — po ostatniej wojnie — we Wrocławiu. Podczas okupacji bierze czynny udział w życiu kulturalnym na terenie Lwowa. W 1944 zmobilizowany do Wojska Polskiego utworzonego w Rosji. W 1946 zapisuje się na Uniwersytet Wrocławski. Wiersze ogłaszał w krakowskim „Dzienniku Polskim”, w „Zeszytach Wrocławskich”, „Tygodniku Powszechnym”, w „Dziś i Jutro” i w „Jednodniówce literackiej „Inaczej” (Kraków 1945). W roku 1956 Almanach literacki wrocławskiego Oddziału Związku Literatów Polskich zamieścił wiersze Nuckowskiego. Jest autorem kilku nie ogłoszonych dotychczas zbiorów.

USTA WCIĄŻ GŁODNE

(Wiersz autobiograficzny)

*Macierzanką poranną
pachniało twoje dzieciństwo,
a łubinami — młodość
i głodna miłość,
klerku słoneczny,
cichy braciszku
gazel, kwiatów, dziewcząt.
Ale chłodne poranki mroźnej pory
głodem karmiły
twoją w skwar dojrzewającą tęsknotą.*

*Teraź
chłodnieją już popołudnia
i dalią pachnie siwizna u twej skroni,
a skwar nie nasycony
smakiem goryczy
napętnia twe nieme bólem usta —
wciąż głodne.*

Tadeusz NUCKOWSKI

EKLOGA WROCŁAWSKA

Sponad dachów starego ratusza
lipcem zakwitają obłoki —
złote plastry spływają
w horyzont kłosów.
Z odchylonych blaskiem den Odry
wachlarzem wybucha dzwoniąc
srebro wilgotnej pogody.
Spracowane ciało namażesz oliwą słońca
i zmyjesz w leśnej wodzie
na brzę dyskobola.
Na piasku nadrzecznym
pąsowo zakwitają dziewczęta —
ich usta urodzą ciepłe jagody.

Tadeusz NUCKOWSKI

ŻYWILIŚMY SIĘ CHLEBEM PRZEKORY

Zły nam kiedyś czas nastał,
braciszku.
Dzieckiem tak spokojnie patrzyłeś
w dym pachnący ufną wieczerszą znad rodzinnej strzechy,
w oczy ciepłe dobrocią.
Umarł nam dom
i tyś się zawieruszył w wojnie i śmierci.
A tamtej nocy
w zawiei
wymarły skowronki,
co niosły nam wiosny śpiewny zapach.
Złe się w zaczadzonych złą żądzą sercach zaległo —
gacek grozy w sny dzieci się wpijał.
Skoro poranek nam światłem oczy namazał,
żywiliśmy się chlebem przekory:
spragnionym spojrzeniem
nad miastem ruin
niebo zakwitao
wiejską piosenką dzieciństwa.

Tadeusz NUCKOWSKI

Założona w październiku 1956 wrocławska grupa artystyczna „Dlaczego Nie” skupia młodych literatów, plastyków, muzyków i aktorów. Eklektyzm w filozofii — po gorzkich zawodach — i namiętne poszukiwania nowych środków wyrazu w sztuce, tak można by określić postawę najmłodszego pokolenia pisarzy i artystów Wrocławia. Żaden spośród poetów, których wiersze dziś drukujemy, nie wydał własnego tomu. Drukują w czasopismach krajowych i czytają swe wiersze przez radio.



Jerzy JANKOWSKI. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim. Zajmuje się również krytyką (w przygotowaniu obszerna praca „o poezji Tadeusza Różewicza”). Drukował w „Życiu Uniwersytetu”, „Poglądach”, „Kierunkach”, „Współczesności” i innych. Od roku 1956 jest jednym z redaktorów „Życia Uniwersytetu”. Jest również jednym z założycieli grupy „Dlaczego Nie”.

ŁUDZIE XX WIEKU

tadeuszowi różewiczowi poświęcam

*przekłuci spojrzeniem radaru
opadamy zwolna na dno*

*my ludzie xx wieku
my wyzwoliliśmy atom
my związaliśmy przestrzeń
my ujarzmiiliśmy dźwięk*

*my ludzie
nie
my sprawcy i świadkowie hiroszimy*

*znamy
znamy wiele
znamy wiele krajów
malaje*

vietnam

alger

korea

węgry

*xx wiek jest z nami
kiedy kulą rozwieramy serca
kiedy bagnetem rwiemy ciała
kiedy kolbą miażdżymy czaszki
tryska na nas krew
tryska wyblakły mózg*

*a my z radosnym uśmiechem
patrzymy na nasz xx wiek
przez kółko osłony muszki*

Jerzy JANKOWSKI

Jerzy KWAPISZ. Studiuje polonistykę. Debiutował w 1951 roku. Drukuje w „Kronice”, „Życiu Uniwersytetu”, „Słowie Polskim”, „Gazecie Robotniczej” i innych. Należy do założycieli Grupy.

MÓJ CZAS

*Opadam wolno w otwarty wąwóz zwątpienia
Serce alarmowy sygnał nie dzwoni ostrzegawczo
Roślino nadziei nie uchwycę twego korzenia
Gdzie krwawiły się gwiazdy puste oczodoły patrzą*

*Każda droga spętana suptem rozpaczy
W okół chmur stępy i zorzy polarnej popiół
Nie ma tytana co skały na szczyty wtacza
Jest noc rozrywana jękiem moich kroków*

Jerzy KWAPISZ

PROŚBA

*Pomóż mi niebo odświeżyć
z suchych znoszonych barw
pomóż mi z kwiatów oberwać
miękki zbutwiały blask
pomóż mi z wiatru wyczesać*

ciepły płaczliwy fałsz
pomóż mi z liści otrzepać
kruchy blaszany żal
pomóż mi z mowy odsypać
wszystkich słów mialkich piach
pomóż mi miłość zrumienić
prawdą jak blaskiem dnia

Jerzy KWAPISZ

Stanisław CHACIŃSKI. Debiutuje w 1953 roku. Początkowo związany jest z ruchem katolickim (redaguje „Wrocławski Tygodnik Katolicki”). Od 1957 pracuje jako redaktor wojskowego „Żołnierza Ludu”. Wiersze ogłaszał w „Dziś i Jutro”, w „Tygodniku Powszechnym”, „Sygnałach” i innych. W roku bieżącym ukaże się tomik Chacińskiego „Tematy”.

BALLADA O ZARDZEWIAŁEJ KRWI

Ulica Igielna
Jak zardzewiała igła

Pod każdym numerem
Prostytutki
Pijane rozkrzyczane
Klną swych alfonsov
Którzy śpiewają
Piosenki zza krat

A pod trzynastym
Na poddaszu
Mieszka poeta niezrozumiały
Z racji prostych słów

Poeta karmi szczury
Spleśniałym chlebem
I marzy Pomarańczową
Z ulicy oddalonej
Co jest zaułkiem westchnień
Akacji słodkich szeptów

Dziewczyna mieszka w bombonierce
Ma drogie radio z adapterem
Kocha Francuza Yves Montand'a
Co pięknie śpiewa i gra w filmie

Poeta ma sto kilka szczurów
 Które nazywa po imieniu
 Trzy kilo wierszy nieczytanych
 Piętnaście proszków luminalu

Prostytutki mają alfonsów
 Klientów z różnych warstw społecznych
 I kilka setek za noc

Poeta łyknie proszki
 Aby dotrzymać wierności
 Idącej wąskostopej
 Co mija bez skrętu głowy
 Szczeliąc rozkrzyczaną
 W której rdzewieje krew

Stanisław CHACIŃSKI

Wiesława SCHMUCKÓWNA. Magister geologii. Pracuje jako asystentka na Uniwersytecie Wrocławskim. Twórczość rozpoczęła prozą, ogłaszając swe opowiadania w „Sztandarze Młodych”. Później zwraca się w stronę wierszy. Drukuje w „Ziemi Kieleckiej”, „Poglądach” i innych.

SCHERZA NA TEMAT 1956

I.

Na świecie po którym chodzę
 Nie ma przyjaciół
 Wzburzony okeanos zacisznej zatoki
 Nie ma
 Nie spuszczać czujnego oka
 Tłum białych twarzy
 Naprzeciw
 Uwaga

A te fioletowe gaje gdzie
 Już za plecami
 Mszyste pnie
 Chłód
 Tam leśna jagoda oparzy wargi
 Czerwono zakwitły
 Dzikich róż druty kolczaste

A te lazururowe obłoki gdzie
Wiszą nad głową
Takie płowe
Niebo wyszczerza gwiazdziste zęby
Wysoko
Nie dostać
A noc rozdeptane kaczę tu blisko przy drodze leżało

Idą
Każdy na swoje miejsce
Już
Galilee vicisti

Nie spuszczać czujnego oka
Tłum białych twarzy
Naprzeciw
Uwaga
Zabici walczą dalej

Nie dla chłodnej kąpieli ulepiono nam ciała
Nie na miłosne całusy czerwone mamy usta

II.

Urodzonym przed pierwszą wojną
Urodzonym po pierwszej wojnie
Urodzonym przed drugą wojną
Urodzonym po drugiej wojnie
Kazali nam żyć

To kłamstwo
Kazali umierać

Dali nam piękne ciała
Zwinne ręce
Bystre oczy
Smukłe łądzwie
Mocne nogi
Dali nam piękne ciała

Nieprawda
Rzucili pociskom na cel
Bezbronnie karły
Na poszarpanie
Na wydarcie krwi

Wydali nas ziemi rozległej
Ludziom wydali ludzi
Oni nas urodzili

*To zdrada
Oni skazali na śmierć*

*Słuchajcie wy
Dalecy nieznani
To jedno nas łączy
Zdrada*

III.

*Przekłęci nie mają bractwa
Każdy przekłęty jest sam
Im szary codzienny blask
Im ciepło tętniącej krwi
Wyszarpnęto*

*Ręce wyciągnąć — mur
Ręce wyciągnąć — ciemno
Wyjścia uciec gdzie
W usta spoisty piach
Mózg człowieczy przeorało nie
Pamiętajcie
Mózg przeorało nie*

Wiesława SCHMUCKÓWNA



POMOC DO POLSKI LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Katalog 100 popularnych paczek
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)
na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze
wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

— 121, Earls Court Road, London. S.W.5.

Telefon : FREmantle 7888/9

Krwią czy myślą ...

... prawda umarłych nie pójdzie na marne,
jeśli potrafią o nią walczyć żywi...

Gustaw H. Grudziński.

Wielki wstrząs polityczny ubiegłej jesieni, wytrzymany w kraju na granicy wybuchu — przeżycie powstania węgierskiego w uczuciowym współdzwisku a bez współudziału — zdają się zapisywać nową kartę naszych reakcji zbiorowych, zupełnie odmienną od dawnego obyczaju: skorej a nieprzemyślanej walki.

Nakazując sobie spokój i rozwagę, powstrzymując młodych i gorących — społeczeństwo nasze ujawniało jednak coś jakby niepewność, czy może samo sobie dowierzać w tej nowej metodzie i jakby się dziwowało, że przestaje hołdować tradycyjnemu „mierzeniu siły na zamiary”. I skoro nie w czynie, skoro nie w głośnej wypowiedzi, to przynajmniej w popularnym dowcipie składało jeszcze hołd postawie historycznej, kwitowało własne, nowe decyzje uszczypliwym sarkazmem.

Szeroko powtarzana formułka, że na ten raz „Węgrzy zachowali się jak Polacy, Polacy jak Czesi, a Czesi jak tchórze...” oddawała wiernie ów kult bohaterstwa ugruntowany przez wieki, kult dla walki podejmowanej nawet w warunkach zupełnie beznadziejnych — i zdradzała jakby odrobinę żalu, że w tym wypadku uchyliła się Polska od sięgania po laury dla wieńczenia rycerskich trupów. Ale nie tylko popularny humor, również i refleksyjny wyraz poetycki żegnał raczej w rozterce to dziwne w naszej historii zjawisko — zachowania zimnej krwi, gdy była okazja wdania się w walkę. Czy Miłosz w „Antygonie”, czy Ważyk w wierszu ku czci Węgrów — świadczą o pełni różnorodnych przeżyć.

Wszystkie cytaty z Norwida zostały zaczerpnięte z wydawnictwa Z. Przesmyckiego — Listy C. Norwida, Tom I. Warszawa 1937.

Narzuca się przede wszystkim pytanie, czy inna postawa naszego narodu w 1956 niż w 1944 wynikała jedynie z małego dystansu czasu, jaki te lata przedzielał? Czy doznana porażka ostatniego powstania była wyłączną przyczyną, która temu samemu pokoleniu nakazała więcej rozważań, ale w gruncie rzeczy nie naruszyła owej tradycyjnej formacji psychicznej, która poprzez wieki kształtowała ideały narodu? Czy też odwrotnie, mamy do czynienia z procesem nieprzemijającym, z narastaniem zasadniczo innych ocen zbiorowego działania.

Miałałby gasnąć dawna ufność w walkę orężną, jako w główny, jeżeli nie w jedyny, prawdziwie narodowy sposób działania? Lub miałałby zanikać głęboka wiara w mistyczną wartość ofiary krwi, która wcześniej czy później, ale *musi być* wynagrodzona? Czy wreszcie miałałby być odrzucana, tak charakterystyczna dla nas rachuba na uczucie wspólnoty innych narodów, które świadome naszej bohaterskiej, choćby beznadziejnej walki, zostaną w końcu *zmuszone moralnie* do interwencji?

Trzymając się tezy o małej zmienności cech narodowych, nazywając je „wrodzonymi”, bylibyśmy skłonni w przebiegu Powstania Warszawskiego lub w innych doraźnych zdarzeniach dopatrywać wyjątkowego nacisku okoliczności, który tylko chwilowo zepchnął naród z właściwej mu drogi postępowania. Wpatrując się jednak w rozwój życia naszego narodu, idąc myślą za nieprzerwanym łańcuchem przeobrażeń społecznych i psychicznych — bliżsi może będziemy uznania, że został osiągnięty dalszy etap świadomości narodowej, że wchodzimy w nowy okres, gdy myśl nie będzie już zastępowana krwią i powitamy to zjawisko jako wielką kolejną zdobycz rozkwitającej siły i samodzielności młodego narodu.

GOTOWOŚĆ WALKI

Byłoby naturalnie krzywdzeniem naszego narodu starać się sprowadzić jego tradycyjną waleczność do czupurnej zapamiętałości bojowej, jako do cechy głównej. Jeżeli wśród wielu elementów psychicznych, decydujących o zachowywaniu się naszej społeczności, potrafimy odnaleźć również ów czynnik bezwzględnej prymitywnej bojowości — to jednak niewątpliwie musimy go zaliczać do cech zanikających, to znaczy już przezwycięzonych w świadomości zbiorowej i już wyeliminowanych z szeregu tych, które pozostają przedmiotem kultu. Pojęcie bohaterstwa stało się bardziej skomplikowane.

Gdy narastająca znajomość obyczajów świata zwierzęcego pozwala nam rozważać, w czym i o ile zdołaliśmy się oddalić od prymitywnych form walki o byt — rejestrujemy także oddalanie się naszych ocen i naszych ambicji od pierwotnych pojęć o waleczności.

Przyrodnik współczesny, studiując zachowanie się zwierząt w walce, nie waha się uznać pewnego typu członkonogich za najbardziej dzielne i ofiarne w boju wśród ogółu żyjących stwo-

rzeń. Ów drobny członkonóg atakuje z reguły każdego przeciwnika, przy zupełnym braku troski o jakiekolwiek zbliżenie się do równowagi sił. Rozpoczętą walkę podtrzymuje do ostatniej chwili swego istnienia. W starciu dwu osobników tegoż gatunku jest rzeczą częstą, że giną oba. Wola porażenia swego przeciwnika w zacieklej walce dominuje ponad obroną własną. Gdy jeden z walczących pracowicie ucina szczegółami którąś z nóg nieprzyjaciela — tamten, mniej się troszcząc o swoje członki, rozpruwa odwłok napastnika i wyżera mu wnętrzności. Uśmierza ich dopiero agonia.

W zachowaniu się ludzi można wprawdzie odnaleźć jeszcze pewne analogie, ale niewątpliwie wypada już ich szukać ze świecą. Odbywane pokryjomu w Hiszpanii walki zapaśników na krótkie noże stanowią zapewne wygasający przykład. Ewers w swym „Sosie Pomidorowym” wydobywa na jaw te zupełnie pierwotne instynkty walki, gdy pasja sięgnięcia przeciwnika i ambicja okazania się dzielnym w oczach widzów — wymykają się całkowicie spod kontroli świadomości i górują ponad instynktem zachowania życia. Opisywani zawodnicy, zaopatrzeni początkowo w solidne bandaże na lewej ręce, przeznaczonej do osłony, w intencji by całość walki zamykała się w granicach płytkich porażeń skóry — w miarę narastającego uniesienia bojem, zrywają bandaże, każda parada staje się krwawiąca, odsłaniają dostęp do arterii i osiągają wreszcie upragnione dobiecie przeciwnika, gdy zdoła się mu otworzyć jamę brzuszną lub wykrwawić go, doszukawszy się tętnic. Los własny się nie liczy.

Podobna postawa towarzyszyła jeszcze zapewne wielu „wojom” gołubiewoskiego Bolesława Chrobrego. Jej refleks odnajdujemy też być może w matejkowskim Grunwaldzie, gdzie obalony bojownik, niemal już pod kopytami, usiłuje jeszcze kaleczyć nożem chociaż konie nieprzyjaciela. Obecnie, jeżeli nawet zdarza się napotkać na idealizowanie waleczności tej natury — to widzimy w tym raczej cień przeszłości, snującej się bezradnie wśród odmiennych już moralnych ocen.

W każdym przecie społeczeństwie żyją stale obok siebie ludzie przynależni do epok odległych nieraz o liczne wieki. Dla całości jednak naszego narodu, dla jego zbiorowych przeświadczeń — na pewno przeminął czas kultu bojowej zapamiętałości.

OFIARA ZASŁUGĄ PRZED BÓSTWEM

Krew jako okup — krew jako ofiara miła bóstwu, wzamian za którą różnorakie dobrodziejstwa mają spłynąć na ofiarującego — oto starodawna forma pozyskania tajemnych sił poza ludzkich na dobro człowieka. Im wyższa wartość ofiary, im szlachetniejsza istota ma życie stracić, im większa suma uczuć miłości i przywiązania zostanie złamana przez akt ofiary — tym miłszą będzie ona bóstwu, a więc i wyższą skalą pozyskanej zasługi.

Gdy srogi Bóg Starego Zakonu nakazuje wstrzymać rękę Abrahama i ocala życie Izaakowi — nie odrzuca ofiary składanej nabożnie przez ojca. Przyjmuje ją jako już intencjonalnie spełnioną. Tylko wykonanie jej staje się niejako zbędne, przychylność Boga została bowiem pozyskana. W toku dziejów forma układu z Bogiem ulega naturalnie sublimacji. Ofiara krwi staje się wyłącznie dobrowolna, a pozyskiwane dobrodziejstwa dotyczyć będą raczej zbiorowości niż osoby, a więc rodziny lub narodu.

U nas, wiara w bezpośrednią interwencję boską w sprawy narodu trwa szczególnie długo. Gdy wśród innych narodów, powiązanych normalniej we własne państwa, odwoływanie się do sił nadprzyrodzonych przybiera raczej charakter tradycyjn-obrzędowy i nie bez świadomości znacznej części społeczeństwa, że to każdy z walczących narodów liczy na pomoc swego Boga — to w bezpaństwowej i bezzilnej Polsce następuje regeneracja pełnej ufności że wkroczy sprawiedliwość boska jedyna, a nie względna i wkroczy bezpośrednio.

Tak stosunkowo bliski nam w czasie, okres poezji romantycznej i doktryny Towiańskiego był zapewne kulminacyjnym momentem tych wierzeń. Mickiewicz, prowadząc Koło Towiańczyków w Paryżu i krzewiąc wiarę, że osiągnięcie świętości w tej grupie wybrańców, a przez to zasłużenie na cud boski, to jedyna i najpewniejsza droga do przywrócenia wolności ojczyźnie — usiłuje sprowadzić politykę narodu na tory takich religijnych uniesień, które już nie mogą odpowiadać współczesnym. I chociaż Mickiewicz sam, przy swej pasji działania, dość szybko porzucił koncepcję wymodlenia cudu i chwycił się aktywniejszej polityki w poszukiwaniu, czy wywołaniu interwencji zbrojnej, wiążąc ją z ruchem rewolucyjnym — to jednak zgoła nie oznaczało końca epoki wierzeń naszego społeczeństwa w aktywną rolę polityczną zaświatowych sił.

Odrzucano wprawdzie łatwo ambitne sięganie po świętość — taki wysiłek był nie na miarę polskiej wytrzymałości — ale pogrążono się na długo w bezodpowiedzialne składanie losu narodu w ręce Boga. Dogadzała ogromnie bierna nadzieja, że akt sprawiedliwości bożej w każdym razie nastąpi, nastąpić zaś musi wobec zasług już przez Polskę dokonanych, wobec jej moralnej wyższości ponad inne narody i wobec gromadzącej się wciąż a wciąż listy cierpień i męczeńskich ofiar. Postawa ta miała dwustronne fatalne skutki.

Dla biernych i wygodnych stanowiła znakomitą zasłonę przeciw wymaganiom twardego wysiłku: skoro sprawiedliwość przyjdzie sama — wystarczy cierpliwie czekać. Rozgrzeszało to bezczynność a nadto sprzyjało wielce generalnemu tępieniu każdej krytyki we własnym społeczeństwie i wymagało niejako podtrzymywania samochwalczego sądu o wieczystych cnotach i wyjątkowej wartości Polski. Kwestionowanie tego byłoby przecież usuwaniem sobie gruntu spod nóg — boć właśnie dla swych zasług będzie Polska przedmiotem opieki Niebios. Kto zaprzecza

jej tego tytułu — spycha naród do beznadziei. Toteż im dalszy bywał pocziwy obywatel od czynnej zasługi, tym gorliwszym stawał się stróżem zgodnego chóru samoadoracji narodowej.

A z drugiej strony żarliwi i ofiarni byli niejako popychani do poświęcenia się w każdych warunkach. Skoro nie wynik działania jest ważny, ale już sam fakt nawet irracjonalnej ofiary dołącza się zawsze do zaziemskiego rejestru zasług narodowych i może on właśnie dopełni „czary męczeństwa” i uruchomi Karzącą Rękę — to mniejsza o ocenę realnych widoków działania. Każdy poryw do walki zasługuje na uznanie, każda kropla krwi ofiarnej zaważy na szali.

Mistyka krwi, jako niezawodnego środka działania — przeżyła polskie porywy wyzwolenicze przez wiek cały. Słowacki zapewne wiernie oddaje wiarę narodową swoich czasów, gdy mówi:

*Młodych śmierć nie może minąć —
tak nam ojców mądrość gada;
gdyby spytać jaka rada,
Leonidas, wódz spartański,
powiedziałby: iść i ginąć.*

Nie głosi buntu przeciw tej zasadzie, przeciwnie, gdy spełnianie jej jest tylko połowiczne, gdy hojność w przelewaniu krwi nie jest dochowana, przejmuje go wstyd, że jest :

*z kraju — gdzie zawsze po dniach nieszczęśliwych
zostaje przecież pół rycerzy żywych.*

Pół wieku jeszcze musi minąć, muszą się dokonać dalsze doświadczenia narodu, zanim otworzą się uszy na głos Wyspiańskiego, który chce wyzwolić naród „ze służby grobom”. Wkładając w „Warszawiance” w usta Chłopickiego świadome szyderstwo z tych „którzy się grobom ślubują” — wyprzedza poeta powolny krok rzeczywistości. Jeszcze i w okresie 1863 roku polityka hojnej ofiary krwi zdecydowanie panuje w umysłach.

Samotne głosy, nawet najbardziej religijne, daremnie nawiązują do wytrzeźwienia z tej swoistej polskiej dewocji. Norwid, niedosłyszalny dla własnego narodu przez całe lat kilkadziesiąt — pisał do przyjaciela w 1863 roku : „Już od wieków dziewiętnastu, krew ile razy jest skąpo wylewana, stanowi płyn wystarczający do mycia przeszłości. A ile razy nieskąpo wylewaną bywa, to nawet i na to się nie zda”.

Zmagając się w tej epoce z tradycyjnym polskim ofiarnictwem, miał Norwid przed sobą już bardziej wzbogacone, jakby racjonalistyczne uzasadnianie hojności krwi. Prosta wiara w zasługę przed Bogiem lub mgliste, romantyczne zaufanie do sił tajemnych wzywanych przez śmierć nie wyczerpują tej różnorodności zadań, jakie krwi powierzano. Rok 1863 wynosił na widownię polskiego życia nowe jej przeznaczenia. Krew miała pełnić funkcje polityczne wśród ludzi, ale wciąż nie tyle na polu

walki i dla okupienia zwycięstwa, ile przez wpływ pośredni, działając na myśli i uczucia ludzkie.

KREW ARGUMENTEM

Krew miała mówić do swoich i do obcych, krew miała zastąpić oświatę w kraju ciemnym, a wołając do uczuć narodów obcych, wyręczyć dyplomację o leniwej myśli.

Inicjatorzy i kierownicy Powstania 1863 roku, wychowani na Mochnackim i ideach przewodnich Wiosny Ludów, wiedzieli dobrze, że widoki powstania zależą bezpośrednio od siły ruchu ludowego. Grzech antyrewolucyjny 1831 skutecznie pouczał przewodców następnego pokolenia — i na ten raz poszukiwano przede wszystkim drogi do pozyskania uczuć i uruchomienia siły masy ludowej. A gdy czas i warunki nie pozwalały ani na rozwinięcie powszechnej świadomości narodowej przez lata oświaty, ani na przeprowadzenie reform społecznych, które z upośledzonych i pomijanych czyniłyby gospodarzy kraju i jego naturalnych obrońców — jakże kuszącą była nadzieja, że przez sam bohaterski przykład, że przez krew bezinteresownie przelaną zdobędzie się zaufanie, obudzi entuzjazm i zyska siły do walki.

Równocześnie ogólne „braterstwo ludów”, dążących do wolności, miało doznać ożywczej podniety w obliczu krwawej ofiary bojowników polskich i miało wywołać pomoc zbrojną narodów zachodnich przeciw carskiej tyranii. Nie stać było organizatorów powstania na założenie wstępne dyplomatycznej sieci, przygotowującej współdział obcych rządów. Co więcej, nie stać było naszej myśli politycznej na wypracowanie i rzucenie wśród narodów wolnych takiej koncepcji niepodległej Polski, która by była realnie wiązaną z bieżącym życiem, z rozwojem stosunków ludzkich innych społeczeństw, a nie poprzestawała na luźnych sentymentach sympatii do odległej Polski.

Daremnie już w pierwszych miesiącach powstania nawoływał Norwid z Paryża do utworzenia pisma dla Europy: „równocześnie do powstania mieczem, trzeba powstania siłą myśli”, „musimy całej Europie, całej ludzkości dawać z siebie... a inteligencja nasza zamienia nas na jakąś ofiarę niemą, na jakąś rasę nieszczęśliwą”... „nikt nie pojął Polski ze stanowiska ludzkości”...

Ale ten język jest jeszcze na owe czasy całkowicie niezrozumiały.

Trwa ofiara wybranych, aby uszlachetnić „czerep rubaszny” i aby „obudzić sumienie świata” — cele te jednak nie zostają osiągnięte w żadnej mierze. Masa chłopska zostaje nieporuszona, ani nawet radykalnie wyrwana spod posłuchu policji w ściganiu i wydawaniu „panów z lasu”. Pomoc obca nie nadchodzi znikąd i krwawiąca Polska nie zdoła nawet zamącić trwającego wyścigu uprzemysłowienia.

Krew nie zastąpiła ani obywatelskiego elementarza, ani politycznej myśli. Nie zaraz jednak dojdą do głosu właściwe wnioski

z tej historycznej lekcji. Na jednym tylko kierunku — w poświęceniu się dla pokuty — epoka 1863 roku zamyka definitywnie przejawy tej natury w Polsce. Obok innych motywów ofiary występował bowiem w tym czasie także dodatkowy i niewątpliwie mniejszej wagi, ale przecież bardzo charakterystyczny element ekspiacji synów za grzechy ojców.

Najbardziej jaskrawym wyrazem tej postawy było bezbronne apostołstwo szlacheckich synów wśród ukraińskich chłopów na rzecz rewolucji. „Złotaja Hramota” — doktrynalny manifest nowych praw dla ludu — nie okazała moralnej siły przeobrażenia rzeczywistości. Niesiona przez garść entuzjastów, bezbronych z intencji, spotykających szyderczą niewiarę tłumu i ściągających na siebie bezmyślne morderstwo, czy represje policji — dawała tylko satysfakcję przyjęcia pokuty za winy przodków. Nie zmieniając ani skali, ani skutków zadawnionej krzywdy chłopskiej, stawała się tylko unaocznieniem twardej prawdy, że każde skuteczne działanie wymaga nie tyle szlachetnego zapалу, ile realnych środków na miarę podjętego celu.

W całości Rok 1863 zapisał w narodowej pamięci klęskę powstania o małych siłach, klęskę walki części narodu, bez rozbudzenia śpiącej masy — ale nie wypisał do końca karty doświadczeń: czy krew ofiarnych kształci patriotyzm nieświadomych, czy samotna i beznadziejna walka jednego narodu budzi sumienie świata i moralnie zmusza do niesienia mu pomocy?

Wprawdzie pokolenie następne potępi „romantyczną walkę” i ogłosi program „pracy pozytywnej”, ale uczyni to raczej przez zwrócenie się ku innej stronie życia i niejako rzucenie zasłony na wielkie problemy polityki i krwi, niż przez przezwyciężenie w sobie jednej postawy i zastąpienie jej inną, wynikającą ze świeżo opracowanej ideologii. Toteż w pokoleniu trzecim wraca problematyka w mało zmienionej postaci, jakby po antrakcie. Inaczej zastosować mowę krwi, ale jej głos przywrócić życiu, wydobyć z zapomnienia.

ODŚWIEŻYC ZAGNOJONE RANY

Okres pracy organicznej wewnątrz zaborów już po krótkim czasie ujawnia wszystkie swoje ciemne strony. Rzecz nie toczy się bynajmniej w atmosferze wolnej rywalizacji między metodą „myśli i pracy” z jednej strony, a metodą „krwi i pałasza” z drugiej. Dostęp do owej pracy organicznej, ujawnianie myśli społecznej trzeba każdorazowo okupić polityczną ugodą. Moneta zapłaty zaś jest nie tylko formalna akceptacja „prawdy” zaborców, ale także skulona, przziemna postawa tych, którzy w ramach koncesjonowanej myśli gotowi są układać egzystencję narodu.

Łatwo byłoby bronić teoretycznej wyższości walki na polu myśli ponad walką krwawą, gdy wyobraźalnym uczestnikom zawodów otwiera się w zasadzie nieograniczone pole szlachetnych

ambicji. Nie podobna jednak by patriota-pozytywista nie tracił rozmachu i wiary w swoją słusność, gdy wypada ustawicznie przypominać sobie i towarzyszom, że trzeba przyjąć obrożę *znośić łagodnie*. Co więcej — i co jest właściwie decydujące — młodzi, wychowani w atmosferze kompromisu, zatracają łatwo poczucie gdzie jest kompromis, a czym byłaby wolność. W tych warunkach praca organiczna szybko straciła polot, a urosł i okrzepł „trójjoloizm”, ale na szczęście zrodził się i bunt.

Przyszedł on tym razem z nowej formacji społecznej, z proletariatu, gdzie elementarne sprawy bytu ludzkiego najściślej wiązały się ze sprawą wolności politycznej, gdzie walka o pierwsze nie dawała się oddzielić od drugiej. Frakcja Rewolucyjna PPS-u wprowadzając krew do walki o prawa polityczne w 1905 roku, niewątpliwie wznawiała próbę zużytkowania jej pośredniego — nie podejmowała przecież wojny z Rosją.

Zatargać łańcuchem, by przypomnieć ospałym fakt jego istnienia, odświeżyć zapleśniałe rany narodu, by okazać obcym, że wcale nie są zablźnione — to były nowe formuły dla określania celów, w gruncie rzeczy dość zbliżonych do tych z poprzedniego etapu, gdy na krew składano obowiązek wychowania narodowego i polityki zagranicznej. Tylko obecnie, pod kierownictwem Piłsudskiego, zamierzenia te nabierały cech wyraźnie odmiennych, a pewne elementy przybierały nowe.

Bojowa akcja PPS-u nie ma w sobie już nic ani pokutniczego ofiarnictwa, ani całopalenia na ołtarzu. Myśl o wyzwoleniu narodowym, występując poprzez nową formację społeczną, ma już poza sobą wszelką mistykę krwi. Nie fakt jej przelania, nie wewnętrzny akt poświęcenia, a efekt osiągnięty dzięki jej przelaniu ma istotnie znaczyć. Nie poniesione ofiary, a dokonane czyny mają mówić do otoczenia. Zamachy na gorliwców z aparatu represji, strach rzucany na służalców, kary wymierzane zdrajcom — to są środki budzenia do walki.

Stąd zasada oszczędzania krwi a nie jej rozrzutność, stąd pełna odpowiedzialność dowódców za dysponowanie życiem innych i stąd wysiłek o równorzędność w ocenie życia swego i życia towarzyszy. Akcja wówczas jest warta krwi podkomendnych, gdy dla jej dokonania gotów jest się narażać i rozkazujący. Bezpośredni udział Piłsudskiego w napadzie pod Bezdunami na transport pieniężny ma właśnie ten charakter.

Znana autentyczna motywacja tej decyzji przynosi również stwierdzenie, jak w nowym pokoleniu walczącym utraciła uznanie postawa romantycznego oficera, który szuka laurów bohaterskiej śmierci. Niewątpliwie nie zanika ona jeszcze w społeczeństwie i Piłsudski nieraz później nawróci do jej piętnowania, ale zasadniczo jest ona przewyżczona w czołowej grupie tych, którzy znów podnieśli walkę.

Zjawia się przy tym nowy czynnik popychający jednostkę do obozu walki — nie ofiarniczy i nawet nie kierowany wyrozumowanym interesem zbiorowym. Jaki rodzaj życia *jest*, a jaki *nie jest* do przyjęcia. „Nie mogę żyć w wychodku” —

stwierdza brutalnie Piłsudski. Wybiera więc życie narażone, niepewne, ale poza obowiązującą a nieznosną normą. Taka decyzja własna nowoczesnego człowieka otwiera w okresie walki nowe źródło krwi, które nie przestanie przybierać na znaczeniu i urośnie do dużej roli w 1944.

W rezultacie akcja zbrojna PPS-u, gasnąc wraz z powiewem rewolucyjnym w Rosji, nie zdołała w dorobku swym zapisać ani głębszego przeorania świadomości narodowej (być może że przeszkodą główną stały się walki bratobójcze, podjęte wewnątrz społeczeństwa przeciw socjalistom), ani nie osiągnęła właściwego zrozumienia na świecie. Z dalekiej perspektywy narodów wolnych — walka proletariatu, prowadzona „na skrawku Rosji”, a nie podtrzymana w „całej Rosji”, nie była obiektem głębszego zainteresowania.

Zdaje się być pewne, że Piłsudski wysnuł należyte wnioski. Formując wkrótce pierwsze zaczątki wojska i wysyłając je do boju na polskiej ziemi, nie obarcza garści walczącej zadaniem wychowywania społeczeństwa. Przeciwnie — dla tej garści, dla *odrodzonego żołnierza*, wymaga uznania i pomocy. A gdy wypada gorzko skonstatować, że za wodzem idzie „żołnierz bez ojczyzny”, że mimo usilnych prób nie daje się wydobyć głosu z zaleźnionego narodu — przyznaje żołnierzowi prawo mówienia za ojczyznę. Bezpośrednie zaś zadanie żołnierza ogranicza do tego, „by na szali dziejów, gdy ważą się losy narodów, nie zabrakło i polskiej szabli”.

Wśród obcych nie zamierza budzić fali współczucia dla nie-szczęśnych. Chciałby przede wszystkim podnieść cenę polskiej krwi. Chciałby, by ewentualny masowy udział Polaków w wojnie zaczął uchodzić za cenny i pożądaný element wzmocnienia wojskowego, gdy wyczerpani zapaśnicy oglądać się będą za każdym wsparciem i gotowi będą przyznać mu polityczną wartość.

A wszędzie i zawsze oszczędność krwi. To już nie tylko twarde nagany wszelkich „brawurowych ataków”, to do granicy swego autorytetu posunięta presja moralna, by wbrew fałszywym ambicjom, posiadać odwagę i wolę *uchylecia się od walki*, skoro tylko nie ma realnych szans zwycięstwa.

Jakże charakterystyczna jest decyzja w 1917 roku, gdy wycofane już z frontu stoją pułki legionowe wokół Warszawy, sam Piłsudski formalnie od dawna jest poza wojskiem, kończą się niefortunne pertraktacje z Niemcami i ma wejść w życie Beselerowski Wehrmacht. Oczekują leguny czynnego sprzeciwu, marszu na Warszawę, a więc zbrojnej próby wyzwolenia się od niemieckiej zależności. Taka ewentualność jest od dawna po cichu zapowiadana — a otrzymują polecenie spokojnego odmówienia przysięgi, złożenia broni, poddania się internowaniu. Zawiedzeni i pełni goryczy czynią wysiłki by zmienić postawę Piłsudskiego, grożą aktem samowolnej rozpacz — ale delegaci wracają od Komendanta, przywołując prócz argumentów jeszcze sztych z tradycyjnej pogoni za bohaterstwem: „Wiem, wiem, że wielu z was marzy przecież o tym, by im piękne panny kwiatki na

grób przynosiły"... Zostają przekonani i idą za druty, a Piłsudski do Magdeburga — nie na długo.

W latach pierwszej wojny, na progu odzyskania niepodległości, zdołaliśmy się więc uchronić od ofiar krwi dla „kształcenia społeczeństwa”. A gdy przyszło wreszcie własne państwo — dokonało w normalnej i spokojnej drodze prawdziwego upowszechnienia świadomości narodowej. Druga wojna zastała już inny naród. Nie podobna samemu istnieniu sztywnej ramy państwowej przypisywać tego, iż w roku 1939 okazała Polska tak powszechną i żarliwą gotowość walki obronnej. Że główna w tym rola przypadała świadomej woli obywateli — zostało to powtórnie zadokumentowane przez powszechną niemal służbę w A.K., w warunkach tak bardzo dalekich od trybu państwowego przymusu.

Różnice stanu dojrzałości narodowej, obrazuje bodaj najjaskrawiej to przypomnienie, że gdy w 1918, powiat Kongresówki liczący około 150 członków POW uchodził za dobrze zorganizowany w wojskowej konspiracji — to w 1944 bywały powiaty mające po 15.000 AKowców. Ofiarnictwo narodowe dla „dźwigania” rodaków stało się zbędne i ten problem bodaj już nigdy nie stanie znów przed narodem.

Natomiast druga wojna wykazała dosadnie, że umysłowość nasza nie była dość uodporniona na siew złudzeń, wiążących nadzieję obcej pomocy z ofiarami naszej krwi. Gęsto zapisywane karty naszych świadczeń na rzecz sprzymierzonych, świadczeń sowiecie krwią opłacanych — miały otwierać na nasze dobro wielki rachunek wdzięczności politycznej.

KREW PROPAGANDĄ — DOŚWIADCZENIE OSTATNIE

Myśl polska zapewne jeszcze długo będzie szukała trafnego rozwiązania tego splotu przyczyn, który po klęsce wrześniowej zrodził politykę „ofiary krwi” i przyniósł tak żałosny jej wynik. Całość przegranej wojny na pewno nie obarcza samego okresu „rządu R.P. na emigracji”. Katastrofa wrześniowa była potężnym zadatkiem, ale owa aż po koniec wojny przewlekła eksploatacja bohaterskiej postawy narodu w imię pozyskania pomocy sojuszników, była zaślepieniem anachronicznym w rozwoju naszej myśli narodowej.

Skąd to przyszło? Czy wystarcza konstatować, że małe umysły i słabe poczucie odpowiedzialności poprowadziło grupę ambitnych ludzi aż do nieświadomego wysługiwania się obcym. Szli przecież od zatajenia przed narodem wrześniowej zdrady sprzymierzeńców, poprzez głoszenie krajowi przesadzonych lub zgoła nieistniejących dalszych obietnic tychże sprzymierzeńców, aż do maskowania chwili, gdy rzekomi przyjaciele umyli ręce od naszych spraw, nie potrzebując już dalszych ofiar.

Czy może należy przyjmować fatalistyczną interpretację przebiegu zdarzeń, że siła i napięcie nastrojów bojowych były

tak wielkie, iż ani się im przeciwstawić, ani ich opanować niepodobna było, a ginącym nie wolno było skąpić przynajmniej nadziei.

Dziś jednak, kiedy już wiemy więcej nie tylko o energii, ale i o młodej myśli społeczeństwa w tamtych latach, kiedy uczymy się oceniać bogactwo rozpędu i rozległe możliwości, jakie po raz pierwszy w dziejach dawała narodowi powszechność patriotyzmu — rozumiemy lepiej skalę ofiar włożonych w lata okupacji i w Powstanie i trudno szczerze ufać w owe rzekome niepodobieństwa.

Żadne hołdy, składane bohaterstwu tego zdziesiątkowanego pokolenia, nie potrafią zatrzeć prawdy, że krew przelana nie osiągnęła zamierzonych celów, że te cele dobrano wbrew realnym możliwościom, że na ten raz jeszcze kładli młodzi swe życie, kierowani według starej polskiej zasady, ujętej przez Norwida w formułę: „energia sto a inteligencja trzy”. Od tych mógł wraca przeto ustawicznie pytanie: czyżby w ogóle daremnie? „Słyszymy w cichych domach” — pisał Arch. M. Leish — „młodzi martwi żołnierze mówią: Śmierć nasza nie jest naszą — to wasza własność i będzie tym, co z niej uczynicie”...

Dziś, po zwycięstwie nad sobą, jakie osiągnięto w kraju w dniach listopadowych, po zwycięstwie „myśli nad energią”, możemy dopatrywać realnych skutków wczorajszej ofiary w nowym stosunku żyjącego pokolenia do politycznych zagadnień. Wymowa świeżego doświadczenia stała się nieodparta: Nawet najsluszniejsza walka pozostanie osamotniona, gdy interesy obcych nie popychają ich ku pomocy. Krwią własną i sympatiami zdobyć tej pomocy nie podobna.

Nowy składnik historycznej mądrości przybył narodowi, dopełnił jego sumy doświadczeń, ostrzegł przed nowym porywem do walki, gdy siły własne nie dają dość nadziei, a siły obce nie są zawczasu rozumną myślą związane we wspólny węzeł interesów ogólnoludzkich. To nie doraźna pamięć klęski Powstania warszawskiego, przemijająca w jednym pokoleniu, ale dokonane realne przybliżenie się czasu dojrzałości.

Przewidywał Norwid że... „kto odpowiada tylko dwa słowa, skąd inąd bardzo szanowne: „krew” i „zwyciężyć albo zginać”... temu odpowie *Czas*”. I przyszedł widocznie czas, by zrozumieć do głębi, co było „grzechem Polaków, grzechem społeczności niewojującej nigdy myślą i nie mającej żadnej wiary w siłę myśli i prawdy”, aby uznać, że to „budzące się z barbarzyństwa rasy dzikie i świeżo w dzieje weszłe, mogą jeszcze szeroko i jakoby dla zdobycia ostróg krew ronić; inaczej z sędziwymi w rycerstwie narodami, które powagę kapłańską w ofierze mając, wiedzą skąd i dokąd przy czytaniu Ewangelii szabli dobywać”.

Sądzić można, że te prawdy umarłych wczoraj, nie pójdą już na marne, bo potrafią o nie walczyć dzisiejsi żywi.

« Drętwa mowa »

UWAGI NA MARGINESIE „MAKIETY” HISTORII POLSKI

Leżą przede mną dwie części pierwszego tomu *Historii Polski*, wydanej jako „makieta” (ograniczony nakład przeznaczony dla dyskusji) w październiku 1955 roku przez Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk. Bogato ilustrowana, zawierająca wiele ciekawego materiału z dziedziny historii społecznej, kulturalnej gospodarczej, praca ta stanowić ma „pierwszą obszerną marksistowską syntezę naszych dziejów”.

„Makieta”, nie była w sprzedaży księgarskiej, była natomiast przedmiotem dyskusji, po której dopiero zasadnicza forma opracowania będzie ustalona i przyjęta. Całość wydawnictwa, licząca cztery tomy, obejmie całokształt dziejów Polski od czasów przedhistorycznych aż do chwili obecnej. Ukazanie się tak obszernego dzieła — tom pierwszy liczy ponad tysiąc czterysta stron druku — jest, rzecz jasna, zjawiskiem o dużej doniosłości w historiografii polskiej i ostatnie numery *Kwartalnika Historycznego*, *Przeglądu Historycznego* i *Nauki Polskiej* pełne są referatów i sprawozdań z zebrań dyskusyjnych na ten temat.

Wyczerpująca analiza i krytyka „makiety” wymagałaby oczywiście długiego referatu naukowego, w którym należałoby poruszyć takie zagadnienia jak nowo proponowaną periodyzację historii Polski, skrajnie odmienną od dotychczas przyjętej, nowe naświetlenia polskiego Odrodzenia, Wieku Oświecenia, Idei Jagiellońskiej itp. Należałoby również poddać krytyce podstawowe założenia ideologiczne książki, a mianowicie próbę zastosowania marksistowskiego determinizmu historycznego. Nie jest tutaj moim celem poruszanie tak zasadniczych i ważkich zagadnień. Merytoryczna dyskusja „makiety” powinna być podjęta zbiorowo przez polskich historyków na emigracji. Jeżeli chodzi o próbę wtłoczenia dziejów Polski w wąskie ramy determinizmu marksistowskiego to chciałbym jedynie zaznaczyć, że osobiście podzielam

Uwagi poniższe dotyczą pierwszego tomu „*Historii Polski*”, który ma się ukazać w najbliższej przyszłości, w ostatecznym i zapewne mocno poprawionym wydaniu. Pełniejszą recenzję krytyczną tego tomu zamieścimy po jego ukazaniu się.

W dyskusji jest obecnie następny, drugi, tom „*Historii*” obejmujący okres od 1764 do 1864 roku. Dyskusja toczy się także na podstawie „makiety”. Jej omówieniu poświęcimy nieco więcej miejsca w następnym numerze „*Kultury*”.

w pełni opinie, wyrażoną w 1948 roku przez profesora Konrada Górskiego, iż „wszelkie próby stworzenia praw dziejowych znalazłyby się w sprzeczności z bogactwem faktów historycznych”, cytowaną w makiecie (I,1, str. 81) z wyraźną dezaprobatą. Pogląd ten wyrażony został w nieco innej formie przez wybitnego historyka angielskiego, Davida Thomsona, w przedmowie do niedawno wydanej książki, *Europe Since Napoleon* (New York, 1957). Profesor Thomson, powołując się na H.A.L. Fishera, pisał co następuje:

I, too, detect no plot or predetermined pattern; but I can see certain rhythms of movement and certain patterns of change. They might better be called „general trends”, provided they are not regarded as flowing from eternal causes or proceeding to infinity (1).

Nie ulega wątpliwości, że wielu polskich historyków zgadza się z tym punktem widzenia, co zresztą stwierdzają autorzy „makiety”, pisząc, że poglądy profesora Górskiego podzielała „pod względem metodologicznym większość historyków” w pierwszych latach po wojnie. W tymże samym rozdziale, traktującym o historiografii w Polsce Ludowej, autor opisuje pokrótce jak „stopniowo przewyciężano tradycyjne założenia i formy pracy”. Słupami milowymi na tej drodze były Zjazd Historyków w Wrocławiu w 1948 roku, Kongres Nauki Polskiej w 1951 roku i Konferencja Metodologiczna w Otwocku w roku 1952. O metodach jakie były stosowane w „przewyciężaniu” dawnych założeń „makieta” oczywiście nie mówi, podkreśla ona jednak fakt, że osiągnięcia „historiografii radzieckiej, jej bogaty wkład do badań nad podstawowymi zagadnieniami dziejów feudalnej Polski ... jak i bezpośrednie kontakty z historykami radzieckimi oddały nieocenione usługi” i, że „niemalże też zawdzięczają im nasi badacze, którzy pierwsi pokusili się o nową syntezę dziejów Polski feudalnej (I,1, str. 82). Wśród tej grupy „zasłużonych” na pierwsze miejsce wysuwają się takie nazwiska jak prof. Stanisław Arnolda, przodującego w redakcjach *Kwartalnika Historycznego* i *Przeglądu Historycznego*, przewodniczącego delegacji polskiej na X-tym międzynarodowym Kongresie Historyków w Rzymie, profesorów Leona Grosfelda, B. Leśnodorskiego, W. Kuli i kilku innych.

Dla zapoznania się z okresem sowietyzacji historii polskiej i zrozumienia, według słów Rankego „wie es eigentlich gewesen ist”, przyczyniły się znakomicie głosy historyków polskich w dyskusjach, które toczyły się w ciągu ubiegłego roku. Na posiedzeniu Rady Naukowej Instytutu Historii PAN, które odbyło się w dniach 25 i 26 czerwca 1956, poszczególni naukowcy do-

(1) „Także i ja nie mogę się doszukać zdeterminowanego ciągu lub schematu, chociaż dostrzegam pewien rytm wydarzeń i pewne podobieństwo przemian. Należałoby je nazywać raczej „ogólnymi tendencjami”, z tym zastrzeżeniem oczywiście, by nie rozumieć tego określenia jako skutek działania odwiecznych przyczyn lub dążenia do nieskończoności”.

starczyli w swych uwagach dużo materiału, który pozwala na od-
tworzenie sobie obrazu nauki polskiej w okresie, w którym ko-
munizm i uczeni radzieccy „oddawali nieocenione usługi” nauce
polskiej.

Dyskusja ta, chociaż toczyła się przed „Polskim Paździer-
nikiem” miała wyraźne cechy odwilżowe i choć wszystkie kropki
nad i nie zostały postawione, powiedziano dosyć, aby wrażenie
ogólne było przygnębiające. Profesor Małowist mówił o poprzed-
nich latach jako o okresie, w którym „tolerowało się nadmierny
wpływ ówczesnej filozofii na badania historyczne” i podkreślał,
że „stosunek do nauki radzieckiej był fałszywy”. Dodał on jed-
nak, że wciąż jeszcze istnieje „sprzeczny z nauką oportunizm ży-
ciowy” (*Kwartalnik Historyczny*, nr 6, 1956, str. 74). Profesor
Grosfeld mówił o „absolutyzacji i fetyszyzacji pewnych kierun-
kowo słusznych tez marksistowskich” i o stosowaniu polityki
„pomijania faktów niewygodnych z punktu widzenia aktualnej
tezy”. Chociaż główny referent, prof. Kula, skrytykował ostro
ostatni okres, stwierdził on jednak, że „Z całym poczuciem od-
powiedzialności można sformułować tezę, że trudno w dziejach
nauki znaleźć dziesięciolecie, które dokonałoby takiego postępu
w nauce” (*Ibid.* Nr 3, str. 155). Pomimo najlepszych chęci trud-
no jest pogodzić tę optymistyczną ocenę z opiniami wyrażonymi
przez pozostałych członków zebrania. Profesor Bardach stwier-
dził wyraźnie, że „brak było obiektywizmu naukowego” i, że
stosowano też metodę upiększania historii (Nr 6, str. 79). Prof.
Herbst oświadczył, że spontaniczna twórczość naukowa zaginęła
prawie całkowicie, a prof. Śreniawski, komentując „wprowa-
dzoną obecnie słuszną zasadę, że katedry uniwersyteckie są pla-
cówkami naukowo-badawczymi” dał nam wyobrażenie o tym co
działo się poprzednio. Samooskarżenia, choć na ogół odosobnio-
ne, w dyskusji pojawiły się również, jak na przykład w oświad-
czeniu profesora Kieniewicza, który „z własnego doświadczenia
pisarskiego przyznał, że nawet sumienni autorzy ulegali w ostat-
nich latach skłonności (!) do dobierania materiału źródłowego
i retuszowania wniosków w kierunku tez uznawanych za praw-
idłowe” (Nr 6, str. 79). W tych warunkach trudno się dziwić, że,
jak to stwierdził prof. Bardach, „Sytuacja w nauce historycznej
doprowadziła do kryzysu zaufania młodzieży wobec historyków”
(str. 80). Zjawisko to jest zdaje się powszechne i niedawno na
Walnym Zjeździe Literatów (1-5. XII. 1956) Jerzy Zagórski
publicznie stwierdził, że jeżeli chodzi o tendencyjność podręczni-
ków historii, to „w ostatnich latach ... zostały pobite wszelkie
rekordy” (*Nowa Kultura*, (51/351).

Uwagi profesora Serejskiego zasługują na szczególną uwa-
gę. Mówiąc o historiografii, uczony ten zauważył, że istniały
stałe dążenia „do uproszczonych i ogólnych rozwiązań ze stro-
ny tych, którzy decydowali o stronie metodologicznej badań nau-
kowych”. Innymi słowy dyskusja naukowa nie istniała, bo
„zawsze rację miała tylko grupa historyków posiadających ‘wie-
dzą wtajemniczonych’” (str. 80). Stwierdzenie to jest o tyle cie-

kawę, że wśród głosów wyżej wymienionych przeważają sztandarowi historycy, należący do „elity”. Ich uwagi więc są w pewnym przynajmniej stopniu samokrytyką. Jak wyglądają natomiast poglądy „historyków niewtajemniczonych”? Prof. Serejski daje w dużej mierze odpowiedź na to pytanie, stwierdzając, że „olbrzymia większość historyków ... wołała ‘nie kłaść palców między drzwi’ i usuwała się od badań”. Jako przykład prof. Serejski cytuje fakt, że podstawowe *vade mecum* historyków polskich pióra Adama Schaffa, pt. *Obiektywny Charakter Prawo Historii* nie doczekało się ani jednej recenzji w prasie naukowej, gdyż obawiano się cokolwiek w książce tej zakwestionować. Zjawisko tego typu określa się ostatnio w pismach krajowych słowem „wewnętrzna emigracja” i wydaje się, że większość historyków polskich można zaliczyć w jej szeregi. Wywody prof. Serejskiego są ciekawe także z innego względu. Nie należąc do grupy przodującej był on jednak autorem rozdziału o historiografii w „makiecie”, który to rozdział jest jednym z najbardziej przygnębiających okazów „dreźwej mowy”. Wydaje się więc, że mamy tu do czynienia z jeszcze jednym przykładem „zniewolonego umysłu”.

Chciałbym zwrócić uwagę na pewną ilość przykładów „dreźwej mowy”, która dla czytelnika obznajmionego z terminologią marksistowską jest zdecydowanie irytująca, dla czytelnika natomiast, który terminów tych nie zna, jest w wielu wypadkach niezrozumiała.

Słowo „feudalizm” jest używane i nadużywane, gdzie tylko to jest możliwe. Kiedy autorzy „makiety” piszą o nowym typie państwa feudalnego — monarchii absolutnej (I, 2 str. 64), wydaje się w pierwszej chwili, że mówią o rzeczach sobie przeciwstawnych, zanim czytelnik nie przypomni sobie marksistowskiej definicji feudalizmu. Czy absolutna monarchia feudalna jest równoznaczna z „scentralizowaną monarchią feudalną” (str. 65) trudno się zorientować. Ponieważ słowa szlachta, magnateria, wielmoże używane są dalej w tekstach — powstaje pytanie co autorzy zyskują (zakładając, że określają z góry co feudalizm ich zdaniem oznacza) przez ciągłe powtarzanie tego nieszczęsnego terminu. Określenie Turcji jako „najbardziej reakcyjnej potęgi militarnej końca piętnastego wieku” nie jest dla mnie do tej pory zrozumiałe. Co to były „siły postępowe”, których dziełem był Grunwald (I, 1, str. 528) pozostaje tajemnicą autorów „makiety”. Jak Rosja „spełniła światowe zadanie ochrony Europy przed zalewem hord barbarzyńców” nie jest bliżej wyjaśnione, (cytaty z Marksa mogłyby tu być raczej żenujące), ale ogólnie biorąc zasadą „makiety” jest, że o Rosji jak o umarłych „aut nihil aut bene”.

Dla czytelnika niewtajemniczonego w arkanach marksistowskiej terminologii oddziaływanie bazy na nadbudowę może się wydawać pojęciem dość skomplikowanym, a czymż innym jest zdanie o wpływie na myśl reformatorską i odrodzenie kulturalne przez „oddziaływanie nadbudowy ideologicznej narodów bardziej

zaawansowanych" (I,2, str. 62). W tym wypadku sądzić należy że autorzy byli zobowiązani do użycia słów „nadbudowa” i „baza” przynajmniej pewną określoną ilość razy w tekście, nawet jeżeli miałoby to odbyć się kosztem przejrzystości książki.

Podobnie przedstawia się sprawa cytowania klasyków marksizmu-leninizmu. Autorzy cytują ich niezależnie od tego czy ma to jakiegokolwiek uzasadnienie czy też nie. Weźmy na przykład dwa następujące cytaty :

Kraj, który uparcie utrzymywał w stanie nienaruszalnym feudalny ustrój społeczny w chwili, kiedy wszyscy jego sąsiedzi szli naprzód, tworząc burżuazję, rozwinięli handel i przemysł i stworzyli wielkie miasta — taki kraj skazany był na zagładę (I,2, str. 60).

Czyż doprawdy potrzeba aż autorytetu Engelsa do stwierdzenia tego truizmu ?

Albo drugi przykład :

... tylko kraj zjednoczony w jednolite państwo scentralizowane może liczyć na możliwość poważnego rozwoju kulturalno-gospodarczego, na możliwość utwierdzenia swej niezależności" (I,1, str. 492).

Głębia myśli Stalina wyrażona w tym cytacie wprost oszałamia.

Ustęp poświęcony analizie historyków polskich i ich dzieł powinien stanowczo być przerobiony na pytania i odpowiedzi, w typie :

— Jaką jest szkoła historyczna krakowska? — „Obszarniczo-konserwatywna” lub „reakcyjno-feudalna” (I,1,65).

— Co odzwierciedla szkoła warszawska? — „Kapitalizm przedmonopolistyczny” (64).

— Co przenika działalność historiograficzną Haleckiego? — „Nacjonalizm powiązany z kosmopolityzmem” (str. 72).

Zamiłowanie do zawitych zdań, w których powinno znaleźć się przynajmniej kilka podwójnych przymiotników znajduje doskonałą ilustrację w opisie prac K.B. Hoffmana, który „Z pozycji liberalnej obozu burżuazyjno-szlacheckiego atakował ... rewolucyjny romantyzm i agrarny demokratyzm lelewelistów. Równocześnie poddawał krytyce starszszlacheckie feudalno-mesjanistyczne koncepcje i bezkrytyczną apologię przeszłości” (I,1, str. 57). Zgodnie z przyjętymi kryteriami politycznymi, mającymi mało wspólnego z nauką historii, autorzy „makiety” zaliczają do burżuazji w jednym zdaniu Ligę Narodową i ... P.P.S. (I,1, str 67). Mały słowniczek „dretwej mowy” (z wymiennymi kartkami w razie zachodzących zmian w linii partyjnej) wydaje się nieodzownie potrzebny, jeżeli makieta Historii Polski ma ukazać się w obecnej swej formie. Miejmy nadzieję, że „Polski Październik” przynieść powinien poważne oczyszczenie atmosfery również w dziedzinie nauki historii. Dnia 5-go listopada

1956 Prezydium Polskiej Akademii Nauk przyjęło uchwałę, która między innymi stwierdziła co następuje :

Nowy okres, w który wchodzimy, musi znamionować wielki i wszechstronny rozkwit nauki, nauki wyzwolonej z więzów dogmatyzmu, a opartej na prawie poszukującym prawdy uczonego do pełnej wolności badań, badań związanych z nurtem wielkich zagadnień nauki światowej, badań wzbogacających naszą kulturę narodową i służących postępowi technicznemu oraz podniesieniu ekonomicznemu naszego kraju (*Nauka Polska*, Nr 4/16, str. 4).

Pomimo niepotrzebnie pompacyjnego stylu jakże inaczej brzmią te zdania niż ustępy cytowane z „makiety”. Rok 1957 powinien być ważnym etapem w uwalnianiu się nauki polskiej, z historią na czele, od naleciałości narzuconego systemu „ery stalinowskiej”. Projektowane zjazdy Polskiej Akademii Nauk i VIII-y Ogólnopolski Zjazd Historyków powinny zmienić nie tylko nienaukowe i tendencyjne podejście do studiów historycznych, ale również wysunąć na czoło studiów rzetelnych historyków, którzy należeli do tej milczącej większości, nie osiągniętej „stopnia wtajemniczenia” i związanych z tym godności. Tytuł profesora historii na wyższej uczelni musi przestać być nagrodą za „wiernopoddańcze” nastawienie i odzyskać swój pierwotny wydźwięk. Katedry historii powinny przestać być komórkami dyspozycji partyjno-ideologicznej, a polscy dyktatorzy życia historycznego winni wreszcie skierować swe wysiłki w kierunku uczciwej pracy naukowej celem zrehabilitowania się za lata poświęcone „fabrykowaniu historii” i narzucaniu jej innym.

W warunkach zwiększającej się wolności kontakty naukowe z krajami zachodnimi, masowe wyjazdy studentów i profesorów, tak długo odciętych od wielu poważnych bibliotek i centrów naukowych, powinny stać się częścią nowego programu Polskiej Akademii Nauk. Odtworzenie Polskiej Akademii Umiejętności, znanej i szanowanej w świecie naukowym, byłoby również poważnym krokiem naprzód dla odbudowania niezależnej i zdecentralizowanej polskiej nauki. Miejmy nadzieję, że liczne głosy, które się tego domagają teraz w kraju znajdą zrozumienie i poparcie. Liczne prace naukowe historyków polskich na emigracji, pisane nieraz w językach obcych, powinny być udostępnione naukowcom w kraju, a tłumaczenia przynajmniej niektórych z nich byłyby rzeczą cenną. Historycy polscy na emigracji powinni ze swej strony przyczynić się do rozpowszechnienia osiągnięć uczonych krajowych w wolnym świecie. Odrobienie zaległych strat i pełniejsze włączenie się w międzynarodowy nurt wolnej nauki jest oczywistym obowiązkiem wszystkich historyków polskich.

Piotr WANDYCZ

Socjologiczne diagnozy

Biblioteczka „Po Prostu” szybko rośnie. Tomiki Stanisława i Marii Ossowskich należą do najwartościowszych w jej dorobku (1).

Niebawem do rąk naszych dotrzeć mają dwa dzieła Stanisława Ossowskiego, mianowicie trzecie rozszerzone wydanie jego przedwojennej książki „U podstaw estetyki” oraz dotąd niepublikowana praca „Struktura klasowa w społecznej świadomości” (fragment ostatniego rozdziału ukazał się niedawno w „Nowej Kulturze”). Broszura wydana przez „Po Prostu” jest zbiorem na ogół znanych, lecz wartościowych i zasługujących na szerokie rozpowszechnienie artykułów. Dwa z nich były drukowane w „Myśli Współczesnej” w latach 1947-1948, jeden z 1950 roku przeznaczony dla „Kuźnicy”, nigdy nie ujrzał światła dziennego, gdyż nie był dopuszczony do druku, a wreszcie ostatni „Taktyka i Kultura” ukazał się z kilkumiesięcznym opóźnieniem, również po uprzednim odrzuceniu przez redakcję, w „Przeglądzie Kulturalnym” (13/56) (2). Lata dzielące artykuły w „Myśli Współczesnej” i w „Przeglądzie Kulturalnym” były dla Ossowskiego latami przymusowego milczenia, którego przyczyny znajdują w jego własnych artykułach socjologiczne wyjaśnienie.

Albowiem jednym z centralnych i nadal aktualnych zagadnień poruszonych w tych artykułach jest społeczna funkcja doktryny marksistowskiej. Nie chodzi więc w tym wypadku o marksizm jako pewną postawę poznawczą i metodologiczną, ani o system twierdzeń o rzeczywistości społecznej, lecz o zespół tez służących nakłanianiu ludzi do postępowania w określony sposób w działalności społecznej i politycznej. Ossowski mówi w tym ostatnim wypadku o propagandowej funkcji marksizmu lub o jego funkcji instytucjonalnej (3). Funkcja propagandowa marksizmu nie polega na oświecaniu umysłów, doskonaleniu wiedzy o świecie i „władzy nad przyrodą”. Marksizm instytucjonalny jest zbiorem wierzeń i dyrektyw praktycznych, z socjologicznego punktu widzenia podobnych do systemów religijnych, służących obronie i umacnianiu określonego porządku społecznego. W tej interpretacji pomocna jest Ossowskiemu teoria „wyobrażeń zniewalających” Durkheima, a w szczególności socjologiczne badania Durkheima nad religią.

Durkheima nie interesowały w religii osobiste wierzenia i doświadcze-

(1) Stanisław Ossowski, *Marksizm i Twórczość Naukowa w Społeczeństwie Socjalistycznym*, str. 99. Biblioteczka „Po Prostu”, Nr 11; Maria Ossowska, *O Pewnych Przemianach Etyki Walki*, str. 42. Biblioteczka „Po Prostu”, Nr 12. Książka i Wiedza, 1957.

(2) Artykuł „Taktyka i Kultura” ukazał się w tłumaczeniu angielskim w „Science and Freedom”, Nr 7, December, 1956.

(3) Funkcję propagandową spełniać może w zasadzie każda dziedzina wiedzy. Fizyka atomowa dostarcza wiadomości użytecznych w propagandzie na rzecz rządu światowego, historia ukazuje niebezpieczeństwo rządów autokratycznych i totalitarnych.

nia. Religia była dla niego faktem społecznym, zespołem artykułów wiary, obrzędów i form kultu obowiązujących w danej grupie społecznej. Nie wszystkie zniewalające wierzenia i nie wszystkie zniewalające praktyki są natury religijnej, lecz tylko te wierzenia, z którymi łączą się określone formy postępowania, oraz te praktyki, jakie zakładają określone wierzenia. W religii rozpatrywanej jako fakt społeczny, rzeczą istotną nie jest to, w co się wierzy, lecz fakt iż wierzy się wspólnie i uznaje te same zniewalające nakazy. Religia stanowi przeto silną więź społeczną. Odstępstwo od wspólnej wiary więź tę narusza, zagraża spistości grupy, a przeto jest traktowane jako wykroczenie przeciw zbiorowości i podlega społecznej sankcji.

Společną funkcję religii spełniać może zasadniczo każdy system wierzeń i obrzędów pod warunkiem iż dotyczy spraw z punktu widzenia danej grupy społecznej istotnych i ważnych. Próby tworzenia świeckich religii były podejmowane w przeszłości — przykładu dostarcza kult najwyższej istoty Robespierre'a lub religia ludzkości Comte'a. Marksizm jest również podobną próbą. Dogmatyzm, troska o ortodoksję, prześladowanie odchyłeń i rewizjonistycznych tendencji jest nieuniknionym następstwem nadania marksizmowi funkcji religii (w sensie Durkheima).

Gdy rozpatruje się doktrynę marksistowską z punktu widzenia jej społeczno-religijnej funkcji prawdziwość składających się na nią wierzeń jest sprawą nieistotną. Nawet fałszywe wierzenia spełnić mogą instytucjonalną rolę pod warunkiem iż strzeże się ich nienaruszalności. Wartość perswazyjna doktryny instytucjonalnej nie wymaga, jak to ma miejsce z teorią naukową, zgodności z rzeczywistością. Ogólnikowość, niejasność, nieprecyzyjność, wieloznaczność sformułowań, nadających się na wzór wyroczni delfickich do wielorakich interpretacji, a tym samym niesprawdzalnych w naukowym tego słowa znaczeniu, sprzyja trwałości instytucjonalnej doktryny. Czego nie można racjonalnie uzasadnić, tego również nie można obalić racjonalnym argumentem. Instytucjonalne doktryny mają swoich najwyższych kapłanów, egzegetów i masy wiernych. Kto podchodzi do nich jako racjonalista i badacz, staje się nieuniknionie rewizjonistą i heretykiem. Niebezpieczną jest przeto rzeczą, gdy ten sam zbiór twierdzeń występuje w roli doktryny instytucjonalnej i teorii naukowej. Traktowanie teorii naukowej jak gdyby była ona doktryną instytucjonalną stanowi śmierć nauki, a podchodzenie do doktryny instytucjonalnej w sposób właściwy dla teorii naukowej oznacza kres doktryny instytucjonalnej. Dzieje stosunku wiary do nauki w okresie średniowiecza dostarczają przykładu następstw, jakie pociąga za sobą pomylenie wierzeń instytucjonalnych i twierdzeń naukowych.

Obrazuje to także obóz marksistowski, jednocześnie ilustrując polityczną użyteczność doktryn instytucjonalnych dla ugruntowania rządów autokratycznych i systemów totalitarnych. Wprowadzone przez Poppera rozróżnienie społeczeństw otwartych i zamkniętych sprowadza się do tego, iż pierwsze nie posiadają, a drugie ustanawiają doktryny instytucjonalne. Patrząc na społeczeństwa zamknięte oczyma Durkheima można je także nazwać systemami świeckiej teokracji. Autorytet polityczny zajmuje miejsce autorytetu kapłańskiego stając się gwarantem i stróżem czystości dogmatów.

Są to sprawy budzące nie tylko teoretyczne zainteresowanie, lecz i w sensie praktycznym niezwykle aktualne. Marksizm instytucjonalny podnosi znowu w Polsce głowę, gromiąc „rewizjonistów” i „likwidatorów” z wyżyn nieomyślności poręczanej miejscem w partyjnej hierarchii, w imię „nau-

kowego komunizmu" i nienaruszalności „podstaw ruchu”. Socjologia tłumaczy mechanizm tego konfliktu i uzbraja w samowiedzę wyznawcę teorii Marksa, a wroga instytucjonalnego marksizmu. Pionierami socjalizmu nie są ci, którzy upodobniają go do systemów religijnych (w durkheimowskim sensie), lecz umysły idące śladem Marksa myśliciela i badacza faktów społecznych.

II

Rozprawka Marii Ossowskiej „O pewnych przemianach etyki walki” jest rozszerzoną polską wersją referatu wygłoszonego na III międzynarodowym zjeździe socjologicznym w Amsterdamie (4). Ossowska zastanawia się w swej rozprawie, czy słuszny jest często głoszony pogląd, iż w naszych czasach walki orężne i nieorężne stały się bardziej brutalne aniżeli w ubiegłym wieku. Wnioski, do których dochodzi, wskazują na to, iż wspomniany pogląd jest niestety uzasadniony.

Termin „walka” w tytule rozprawy Ossowskiej ma zakres tak szeroki, iż oznacza wszelkie dążenie do celów niezgodnych, jeżeli tylko uwikłane w tym strony wiedzą o sobie nawzajem i liczą się z działaniem przeciwnika. Walką w tym sensie jest więc nie tylko wojna lub starcie orężne, lecz i rywalizacja między grupami i jednostkami o coś, co tylko jeden z rywali jest w stanie osiągnąć. Walkę prowadzić można z różnym stopniem zapalczywości i brutalności, o czym rozstrzygają przeświadczenia i umowy, jakimi środkami w walce posługiwać się godzi. Ossowska rozróżnia pięć zasadniczych motywacji dobrowolnego ograniczenia środków walki, mianowicie względy humanitarne, szacunek dla przeciwnika, szacunek dla samego siebie, czynnik zabawy i lęk przed odwzajemnieniem. Jej wniosek końcowy opiera się na rozeznaniu, iż wymienione motywy wiodące do ograniczenia środków walki bądź osłabły, bądź całkowicie zanikły. Fakt ten wyprowadza ze wspólnego źródła — z ideologii panujących obecnie nad naszymi umysłami. Tę część jej rozważań warto przytoczyć *in extenso* :

„Na pytanie, czy zaszły w czasach nam współczesnych przemiany ideologiczne, które mogły być przyczynić się do wzmożenia bezwzględności walki, nasze rozważania odpowiedziały pozytywnie. Istnienie ideologii jawnie zwalczających humanitaryzm, ideologii odmawiających w imię skuteczności walki przyznania wrogowi jakichkolwiek walorów, ideologii przemawiających na rzecz prymatu polityki, której zarzucano zawsze lekceważenie dla dyrektyw moralnych — te fakty nie mogły być dla praktyki życiowej obojętne. Ideologie te oraz wspomniany zanik elementów zabawowych w kulturze mogły w pewnym stopniu przyczyniać się do brutalizacji walk orężnych i nieorężnych”.

Ossowska pozostawia poza sferą ideologii jeden z czynników, który również mógł wpłynąć na brutalizację walki, mianowicie podporządkowywanie indywiduum zbiorowości, cnót osobistych — cnotom kolektywnym, na przykład troski o własną godność — nakazowi solidarności, co prowadzić z kolei może do dbałości o zwycięstwo dla sprawy bez względu na cenę. Troska o własną godność przybiera niekiedy wyolbrzymione i karyka-

(4) Changes of the Ethics of Fighting in the Course of the Last Century, Transactions of the Third World Congress of Sociology, Vol. VI.

turalne formy i z tej przyczyny Ossowska nie wyrzekając się wprawdzie zdrowych intencji tkwiących w indywidualistycznej etyce skłonna jest widzieć w niej „relikt etyki tworzonej przez klasy konsumpcyjne”, kształtujące stosunki międzynosobnicze na wzór stosunków towarzyskich.

Problem jest niewątpliwie wielce skomplikowany. Prawdą jest wprawdzie, iż nie ma problemów moralnych poza zbiorowością, lecz z tego nie wynika, by obok moralności indywidualnej istnieć miała moralność zbiorowości. Zachowanie grupowe lub zachowanie jednostki w grupie podlega ocenie moralnej, lecz ocena ta nie jest oceną grupy opartą na grupowej moralności, lecz oceną jednostki wywodzącą się z jej moralnej samowiedzy. „Moralność zbiorowości” jest zwrotem zastępczym, który nie dopuszcza do słownej interpretacji. Moralność jest zawsze moralnością jednostki, tylko jednostka wydaje oceny.

Z drugiej strony człowiek stawiany jest często wobec konfliktów powstałych w wyniku jednocześnie odczuwanych powinności w stosunku do samego siebie i w stosunku do zbiorowości. Nakaz wierności prawdzie może walczyć w naszym sumieniu z poczuciem grupowej solidarności, poczucie sprawiedliwości z nakazem obrony dobra klasy lub narodu. Nie są to konflikty różnych moralności — indywidualistycznej i kolektywnej — lecz konflikty różnych hierarchii wartości i różnych koncepcji dobra, przebiegające w sumieniu jednostki. Reguła, iż w podobnych wypadkach dobro lub interes zbiorowości jest dobrem większym, jednostkowa wierność prawdzie i sprawiedliwości — dobrem mniejszym, nie jest ani oczywista, ani nieodmiennie prawdziwa. Nieposłuszeństwo nakazom grupowej solidarności może być postępowaniem moralnie dodatnim lub ujemnym i rozstrzyganie podobnych kwestii a priori nie byłoby uzasadnione. To, co nazywamy dobrem zbiorowości nie zawsze jest dobrem moralnym. Gdyby powinność solidarności w stosunku do grupy miała powszechnie obowiązywać, czynem moralnie dodatnim byłoby niekiedy współdziałanie w urzęczywianiu celów moralnie ujemnych.

Istnieją wprawdzie tendencje wykorzystujące brak systematycznej wiedzy o sprawach moralności, jej fragmentaryczność i kruchość, by przeciwstawić etyce indywidualistycznej „etykę naukową”, narzucając określoną koncepcję dobra, zazwyczaj dobra jakiejś grupy — klasy, rasy, narodu. Słusznie zarzuca się etyce indywidualistycznej kruchość, fragmentaryczność, niesystematyczność, lecz „etyki naukowe” wystawione są na identyczne zarzuty w stopniu nieporównanie wyższym. Arystoteles wyjaśniał w „Etyce Nikomachejskiej” dlaczego istnieć nie może „etyka naukowa”, a wieki dzielące nas od „Etyki Nikomachejskiej” falsyfikowały poglądy konkurujące z omawianą tezą filozofii moralnej Arystotelesa. W naszych czasach „etyki naukowe” są zazwyczaj ideologiami przełożonymi na język moralnych nakazów w imię pewnej koncepcji dobra podniesionej do rzędu absolutu. Niezależnie od tego, iż posłuszeństwo tym nakazom prowadzi często do czynów ocenianych przez głos sumienia ujemnie, etyki absolutyzujące dobro określonych częściowych zbiorowości z reguły zaostrażają zapalczywość walki.

Wykrycie i doskonalenie broni masowego zniszczenia w posiadaniu obu mocarstw światowych uwypukliło lęk przed odzwajemnieniem jako szczególnie ważną motywację w wyborze środków użytych w starciu. Jesteśmy postawieni wobec sytuacji, którą Herbert Butterfield określił mianem „the Hobbesian predicament” i w której upatrywał powtarzający się w historii wzór

splotu wydarzeń. „The Hobbesean predicament” to konflikt zasadniczo nierozstrzygalny przy użyciu tradycyjnych metod postępowania i przez próbę sił między uwikłanymi w konflikcie stronami. Jego rozwiązanie wymaga przejścia na wyższą płaszczyznę współistnienia rywalizujących stron. Tak na przykład katolicy i protestanci po okresie niszczących i okrutnych wojen religijnych zgodzili się uznać praktykę tolerancji jako rozwiązanie wyznaniowego konfliktu, gdyż obie strony doszły do przekonania, iż nie są w stanie wygubić się nawzajem. Ten przykład może skłaniać tak do optymistycznych, jak i pesymistycznych oczekiwań. Tak zwany raport Lilienthala, przedłożony w kilka miesięcy po wybuchu pierwszej bomby atomowej, zarysował jasno oba możliwe rozwiązania naszego atomowego predykamentu i wydarzenia późniejsze do raportu Lilienthala w zasadzie nie dodały niczego istotnie nowego. Oscylujemy między optymizmem i pesymizmem stosownie do tego, czy pokładamy nadzieje w przemożnym lęku przed odwzajemnieniem, czy też liczymy się z prawdopodobieństwem, iż jedna ze stron posiadając do dyspozycji środki całkowitej eksterminacji przeciwnika dojść może do przeświadczenia bezkarności. Całkowita eksterminacja wyklucza rewanż, a więc także zabezpiecza własne bezpieczeństwo przy użyciu środków masowego zniszczenia.

Jeżeli jedna ze stron osiągnie wspomniane przeświadczenie bezkarności, jedynie względy humanitarne stanowiłyby hamulec działania stosownie do do tego przeświadczenia. Ossowska podkreśliła rolę ideologii wrogich w stosunku do humanitaryzmu w brutalizacji walki. Mają one również kluczowe znaczenie w rozwiązaniu predykamentu atomowego.

Zbigniew JORDAN

LEKARSTWA

MATERIAŁY

ŻYWNOSĆ

NAJSZYBCIEJ, NAJKORZYSTNIEJ, NAJTANIEJ

wyślesz przez

P. C. STORES

STEFAN BREWKA

18, Queens Gate Terrace, London S.W.7, England

Cennik nasz, dostosowany do przepisów celnych w Polsce
jest naszą najlepszą reklamą.

Przerwana struna

(ZAMIAST KRONIKI UKRAIŃSKIEJ)

„Szczęśliwe życie człowieka radzieckiego” zbiera na Ukrainie Sowietkiej swój złowieszczy plon. Sterani dziesiątkami lat walki o swobodę twórczości, nękani realizmem socjalistycznym, to jest — używając klasycznej definicji Słonimskiego — „prezyzyjnym narzędziem do niszczenia sztuki”, pilnowani z dalekiej i jakże niestety bliskiej „białokamiennej” Moskwy, odchodzą od nas przedwcześnie ostatni Mohikanie ukraińskiego renesansu dwudziestych lat. Jurij Jankowskyj, Oleksander Dowżenko, Ostap Wysznia, Amwrosij Buczma — pisarze, twórcy ukraińskiego filmu, aktorzy. Jeden po drugim odchodzą w wieczność współtwórcy „Sturm und Drang” — periodu porewolucyjnego Odrodzenia literatury i sztuki, towarzysze i rówieśnicy Chwyłowych, Kuliszów, Falkińskich, Kłenów, Draj-Chmarch ale i pozostałych przy „szczęśliwym życiu” Rylskich, Tyczyn i Bażanów.

Nazwiska, a tym bardziej twórczość, wymierających pisarzy i artystów ukraińskich — poza szczupłym gronem uporczywych maniaków w Polsce i na emigracji — czytelnikowi polskiemu nic nie mówią. Rozdzielono „Lacha i Rusina” chińskim murem wzajemnej niewiedzy, wzajemnych uprzedzeń i nieufności, obopólnej niechęci do głębszego myślenia nad nierozzerwalnym wspólnym losem, który zrodziła geografia i historia dla dwóch narodów.

Nie ludźmy się, przyjaciele, że w okresie ostatniego dwunastolecia pomimo szumnych frazesów i kolorowych festiwalów znajomość kultury ukraińskiej w społeczeństwie polskim choćby trochę urosła. Nic podobnego. Nie znaczy to, aby nie było w tym smutnym okresie ludzi w Warszawie i Kijowie, którzy by nie widzieli, co to wszystko znaczy. Trudno i właściwie nie ma sensu występować w roli srogiego sędziego. Zmarnowanych lat nikt i nie już nie powróci, a biadolenie równie mało pomoże. Tylko gwoli prawdy trzeba tutaj stwierdzić, że odcięty od reszty świata Kijów mniej miał obiektywnych środków i możliwości, aby tej żelaznej kurtynie między dwoma brat-

nimi kulturami móc w jakikolwiek skuteczny sposób przeciwdziałać. Warszawa przeto ponosi większą winę, bo nawet wśród najczarniejszej nocy można było przeciwstawić się rosnącej fali ignorancji i zobojętnienia wobec sąsiedniego narodu ukraińskiego i jego kultury. Ale fałszywie dyktowana i pojmwana „racja stanu”, tak zwana „orientacja rosyjska”, gięła nie tylko karki i kręgosłupy, ale i pióra. Spójrzcie na pozycje tłumaczeń beletrystyki i poezji „radzieckiej” dwunastolecia władzy ludowej. Porównajcie dzieła literatury rosyjskiej i ukraińskiej i otrzymacie stosunek 99 do 1. Chyba żadne z wydawnictw krajowych nie powie, że to Stalin i Beria tak kazali... Nie, to raczej chciało się być „błagonadiożnymi” i nie wzbudzać podejrzeń u możnych i silnych. Zresztą ta osobliwa wykładnia szafowanego hasła „Za waszą i naszą...” itd. nie była przywilejem Polski bierutowej. Z takim samym oportunizmem zachowali się politycy emigracyjni kiedy Ukraińcy z uporem usiłowali przełamać sztywne bariery biurokratycznego szufladkowania emigracyjnych środowisk politycznych na przedstawicieli narodów pierwszej i drugiej klasy. Po dziś dzień święci sukcesy „sacro egoismo” polskich delegatów tak zwanego „Zgromadzenia Narodów Ujarmionych” w stosunku do kołaczących bezowocnie Ukraińców.

Dyplomacja Warszawy od roku 1945 podobnie zresztą jak wszystkie ośrodki polityczne, które mogły działać w ramach ustroju demokracji ludowej, prześcigały się wzajemnie w manifestowaniu gotowości do prowadzenia jak najbardziej prorosyjskiej polityki. Były w tej koncepcji rozmaite elementy z reminiscencją dmowszczyzny, reprezentowanej w kilku poważnych zespołach naukowych i publicystycznych, były jakieś wtórne echa „racji stanu” Wielopolskiego i było zwykłe wazeliniarstwo. To ostatnie sięgało niewątpliwie najgłębiej. Najbardziej przykrym i odpychającym zjawiskiem było to, że przedstawiciele ideologii marksistowskiej popadali w konflikt z zasadniczymi pojęciami o internacjonalizmie proletariackim i szczerze lub nieszczerze schlebiali wielkorosyjskiej koncepcji mocarstwowej stalinizmu. Człowiekowi choć trochę obeznanemu z ideologią komunistyczną przykro było słuchać jak miarodajni przedstawiciele PZPR tłumaczyli tępy szowinizm moskiewski pierwszych lat powojennych „państwowotwórczymi pierwiastkami” elementu wielkorosyjskiego w ZSSR.

Jak dalece stalinizm deprawował komunistów warszawskich, świadczy najwymowniej sposób rozwiązania kwestii ukraińskiej w Polsce powojennej. Akcja „W” czyli zastosowanie hitlerowsko-stalinowskich wzorów zbiorowej odpowiedzialności w odniesieniu do całej grupy narodowościowej za polityczną walkę znikomej części społeczeństwa ukraińskiego w Polsce, była niczym innym jak przeniesieniem do Polski komunistycznej wzorów stalinowskiej polityki narodowościowej.

Tragedią układu sił politycznych i jeszcze bardziej rozwoju myśli politycznej w Europie środkowo-wschodniej jest to, że tak jak większość elity politycznej niemieckiej uważa, że Niemcy są sąsiadami Rosji a nie Polski, tak samo Rosjanie operują często analogicznymi pojęciami. A Polacy? — Nie wierzą lub nie chcą wierzyć, że podstawowym zagadnieniem polskiej „koncepcji rosyjskiej” jest nietytyle manifestowanie rusofilizmu ile uświadomienie sobie faktu i wypływających stąd wniosków, że sąsiadami narodu polskiego są narody ukraiński, białoruski i litewski i że od przebiegu procesu układania się stosunków narodowościowych w ZSSR, od dynamiczności ruchów emancypacyjno-wyzwoleńczych, albo — operując terminologią

marksistowską — od praktycznego realizowania założeń „internacjonalizmu proletariackiego” na wschód od Bugu i Sanu, zależy w poważnym stopniu przyszły rozwój stosunków polsko-rosyjskich.

Wątpię czy tego rodzaju naśladownictwo wzorów polityki „starszego brata słowiańskiego, jak wysiedlanie, przysporzyło Polsce i polskim komunistom wiele sympatii wśród narodów ZSSR.

Byłoby oczywiście szaleństwem i megalomanią dyskutować poważnie o możliwości ingerowania polityki polskiej w stosunki międzynarodowe w ZSSR. Na to Polska nie posiada ani warunków potencjalnych, ani geograficznych. Ale, patrząc w przyszłość — byłoby nieprzebaczalnym błędem zaprzeczanie tych szans, które w obecnym układzie sił międzynarodowych i systemie rządów daje polityce polskiej ideologia marksistowska.

Każdy, komu leży na sercu zlikwidowanie wiekowych sporów w imię spokoju w Europie wschodniej i środkowo-wschodniej, musiał cieszyć się ze zwrotu w stosunkach pomiędzy Warszawą a Kijowem, który zarysował się jesienią ubiegłego roku w ramach tak zwanej „odwilży”. Dekada kultury ukraińskiej w Polsce w roku 1956 wydawała się być początkiem czegoś nowego i lepszego w porównaniu z ponurą przeszłością ostatnich lat. Nawiązano szczery dialog bez pośredników i patronów. Szczególnie w Kijowie przyjęto to ożywienie stosunków, poprzez zabita dotychczas szczerze deskami „przyjaźni polsko-radzieckiej” granicę polsko-ukraińską, z wielką żarliwością i nieudawanym entuzjazmem. Nic w tym zresztą dziwnego. Waśnie i kłótnie a nawet walki bratobójcze między dwoma sąsiednimi narodami były związane z lokalnym terenem Ziemi Halickiej i części Wołynia. Na terenach naddnieprzańskich i doneckich, na odległej Charkowszczyźnie i na północnej Czernihowszczyźnie antypatie w stosunku do Polski należą do odległych mitów historii. A zresztą nie trzeba zapominać, że dla Ukraińców trzymanych w straszliwej obręczy prowincjonalnej gubernii ZSSR, Polska mimo wszystko to Zachód, to relatywna wolność i swoboda, to w każdym razie coś innego niż „suwerenna Ukraina Radziecka”.

I oto nagle następuje jakieś dziwne oziębienie. Z Kijowa sypią się ataki na pisarzy i artystów polskich, jak gdyby Ukraina była najbardziej zainteresowana w zduszeniu idei polskiego października. Wydaje mi się, że ludzie na ogół orientujący się w kulisach tego nagłego zwrotu wiedzą dobrze o co chodzi i gdzie szukać źródeł tej, obiektywnie rzecz biorąc, paradoksalnej akcji. Ale znajdują się może, i w Polsce i na emigracji, ludzie niezupełnie wyznający się w przyczynach, kulisach i motywach tego zorganizowanego oburzenia z powodu wolności, która uśmiechnęła się Polsce jesiennym październikiem. A ponieważ niezrozumiałość, a co za tym idzie, niewytłumaczalność, mogłaby znowu nanieść jakiś namul urazów i uprzedzeń, trzeba tę sprawę postawić jasno i wyraźnie.

Na początku października 1956 w Kijowie i w innych miastach Ukrainy przebywała delegacja polskich działaczy komunistycznych, pisarzy i dziennikarzy, między innymi także Aleksander Ścibor-Rylski. Na prośbę redakcji ukraińskiego czasopisma ministerstwa kultury, „Radjańska Kultura”, Ścibor-Rylski ogłosił drukiem coś w rodzaju wywiadu, czy oświadczenia. Zresztą nie tylko on, ale i przewodniczący delegacji, ówczesny wiceminister kultury w rządzie Cyrankiewicza, a obecnie sekretarz PZPR w Krakowie, Lucjan Motyka i inni członkowie delegacji. Ale oświadczenie Ścibor-

Rylskiego, noszącego zresztą to samo nazwisko, co jeden z największych poetów ukraińskich zafrapowało i rozpałiło umysły ukraińskiej inteligencji. Treścią wywiadu-oświadczenia Rylskiego była zwięzła informacja o nowych kierunkach i prądach w życiu literackim i artystycznym Polski. W porównaniu z dyskusjami toczącymi się w warszawskich kołach literackich, w wy-nurzeniach polskiego pisarza nie było nic sensacyjnego. Opowiedział on w kilkudziesięciu zdaniach o tym, że literaci, poeci i malarze polscy prowadzą dyskusje i spory o kierunkach rozwojowych sztuki, że istnieją grupy modernistów, że są zwolennicy awangardy i zakończył swą wypowiedź słowami, które na głuchej ukraińskiej prowincji kulturalnej odezwały się dawno zapomnianymi echemi wielkiej dyskusji literackiej lat dwudziestych. Ścibor-Rylski napisał: „My, w Polsce, jesteśmy za tym, aby istniały rozmaite kierunki, różne poglądy artystyczne. My jesteśmy za różnorodnością sztuki. Nasza dyskusja znalazła już oddźwięk wśród Czechów, Jugosłowian, Węgrów. Dobrze byłoby, gdyby i ukraińscy artyści wypowiedzieli swoje poglądy w tych sprawach”.

Nadeszły październikowe wypadki w Polsce i na Węgrzech, które do głębi wstrząsnęły Ukrainą. Natychmiast przyszła reakcja Moskwy. Pod koniec listopada zwołano do Kijowa naradę organizacji partyjnej w łonie Związku Literatów Ukrainy, aby się rozprawić z najbardziej niebezpiecznymi literatami. Pod ostrzałem krytyki znalazło się trzech pisarzy: M. Szumyło, W. Szweć i A. Małyszko. Z ogólnikowych zarzutów, wysuniętych pod ich adresem trudno było zorientować się w czym właściwie zawinili. Oficjalny komunikat głosił, że Szumyło przyznał się do pomyłek i że Szweć, który swoimi wystąpieniami usiłował „poderwać przyjaźń pomiędzy narodami”, uznał szkodliwość swego stanowiska. Małyszkę ktoś widocznie zedenuncjował, gdyż komunikat twierdził, że ów pisarz wypowiadał fałszywe poglądy w prywatnych rozmowach. Wydaje się, że ci trzej literaci ukraińscy przejęli się jak najgłębiej oświadczeniem Ścibor-Rylskiego i usiłowali przeorać konformistyczny grunt życia literackiego i artystycznego na Ukrainie. W grudniu odbyła się nowa konferencja organizacji partyjnej pisarzy kijowskich, na której główną oskarżycielką była Wanda Wasilewska, żona Kornejczuka, córka wielkiego Polaka i przyjaciela Ukrainy, Leona Wasilewskiego. Jej to właśnie przypadło zadanie zgromienia pisarzy polskich i węgierskich, którzy rzekomo znaleźli się pod wpływem wrogiej propagandy. W miesiąc później, między 10 a 12 stycznia odbyło się w Kijowie czwarte plenum zarządu Związku Literatów Ukrainy, na którym jeden z sekretarzy Związku, krytyk literacki Nowyczenko, znany ze swych konformistycznych wystąpień w poprzednich latach, wygłosił programowy (czy raczej pogromowy) referat. Główną ideą elaboratu Nowyczenki było niedwuznaczne ostrzeżenie pisarzy ukraińskich przed wpływami rewolucji węgierskiej i polskiej. Mówca obrzucił stekiem inwektyw i insynuacji Antoniego Słonimskiego, Juliana Przybosia, Wiktora Woroszyńskiego oraz takich pisarzy węgierskich jak Tibor Deri czy Gyula Hay. Dostało się przy tym również i „Kulturze”, którą erudyta Nowyczenko ochrzcił „organem reakcyjnej emigracji polskiej we Francji”. Chodziło w danym wypadku o artykuł Fejtő o roli pisarzy węgierskich i o to, że krakowskie „Życie Literackie” przedrukowało — jak się wyraził kijowski cerber od spraw literatury — „tę pisaninę”. (Ciekawa rzecz, że w przerobionym rękopisie swojego przemówienia, dla marcowego numeru literackiego miesięcznika w Kijowie „Dnipro”, No-

wyczenko zrezygnował już z epitetu „reakcyjnej” i nazwał „Kulturę” po prostu „organem emigracji polskiej we Francji”).

Najbardziej bolesnym w tej, wiadomo skąd organizowanej i prowadzonej akcji przeciwko podmuchom wolności, płynącym z sąsiedniej Polski, był artykuł sędziwego poety Maksyma Ryłskiego w kijowskiej „Literaturnej Hazezie”. Wypad Ryłskiego przeciwko nowym prądom w życiu literackim w Polsce, przeciwko Jastrunowi i Przybosiowi jest tym boleśniejszy, że przecież autor jest nie tylko jednym z największych żyjących poetów ukraińskich ale i jednym z największych i najserdeczniejszych przyjaciół Polski.

Co to wszystko znaczy? O co tu chodzi?

Sprawa jest jasna jak dzień. Moskwie nie trudno było zorientować się w zasięgu i głębokości echa, którym październikowe wydarzenia w Polsce odbiły się na Ukrainie. I w Moskwie, a nie w Kijowie, wymyślono ów plan aby ustami pisarzy i publicystów ukraińskich uderzyć najpierw przeciwko wolności słowa literackiego i artystycznego w Polsce. Rozrachunek przy tym był, mówiąc po ukraińsku, „chyttryj-mudryj”. Założono z góry, że jednym strzałem można ubić dwa zające: że się odstraszy intelektualne koła na Ukrainie przed brataniem się z polskimi „miateżnikami” i że się jednocześnie wywoła oburzenie opinii polskiej przeciwko niesłychanym pretensjom literatów i krytyków ukraińskich. Wydaje się jednak, że Moskwa osiągnęła częściowo i bardzo powierzchownie, tylko pierwszy cel. Ukraina pisząca i myśląca, Ukraina literacka i artystyczna przycichła znowu jak długa i szeroka, od Karpat po Donbas, od Polesia po Morze Czarne, jak tyle już razy w swej krwawej i tragicznej historii, i postanowiła przecze-kać burzę, którą wywołał polski październik w sercach i umysłach narodów Europy Wschodniej. Z projektu zaś poróżnienia Ukraińców i Polaków zdaje się że nic nie wyszło. Bo i któż uwierzy, że swój artykuł Maksym Ryłski z własnej woli napisał w kijowskiej „Literaturce”. Ale gdyby ktoś miał się mylić co do osoby prawdziwego Maksyma Ryłskiego, niech przeczyta jego wiersze. Te dawne, z tomów „Pod jesiennymi gwiazdami”, „Przez burzę i śnieg”, „Gdzie się schodzą drogi”, a szczególnie ów przejmujący wiersz o Ukrainie kończący się niezapomnianą strofą:

*I wierzę, wierzę aż do zgonu,
że zejdzie promień z nieboskłonu,
jak złoty miecz, jak szabla chyża,
i w promieniste jasne rano,
w godzinę już zapowiadana
zejdziesz, ojczyzno z Twego krzyża.*

A zresztą o postawie Maksyma Ryłskiego, człowieka steranego „szczęśliwym” życiem okresu stalinowskiego, świadczy jeden z ostatnich jego wierszy, z okresu krótkotrwałej odwilży w ZSSR, wydrukowany we wrześniu 1955 roku w lwowskim miesięczniku „Żowteń”, którego fragment spróbuję tu przetłumaczyć:

*„Ogrodnik stary radził mi rozumnie —
Gdy będziesz kiedyś choinkę przesadzał,
bacz gdzie jest północ i gdzie jest południe
i tedy sadź — będzie rosła na schwał.*

Niech na południe patrzy ona
jak dawniej patrzyła — takim samym okiem,
gałęzi mocnych gęstwin ciemna
z północnym wiatrem niech walczy szerokim”.



Jest w tym wszystkim jednak nuta bardzo tragiczna. Dialog polsko-ukraiński, który po wielu latach drętwej mowy przyjaźni polsko-radzieckiej jesienią 1956 roku zaczął być czymś istotnym i normalnym, urwał się na rozkaz, jak przzerwana struna. Miejmy nadzieję, przyjaciele po obydwu stro-
nach Bugu i Sanu, że nie na długo...

Bohdan OSADCZUK

Kronika angielska

REFLEKSJE LONDYŃSKIE

Notatka o pobycie p. H. Malewskiej w Londynie (Kultura, Nr 113) — spowodowała falę oskarżeń i napaści, na które chciałbym odpowiedzieć. Jest to tym bardziej konieczne jeżeli się zważy, że dla 99% naszych Czytelników, przebywających poza Wielką Brytanią, epizod jest całkowicie niezrozumiały.

Merytorycznie sprawa jest wyczerpana. Wyjaśnienie Kisiela na łamach krakowskiego „Tygodnika Powszechnego” — które jakże odbija treścią, tonem i stylem od emigracyjnych napaści — sprawę definitywnie zamyka.

Warto natomiast poświęcić kilka słów tej osobliwej nagonce, w której pod przewodnictwem Bywalca z „Dziennika Polskiego” wzięli udział: Silva z londyńskich „Wiadomości”, endecka „Myśl Polska”, Biuletyn Egzekutywy, „Orzeł Biały” i argentyński „Głos Polski”. Uczestników nagonki było zapewne więcej ale, jak dotąd, sprawdzalne wieści doszły mnie tylko o wyżej wymienionych.

Nie po raz pierwszy zorganizowano nagonkę przeciw „Kulturze”. Gdy przed kilku laty w Maisons-Laffitte wylądował Czesław Miłosz — mieliśmy również cały białogwardyjski polski Londyn przeciwko sobie. Bronilem wówczas Miłosza przeciwko napaściom tego samego „Dziennika Polskiego”, tych samych „Wiadomości”, tego samego „Orla”.

Identyczną nagonkę podjęto przeciw nam w związku z zaproszeniem przez „Kulturę” 48 sygnatariuszy tak zwanego apelu repatriacyjnego. Syndykaty dziennikarzy podejmowały uchwały przeciwko nam — odsądzano nas od czci i wiary. Dziś z perspektywy czasu z całym obiektywizmem należy

stwierdzić, że ta właśnie inicjatywa „Kultury” doprowadziła do niebывалей publicznej kompromitacji ówczesnego reżymu i zadała definitywny cios akcji repatriacyjnej. Udowodnienie fotokopiami faktu, że listy polecane „Kultury” nie zostały nigdy doręczone owym 48 sygnatariuszom oraz, że większość podpisów (na apelu) umieszczono bez wiedzy sygnatariuszów było „exposure” w dużej skali i konkretnym osiągnięciem. Jest niewątpliwą ironią, że za ten dziennikarski i polityczny sukces zostaliśmy potępieni przez dziennikarską zawodową organizację.

W sprawach programowych białogwardyjskie koła londyńskie nie podejmują nigdy z nami dyskusji. Natomiast obserwują nas bacznie i gdy w danym momencie dojdą do wniosku, że „Kultura”... potknęła się — wówczas pada hasło: kupą mościpanowie! A nuż uda się zlikwidować tę czarną owcę. Jest rzeczą irytującą, że emigracyjna „Kultura” ma nakład nie mniejszy niż krajowa „Twórczość” a wyższy od niejednego miesięcznika angielskiego czy francuskiego. Irytujące jest pomyśleć, że właśnie „Kultura” ma pewną pozycję w Kraju. Ale przede wszystkim irytujący w stopniu trudnym do zniesienia jest fakt, że „Kultura” robiąc same katastrofalne „błędy” i fatalne „pomyłki” umie przemieniać je w sukces. Z nas już przecież dawno nie powinno być ani śladu ani popiołu...

Lecz wróćmy do tematu. Czytelnikom zamorskim nie obznajmionym z arkanami wielkiej polityki polskiego Londynu należy się niewątpliwie kilka słów wyjaśnienia. Bo — powiedzmy dla przykładu — skąd Egzekutywa do tego wszystkiego?

Otóż, jak wynika z komunikatu w „Orle Białym” Wydział Wykonawczy Związku Dziennikarzy postanowił skierować do Sądu Koleżeńskiego „sprawę przeciw red. J. Mieroszewskiemu (Londyńczykowi) o naruszenie etyki dziennikarskiej w artykule pt. „Hanna Malewska w Londynie”.

By całej sprawie nadać maksymalny rozgłos i równocześnie wyposażyć ją w „powagę urzędową” postarano się by komunikat powyższy wydrukował oficjalny organ Egzekutywy czyli ów biuletyn.

W ten sposób, mimo że nie było ani rozprawy ani wyroku, stwarza się pozór, iż p. Mieroszewski dopuścił się jakiegoś hańbiącego czynu kolidującego z etyką dziennikarską. Jeżeli do rozprawy by nie doszło, względnie, gdyby Sąd Koleżeński uwolnił niżej podpisanego od „winy i kary” — takiej wiadomości biuletyn Egzekutywy oczywiście nie zamieści.

Półtora roku temu — w styczniu 1956 roku — napisałem w „Kulturze” artykuł pt. „Karty na stół”. P. Ryszard Piestrzyński polemizując na łamach „Orla Białego” z cytowanym artykułem — mówiąc delikatnie przeinaczył bardzo istotnie tekst mojej wypowiedzi. W „Kulturze” z marca 1956 podniosłem publicznie bardzo poważny zarzut przeciw p. Piestrzyńskiemu oświadczając gotowość powtórzenia tego zarzutu przed każdym sądem, z Sądem Koleżeńskim włącznie. I wówczas ukazało się w „Orle Białym” oświadczenie stwierdzające, że p. Piestrzyński poczuł się dotknięty moją wypowiedzią w „Kulturze” i skierował sprawę do Sądu Koleżeńskiego Zw. Dziennikarzy.

Innymi słowy — dla czytelników „Orla Białego” ofiarą napaści jest p. Piestrzyński, który swojej „krzywdy” dochodzi przed Sądem Koleżeńskim. Czytelnicy „Orla” i szeroka publiczność oczywiście nie wie, że w tej sprawie nie było ani rozprawy ani wyroku. Pokrzywdzonego, to jest w tym wypadku niżej podpisanego — stawia się w stan permanentnego oskarżenia

nie dając mu możliwości ani obrony ani przeprowadzenia dowodu prawdy.

Ten sam p. Piestrzyński, który do tej pory nie uważał za stosowne podjęcia próby oczyszczenia się z zarzutów jakie publicznie przeciw niemu wysunąłem, jest urzędującym członkiem zarządu Zw. Dziennikarzy. Tego samego zarządu, który w trosce o... poziom etyki dziennikarskiej skierował przeciwko mnie sprawę do Sądu Koleżeńskiego w związku z notatką o p. Malewskiej. Dalsze komentarze wydają się zbędne.



Notatka w sprawie p. Malewskiej miała na celu podkreślenie dwóch rzeczy. Po pierwsze, że uchwałę Związku Pisarzy traktujemy serio. Po drugie, że „Kultura” nie zamierza okłaskiwać tych pisarzy krajowych i emigracyjnych, którzy „prywatnie” uchwałę potępiają, ale w praktyce chcą być z wszystkimi dobrze i nikomu się nie narazić.

To tak jak w wierszyku Hemara. „Pomów z każdym z osobna, uwierzyć nie podobna...” Uwierzyć nie podobna, że uchwałę powzięto, bo prywatnie każdy z osobna jest przeciwko uchwale. Każdy jest za Krajem, za więzami z narodem itd., itd.

Wszystko jest cacy-cacy dopóki od pana Iksa nie żąda się, by swe prywatne zdanie o uchwale wypowiedział publicznie. Wówczas okazuje się, że tej całej sprawy nie należy brać zbyt serio, że życie przejdzie nad tym do porządku, że z czasem wszystko się jakoś ułoży, że w sumie nie wypada się tym przejmować. I wreszcie pada argument finalny: „panie kolego — takie sprawy trzeba traktować z odrobiną humoru — to wszystko jest w większym stopniu śmieszne niż groźne”.

Inwencja w usprawiedliwianiu braku cywilnej odwagi, nawet u ludzi skądinąd ubogich w wyobraźnię — jest bezgraniczna. Generalną protezę zastępującą cywilną odwagę jest cyniczny humorek. Jeżeli daną sprawę pomniejszy się i ośmieszy, nie ma powodu o nią walczyć. Bezpośrednim rezultatem tego stanu rzeczy jest fakt, że my wszyscy i każdy z osobna jesteśmy sceptyczni i złośliwi — dowcipni i zakochani w „powiedzonkach” ...ale biernie pozwalamy się wodzić za nos w Radzie takiej czy innej, czy w związku takim czy innym — ponurym napuszonym facetom, którzy nawet tyle poczucia humoru nie mają by się śmiać z nas w kulak (na co w pełni zasługujemy).



Bywalec w „Dzienniku Polskim” określił notatkę (w Kulturze) w sprawie p. Malewskiej terminem „donos”. Po tej samej linii, choć bez użycia tego terminu, szedł komentarz endeckiej „Myśli Polskiej” z sugestią skierowania sprawy do Sądu Koleżeńskiego.

Skłonny jestem sądzić, że donosami, jakie na moją skromną osobę napisano tu, w Anglii, można by wytapetować wdzięcznie spory pokój. Natomiast z zarzutem, że ja piszę donosy w mojej 27-letniej karierze dziennikarskiej spotkałem się po raz pierwszy.

Notatka Londyńczyka nie ujawniała żadnego zasadniczego szczegółu, który nie byłby uprzednio znany z prasy emigracyjnej. Wieczór autorski p. Malewskiej pod auspicjami Zw. Pisarzy był publiczną imprezą ogłaszaną

na szereg dni przedtem w prasie. Anty-krajowa uchwała Zw. Pisarzy nie jest również tajemnicą, jak nie jest tajemnicą fakt, że zarząd, który organizował ów wieczór autorski — składa się wyłącznie ze zwolenników tej uchwały.

Więc gdzież jest owo „naruszenie etyki dziennikarskiej”? Domyślam się, że pp. Bywalec & „Myśl Polska” sądzą, iż „przestępstwem” jest fakt posądzenia p. Malewskiej o solidaryzowanie się z powyższą uchwałą. Bo wprawdzie dygnitarze naszego pamasu uważają tę sławetną uchwałę za wykwit patriotyzmu i polskości ale samo posądzenie pisarza krajowego o sympatii dla tego aktu może ściągnąć na jego głowę prześladowania.

To jest oczywisty nonsens. Uchwałę, o której mowa, ludzie w Kraju uważają za bzdurę. Kisielewski na łamach „Tygodnika Powszechnego” nazwał ją po prostu głupią. Ów akt nie ma w Kraju ani jawnych ani ukrytych zwolenników: i jest absolutnym pewnikiem, że za uchwałę pp. Terleckiego i Kisielewskiego w lochach Bezpieki nikt cierpieć nie będzie.

W gruncie rzeczy chodzi o coś całkiem innego. Pisarze z którymi p. Malewska rozmawiała prywatnie wiedzieli, że jest ona zdecydowaną przeciwniczką uchwały. Ale od strony szerokiej publiczności całe zagadnienie wyglądało całkiem inaczej. Ci, którzy przyszli na wieczór autorski znanej pisarki z Kraju nie mieli żadnych danych do wnioskowania, że jest ona przeciwniczką uchwały. Przeciwnie, mieli wszelkie podstawy do sądenia, że p. Malewska — skoro publicznie nie zaznaczyła swego stanowiska — milcząco popiera politykę instytucji, pod której firmą wystąpiła ze swym wieczorem. W ten sposób zostało utrwalone wrażenie, że przeciwko uchwale buntuje się kilku nieodpowiedzialnych emigracyjnych pisarzy, natomiast poważna pisarka z Kraju nie widzi przeszkody w współpracy ze Związkiem. Gdyby nie notatka Londyńczyka w „Kulturze” opinia publiczna na emigracji nie dowiedzialaby się nigdy, że p. Malewska jest przeciwniczką uchwały mimo, iż zgodziła się na wieczór autorski pod egidą Związku.

Dla zarządu Związku Pisarzy i dla zwolenników sławetnej uchwały byłoby oczywiście znacznie korzystniej gdyby opinia p. Malewskiej w tej sprawie nie została ujawniona publicznie, to jest w druku. Jednak w moim przekonaniu nie leżało to w interesie ani Czytelników „Kultury”, ani w interesie opinii społeczeństwa emigracyjnego.

Juliusz MIEROSZEWSKI (Londyńczyk)

P.S. — Kilkutygodniowa choroba uniemożliwiła mi napisanie comiesięcznego artykułu do bieżącego numeru „Kultury” za co serdecznie przepraszam naszych Czytelników.

L.

Armia niemiecka

(KORESPONDENCJA Z BONN)

Wiele refleksji nasuwa widok — na ulicach miast niemieckich — nowych uniformów wojskowych, będącym wyrazem odradzającej się armii niemieckiej. Jeszcze tak niedawno, zarówno mocarstwa zachodnie jak i Rosja zdecydowane były nie dopuścić do odrodzenia się militarystyki niemieckiej, który w ciągu jednej generacji był przyczyną dwóch krwawych wojen w Europie; Rosja, pierwsza złamała odnośne przyrzeczenia, przystępując prawie natychmiast, po okupowaniu Niemiec Wschodnich, do odbudowy zamaskowanych jako „Policja Ludowa” sił zbrojnych należących obecnie do Paktu Warszawskiego.

Na Zachodzie ten proces trwał o wiele dłużej, i dopiero wojna na Korei — która do reszty rozwiała złudzenia o możliwości pokojowego współzycia z Rosją — dała impuls do szukania w Niemczech potencjalnego sprzymierzeńca przeciwko rosnącemu zagrożeniu ze strony Rosji.

Nie będziemy nużyć czytelnika przypomnianiem szczegółów politycznej wojny podjazdowej, jaka rozegrała się w związku z projektem stworzenia Armii Europejskiej, w skład której wchodzić miały kontyngenty niemieckie: miał to być mezalians pomiędzy postulatami strategii a abstrakcjami polityki. Poród Armii Europejskiej, stordowany przez francuskie Zgromadzenie Narodowe, zakończył się poronieniem, a mimo to, w parę lat później, armia niemiecka ujrzała świat, stając się nagle beniaminkiem Europy i Stanów Zjednoczonych.

Na skutek szeregu przyczyn, a przede wszystkim wobec coraz bardziej wzrastającej potrzeby zapełnienia luk w „tarczy” NATO żołnierzem niemieckim, doszło w 1955 roku do układów w Paryżu i Bonn, i Niemcy stały się pełnoprawnym partnerem koalicji atlantyckiej. Obecnie armia niemiecka zaczyna przybierać kształty realne.

Za kilka miesięcy będą gotowe trzy dywizje piechoty, zaś pod koniec roku dwie dywizje pancerne. Na początku roku 1958 ma być również sformowana jedna dywizja spadochronowa i jedna dywizja górska — razem siedem dywizji. O cyfrze dwunastu dywizji, przewidzianych układem o Armii Europejskiej, oraz układami w Paryżu i Bonn, jakoś się nie mówi. Na zapytanie w tej sprawie otrzymuje się odpowiedź, że nowe bronie atomowe, których od dawna domagały się Niemcy — częściowo ze względów prestiżowych — zredukują, być może potrzebę żywej siły.

Jeżeli idzie o lotnictwo taktyczne — o ile ono zaistnieje w ogóle, biorąc pod uwagę zastępowanie go przez pociski kierowane — to liczyć się z nim można dopiero nie wcześniej jak w roku 1960, a do tego czasu wiele rzeczy może się jeszcze wydarzyć.

Tak jak fabryki niemieckie, pracujące pełną parą na eksport, wyposażone są w najnowocześniejsze maszyny, zapewniające największą wydajność, tak samo mają wyglądać nowe dywizje niemieckie, które będą uzbro-

jone w najlepszy sprzęt amerykański lub brytyjski; organizacja tych dywizji oparta ma być również na najbardziej nowoczesnych wzorach, będących wynikiem doświadczeń i studiów ostatnich paru lat.

Niemniej nowoczesne będzie wyszkolenie, dyscyplina, a przede wszystkim morale tej nowej armii. Przy tworzeniu jej zerwano w sposób radykalny z przeszłością: przede wszystkim zniesione zostały dawne mundury i wprowadzono *battledressy* i hełmy nowego typu; zniesiono salutowanie, ograniczając je jedynie do bezpośrednich przełożonych. Skasowano dawne kadry pułkowe, i tym samym dawne tradycje. Przede wszystkim kładzie się obecnie nacisk na to, by żołnierz nowej armii niemieckiej — Bundeswehr — był pełnoprawnym obywatelem Republiki Federalnej. Jeżeli rozmawia się z oficerami na wyższych szczeblach Ministerstwa Obrony, uderza szczery kult oficera typu hr. Stauffenberga, a więc oficera, który w imię honoru gotów był poświęcić karierę i życie. Dawna kasta oficerska należy do przeszłości.

Na tle tego dążenia do stworzenia jak najbardziej nowoczesnych sił zbrojnych, pewnym kontrastem wydaje się taktyczna doktryna użycia ich w razie wojny. Wprawdzie łamy „Kultury” nie nadają się do rozważań natury operacyjnej, warto by jednak — chociażby w paru słowach — nadmienić, że czynniki odpowiedzialne za planowanie użycia wojsk niemieckich w ramach koalicji atlantyckiej — a więc w ramach wojny atomowej, bo tylko taka jest do pomyślenia w Europie — wciąż jeszcze operują pojęciami Blitzkriegu z lat 1939-1945.

Nacisk, jaki czynniki odpowiedzialne za planowanie operacyjne, kładą na ruchliwość i rozbudowę broni pancерnej, robi wrażenie, że zapominają one o tym, że wojna atomowa, po pierwszych 24 godzinach, w czasie których odbywać się będzie obustronne bombardowanie atomowe, w dalszej fazie — jak wyraził się Churchill — prowadzona będzie w myśl zasad „broken back strategy”, a więc w warunkach absolutnego chaosu, na tle całkowicie rozwalonego systemu zaopatrywania, czyli zniszczonych baz, portów, kolei i komunikacji.

Podstawą sukcesu niemieckiego Blitzkriegu była harmonijna współpraca pomiędzy piechotą, bronią pancerną i lotnictwem; podstawą działania broni pancерnej i, rzecz jasna, lotnictwa, jest regularne zaopatrywanie w benzynę, na skutek jednak zniszczenia systemu zaopatrywania, działania wojenne, najprawdopodobniej, nawracać będą do form wojny z 1914-1918, a więc do okrzepnięcia frontów i wojny okopowej.

Obecna operacyjna koncepcja niemiecka wydaje się więc w dziwnej dysharmonii z wizją wojny atomowej.

Odradzanie się niemieckich sił zbrojnych posiada jednakże pewne aspekty polityczne, z czego całkowicie zdają sobie sprawę politycy niemieccy — tak z koalicji rządowej, jak i z opozycji.

Należy dodać, że wszyscy Niemcy, z którymi rozmawia się na ten temat dumni są z obecnej przynależności do „rodziny europejskiej” i możliwości brania udziału w różnych organizacjach europejskich. Być może, wynika to jeszcze z dawnego kompleksu niższości.

Jedynie niemieccy socjal-demokraci stoją na stanowisku, że przynależność Niemiec do NATO jest przeszkodą do zjednoczenia, tym niemniej, dodają, że w razie dojścia ich do władzy „pacta sunt servanda” i że nie będzie mowy o wyjściu Niemiec z NATO na skutek bilateralnej umowy

między Niemcami i Rosją, zawartej poza plecami Zachodu. Wszyscy podkreślają z naciskiem, że nie ma mowy o jakimś nowym Rapallo, a tym bardziej o umowie na wzór umowy Ribbentrop-Mołotow.

Politycy niemieccy — a przynajmniej przeważająca ich większość — wyzbyli się obecnie dawnych dążeń do panowania nad światem. Hasło „Deutschland ueber Alles” pozostało jedynie zwrotką w hymnie narodowym, tracąc całą swoją atrakcyjność i znaczenie.

Tego rodzaju nastawienie polityków niemieckich jest szczególnie interesujące z punktu widzenia polskiego: we wszystkich rozmowach z miejsca stwierdzali potrzebę dogadania się z Polską w sposób jak najbardziej przyjazny. Wielu z nich — zastrzegając by nie podawać ich nazwisk — oświadczało, że sprawa dawnych ziem niemieckich na Wschodzie, należy już do przeszłości, że ich zdaniem nie tylko nie ma mowy o jakimkolwiek powrocie do stanu rzeczy z roku 1939 ale w ogóle o rewizji obecnej granicy.

Rzecz jasna, że ze względu na zbliżające się wybory, żaden szanujący się polityk niemiecki, nie będzie ryzykował wyrażania tego rodzaju poglądów publicznie, a nawet i po wyborach, byłoby — ich zdaniem — jedynie dowodem złej dyplomacji wyrzekać się wszystkiego bez próby targu.

Mówiąc na ten temat, odrzucają oni kategorycznie możliwość rewindykacji ziem utraconych przy użyciu siły; dodają zresztą z całym poczuciem realizmu, że obecna armia polska jest o wiele silniejsza od niemieckiej Bundeswehr, nawet kiedy ta osiągnie przewidziane stany.

Wszyscy interesują się niezmiernie rozwojem wydarzeń w Polsce, oceniając pozytywnie posunięcia Gomułki i wyrażając nadzieję, że uda mu się poszerzyć obecny margines wolności. Ponadto, rozwój sytuacji w Polsce jest dla nich sprawdzianem siły Rosji, i wszelkie ustępstwa sowieckie na korzyść Polski, wzmagają nadzieje niemieckie na możliwość dogadania się z Rosją w sprawie zjednoczenia Niemiec.

Niemcy zdają sobie sprawę, że zjednoczenie może nastąpić jedynie w wyniku wycofania się wojsk sowieckich z Niemiec Wschodnich i Europy Wschodniej i utworzenia strefy neutralnej, w której Niemcy będą, zapewne, zmuszone do poważnego zredukowania swoich sił zbrojnych, jeśli nie całkowitej ich likwidacji. Odnosi się wrażenie, że tego rodzaju cenę będą gotowi zapłacić bez najmniejszego wahania.

E. HINTERHOFF



POMOC RODZINIE W KRAJU
I ZA LINIĄ CURZONA

Przodująca polska firma wysyłkowa

LAMPERT & POLIMEX Co

45, Cromwell Rd., London, S.W.7, England

Najnowsza historia Polski

Obrona Belwederu

(ZAPISKI UCZESTNIKA WYPADKÓW MAJOWYCH
1926 ROKU)

Warszawa, lipiec 1926.

Pod wieczór 12 maja zostałem zaalarmowany telefonicznym pytaniem: „Co ten bunt ma znaczyć?”

— Jaki bunt? — zapytałem zdumiony.

— Czy ty naprawdę nie wiesz, czy udajesz tajemniczego sztabowca?

Wstyd przyznać, że będąc w stolicy, w sąsiedztwie różnych wydarzeń politycznych, naprawdę nie wiedziałem o buncie części wojska i dopiero z odczytanego mi telefonicznie komunikatu Rządu, ogłoszonego w wieczornych gazetach, dowiedziałem się, że: „Część wojska, otumaniona... zbuntowała się pod dowództwem marszałka Piłsudskiego przeciw legalnemu Rządowi... i tak dalej”.

Piorun, który w formie powyższego komunikatu uderzył we mnie, nie powinien właściwie być tak nieoczekiwany; przypomniałem sobie, że od czasu wycofania się marszałka do Sulejówka, w kołach kolegów legionowych ustawicznie coś się kotłowało. Od kilku miesięcy odbywały się po różnych lokalach zebrania byłych legionistów, a ostatnio, zaczęły się jakieś legionowe protesty przeciw rządowe, chociaż w tym rządzie ministrem spraw wojskowych był człowiek marszałka, gen. Żeligowski. Przeniesienie generała Dreszera, dowódcy dywizji kawalerii z Warszawy do Poznania i z powrotem, wskazywało na jakieś manewry personalne.

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Tego dnia rano, w czasie długiej pauzy między wykładami, grono słuchaczy Wyższej Szkoły Wojennej, przeważnie b. oficerów legionowych, zebrało się w hallu, prowadząc jakąś bardzo ożywioną dyskusję, ale ponieważ kilka dni temu ci sami oficerowie złożyli na ręce komendanta szkoły, gen. Dzierzanowskiego, jakiś protest w obronie rzekomo obrażonego przez część prasy Marszałka i protest ten nie został przyjęty, jako niezgodny z dyscypliną wojskową, przeto nikt się tym zebraniem nie zainteresował, w przekonaniu, że chodzi o jakąś nową petycję czy akcję.

Po beznamietnym wykładzie, prof. Dziewulskiego, z ekonomii politycznej, słuchacze zaczęli się rozchodzić, prowadząc zwyczajne rozmowy i przypominając sobie nawzajem, że tego dnia wieczorem mieli się spotkać na co-miesięcznym „komersie” koleżeńskim w Kasynie Garnizonowym przy Alei Szucha. Przechodząc z ulicy Koszykowej do swego mieszkania przy ulicy Wiejskiej, obok Sejmu i parku Frascati, nie zauważyłem niczego, co by mogło wskazywać na jakieś szczególne wydarzenia. Ruch uliczny normalny, hale targowe w pełnym rozgwarze handlowym, cukiernie wypełnione paniami, jak zwykle plotkującymi przy przedobiedniej kawie...

Wypadki polityczne ostatnich dni także nie wskazywały na konieczność jakiejś gwałtownej akcji. Po ustąpieniu gabinetu hr. Skrzyńskiego, Prezydent zaproponował marszałkowi Piłsudskiemu objęcie władzy. Marszałek mógł ją więc sprawować legalnie, bez uciekania się do buntu wojskowego. Przyszło mi na myśl, że może nowy premier, Witos, zagroził zwolennikom Marszałka jakimiś represjami i że marszałek Piłsudski działał w obronie własnej i swego obozu i tą demonstracją ostrzega sfery rządowe przed próbami stosowania gwałtownych pociągnięć politycznych i ciągłych przesilen. Wykluczając jakieś rozgrywki z bronią w rękę i uspokojony swym rozumowaniem, postanowiłem udać się na koleżeńskie zebranie, gdzie niewątpliwie otrzymam najnowsze wiadomości.

Aleje Ujazdowskie wypełnione były spacerującymi tłumami ale fragmenty usłyszanych rozmów dotyczyły prywatnych, nie politycznych tematów, co wskazywało, że zaognienie polityczne już się musiało skończyć albo, że nie jest tak mocne, aby wzbudzić namietności, czy nawet tylko zainteresowanie. Niestety ani optymizm tłumów, ani mój własny nie był uzasadniony.

Po przybyciu do Kasyna zastałem wprawdzie dużo kolegów naszego (2-go) rocznika W.S.W. ale byli to tylko ci, jak się później okazało, którzy jeszcze, tak jak ja, nie byli zorientowani w sytuacji i tu chcieli się dowiedzieć czegoś pewnego. Dowiedzieliśmy się więc niebawem, że wbrew wszelkim optymistycznym przewidywaniom, krew się już połała. Na moście Poniatowskiego miało miejsce w godzinach popołudnowych spotkanie między Prezydentem Wojciechowskim i marszałkiem Piłsudskim, podczas którego Prezydent stanowczo miał odmówić zalegalizowania buntu i uznania władzy rokoszan, wobec czego obaj dostojnicy rozeszli się i do głosu doszła broń. Wojska

„marszałkowskie” zdobyły most Kierbedzia i Śródmieście. Wobec tego, że 1. pułk szwoleżerów przystąpił do buntu a w Cytadeli trwała niewyjaśniona sytuacja, do obrony miasta po stronie Prezydenta pozostawała jedynie Szkoła Podchorążych Piechoty pod dowództwem słynnego pułkownika Sztabu Generalnego, Paszkiewicza, który był na moście Poniatowskiego w czasie decydującej rozmowy i ze swą Podchorążówką zagroził oba mosty.

W czasie naszych rozmów zjawił się nagle na sali senior rocznika, ppłk. A. Przeździecki, i zebrawszy nas, przemówił krótko :

— Pan marszałek Piłsudski wystąpił z częścią wojsk przeciw rządowi premiera Witosza. Z rozkazu gen. Malczewskiego, mianowanego właśnie ministrem spraw wojskowych na miejsce gen. Żeligowskiego, wzywam panów do bezwłocznego udania się ze mną do Belwederu, dla obrony osoby pana Prezydenta. Pewny jestem, że wszyscy panowie wykonają rozkaz legalnej władzy !

Po krótkiej ciszy wystąpił legionista, major Kędzior i oświadczył, że w chwili, kiedy rozstrzygają się losy Państwa, oficerowi nie wystarcza rozkaz i wezwanie do posłuszeństwa, bo każdy powinien ocenić sam, co mu robić wypada i działać tak, jak mu sumienie i przekonanie dyktuje.

Po chwili wszyscy opuszczali gmach ale część kolegów skrzyła za bramę w kierunku przeciwnym do Belwederu a więc niewątpliwie na Pragę lub do domów.

W tym krótkim momencie padły więc dwa hasła : posłuszeństwa wobec przysięgi i apel do lojalności wobec Naczelnego Wodza. W krótkim momencie trzeba było powziąć decyzję.

Przyznałem koledze Kędziorowi rację, że w takich momentach przesileniowych sam regulamin nie wystarcza. W czasie ostatniej wojny oddziały polskie wypowiadały posłuszeństwo Radzie Regencyjnej, czasami przechodziły z jednej strony na drugą i znajdowały uznanie Kraju. Teraz też każdy przeżywał konflikt duchowy; decyzja była ciężka, gdyż obie strony prowadzone były przez niezawodnych patriotów, którzy niewątpliwie kierowali się w swym postępowaniu względami dobra Państwa; decyzja była tym trudniejsza, że mało który z nas wtajemniczony był w grę polityczną obu obozów : trzeba się było kierować raczej intuicją niż rozumem, a moja intuicja mówiła mi tylko tyle : niewątpliwie marszałek Piłsudski miał ważne powody aby w ciężkim położeniu młodego Państwa zdecydować się na tak ryzykowny krok; niestety, przygotowując ten krok, Marszałek nie uznawał za potrzebne odwołać się do swych podkomendnych i wyjaśnić im motywy swego postępowania, uważając, że wojsko pójdzie za nim bez wahania. Brak pewnych osób na komersie i poprzednie knowanie pewnej grupy oficerów wskazywały jednak niebezpieczeństwo, że niektórzy ludzie byli wtajemniczani i dopuszczani do przygotowań; ludzie nie cieszący się zaufaniem, mogli więc nie być dopuszczeni na Pragę przez organizatorów

„puczu”. Trudno się było wpraszać w takim momencie a ponieważ pozostawanie „neutralnie” w domu oznaczałoby brak charakteru, nie pozostawało nic innego jak udać się do Belwederu, chociaż wobec stosunku sił należało spodziewać się rychłego zajęcia tego punktu. Rozum nakazywał więc raczej inny kierunek...

Niewątpliwie, decyzja ta nie była oparta na politycznych, czy innych głębszych podstawach, wynikała raczej z odruchowych refleksów, ale na żadne rozumowanie nie było czasu. Dopiero później, po przyjeździe do Belwederu i wymianie poglądów, przyszedłszy do przekonania, że krok nasz w każdym razie był zgodny z zasadami lojalności żołnierskiej wobec Prezydenta i uzasadniony sytuacją w jakiej się Państwo militarnie znajdowało. Nikt z nas nie był zachwycony awanturami niedojrzałego politycznie Sejmu i ciągłymi zmianami rządów ale wystąpienie marszałka Piłsudskiego nie było spowodowane jakimiś represjami wobec niego czy groźbą zamachu stanu a było spiskiem pewnej grupy wojskowej, nie opartym na masach ludowych, czy żołnierskich. Z różnych poprzednich wystąpień marszałka i obozu legionowego można było się domyślać, że chodzi o skończenie z anarchią sejmową ale nie wiadomo było o jaki system rządów spiskowcy walczą. W każdym razie, wobec takich sąsiadów jak Rosja bolszewicka i Niemcy i naszych stosunków wewnętrznych, wszelkie nieobliczone wystąpienia mogły doprowadzić do interwencji obcej lub anarchii. To przekonanie, które niewątpliwie podzielane było przez stronę przeciwną, wzbudzało w nas stały optymizm, że cała awantura długo trwać nie może.

Belweder tonął w zieleni parku, błyszczał światłami wszystkich okien, szumiał głosami setek oficerów, tłoczących się na dziedzińcu i po wszystkich zakamarkach, w bezradnym oczekiwaniu na dalsze wypadki. Wszyscy ubrani byli po garnizonowemu, bo wszyscy byli zdania, że lada chwila obie strony dojdą u góry do jakiegoś porozumienia i nie zechcą narażać Państwa na wielki wstrząs.

Członkowie rządu prezesa Witosa dopiero się schodzili i zaraz udawali się na górę, gdzie przebywał Prezydent Wojciechowski; przybył już minister Zdziechowski, Dzierżykraj-Morawski, Smolski, St. Grabski, gen. Malczewski i kilku postów sejmowych.

W pokoju adiutanckim zebrało się trochę starszyny wojskowej: gen. Rozwadowski, St. Haller, Zagórski, Kukiel, Jaźwiński, Pajewski, pułkownicy Szt. Gen.: Anders, Kleeberg, Fr. Paszkiewicz, Arciszewski i inni.

Szef gabinetu cywilnego Lenc, wojskowego płk. Gołogórski, kapelan ks. Tokarzewski, i adiutanci robili honory domu, nie wiedząc jednakże co robić o tej porze z takim zbiegowiskiem.

Około północy skończyła się narada rządowa i zaczęła wojskowa starszyny. Nie trwała ona długo: płk. Kleeberg zebrał

oficerów Sztabu Generalnego i nas, słuchaczy W.S.W. i oznajmił, że władza nad Państwem przechodzi do wojska w zakresie bezpieczeństwa, Rząd ogranicza się do spraw administracji. Gen. Rozwadowski mianowany został naczelnym wodzem wojsk rządowych, płk. W. Anders szefem sztabu Naczelnego Dowództwa, płk. Kleeberg kwatermistrem generalnym, gen. Dzierzanowski dowódcą korpusu warszawskiego (in partibus infidelium poniekąd). Płk. Kleeberg przystąpił do tworzenia sztabu a minister Malczewski ze swym sztabem ministerialnym wydał rozkazy dla ściągnięcia posiłków z głębi kraju.

Zacząto tworzyć też coś w rodzaju odcinka obrony Belwederu spomiędzy oficerów, uzbrojonych na prędce w jakieś karabiny, wydobyte z kompanii zamkowej. Mnie i dwom innym majorom przypadła „odpowiedzialna” funkcja posterunku pod-słuchowego na strychu, gdzie ongiś zapewne krył się książę Konstanty przed podchorążymi; gęsty kurz pochodził zapewne z tych samych czasów. Na sucho i na głodno spędziliśmy noc na słuchaniu odgłosów walki, pogwarkach i oczekiwaniu.

Sytuacja terenowa przedstawiała się w ciągu nocy następująco : wojska marszałkowskie doszły do Placu Saskiego i zajęły gmach Sztabu Głównego, opanowały Dworzec Główny i Aleje Jerozolimskie. Po stronie Rządu Szkoła Podchorążych Inżynierii i oddział sztabowy W.S.W. bronił Filtrów i lotniska, Szkoła Podchorążych Piechoty — Placu Trzech Krzyży i ulicy Koszykowej, szwadron przyboczny i „nieregularne” oddziały oficerskie — Belwederu.

Po stronie marszałka wystąpiła na razie 2. Dyw. Kaw., pułki warszawskie piechoty : 21 i 36, poza tym 22, 13 pp. i Baon Manewrowy z Rembertowa. Twierdza modlińska siedziała cicho.

Sytuacja strony rządowej w czasie nocy była krytyczna ale zarządzenia wojskowe wskazywały, że Prezydent nie zamierza się poddać i że wojna zaczyna się rozszerzać na prowincję ; w ciągu nocy zaczęły przybywać do Warszawy zaalarmowane jednostki z najbliższej okolicy : 10 pp. ze Skierniewic, 71 pp. z Ostrowi ; 30 pp. pozostał podobno wierny Rządowi w Cytadeli.

Na razie więc walczyły tylko oddziały korpusu warszawskiego a front ograniczał się do stolicy państwa. Gdyby strona przeciwna chciała zakończyć walkę, wystarczyło wysłać jeden batalion przez Łazienki na Belweder i zabrać Prezydenta, Rząd i Naczelne Dowództwo do niewoli...

Dzień robił się znowu piękny i promienny jak wczoraj.

Od samego rana rozpoczęła się strzelanina w sąsiedztwie Belwederu, to jest w rejonie koszar szwoleżerów i Ministerstwa Spraw Wojskowych, dokąd w ciągu nocy dotarł jakiś marszałkowski oddział od strony ulicy Kruczej. Nas, „obserwatorów” ściągnięto z posterunku i wraz z kilkunastu innymi oficerami wysłano pod komendą płk. Kleeberga na Rozdroże, celem obje-

cia urzędowania w Ministerstwie. Na czym to „urzędowanie” pod ostrzałem miało polegać nikt nie wiedział; zresztą urzędował tam już podobno gen. Składkowski ale z karabinem w ręku; misja była niebezpieczna i niepewna ale szliśmy z entuzjazmem, pomnąc, że po drodze leży Kasyno Garnizonowe, z naszą niekniętą wczoraj kolacją.

Niestety okazało się, że nie tylko wstęp do gmachu ministerialnego ale i do kasyna jest zablokowany, wychodząc bowiem z Alei Szucha, powitani zostaliśmy gęstym ogniem z okien gabinetu ministra, musieliśmy więc przebiec szybko zagrożony odcinek, tylko płk. Kleeberg nie przyspieszył kroku i nie zmienił swego kamiennego wyrazu twarzy. W ogrodzie kasynowym leżało trochę podchorążych, którzy mieli rozkaz zdobycia gmachu ale utknęli, wobec tego, że nie było doń żadnego podejścia bez silnego ostrzału; trzeba by użyć do pomocy artylerii ale tej po pierwsze nie było, a po wtóre, w rozbitym budynku „urzędowanie” byłoby jeszcze bardziej utrudnione.

Pozostawiając problemy taktyczne na razie na uboczu, postanowiliśmy natychmiast przystąpić do działań drogą niszczenia naszych wczorajszych zapasów; po wejściu do sali jadalnej okazało się jednak, że już jakaś grupa oficerów uprzedziła nas, ponieważ żadna ze stron walczących nie nosiła jakichś odznak specjalnych, dopiero podczas wspólnego posilania się wyszło na jaw, że nasza „konkurencja” składa się z obrońców Ministerstwa, przy czym kilku z nich należało do naszego rocznika W.S.W. Zgodnie z regulaminem i zasadami wojennymi należało przystąpić do natychmiastowego i wzajemnego zabierania się do niewoli ale głód był silniejszy i w drodze cichego porozumienia postanowiliśmy działania bojowe odroczyć aż do zakończenia śniadania i zapłacenia rachunku, który służba kasynowa neutralnie egzekwowała od obu stron walczących. Po śniadaniu rycerstwo było jednak tak usposobione sennie i pokojowo, że kiedy „marszałkowcy” zaczęli się kolejno wynosić, uważaliśmy, że fakt utrzymania kasyna w naszym ręku był wystarczającym wkładem do zwycięstwa, a ponieważ nikt z nas nie miał prawie broni, incydent skończył się bezkrwawo. Przeciwnicy zdążyli nam zresztą powiedzieć, że do obiadu wszystko zapewne skończy się pokojowo.

W międzyczasie płk. Kleeberg połączył się telefonicznie z Belwederem, skąd po zaznajomieniu się z sytuacją, kazano nam wracać natychmiast, rezygnując z załatwiania papierów ministerialnych.

Po przybyciu do Belwederu nie zastaliśmy żadnych zmian. Oficerowie wałęsali się beczynnie, w oczekiwaniu czegoś nowego, nie koniecznie dobrego. W górnych apartamentach radził Rząd, może więc coś uradzi. Nudząc się w atmosferze bierności i oczekiwania, postanowiłem udać się na Plac Unii, skąd dochodziły odgłosy walki o lotnisko i gdzie mieszkał mój przyjaciel. Tu, w przeciwieństwie do sztabu, kipiało życie frontowe, zmieszane z normalnym życiem pracującego w zwykły dzień (był

czwartek) miasta. Kolejka wilanowska funkcjonowała bez przeszkód, wyrzucając od czasu do czasu gromady pasażerów, którzy rozpraszali się po bocznych ulicach w drodze do swych zajęć, gdyż od strony Dworca Głównego przeciwnik prażył ogniem ckm'ów. Publika rozpraszala się w czasie strzelania, jak w czasie deszczu ale bez większego wrażenia. Tymczasem od strony pola wyścigowego zaczęło się jakieś mocniejsze natarcie, kupiłem więc na zapas papierosów (sklepy były otwarte) i nie chcąc być odciętym, pospieszyłem z powrotem, przynosząc najnowszy meldunek sytuacyjny z tego odcinka.

Załoga „Okopów Św. Trójcy” pochłonięta była całkowicie czytaniem porannych dzienników, które bez względu na front i orientację polityczne docierały bez przeszkód do Belwederu. Walki skupiały się na kilku wąskich osiach, pomiędzy którymi komunikacja międzyfrontowa odbywała się bez przeszkód. Służące i gospodynie z obu stron frontu zaopatrywały się bez wielkich trudności w halach targowych na Koszykowej, wymieniając równocześnie wiadomości bojowe. Jakiś żołnierz marszałkowski, wysłany z meldunkiem zgubił się i przyniósł meldunek do dowódcy rządowego oddziału; meldunek został pokwitowany a żołnierz odesłany z powrotem do swego oddziału z rozkazem do jego dowódcy zjawienia się ze swym plutonem na punkt, leżący po tej stronie frontu; dowódca połapał się jednak prawdopodobnie, gdyż nikt się nie zjawił.

Wiadomości, uzyskane z gazet były zapewne jedynym źródłem informacyjnym dla rządu, odciętego od większości kraju i swych środków łączności. Wynikało z nich, że kraj był zaskoczony wypadkami i większość prasy nawoływała do zakończenia bratobójczych walk, wskazując na niebezpieczeństwo ze strony sąsiadów, względnie elementów wrogich państwu. Organ socjalistyczne domagały się objęcia władzy przez marszałka Piłsudskiego, inne pokonania zbuntowanych wojsk a w razie niemożliwości, wejścia na drogę porozumienia. Jak dotąd, nigdzie nie doszło do wystąpień ludności, bunt był całkowicie operacją wojskową.

Moment szybkiego zakończenia operacji już minął; do rana można było zająć Belweder, bezbronny niemal ale obecnie sytuacja wojsk rządowych poprawiła się. Około południa zaczęły się wyładowywać na stacji Warszawa Zachodnia oddziały poznańskiej dywizji (57 i 58 pp.) i z orkiestrą i sztandarami przedefilowały przed Prezydentem. Widok doskonałego wojska napawał otuchą ale serce się ścisnęło, że te oto Jasie i Wojtki strzelać będą za chwilę do takich samych Jasiów i Wojtków, a przybyszało ich coraz więcej po obu stronach frontu.

Wobec rozszerzenia się frontu, który obecnie przebiegał od Wisły pod Czerniakowem, poprzez Plac Trzech Krzyży, Plac Zbawiciela, W.S.W. i Dworzec Towarowy, podzielono go na trzy odcinki: prawym dowodził gen. Kukiel, środkowym gen. Kędzierski (dowódca poznańskich oddziałów), lewym płk. Pasz-

kiewicz. Gen. Żymierski miał tworzyć w Ożarowie odwody z oddziałów, przybywających z prowincji, od zachodu.

Cytadela została stracona dzięki temu, że do koszar 30 pp., wiernego rządowi, zjechał samochodem gen. Burhard-Bukacki i zebrawszy oficerów, oświadczył im brawurowo, że w imieniu Marszałka arestuje dowódcę pułku, Modelskiego i wyznacza nowego dowódcę z jego ramienia. Zaskoczenie było zupełne, oficerowie nie widząc żadnej reakcji ze strony pułkownika, który stracił głowę, przyjęli milcząco rozkaz, nie ruszając się z miejsca. Typowy przykład psychicznego działania energicznego rozkazu na mentalność żołnierską.

W związku z oczekiwaniem na przybycie nowych wojsk sztab naczelnego wodza został również rozszerzony, ale zabrakło w nim przedstawicieli służb, z których nikt prawie nie zjawił się. Błędem zasadniczym było pozostawianie Prezydenta, rządu i dowództwa w Belwederze, kilkaset metrów od linii frontu, który w każdej chwili mógł być przerwany. Sfery najwyższe uznały jednak, że opuszczenie flagi na dachu belwederskim oznaczałoby przyznanie się do klęski a przecież lada chwila wojska rządowe miały odbić Warszawę. Na razie żadnych prawie walk nie było gdyż obie strony oczekiwały na nowe posiłki.

Jak się przedstawiała sprawa tych posiłków?

Rozkaz ministra Malczewskiego, skierowany do dowódców korpusów o wysłanie maksimum sił do Warszawy, spowodował na razie wysłanie tylko jednej dywizji z korpusu poznańskiego, którego dowódca, generał Sosnkowski, zaufany człowiek Marszałka, został postrzelony, czy usiłował popęlić zamach samobójczy, nie mogąc pogodzić lojalności wobec Komendanta z lojalnością wobec legalnego rozkazu. Liczono z pewnością na przybycie pułków Okręgu Wojskowego Kraków — gdzie rezydował oddany rządowi inspektor armii, gen. hr. Szeptycki. Dowódca Okręgu Lwów, gen. Sikorski, meldował, że ze względu na niepewne nastroje ukraińskie nie może obnażać pogranicza z wojsk. Z Okręgu Lublin (gen. Romer) i Brześć (gen. Rybak) wiadomości żadnych nie było, otrzymano natomiast niesprawdzone wówczas wieści o arestowaniu dowódcy Okręgu Toruń przez oddanego marszałkowi gen. Tommę i o buncie gen. Małachowskiego, dowódcy Okręgu Łódź. Okręg Wilno uważano zgodnie za stracony na korzyść marszałka. O Okręgu Przemyśl jakby zapomniano. Mimo, że otrzymane informacje nie pozwalały liczyć na wielkie siły, uważano, że większość wojska jest po stronie rządu. Strona przeciwna sądziła zapewne inaczej.

Niewykorzystaną prawie siłą było lotnictwo. Gen. Zagórski zapewniał wprawdzie, że nakazał bombardowanie kilku koncentracji „nieprzyjacielskich”, ale bomby nie bardzo chciały wybuchać albo nie było ich słuchać na mieście. Mimo tego to nieszkodliwe bombardowanie stało się obiektem silnych napaści prasowych na rząd, chociaż strona przeciwna bez skrępulów ostrzeliwała Belweder artylerią.

Ostrzeliwanie Belwederu spowodowało, że całe „bezrobot-

ne" rycerstwo zaczęło się gwałtownie tłoczyć po wszystkich salach budynku i aby pozbyć się nieproszonych gości, gen. Prich otrzymał rozkaz utworzenia z oficerów czegoś w rodzaju Legii Oficerskiej i wyprowadzenia tego oddziału z Belwederu na lotnisko, które broniło się szczupłymi siłami. Jedną z nielicznych ofiar ostrzału artyleryjskiego był płk. Anders, który został kontuzjowany w nogę, ale tym niemniej nie przerwał wydawania rozkazów.

Był najwyższy czas pozbycia się zbędnej ludności pałacu, gdyż nie tylko miejsca ale i jedzenia zaczęło już brakować. Szpizarnia prezydencka stała gościnnie otworem dla wszystkich (piwnica była przezornie zamknięta) ale obecnie trzeba ją było uzupełniać polciami słoniny i workami mąki, skredytowanymi przez administrację pałacu wilanowskiego. Będąc przydzielonym do IV Oddziału Sztabu miałem możność pomocy w organizowaniu zaopatrzenia oddziałów rządowych. Była to oczywiście kompletna improwizacja.

Oddziały miejscowe korzystały z zapasów mob. pułku szwoleżerów i lotników, oddziały poznańskie przybyły z własnymi zapasami żywności. Zaopatrzenie w amunicję odbywało się z Fortu Legionów i Fortu Dąbrowskiego na Mokotowie ale oba forty były pod ostrzałem przeciwnika.

Rannych opatrywały patrole sanitarne i dobrowolne harcerskie i ewakuowały do Szpitala Ujazdowskiego i Dzieciątka Jezus, bez względu na przynależność frontową, gdyż oba szpitale znalazły się na linii bojowej i były poniekąd punktami styku obu przeciwników. Nie działa się tam najlepiej tym biednym rannym, gdyż duża część obsługi szpitalnych nie mogła dotrzeć do pracy; najgorzej wyszły na tym położnice, które ze zdenerwowania bitewnego zaczęły masowo rodzić bez wielkiej pomocy fachowej. Kiedy pod wieczór na terenie szpitala wojskowego zaczęły się walki, część chorych pokazała się w chałatach w Parku Belwederskim, robiąc wrażenie masowych strat bojowych.

Wieczorem zaczęło się pokazywać w Belwederze wiele osób cywilnych; żadnej kontroli personalnej nie było, każdy przychodził więc, kto tylko chciał; przybyło mnóstwo reporterów, żądnych informacji, dużo posłów i senatorów prorządowych na narady, trochę akademików z prośbą o utworzenie z nich oddziału ochotniczego, przybył też (nie wiadomo dlaczego tutaj a nie na drugą stronę frontu) kompromitujący nas poniekąd politycznie oddział „faszystów”, o którym nikt nie słyszał ani przedtem ani potem, ale który od razu został posłany do obrony Parku Belwederskiego.

Ku naszemu zdumieniu pojawiło się też kilku naszych kolegów, którzy z wczorajszego komersu udali się wprost na Pragę. Z początku sądziliśmy, że „nawrócili się” ale po „wojnie” powiedzieli nam, że po prostu wysłano ich z zadaniem zebrania wiadomości.

Największą sensację zrobiło jednak pojawienie się gen. Żeligowskiego, dotychczasowego ministra spraw wojskowych,

o którego przyjęcie przez Prezydenta prosił telefonicznie sztab marszałka Piłsudskiego. Wszyscy byli przekonani, że przyjeżdża z „białą flagą” kapitulacyjną przyjęty więc był z wszelkimi honorami: wartownicy prezentowali broń, oficer służbowy zamkowy meldował się posłusznie, oficerowie salutowali z przejęciem a gen. Rozwadowski witał go rozpromieniony i zaprowadził do swego gabinetu. Na froncie była cisza. Niestety niebawem nastąpiło rozczarowanie; owszem generał przywoził propozycję kapitulacyjną ale dla wojsk rządowych a nie buntowników. Propozycja została oczywiście odrzucona, wszyscy salutowali odjeżdżającego generał-parlamentariusza, ale gen. Rozwadowski nie był już rozpromieniony. Ponieważ zaraz po wyjeździe generała Żeligowskiego znikła większość gości, między innymi i nasi koledzy, należało przypuszczać, że przybycie ich w tym samym czasie co generała, miało na celu dostarczenie personelu kierowniczego, na wypadek poddania się rządowi.

Po wyjeździe gen. Żeligowskiego stało się jasne, że bratobójcza walka rozgorzeje teraz na dobre; nikt nie zamierzał się godzić i poddawać; min. S. Grabski wyjechał do Poznania dla uzyskania poparcia dla Prezydenta. Humory opadły; nikt nie był przygotowany na taki obrót wypadków. Prezydent wyczuwał widocznie nastroje; wyszedłszy na dziedziniec, rozmawiał z oficerami i żołnierzami, tłumaczył im, że to nie z jego winy czy rządu muszą strzelać do swych kolegów, którzy po drugiej stronie robią to samo ale na skutek nielegalnych rozkazów.

Była już noc, kiedy wysłany zostałem do gmachu wojewódzkiego, dla uzyskania połączenia telefonicznego z odcinkiem płk. Paszkiewicza, gdyż z Belwederu nie można się było z nim połączyć. Odcinek bronił się ale mógł być w każdej chwili okrążony lub napadnięty.

Skorzystałem ze sposobności, aby się dowiedzieć, co słychać w moim mieszkaniu przy ulicy Wiejskiej. Sytuacja tam była niepokojąca, gdyż mieszkanie wychodziło oknami na ogród Frascati, który był punktem wypadowym na Szpital Ujazdowski. Ponieważ rozmawialiśmy z żoną poprzez linię frontu, dowiedziałem się więc, że po tamtej stronie życie pulsuje na ogół normalnie, tylko trzeba uważać podczas strzelania i chodzić daleko po wodę, bo czasem zamykają wodociągi. Pocieszywszy rodzinę, że jutro zapewne będę już w domu, udałem się z powrotem cichymi Alejami Ujazdowskimi do Belwederu.

Koledzy układali się właśnie do snu, w ślicznym saloniku księżny Łowickiej, robiąc sobie ze wspaniałego dywanu smyrneńskiego posłanie a poduszki z gobelinami obitych foteli, ubieczając je na szczęście chusteczkami do nosa. Komentowano żywo ostatnie wiadomości dziennikarskie, które na czołowych miejscach podawały informacje o zamierzonym strajku kolejarzy celem przeciwdziałania przewożeniu wojsk rządowych. Akcja ta równała się przystąpieniu sfer robotniczych do obozu marszałka Piłsudskiego przeciw centro-prawicowemu rządowi a jeśli chodzi o jej znaczenie wojskowe, to właściwie przesądzała o likwidacji

oporu wojsk rządowych, walczących w Warszawie, gdyż na żadne posiłki liczyć już nie było można. Dzień jutrzejszy powinien być właściwie dniem pertraktacji o kapitulację czy ustąpienie rządu.

Po uzgodnieniu powyższych poglądów, chrapania zaczęły się rozlegać ze wszystkich kątów, tylko Modest palił długo, zajęty snadź innymi myślami, bo zasypiając, jęczał: „nie masz kobiet w naszej chacie”.

Słońce spoglądało już z wysoka, kiedy Belweder, odległy o kilkaset metrów od linii frontu, spał jeszcze mocno. Spał Prezydent, spał rząd, spał sztab, spała służba, nawet dwaj gwardziści, stojący jak dwa posągi przy wejściu do apartamentów prezydenckich, robili wrażenie uspiionych figur; na szczęście spał, zdaje się, i nieprzyjaciół, gdyż noc przeszła spokojnie.

Koło godziny 8-ej zawrzała walka na nowo. Rozeszły się radosne słuchy, że pomimo strajku kolejowego, dwie dywizje poznańskie przybyły na Warszawę Zachodnią ale to był „latrynogram”. U przeciwnika natomiast zidentyfikowane zostały 1 Leg. DP, 28 DP, 9 DP, 2 D.K. a dwie dywizje legionowe były już podobno w drodze. Przewaga była więc zupełna, gdyż po stronie rządu ciągle walczyły tylko te same 3 pułki piechoty, Szkoła Podchorążych i drobne oddziały, toteż skutki przewagi przeciwnika nie dały już na siebie długo czekać.

Około południa nastąpiło główne natarcie grupy gen. Bończy-Uzdowskiego na Szkołę Podchorążych Inż. i W.S.W. Oba te punkty zostały zdobyte, przy czym z naszych kolegów zginął tam major Świerczewski, mjr. Mięśowicz i rtm. Giżycki a mieszkający w szkole dyrektor nauk W.S.W. francuski pułkownik Faury i jego rodzina przesunęli się pod ochroną francuskiej flagi do piwnic.

Po południu nastąpił kryzys; w ślad za szkołami zdobyte zostało lotnisko mokotowskie a dowódca lotnictwa, gen. Zagórski, dowódca odcinka lewego płk. Paszkiewicz i chmary oficerów, którzy odeszli wczoraj do obrony tych punktów, pojawiły się z powrotem w Belwederze. W centrum został zajęty Plac Unii Lubelskiej i widoczna z Belwederu restauracja „Bagatela” (została się nam tylko „Sielanka” — zauważył ktoś smutnie) i Ujazdowski Szpital Wojskowy, tak, że front przechodził już wzdłuż odległej od Belwederu o kilkaset metrów ulicy Agricola a na prawym skrzydle alarmowano, że baon 71 pp. (drugi baon walczył po stronie rządowej, tak, że omal się ze sobą nie spotkały) przeprawia się przez Wisłę pod Czerniakowem.

Około godziny 2-ej nastąpiła właściwie agonia obrony. Od strony lotniska oddziały gen. Bończy dochodziły do skarpy mokotowskiej, skąd mogły mieć wgląd w całą dolinę Czerniakowa i Wilanowa. Oddziały, przekraczające Wisłę odcinały jedyną drogę odwrotu na Wilanów.

Zdaje się, że tak szybkiego zwrotu sytuacji na gorsze nikt

z najwyższych sfer nie przewidywał, gdyż można było wyczuć nagle zamieszanie aby nie powiedzieć panikę; jedna decyzja, goniła drugą. A więc około 2.30 otrzymaliśmy rozkaz pakowania map i dokumentów sztabowych. Ta regulaminowa ale niezyciowa czynność nie zabrała nam wiele czasu, gdyż cała kancelaria sztabowa dała się pomieścić w jednej kieszeni; większe wrażenie w związku z decyzją wymarszu zrobiła na nas sprawa obuwia, gdyż większość niefortunnych „komersantów” paradowała w lakierkach, które wraz z nieuchronnymi odciskami mało nadawały się dla celów wojennych.

Ponieważ w budynku robiło się coraz duszniej, wyszedłem na taras pałacowy aby jeszcze zaczerpnąć powietrza ale kiedy po chwili wróciłem, zastałem kompletnie zmienioną sytuację w związku z nowym rozkazem bronięcia siedziby Prezydenta do ostatniego oporu i właśnie natrafiłem w hallu na patetyczny moment, nadający się tylko do obrazów historycznych lub filmów:

Na schodach stał pan Prezydent, przejęty ale spokojny i dostojny, w otoczeniu ministrów i adiutantów; na dole, grupa generałów i oficerów otaczała ministra gen. Malczewskiego, który ze łzami w oczach i sztandarem prezydenckim w rękę, przemawiał do Prezydenta, przysięgając ze wzruszeniem, że będziemy bronili majestatu Rzeczypospolitej i legalnej władzy do ostatniego tchu i naboju.

Z przejściem i entuzjazmem wznesiono następnie kilka okrzyków na cześć włodarza państwa, a potem odśpiewano fałszywie, i nie wiadomo dla czego, „Rotę” Konopnickiej. Wyobraziłem sobie przez chwilę ze strachem, że w międzyczasie Niemcy wypowiedzieli nam wojnę. Wyśmiewano potem tę scenę ale była ona odbiciem napięcia nerwowego i wyrazem najlepszych uczuć żołnierskich.

Następnie wydano nam karabiny i kazano zająć stanowiska przy oknach. Spoglądaliśmy na siebie ironicznie, gdyż wyglądało to wszystko niepoważnie i beznadziejnie ale nikt nic nie mówił aby jak najdłużej zachować złudzenie pewności siebie. Złudzenie to zostało raptownie przerwane przez gen. Malczewskiego, który z nieprzytomnym wzrokiem zjawił się w naszym pokoju i zapytał mnie, siedzącego na fotelu przy oknie, czemu nie strzelam. „Nie ma do kogo, panie generale!” „Tak jest, nie ma do kogo — nie strzelać!” — krzyknął i wyleciał z pokoju. Teraz już wiedzieliśmy, że chodzi raczej o jakiś efektowny gest ginącego reżymu ale nie o przemyślaną akcję, którą nie można było pokierować z odległości strzału karabinowego od przeciwnika. Byliśmy więc przekonani, że kapitulacja została postanowiona ale odkłada się ją jeszcze do ostatniego momentu.

Tymczasem, po krótkiej chwili, nastąpiła następna zmiana decyzji. W drzwiach ukazał się Prezydent z pułkownikiem W. Andersem. Z urywków rozmowy między nimi zorientowaliśmy się, że Prezydent nakazywał kapitulację, aby uniknąć dalszego

przelewu krwi, natomiast płk. Anders nalegał na przebicie się na Wilanów i odejście na zachód.

— Za późno! — powiedział Prezydent.

— Lepiej przebijając się za późno, niż poddawać zawczasie buntownikom!

— No... więc... niech będzie, spróbujmy — zgodził się Prezydent.

Tak więc po kilku wahaniach, zapadła nareszcie decyzja, bardzo mocno spóźniona i prawie niewykonalna, wyjścia z Warszawy.

Strzelanina trwała nadal i pociski padały na Belweder, kiedy organizował się orszak dla ochrony głowy państwa i zaczął się pochód, przypominający ni to procesję kościelną, ni to pogrzeb: na czele kroczył komendant miasta, gen. Suszyński, za nim żołnierze ze sztandarem Prezydenta, następnie Prezydent, w palcie, cyklistówce i z olbrzymią pałą w ręku, flankowany przez dwóch gwardzistów z wyciągniętymi szablami i robiący z tego powodu wrażenie skazańca, idącego na stracenie; za Prezydentem panowie z cywilnego i wojskowego gabinetu, członkowie rządu z premierem Witosem i niebotycznym ministrem Dzierżykraj-Morawskim, sztab naczelnego wodza, wreszcie na końcu nieprzydzieleni oficerowie i wierny oddział „faszystów” (na ogół w białych koszulach).

Spuszczając się krętymi drogami Parku Łazienkowskiego, dotarliśmy do Pomarańczarni, gdzie wywiązała się bezładna strzelanina, ponieważ dołączający do nas jako straż przednia szwadron przyboczny Prezydenta (z powodu tych samych otoków) wzięto za 1 pułk szwoleżerów. Na szczęście nasz oddział oficerski strzelał tak podle (może celowo?) że żadnych strat nie było po stronie gwardzistów, natomiast byli ranni wśród orszaku prezydenckiego, dosięgnięci przypadkowo za wysokimi i nie do nas skierowanymi snopami ognia ckm'ów. Niebawem wyszliśmy przez jakąś dziurę w parkanie na ulice Czerniakowa; nie nadawały się one na tło do dramatów historycznych. Mieszkańcy brudnych, walących się drewniaków wylegli na ulicę i ze zgrozą lub odwrotnie, z uciechą, patrzyli na ponure widowisko, wypowiadając uwagi nie świadczące o sympatiach do rządu, któremu przewodniczył zwycięski chłop-premier z czasów wojny. Prezydent zachował się z godnością; kiedy zajechała jakaś bryczka, dla niego przeznaczona, nie wsiadł lecz kazał w niej umieścić rannych.

Po wyjściu z zabudowań na równinę, można było jednym rzutem oka objąć całą rządową „siłę zbrojną”, spływającą ku szosie kilkoma pokojowymi batalionami i formującą jedną kolumnę, ubezpieczoną strażą tylną, dowodzoną przez gen. Kuksia.

Oderwanie się od nieprzyjaciela, który dał nam ujść z worka i groteskowość całej tej „wojny” spowodowały zmianę na-

strojów, która uwidoczniła się w chwili, kiedy jakiś patrol 11. pułku ułanów, wypłoszony spomiędzy chałup, zaczął galopować ku miastu wzdłuż kolumny. Poniektórzy strzelcy o myśliwskim nastawieniu poderwali się, słusznie, aby strzelać do biednych ułanów ale inni żołnierze nie pozwolili im celować; oficerowie widzący ten incydent, nie uważali widocznie za stosowne interweniować, można więc było wnioskować, że sprobowali ten upadek nastrojów bojowych. Prawdę mówiąc, tak było, gdyż w gorączce walki strzelano do siebie ale teraz po ochłodnięciu, zgroza tej bratobójczej walki i beznadziejność sytuacji spowodowała pewne refleksje, którym sam Prezydent dał wyraz jeszcze w Belwederze.

Wśród takich nastrojów i w milczeniu, które w wojsku nie wróży nic dobrego, gdyż dobrze jest wtedy, kiedy żołnierz śpiewa lub klnie ale robi swoje — kolumna zaczęła dochodzić pod wieczór do Wilanowa. Prezydent i generalicja udała się do pałacu, a wojsko odpoczywało w rowach. Byliśmy przekonani, że niedługo zaczną się jakieś rokowania „pokojowe”, gdyż amunicji zaczęło już brakować, bitwa została przegrana i aby wygrać nową trzeba by zarządzić mobilizację, skoncentrować siły i zasoby i zacząć regularną wojnę; nie mogliśmy uwierzyć aby wobec odwrotu, przewagi „przeciwnika”, strajku kolejowego, nastrojów ludności i groźby strajku generalnego, rząd chciał się dalej trzymać u władzy a Prezydent go nadal popierać, aczkolwiek zachodziła obawa, że — jeśli nastroje większości prasy opierały się na prawdzie — rewolucyjny rząd, opierać się będzie na skrajnej lewicy.

Tymczasem około godziny 9-ej, „wśród nocnej ciszy”, rozległ się spokojny głos płk. Kleeberga, nakazujący kolumnie dalszy marsz na Jeziornę. Piorun z jasnego nieba nie zrobiłby większego wrażenia ale ponieważ rozkaz był wyraźny a trawa mokra, przeto zmęczone, głodne, przybite wojsko poczłapało karnie dalej... niedaleko. Po pół godzinie nadjechał oficer z rozkazem, że kolumna ma się zatrzymać a sztab udać się do pałacu wilanowskiego. Właściciele lakierków oświadczyli, że już wolą tu poczekać na nowy rozkaz dalszego marszu, kolumna zachrapała natychmiast a nasza gromadka sztabowa z rezygnacją i chwiejnymi krokami udała się do Wilanowa, potykając się o śpiących wojaków.

Po przyjeździe do pałacu skierowano nas do sali jadalnej, co znacznie poprawiło nasze humory; niestety nie oczekiwała nas tam żadna kolacja. W olbrzymiej sali zebrało się kilkudziesięciu oficerów, ogromne pajaki oświecały całe towarzystwo, adiutanci przestrzegali dworskich manier, każąc zdejmować płaszcze i zapinać guziki; dwóch nieodzownych gwardzystów stało u wejścia do innej sali, gdzie ponoć odbywała się narada u Prezydenta; żadna decyzja jeszcze nie zapadła więc zgłodniałe rycerstwo rozeszło się w poszukiwaniu jedzenia i po skromnych zakąskach zległo gdzie się dało po podłogach, aby trochę podrzemać.

Około północy przyniósł nam ktoś do naszego pokoju w ofi-

cynie dawno spodziewaną wiadomość o złożeniu władzy Prezydenta w ręce marszałka Sejmu, Rataja; rząd oczywiście też ustąpił. Wojna się więc skończyła, rewolucja zwyciężyła ale zmęczenie nasze było tak silne, że bez komentarzy i wrażenia zachrapaliśmy wkrótce na nowo.

Z obolałymi kośćciami i głodem powitaliśmy nowy piękny poranek. Było chłodno, bo przecież był to 15. maj, „zimna Zośka”. Brudni i nieogoleni, snuliśmy się po parku w oczekiwaniu na pozwolenie wyjazdu do domów. Ale rozkazy poszły w innym kierunku: pogotowie bojowe jeszcze trwało i na razie mieliśmy nadal pozostać w Wilanowie. Gen. Rozwadowski wysłał do Warszawy płk. Kutrzebę na pertraktacje. Jeden oficer z otoczenia pułkownika powrócił niebawem z meldunkiem, i wyjaśnił nam, że właściwie nie toczą się żadne pertraktacje a po prostu chodzi o wykonanie rozkazów marszałka Piłsudskiego, który automatycznie przejął komendę nad obiema stronami i określa właśnie sposób likwidacji walk, zaopatrzenia i transportów do właściwych garnizonów. Dwie dywizje rządowe, które jeszcze wczoraj przybyły z Poznania, zostały zatrzymane beczynninie w Ożarowie przez gen. Żymierskiego, aczkolwiek użyte we właściwym czasie i miejscu, mogły zmienić radykalnie sytuację na korzyść rządu. Sztab gen. Rozwadowskiego miał pozostać nadal w rejonie pałacu jako internowany; Prezydent i członkowie gabinetu wyjechali do Warszawy jeszcze w nocy.

Okolo godziny 3-ej po południu cały sztab zebrał się w jednym z salonów, aby wysłuchać relacji płk. Kutrzeby, który wrócił ze stolicy. Pułkownik powiadomił wszystkich, że na mocy wzajemnego porozumienia starych i nowych władz, wojska rządowe skapitulowały i przeczytał warunki kapitulacji. Gen. Rozwadowski, blady i ponury, położył po pewnym wahaniu swój podpis i bez słowa wyszedł z generalicją do parku.

Na mocy aktu kapitulacyjnego wojska otrzymały rozkaz zdjęcia wszelkich ubezpieczeń i udania się na kwatery przejściowe, w oczekiwaniu na rozkazy do marszu powrotnego. Natychmiast potem oddziały „Strzelca”, walczące po stronie przeciwnej, rozpoczęły strzelaninę, mimo, że na dziedzińcu pałacu pojawili się parlamentariusze strony przeciwnej, dla kierowania ewakuacją wojska. Nie zdążyli jeszcze załatwić sprawy strzelaniny, kiedy poderwani zostaliśmy wybuchami pocisków artyleryjskich, padających wprost między nas. Por. Narzyski ze szwadronu przybocznego i kilku ułanów, zostało rannych odłamkami granatów. Wyglądało na to, że po kapitulacji zaczyna się „likwidacja” bezbronnych. Parlamentariusze marszałkowscy nie mieszkając wsiadli do aut ale powrócili niebawem z wyjaśnieniem, że zaszły jakieś nieporozumienia w sygnalizacji rozkazów bojowych i że rozkazy o zaprzestaniu walk nadal obowiązują obie strony.

Po objęciu kierownictwa przez oficerów Marszałka nastąpiła likwidacja dowództwa rządowego: gen. Rozwadowski, Malczewski, Kukiel, Zagórski i, z nieznanych powodów, major Zawadzki z Biura Historycznego, wywiezieni zostali do Warszawy pod eskortą a pozostałych oficerów przeprowadzono do restauracji wilanowskiej i otoczono posterunkami. Pomysł siedzenia w restauracji w oczekiwaniu na dalsze wypadki nie był zły, niestety, poza herbatą, niczego w niej nie można było dostać. Drzemiąc na stołkach, przesiedzieliśmy tam do rana.

Nazajutrz, 16 maja, kolejka wilanowska zaczęła funkcjonować normalnie, z czego można było wywnioskować, że nowy rząd potrafił zlikwidować stan wyjątkowy i strajk kolejowy. Uzyskawszy pozwolenie a nawet zachętę gen. Dzierzanowskiego, naszego seniora wśród „jeńców”, wyszedłem z „obozu” na stację, kupiłem zwyczajnie bilet i bez żadnych wzruszeń dotarłem do stolicy, w pustym przedziale.

Miasto wyglądało normalnie. Wprawdzie tu i ówdzie leżały jeszcze trupy końskie ale ludzkich na szczęście już nie było; nastroje publiczności wyrażały się przede wszystkim w patrzeniu spode łba na mundury; dyscyplina wojskowa zwycięzców widocznie upadła, gdyż nie wszyscy żołnierze salutowali, chociaż nie mogli wiedzieć, że idzie ich niedawny „wróg”; sklepy były otwarte, życie toczyło się zwyczajnym korytem.

W domu wiadzano już o wszystkim, ordynans przybył z wiadomością, że po zajęciu W.S.W. potrzymano kompanię sztabową w koszarach ale dziś wypuszczono ją i kazano wrócić do zajęć. Wieczorem dowiedziałem się, że wszyscy koledzy z Wilanowa zostali puszczeni do domu, że gen. Dzierzanowski objął z powrotem komendę W.S.W. mimo należenia do strony rządowej i że nazajutrz mieliśmy się wszyscy stawić przed kościołem Trzech Krzyży dla oddania ostatniej posługi naszym zabitym kolegom; wynikało z tego, że na razie z wojska nas jeszcze nie zwolniono.

Kiedy spotkaliśmy się następnego dnia przed kryptą kościelną, po raz pierwszy razem, przedzieleni tymi kilkoma dniami, nie bardzo wiedzieliśmy, jak się wobec siebie zachować; od razu wyrobił się mimowolny podział na dwie grupy: zwycięzców i zwyciężonych („neutralni” przyłączyli się, oczywiście, do zwycięzców!) Kiedy trzeba było złożyć trumny kolegów, z których wszyscy polegli w obronie legalności, „zwyciężeni” posunęli się łąką aby wyręczyć „piśsudczyków” w tej smutnej przysłudze.

Gdy nasz koleżeński kondukt wyruszył ku cmentarzowi, w stronę dalekich Powązek, ze wszystkich stron zaczęły się wysuwać nowe orszaki pogrzebowe, tak, że na ulicy Dzikiej utworzyła się przed — i za — nami kilometrowa kolumna trumien i ludzi. Były to same ofiary wojskowe i cywilne bratobójczej

walki, chowane prawie wszystkie na cmentarzu wojskowym i na koszt rządu. Cała Warszawa była reprezentowana, gdyż zabici pochodzili przeważnie spośród ludności miejscowej i garnizonu warszawskiego. Nastroj był ponury i ściskający serce, szczególnie na cmentarzu, gdzie zebrali się tysiące ludzi. Ten masowy pogrzeb był najwymowniejszym wyrazem, przeżywanym przez kraj tragedii.

Następnego dnia zebraliśmy się po tygodniowej prawie przerwie w auli szkolnej. Mimowolna segregacja, spowodowana odrębnością dwu obozów walczących i podzielonej lojalności, trwała nadal, mimo pozornej, wzajemnej uprzejmości. Nienawiści nie było; przyszłe stosunki zależały od sposobu traktowania zwyciężonych przez najwyższą władzę wojskową.

Gen. Dzierzanowski, który, mimo wszystko, pozostał nadal na stanowisku komendanta W.S.W. ku zadowoleniu wszystkich, przemówił do nas krótko, apelując, aby zapomnieć o wypadkach i nie prowadzić rozmów na te tematy, celem uniknięcia drażliwych wspomnień. Zapowiedział też, że będzie tępił wszelkie prowokacje czy obrazy z równą surowością wobec obu stron.

Przeszliśmy do sal wykładowych; jakaś delikatna ręka położyła bukiet kwiatów na pulpitych poległych kolegów i odtąd zawsze ktoś tam kładł świeże kwiaty. Przejście do normalnych zajęć z pola walki odbyło się tak raptownie, jak przejście od zajęć do walki. Na katedrę wystąpił jeden z wykładowców-Francuzów i nawiązał do przerwanego tematu. Wyglądało to trochę nonszalancko ale działało kojąco.

Oceniając przewrót majowy z czysto wojskowego punktu widzenia, nie można powiedzieć, aby wykonanie go było godne podziwu i służyć mogło za wzór do tego rodzaju akcji bojowych na przyszłość.

Strona rządowa była zaskoczona, gdyż do ostatniej chwili nie wierzono, aby marszałek Piłsudski posunął się poza granicę groźby; jednakże i po stronie przeciwnej nie przypuszczano zapewne, aby przebieg wypadków doprowadził do takich krwawych walk. Nie do pomyślenia jest aby przy jakimkolwiek przygotowaniu wojskowym rewolucja ta mogła trwać aż trzy dni. Belweder, a z nim i całe kierownictwo państwowe, mogło być wzięte już pierwszego wieczora. W pierwszym dniu walk rząd nie dysponował prawie żadną siłą bojową. Rokoszanie byli pewni, jak mi jeden z kolegów piłsudczyków wyjaśnił, że Prezydent Wojciechowski ugnie się przed autorytetem Marszałka i uzna jego władzę; spotkanie na moście Poniatowskiego nie potwierdziło przewidywań i słaby, zdawałoby się, wódarz Rzeczypospolitej postanowił bronić praworządności, bez względu na swe własne bezpieczeństwo; dopiero od tego momentu zaczęło się planowanie działań po obu stronach.

Wypadki majowe były operacją wojсковą; ludność udziału w nich nie brała; kilkanaście tysięcy na przedce skoncentrowanych żołnierzy zdecydowało o losach walk i państwa; nie wszystkie oddziały zdążyły na pole walki, dzięki strajkowi kolejarzy, którzy w tej formie przyczynili się do wyniku. Dobór oddziałów nie zależał od uprzednich przewidywań; o przystąpieniu do tego czy innego obozu decydował w wielu wypadkach rozkaz wyższego przełożonego, rzadziej inicjatywa lokalna; w braku rozkazu, dowódcy pozostawali neutralnie na miejscu. Jest to dowodem, że w wojsku ani *polityki* ani *entuzjazmu* do walki bratobójczej nie było, wbrew temu, co wojsku przedtem i potem zarzucano. W niektórych wypadkach, dowódcy pułków, w razie otrzymania rozkazu sprzecznego z własnym sumieniem, kończyli samobójstwem, pozostawiając wykonanie rozkazu następcy; przechodzenia na drugą stronę w czasie walk nie było; najdziwniej w świecie potoczyły się wypadki w 71 pp.: jeden baon walczył przeciw drugiemu; dowódca pułku, chwiejny i niezdecydowany płk. Boruta-Spiechowicz, pozostał „neutralnie” w koszarach. Dużą sympatię obu stron zyskał dowódca 11 pułku ułanów, płk. G. Mochnacki. Zastępca dowódcy, legionista, wiedział, że pułkownik poprowadzi pułk do Belwederu, zarządził więc na własną rękę alarm, zabraniając budzić dowódcę i oczywiście zameldował się u Marszałka. Pułkownik, dowiedziawszy się po przebudzeniu o wypadkach, kazał osiodłać konia i pocwałował za pułkiem, aby — jak powiedział — obserwować z daleka, czy pułk będzie się bił porządnie i nie zrobi mu wstydu; po wypadkach, płk. Mochnacki poprosił o dymisję, ale marszałek mianował go brygadierem! Również płk. Paszkiewicz i Anders otrzymali wyższe stanowiska. Niestety szereg zasłużonych generałów i oficerów, walczących po stronie rządu zostało usuniętych z funkcji, poczynając od gen. Rozwadowskiego, Hallera, Zagórskiego i Kukiela.

Żołnierz polski zdał w tym trudnym momencie egzamin bojowy z odznaczeniem; szedł z zaufaniem za swym oficerem, nie politykując i bił się doskonale, o czym świadczyć może tysiąc ludzi zabitych i rannych.

Jeśli chodzi o operacje, to obie strony popełniły błąd zasadniczy: strona atakująca przez powstrzymanie się od ataku na Belweder, strona broniąca się przez obronę Belwederu do ostatniego momentu. Kordonowość frontu, brak manewru i głównego kierunku uderzenia, względnie obrony, oto pozostałości złej taktyki z ubiegłej wojny!

Narody Rzeczypospolitej zdały egzamin dojrzałości politycznej. Kłócono się aż do ostatniego momentu, ale z chwilą rozpoczęcia pojedynku wojkowego, zachowano spokój i nie dano się nigdzie sprowokować do wystąpień anty-państwowych, unikając w ten sposób interwencji zagranicznej i anarchii.

Nauka i sensacja

Dziesięć lat minie w bieżącym roku od owego dnia, gdy koło źródła Ajn-Feszka nad Morzem Martwym, nieznany nikomu syn pustyni, Muhammad adh-Dhib ze szczepu Taamire, natrafił na sławną dzisiaj jaskinię z rękopisami (*). Przez ten krótki czas na temat owych znalezisk powstała olbrzymia literatura. Mająca wkrótce ukazać się bibliografia, ułożona przez Chr. Burcharda, podaje na koniec 1955 roku około półtora tysiąca poważnych studiów naukowych. Drobnych notatek i artykułów popularnych nikt już dzisiaj nie potrafi zliczyć nawet w przybliżeniu. Nie ma bodaj żadnego języka kulturalnego, w którym by badacze nie ogłaszali swoich prac o tych dziełach, zazdrośnie ukrywanych przez pustynię przez dwa tysiąclecia: interesują się nimi nawet w Japonii.

Nie tylko naukowcy, ale nawet szerokie masy kulturalnej publiczności poświęcają nowym odkryciom coraz więcej uwagi. Temat ten zdobył już sobie obywatelstwo na łamach prasy codziennej. Ostatnio Edmund Wilson, współpracownik dziennika *The New Yorker*, zamieścił tam cykl reportaży, dla przygotowania których odbył specjalną podróż do Palestyny i zachodniej Europy i przeprowadzał wywiady z beduinami, komisjonerami i uczonymi. W rezultacie zebrало się materiału na całą monografię która stała się w Ameryce *bestseller'em*.

Niestety, gruntowność nie zawsze cechuje osoby piszące o nowych znaleziskach; większości chodzi jedynie o zadowolenie czytelników chciwych sensacji. Taką okazję znaleźli niektórzy dziennikarze w wystąpieniu J.M. Allegro. Jest on wykładowcą na Uniwersytecie w Manchester, a należąc do międzynarodowej ekipy, zajmującej się segregacją i badaniem rękopisów

(*) Por. „Kultura” Nr 9/71, 5/79 i 6/104.

z Kumran, spędził dłuższy czas w Jerozolimie. Po powrocie do Anglii kontynuował swe prace, ogłaszając w sierpniu 1954 roku część wyników na Międzynarodowym Kongresie Orientalistów w Cambridge. W dniu 23 stycznia 1956 roku Allegro wygłosił przed British Broadcasting Corporation odczyt bardzo brzemienisty w skutki. Prasa podchwyciła temat rozdmuchując i komentując go na swój sposób.

W końcu Francuska Szkoła Biblijna i Archeologiczna w Jerozolimie, kierująca akcją badania rękopisów Morza Martwego, została zmuszona do interwencji. W dniu 16-ym marca 1956 dyrektor Szkoły, dominikanin Ojciec Roland de Vaux, ksiądz Jean Starcky, ksiądz Józef Tadeusz Milik, Msgr. Patrick W. Skehan z Uniwersytetu Katolickiego w Washington i John Stragnell z Prezbiteriańskiego Jesus College w Oxford, ogłosili w londyńskim *Times* list do redakcji. W liście tym stwierdzono, iż po dokładnym przejrzeniu wszystkich posiadanych tekstów nie znaleziono żadnego, który by, jak twierdzi Allegro, zawierał wiadomość o ukrzyżowaniu Nauczyciela Sprawiedliwości i o dalszych jego losach.

W swojej odpowiedzi, ogłoszonej również na łamach *Times'a*, Allegro wyjaśnił, iż twierdzenie o ukrzyżowaniu i następnych wypadkach oparł na łańcuchu supozycji. Nauczyciel Allegro, profesor Uniwersytetu w Manchester H.H. Rowley, wyraził swoje ubolewanie z powodu nienaukowego przedstawienia opinii publicznej rzeczy jedynie domniemanych: „P. Allegro był jednym z najbardziej obiecujących uczniów, jakiego kiedykolwiek miałem i jest on zdolny do wykonania subtelnej pracy. Należy żałować, iż powierzono mu wydanie tekstów bez kontroli”.

Ten i podobne głosy rozważy nie uspokoiły żadnych sensacji dziennikarzy, którzy dalej kontynuowali swoją działalność, stwarzając jak najbardziej niezdrową atmosferę dookoła odkryć na pustyni Judejskiej. Na tę okoliczność wskazał w swoim artykule (*Frankfurter Allgemeine Zeitung für Deutschland*, sobota 2-go czerwca 1956 roku), prof. K.G. Kuhn z Heidelbergu, jeden z członków wspomnianej ekipy, piętnując niedopuszczalność podobnych metod i ich szkodliwość dla prawdziwej pracy badawczej. „Nauka nie znosi żadnej sensacji” tak był zatytułowany artykuł prof. Kuhna. Los jednak chciał, iż zaledwie w tydzień później (*Welt am Sonntag*, 10-go czerwca 1956 roku) ten sam autor z nieukrywaną satysfakcją i triumfem donosił o nowej sensacji, tym razem może nawet bardziej pasjonującej i zrozumiałej dla szerokich mas. Chodziło obecnie nie o wartości abstrakcyjne, duchowe, lecz o najbardziej realne skarby ukryte w pustyni.

Jak przypominają sobie czytelnicy, w toku przeszukiwania okolic Kirbet-Kumranu znaleziono w jednej z jaskiń błachę miedzianą, która pierwotnie miała wymiary 30 cm. na 2 m. 40 cm., później zaś była pocięta na trzy jednakowej wielkości zrulowane kawałki. Zwojów tych nie można było od razu rozwinąć, gdyż były mocno zaśniedziałe i kruche. Na blasze były wybite jakieś

napisy; z warstwy zewnętrznej można było wywnioskować, iż nie był to żaden tekst biblijny. W swoim czasie, po dokładnym przestudiowaniu części powierzchni widocznej na zewnątrz, prof. Kuhn wysunął przypuszczenie, iż na blachach wybity jest opis kryjówki, w której w czasie niebezpieczeństwa schowano najbardziej cenne przedmioty Gminy Nowego Przymierza. Blachę miedzianą miano wybrać jako materiał niepalny i bardziej trwały niż papirus lub skóra. Te wskazówki miałyby na celu ułatwienie członkom Gminy, którzy by przetrwali niebezpieczeństwo i wrócili do swej siedziby, odszukanie ich własności. Należy przyznać, iż hipoteza prof. Kuhna nie zdobyła wówczas wielu zwolenników i została przyjęta z wielką rezerwą.

Kilku wybitnych chemików amerykańskich szukało przez kilka lat sposobu przywrócenia miedzi jej pierwotnej elastyczności nie uszkadzając napisów, wybitych na powierzchni blachy: niestety, wszelkie próby dały wynik negatywny. Należało wobec tego uciec się do pokrajania zwojów, aby móc dotrzeć do napisów ukrytych wewnątrz. Zadanie to zostało zlecone H. Wright Baker'owi, profesorowi Inżynierii Mechanicznej w College'u Technologicznym w Manchester. Użyto w tym celu specjalnej szybko tnącej piły grubości 0,00423 mm., zdolnej do przecinania szkła bez pozostawienia śladu. Przed rozcięciem zwoje wzmocniono specjalnym klejem używanym do budowy samolotów i zestawiono go w niskiej temperaturze. Do oczyszczenia pokrajanej blachy użyto między innymi świdrów dentystycznych. Pocięcie zwojów udało się bez zarzutu, żadna litera nie została uszkodzona. Cała operacja odbyła się w obecności specjalnego wysłannika władz Jordanii, który przywiózł samolotem zwoje i od razu zabrał pokrajane części do Jerozolimy.

Odczytanie tekstu powierzono księdzu J.T. Milikowi. Skąpe dane ogłoszone dotychczas oraz komunikat księdza Milika wygłoszony w dniu 28-go sierpnia 1956 roku na II Kongresie Międzynarodowym dla Studiów Biblijnych w Strassburgu zdumiały nie tylko przeciętnego czytelnika, lecz nawet specjalistów zajmujących się sprawami Rękopisów Morza Martwego. Tekst bowiem wybity na blasze miedzianej mówi o skarbach zakopanych na głębokościach dochodzących do 18 stóp w przeszło 60-ciu miejscowościach położonych na przestrzeni około 90 kilometrów między Hebronem a górą Garizim koło Nablusu. Oto kilka spośród ogłoszonych dotychczas wskazówek:

„W basenie, który znajduje się poniżej przedmurza, od strony zachodniej, w miejscu wydrążonym w skale: sześćset sztab srebra...”

„... w pobliżu, poniżej południowego narożnika krużganku, przy grobowcu Sadoka i poniżej pilastra w katedrach, naczynie z drzewa sosnowego zawierające kadzidło i naczynie z drzewa akacjowego, także z kadzidłem”.

„... w pobliskim dole, w kierunku północnym, w pobliżu grobów, w wydrążeniu, otwór którego jest skierowany na północ, tam znajduje się odpis tej księgi”.

Według obliczeń księdza Milika, całość skarbów ma wynieść przeszło 200 ton złota i srebra. Dotychczas nie podano do wiadomości publicznej żadnych szczegółów; nie wiadomo też, czy usiłowano, kierując się tymi wskazówkami, odnaleźć wskazane kryjówki.

Oczywiście, samo przez się nasuwa się szereg wątpliwości. Skąd taka ilość szlachetnego metalu w tak małym i niebogatym kraju jak Palestyna i w dodatku w posiadaniu gminy głoszącej ubóstwo? Czy może miary podane w tekście mają inne wartości niż używane ogólnie i w rzeczywistości skarb jest znacznie mniejszy? Dlaczego wskazówki, mające pozostać tajemnicą dla niepowołanych, umieszczono na tak olbrzymim przedmiocie, który złożono w jaskini nawet nie przykrywając go ziemią? Jeżeli napis wykonano w chwili niebezpieczeństwa, czy był czas na wybicie go w miedzi? Może wszystko jest jakąś mistyfikacją obmyśloną przed dwoma tysiącami lat? Może w ogóle należy cały tekst rozumieć jedynie symbolicznie?

Nad pytaniami tymi długo jeszcze będą głowili się uczeni i osoby, które skarby te zainteresują z punktu widzenia praktycznego.

Można wyobrazić sobie gorączkę panującą obecnie w pustyni Judejskiej. Z pewnością żadna szczelina nie będzie pozostawiona w spokoju. Wyniki mogą być żadne lub też dostarczą sensacji, kto wie, czy nie większych od dotychczasowych. Niejedna kryjówka, zawierająca rękopisy, może wyjść przy tej okazji na jaw. Może słowa o „odpisie tej księgi złożonym w pobliżu grobów” dotyczą rzeczywiście biblioteki innego zgromadzenia esseńskiego. Wszak osiedle w Kumran, jeżeli nawet najważniejsze, nie było chyba jedyne: esseńczycy bowiem byli dość liczni w owych czasach.

Z pewnością już niejedna ekipa tubylczych archeologów pilnie bada każdą mysią norę i liczy przyszłe zarobki: jeżeli nie problematyczne 200 ton metalu, to w każdym razie pewniejsze wynagrodzenie za rękopisy. Cena giełdowa tych urywków wynosi obecnie funt i ćwierć za centymetr kwadratowy. (Teraz dopiero można zrozumieć, jak bardzo został pokrzywdzony biedny metropolita Mar. Atanaz przy sprzedaży swoich rękopisów!). Ekspedycje naukowe wobec panującego napięcia politycznego nieprędko będą mogły przystąpić do systematycznych poszukiwań w terenie.

W międzyczasie zakończono prawie całkowicie wykopaliska w samym Kumranie. Dyrektor Francuskiej Szkoły Biblijnej i Archeologicznej w Jerozolimie, Ojciec R. de Vaux, złożył na posiedzeniu Akademii w Paryżu sprawozdanie z całości prac archeologicznych w tym ośrodku. Bilans poszukiwań na terenie byłego klasztoru esseńskiego, prowadzonych w ciągu kilku lat, pozwala odtworzyć dzieje osiedla od samego początku.

Jeszcze w VIII-ym stuleciu przed Chrystusem istniała tu jakaś osada, po której pozostały ślady, nie pozwalające jednak na odtworzenie planu budynków. Z tego okresu pochodzi sporo

przedmiotów ceramicznych i jeden napis na garnku wykonany literami paleo-hebrajskimi. Rodzaj tego osiedla nie może być określony z powodu braku jakichkolwiek wskaźników archeologicznych. Możliwe, iż istniało tutaj jakieś zgromadzenie proroków. Później następuje trwająca kilka wieków przerwa, gdy Kumran był zupełnie opuszczony.

W końcu II-go wieku przed Chrystusem miejscowość jest znowu zajęta przez ludność, nie mającą prawdopodobnie żadnego związku z poprzednią. Jak można sądzić na podstawie odnalezionych monet, odkopany obecnie kompleks gmachów został prawdopodobnie wzniesiony za panowania króla Jana Hirkana. Składał się on z dwóch budynków nierównej wielkości, oddzielonych otwartą przestrzenią, gdzie umieszczone były zakłady gospodarcze przeznaczone do zaspokojenia potrzeb lokalnych. Odkopano między innymi kilka młynów, spichrze, wielki piec do chleba i kuźnię, a także warsztat garncarski, najlepiej zachowany spośród instalacji tego rodzaju znalezionych dotychczas na terenie Palestyny. Tutaj przygotowywano między innymi garnki służące do chowania rękopisów. Specjalny wodociąg zasiliał cały szereg basenów. Na północ od gmachów znajdował się obszerny dziedziniec, na południe zaś esplanada, ciągnąca się do brzegu tarasu ilastego.

Wszystkie te budynki zostały poważnie uszkodzone przez trzęsienie ziemi. Był to prawdopodobnie kataklizm mający miejsce na wiosnę 31 roku przed Chrystusem i opisany przez historyka Józefa Flawiusza. Po tej katastrofie miejscowość została opuszczona aż do końca rządów Heroda Wielkiego. Jak wskazują znalezione monety, za panowania jego następcy, Heroda Archelausza (panował od 4-go roku przed Chrystusem do 6-go po Chr.), budynki zostały zajęte przez tę samą grupę mieszkańców, która je porzuciła. Plan osiedla uległ jedynie drugorzędnym zmianom i pomieszczenia zachowały swoje pierwotne przeznaczenie.

Po odnowieniu osada przetrwała do pierwszej wojny żydowskiej (66-70 po Chrystusie). Seria monet znalezionych urywa się nagle na drugim roku powstania (68 rok po Chr.). Prawdopodobnie mieszkańcy opuścili Kumran jeszcze przed nadejściem Rzymian i gmachy zostały zajęte przez powstańców. Wiadomo na przykład, iż taki był bieg wypadków w pobliskim Jerycho, skąd uciekli wszyscy mieszkańcy. W tym okresie budynki w Kumran zostały zburzone i spalone, warstwa gruzów ma grubość dochodzącą do 1 m. 50 cm. i zawiera ostrza strzał rzymskich. Warstwa wyższa zawiera także strzały rzymskie oraz monety bite w Cezarii Palestyńskiej w 68 roku po Chrystusie i inne monety, noszące godła X Legii. Wiemy zaś na podstawie świadectw Józefa Flawiusza, iż cesarz Wespazjan w 68-ym roku opuszczał Cezarię, szedł do doliny Jordanu, zajął Jerycho i dotarł na czele X Legii do Morza Martwego. Po wyparciu powstańców, w ruinach Kumranu umieszczono posterunek rzymski; strzegł on drogi ku południowi Morza Martwego, gdzie

forteca Masada długo jeszcze stawiała rozpaczliwy opór. Posterunek zajął jedynie część gmachów, dzieląc wielkie sale na mniejsze pokoje. Teren oczyszczono, zawalając gruzami kilka zbytecznych już basenów. Posterunek rzymski stacjonował tu do końca I-go stulecia. Między rokiem 132 a 135 po Chrystusie, w okresie drugiego powstania i wojny żydowskiej, w opuszczonych ruinach ukrywali się powstańcy, po których pozostało tutaj kilka monet. Po stłumieniu powstania miejscowość została opuszczona, aż do dnia dzisiejszego.

A więc zasadniczy okres użytkowania gmachów w Kumran był bardzo krótki: około dwustu lat (od końca II-go stulecia przed Chrystusem do 68-go roku po Chrystusie); dokładne zbadanie ich resztek pozwoliło ustalić ponad wszelką wątpliwość, iż nie zawierały one lokali mieszkalnych: kilka niewielkich pokoi przeznaczonych prawdopodobnie jedynie dla administracji i personelu dozorującego. Odkryto natomiast kilka większych sal. Sala odkopana na samym początku poszukiwań (mówiliśmy o tym w przedostatnim artykule) mieściła prawdopodobnie pracownię skrybów: znaleziono tu bowiem stołki do pisania, tabliczki ze wzorem alfabetu i kałamarze z wyschniętym atramentem. Później odkryto jeszcze większe sale; największa była refektarzem, służącym do modlitw i posiłków sakralnych. Znaleziono również resztki tych posiłków, a mianowicie kości baranie, koźle i wołowe, starannie złożone do licznych wielkich garnków glinianych i pogrzebane w ziemi. Postępowanie takie było podyktowane chęcią ochronienia od profanacji resztek posiłków sakralnych.

Sądząc z wielkości budynków gospodarczych, odpowiadały one potrzebom licznej grupy ludzkiej. Rzuca się w oczy ogromna ilość basenów, pojemność których jest o wiele większa niżby to odpowiadało potrzebom obsługiwanym gmachów i zakładów gospodarczych.

Obok budynków, za niewysoką ścianą mieści się cmentarz, zawierający ponad tysiąc mogił i zajmujący przestrzeń obszerniejszą niż budynki. Ilość grobów jest nieproporcjonalnie wielka w porównaniu z możliwą ilością mieszkańców Kumranu. Rozmiary cmentarza, powierzchnia sal i pojemność basenów odpowiadają grupie ludności liczącej kilkaset osób.

Znaleziono także domostwa, rozrzucone na przestrzeni 6 km. a mające Kumran jako centrum. Znaleziono 25 grot skalnych, częściowo służących jako składy i kryjówki, częściowo zaś mieszkalnych. W jednej szczelinie znaleziono słupy drzewne służące kiedyś do budowy namiotów i szałasów. W tarasie ilastym, przylegającym do Kumranu, były wyżłobione komory, dawniej zamieszkałe, obecnie zaś częściowo zniszczone przez erozję i zawalone. Rękopisem znalezionym we wszystkich tych kryjówkach towarzyszyły wszędzie wyroby ceramiczne tego samego typu. Znaleziono także liczne ostraki, ułamki naczyń glinianych z napisami.

Skarbiec zgromadzenia mieścił się w gmachu centralnym, w Kumranie, gdzie znaleziono liczne monety, gdy w lokalach

mieszkalnych stwierdzono absolutny ich brak. Potwierdza to więc wspólnotę majątku Gminy i zakaz posiadania dóbr osobistych. Wielka ilość i rozmiary basenów oraz staranne ich wykonanie wykazują, iż przeznaczenie ich nie było wyłącznie gospodarcze, lecz że służyły one potrzebom kultu. Do tych samych celów (modlitwy i posiłki sakralne, po których zachowały się kości) służyły wielkie sale.

Wnioski wyciągnięte na podstawie tych danych archeologicznych potwierdzają całkowicie świadectwa dawnych autorów, przede wszystkim zaś Pliniusza Starszego (zmarł w 79-ym roku po Chrystusie) i Józefa Flawiusza (I-szy wiek po Chrystusie), iż mamy tu do czynienia z osadą eseneńską. Położenie Kirbet-Kumranu w najdrobniejszych szczegółach zgadza się z rozmieszczeniem osiedli eseneńskich, tak jak je podaje Flawiusz: na zachód od Morza Martwego, ponad (na północ) Engadi, na pewnej odległości od brzegu i nieco wyżej od niego, celem uniknięcia niezdrowych wyziewów morskich.

Co prawda, istnieje pewna rozbieżność między świadectwami dawnych autorów i nowoznalezionymi rękopisami co do niektórych szczegółów charakteryzujących Eseneńczyków. Jednak O. de Vaux tłumaczy to tym, iż w pierwszym wypadku mamy opis Gminy dokonany przez obserwatora oglądającego ją od zewnątrz i w okresie nieco późniejszym, gdy świadectwa rękopisów są współczesne mieszkańcom Kumranu i oświetlają życie Eseneńczyków od wewnątrz. Według słów prelegenta, Kumran był jednym z kilku zgromadzeń i, prawdopodobnie, w ciągu pewnego czasu głównym. Wykopaliska wskazują jako datę graniczną powstania tekstów rok 68-my po Chrystusie, to jest koniec istnienia gminy.

„Ogólnie biorąc, zakończył O. de Vaux, wykopaliska wykazały organizację materialną pewnej gminy religijnej, nieco poprzedzającej chrześcijaństwo i współczesnej jego początkom. Jej podobieństwo do pierwszych instytucji zakonnych jest uderzające i w ten sposób otwiera się nowa perspektywa dla historyków życia klasztorного”.

Na rok 1956 były planowane na terenie klasztoru drobne prace celem ustalenia planów ruin i dokładniejszego zbadania cmentarza. O wyniku ich brak na razie wiadomości. Na tym wykopaliska w samym Kumranie zostały by zakończone. Istnieje natomiast zamiar zbadania śladów zabudowań między Kirbet-Kumran a Ajn-Feszka. Ajn-Feszka zaś, jak zwrócił na to uwagę obecny na posiedzeniu Akademii sędziwy William Marçais, oznacza po arabsku „dobry omen”.

Szymon SZYSZMAN

Nieboska Komedia w Anglii

WPLYW KRASIŃSKIEGO NA ROBERTA LYTTONA

*(Fragmenty nieopublikowanej korespondencji lorda Lyttona
i hrabiego Gobineau)*

W miarę jak oddala się od nas enigmatyczna postać kolektywna emigracji polskiej XIX-go wieku, zaczynamy poznawać ją lepiej. Z badań ściśle literackich wynika, że kontakt kulturalny wychodźstwa polskiego z życiem intelektualnym Zachodu, przeważnie Anglii i Francji, ale również Italii, Stanów Zjednoczonych, Szwajcarii i innych krajów, był bardziej płodny i obfity aniżeli przypuszczano to dotychczas. Nie tylko bowiem Zachód dawał — również otrzymywał i korzystał z dorobku kulturalnego Polski, nie istniejącej ale działającej i tworzącej, nieobecnej na mapach Europy ale aktywnej w sferze myśli i form.

Coraz częściej natrafiamy na wszechobecne ślady wpływu kultury polskiej na życie artystyczne, literackie i społeczne Londynu i Paryża. Natrafiamy na nie tam, gdzie zazwyczaj nie spodziewaliśmy się ich znaleźć. Bardzo często przypadek naprowadza nas w labiryncie badań na materiały niezmiernie ciekawe i cenne. Stare legendy rozwiewają się: André Maurois w swojej ostatniej biografii George Sand wykazał niezbicie, że Lelia i Polska to nie tylko historia seksualnych stosunków francuskiej pisarki i polskiego kompozytora, ale również szczera przyjaźń i głęboki szacunek, przekonanie, że Europa bez Polski jest ciałem które zadało sobie samo straszliwą ranę, „un corps qui s'est mutilé, tronqué, circoncis”. Domownicy George to nie tylko Chopin i Wodźński, również Mickiewicz i Heine, Delfina Potocka i Betty de Rothschild, Marcelina Czartoryska i Madame d'Agoult, Anglicy i Amerykanie.

Badając od pięciu lat manuskrypty hrabiego Gobineau w kolekcjach uniwersyteckich i prywatnych, ślęcząc nocami nad listami jego przyjaciół i korespondentów, przypadkiem odkrywałem „la présence polonaise” — jak to trzeba nazwać według obecnej mody — w darwinizmie, w marksizmie, nawet w wagneryzmie; w poezji Anglii wiktoriańskiej i w najlepszej prozie politycznej Paryża; w gabinetach orientalistów i w ateliers rzeźbiarzy; w myśli polityka i męża stanu jak również w modlitwie

i pokucie misjonarza i mistyka. Nabiera to szczególnego znaczenia w chwili, kiedy dzisiejsi niszczyciele nadziei oznajmają nam, że żyjemy w okresie zmierzchu Europy. To, co wydaje się nam zmierzchem, być może stanie się dla przyszłego historyka i badacza jutrznią lepszej Europy, wyzwolonej od tej zmyły jaką jest bizantyjska horda współczesnych Hunnów.

Joseph-Arthur de Gobineau i Lord Robert Lytton przybyli do Aten w listopadzie 1864 roku. Obaj byli zawodowymi dyplomata-
tami: Gobineau był posłem pełnomocnym Napoleona III przy osobie króla Hellenów, Robert Lytton — pierwszym sekretarzem Poselstwa Wielkiej Brytanii. Wspaniała kariera polityczna oczekiwiała młodego Anglika: w roku 1876, na wniosek Beniamina Disraeli, premiera Wielkiej Brytanii, królowa Wiktoria miała go mianować Wicekrólem Indii. Na tym stanowisku Lord Lytton miał zdobyć sławę jako obrońca Imperium Brytyjskiego: jego rezolutna akcja, choć niezmiernie kosztowna finansowo, zniweczyła rosyjskie plany obrócenia Afganistanu w satelitę Moskwy, którym Afganistan został dopiero w ubiegłym roku. Lord Lytton umarł w Paryżu w 1891 jako ambasador Wielkiej Brytanii, szczerze opłakiwany przez Francuzów — zwłoki jego otrzymały „funérailles d'Etat” gdyż był najbardziej popularnym ambasadorem angielskim we Francji XIX-go wieku.

Obydwaj dyplomaci nie mogli nie zauważyć jeden drugiego. Dyplomacja była dla nich tylko środkiem zarobkowania; obydwa-
by byli literatami w pełni sił i zamiarów. Gobineau dopiero co opublikował jedną z najlepszych książek francuskiej literatury o Wschodzie — „Trois ans en Asie” („Trzy lata w Azji”), gdzie opisał swoje przeżycia i wrażenia z lat jakie spędził jako minister Cesarza Francuzów w Teheranie. Robert Lytton, syn słynnego powieściopisarza, Sir Edwarda Bulwer-Lyttona (autora „Ostatnich dni Pompei”) był już znany jako obiecujący poeta pod pseudonimem Owen Meredith oraz jako najbliższy przyjaciel Roberta i Elżbiety Barret Browning.

Poza tym ten arystokratyczny Francuz i gentleman Anglik odnosili się z pogardą do innych przedstawicieli mocarstw, typowych biurokratów bez kultury, którzy się nazywali Erskine, Photiades Bey, pan de Novikoff etc. W przeciągu kilku tygodni zawiązała się dozgonna przyjaźń, podtrzymywana przez piękną wymianę korespondencji i współpracę literacką.

Niżej podane fragmenty dotyczące wpływu emigracji polskiej a zwłaszcza wpływu Zygmunta Krasińskiego na dzieło Lorda Lyttona, pochodzą ze zbioru listów Lorda Lyttona do Gobineau, stanowiącego własność Fundacji Gobineau przy Bibliotece Narodowej i Uniwersyteckiej w Strassburgu. Jest to tak zwany Ms. 3527, zawierający około siedemdziesięciu *nieopublikowanych* listów w języku angielskim lub francuskim. Podaję tutaj oryginał — francuski lub angielski — i tłumaczenie, które p. Czesław Miłosz wspaniałomyślnie oszlifował. Nie starałem się unikać błędów stylistycznych, które Lord Lytton robił we

francuskim. Jego angielskie listy są natomiast arcydziełami wiktoriańskiej korespondencji i ukażą się wkrótce drukiem, w moim wydaniu, przedsięwziętym wspólnie z Jean Puraye, w Brukseli i w Londynie.

Wpływ Zygmunta Krasińskiego na Lyttona znany był do tychczas tylko wąskim kołom anglo-amerykańskich specjalistów w dziedzinie literatury porównawczej. Między innymi cenne informacje można znaleźć w książce Moniki Gardner „The anonymous poet of Poland, Zygmunt Krasiński”, Cambridge, 1919 i w biografii Lorda Lyttona napisanej przez Aurelię Brooks Harlan: „Owen Meredith”, Columbia University Press, 1946.

Ms. 3527, list 17 (pisany w Walfond, w Anglii, 12 avril, 67)

...Quant à mes propres entreprises voici où j'en suis. Les deux premiers volumes de la nouvelle édition viennent de paraître; et j'ai déjà écrit à mon Editeur de vous les envoyer par l'intermédiaire du Foreign Office. Quant au troisième qui a dû paraître à la fin de ce mois, une difficulté tout à fait imprévue vient de surgir. Au dernier moment l'éditeur vient de m'apprendre qu'il n'y a pas assez de matière pour en faire un volume. Il en faut davantage. Je ne veux point y reproduire ce que j'ai déjà imprimé ailleurs. Donc il faut faire « du nouveau ». Heureusement, je trouve parmi mes papiers l'esquisse de quelques scènes dont l'ébauche m'a été suggérée et inspirée par une lecture que j'ai fait, il y a quelque temps, d'un poème polonais. Ce poème m'a paru fort remarquable. Je n'en ai vu que quelques morceaux traduits en français. Mais en les relisant je trouve que ces scènes correspondent à merveille avec mon idée que vous connaissez déjà depuis longtemps, d'un drame sur la révolution allégorisée. J'y trouve les matériaux d'un cadre qui m'a manqué, comme vous le savez, jusqu'alors. Cela est arrivé tout d'un coup: la concordance de ces quelques scènes avec l'idée qui me hante depuis longtemps, m'a frappé pour la première fois. Je me suis mis à l'œuvre sans délai — et dans un mois ou cinq semaines j'espère pouvoir envoyer le résultat qui paraîtra dans mon 3^e volume et qui sera, avec d'autres choses, dédié à vous.

„Co do moich własnych przedsięwzięć, oto gdzie jestem. Pierwsze dwa tomy nowego wydania (wierszy) już się ukazały; i pisałem już memu wydawcy by je pan przesłał przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych (1). Co do trzeciego tomu, który powinien był się ukazać w końcu tego miesiąca, zaszła nieprzewidziana trudność. W ostatniej chwili wydawca mi oznajmił, że nie ma dosyć materiału na cały tom. Potrzeba mu więcej. Ja natomiast nie chcę reprodukować tego, co się już ukazało gdzie indziej. Trzeba więc robić „nowe”. Na szczęście znajduję między moimi papierami szkic kilku scen, których brulion został mi zasugerowany i inspirowany przez lekturę polskiego poematu, z jakim zapoznałem się jakiś czas temu. Ten poemat wydał mi się wybitnie godny uwagi. Co prawda czytałem tylko kilka frag-

(1) „Chronicles and Characters”, 2 tomy, Londyn, Chapman and Hall, 1868.

mentów tłumaczonych na francuski. Ale odczytując je na nowo, spostrzegam, że te sceny odpowiadają znakomicie memu pomysłowi, który pan zna już oddawna, pomysłowi dramatu o rewolucji alegoryzowanej. Znajduję tam ramę której, jak pan wie, brak mi było dotychczas. Stało się to nagle: zgodność tych kilku scen z pomysłem który owładnął mną od dawna, zaskoczyła mnie. Bez zwłoki zabrałem się do roboty i mam nadzieję, że za miesiąc lub pięć tygodni będę mógł Panu posłać rezultat, który ukaże się w moim trzecim tomie i który będzie, wraz z innymi wierszami, panu zadedykowany”.

Potrwa to jednak znacznie dłużej: kłopoty rodzinne, niesnaski z ojcem, wielkim egoistą, który obawia się sławy syna-rywala, ciężka operacja i komplikacje odwloką realizację projektu na szereg miesięcy.

Ms. 3527, list 18 (Knebworth, Anglia, Stevenage, Herts. 18 Aug. 1867)

...The same cause which has prevented me hitherto from answering your letters, has also greatly interrupted and retarded the publication of the Poems in which you have taken such friendly and flattering interest. I hope, however, to be able to get them all published in the month of October next: and I am now endeavouring to get the proof sheets of the volume which is dedicated to you, containing the Dramatic Poem, bound in time for transmission to you by the Foreign Office Messenger who starts for Athens next Thursday. I shall be very anxious to know what you think of it.

„Ta sama przyczyna, która nie pozwoliła mi dotychczas odpowiedzieć na pańskie listy, zahamowała również i odwlokła publikację wierszy darzonych przez pana tak przyjazną i pochlebiającą mi uwagą. Mam nadzieję jednak, że zdołam opublikować je wszyskie w październiku: a obecnie staram się dostać arkusze korekty tego tomu, który jest panu zadedykowany i zawiera Poemat Dramatyczny, by móc w porę je przesłać przez gońca Ministerstwa Spraw Zagranicznych odjeżdżającego do Aten w przyszły czwartek. Będę z niecierpliwością oczekiwał pańskiego zdania o tej książce”.

Parafraza „Nieboskiej Komedii” otrzymała tutaj angielski tytuł „Orval; or, The Fool of Time”, a ten „trzeci” tom ukazał się pod tytułem: „Orval; or, The Fool of Time and Other Imitations and Paraphrases” w wydaniu londyńskim Chapman and Hall, 1869.

Oprócz tłumaczenia „Nieboskiej Komedii” znajdują się w tym tomie tłumaczenia dzieł Nonnosa z Aleksandrii, Wirgiliusza, Lukrecjusza, Dantego i Michała Anioła; dwa poematy oparte na motywach duńskich ballad; pięć sonetów Ronsarda; oraz zbiór serbskich pieśni ludowych, po raz pierwszy opubliko-

wanych w roku 1861 (2). Powyższy zbiór był więc poniekąd rezultatem służby dyplomatycznej Lorda Lyttona we Florencji (na dworze W. Ks. Toscany), w Paryżu, w Kopenhadze, w Wiedniu i w Belgradzie. Autor jest pełen sympatii dla narodów walczących o wolność: Duńczycy w wojnie z Bismarkiem w czasie jego służby w Kopenhadze; Serbowie opierający się Otomańskiej Turcji; Polacy świeżo pokonani przez Murawiewa-wieszczatela; jak również echa niedawnej wojny Włochów o niepodległość przeciwko habsburskim zaborcom, echa tajnych zebrań angielskich przyjaciół Italii u Elżbiety Browning w jej rezydencji florenckiej, Casa Guidi.

Imiona polskie zostały zmienione przez Lyttona na angielskie, na przykład „Count Henry”, ale stary entuzjazm dla Rabelais nasuwa mu mocno niefortunna, moim zdaniem, zmianę imienia Pankracego na *Panurge*. Lytton jest natomiast wierny naogół kompozycji oryginału i chociaż nie osiąga wyżyn dramatycznych polskiego wieszca, potrafi tym nie mniej, jak to określa inny poeta angielski, ojciec współczesnego antyimperializmu, Wilfrid Scawen Blunt, stworzyć „a noble dramatic poem” (3).

Przedmowa, w jaką Lord Lytton zaopatrzył tłumaczenie „Nieboskiej Komedii”, rozwija myśl, zawartą już w cytowanym liście do Gobineau.

„Przypadek — pisze w przedmowie — pozwolił mi na odkrycie poematu. Jego dramatyczna moc i piękno zniechęciły mnie do mojego własnego dramatu, chociaż myśl przewodnia była w nim identyczna. W starym numerze *Revue des deux mondes* znalazłem tłumaczenie prozą „Comédie infernale” Hrabiego Zygmunta Krasieńskiego, autora wielu innych dzieł, niemniej zasługujących na szersze uznanie i sławę światową, aniżeli cieszą się obecnie. Czytam, czytam na nowo ten dziwny poemat z ciągle wzrastającym zaciekawieniem. Niespodzianka. Każdy szczegół wraża się tak głęboko w moją pamięć, że ...porzucam wszelkie poprzednie projekty mojej własnej koncepcji. Nie chciałem jednak porzucić bez żadnego śladu idei, która przez długi okres czasu wypełniała mój umysł: gdy więc efekt polskiego poematu był ciągle jeszcze świeżo odcisnięty w moim mózgu, następująca parafraza była napisana z szybkością, która zapewne stanowi najlepszą gwarancję wierności wobec oryginału”.

Artykuł, który wpadł w ręce Roberta Lyttona i przyczynił się bezpośrednio do powstania angielskiej wersji dramatu Krasieńskiego, był nielada krytycznym sprawozdaniem: „Le poète

(2) Bliższe szczegóły o „Serbskich pieśniach” można znaleźć w dziele jugosłowiańskiego historyka i krytyka V. Yovanovitch: „*La Guzla de Prosper Mérimée, les origines du livre, ses sources, sa fortune*”. Grenoble, 1910.

(3) Cf. „Lord Lytton's Rank in Literature” by Wilfrid Scaven Blunt, *The Nineteenth Century*, Monthly Review edited by James Knowles, vol. XXXI, Jan.-June 1892.

anonyme'' opublikowany przez Juliana Klaczko w roku 1862 w *La Revue des deux mondes* był, według zdania historyka polskiej literatury Stanisława Tarnowskiego, „jednym z najbardziej efektywnych artykułów w dziejach piśmiennictwa polskiego”, „dziełem, które zapewniło Klaczce literacką sławę wśród Francuzów” i stało się podstawą „wszystkich późniejszych krytyk dzieła Krasińskiego” (4).

Lord Lytton napisał list do Klaczki i odtąd dwaj pisarze stali się przyjaciółmi. Gdy w roku 1875 ukazały się artykuły Klaczki w „*La Revue des deux mondes*” o dwóch kanclerzach, Bismarcku i Gorczakowie („*Les deux chanceliers*”), Lord Lytton nie tail swego entuzjazmu: „Na Jowisza — pisze do wicehrabiego Johna Morley — jakie wspaniałe one są. Ich styl jest cudowny. Najlepszy francuski styl jest stylem najlepszych francuskich autorów... Języki angielski i niemiecki... nie mają stylu!” (5).

Odtąd stosunki między Lordem Lyttonem i emigracją polską stają się bardziej regularne. Korespondencja jego z Gobi-neau jest pełna ciekawych wzmianek, które zapewne mają wartość dla historyków.

Ms. 3527, list 30 (z Wiednia, 28 sierpnia — Aug. 1869)

I have lately been staying with some Hungarian friends, Ct and Cse Nako at a very pretty chateau of theirs among the mountains of S. And-ta. The Countess is full of natural talent, plays with great power, and paints better than any modern Artist I have yet seen. The Count de Chambord (Henri V) lives in the neibourhood and is firmly persuaded — poor man! — that he will very soon be on the throne of France. Comme on se fait des illusions! Meanwhile, he still keeps up the machinery of Royal state.

*Another dethroned Royalty the blond King of Hannover is living close to us here, and he, also, is under the pleasing delusion that Europe will one day rise in arms to restore him to the throne of the Guelphs. His Minister Ct Platen (whom I see a good deal of) finds like Hamlet, that „the world is out of joint”. Next week I am going with Edith into Galicia on a visit to Ct Adam Potocki (whose brother Ct Alfred is Minister of Agriculture here, and who is himself one of the Polish Party in the Reichsrath, and the largest proprietor in Galicia I believe). But only fancy how interesting it has been to me to find that he is a brother in law of the late Ct Krasinski, the Polish Poet, author of the *Comédie Infernale* which I paraphrased in „Orval”. He has told me a great deal that is most curious and interesting about Krasinski, and amongst other things that he (Krasinski, the poet) had during the last years of his*

(4) Cf. Count Stanislaw Tarnowski, „Catholic Encyclopedia”, New York, Robert Appleton Co., Vol. 8, pp. 665-6, „Klaczko Julian”.

(5) „Personal and Literary Letters of Robert First Earl of Lytton” edited by his daughter, Lady Betty Balfour, London, 1906, Longmans, Green and Co, vol. I, pp. 334-335. Cf. również t. 2, str. 350, list z maja 1888 r. z Paryża do córki gdzie ambasador Lytton po obiedzie z Klaczką pisze o ich rozmowie politycznej.

life a great influence over the Empr Napoleon III, whom he used to see privately, and that every word of the Emperor's celebrated proclamation to the Italians at the commencement of the war between France and Austria on behalf of Italy, was written by Krasinski! His brother in law, Ct Adam, has promised to show me some interesting unpublished M.S.S. of the dead Poet. By the way I must tell you that „Orval”, tho' it has fallen quite flat in England, appears to have made some sensation amongst the Poles. All the principal Polish papers and literary reviews have taken it up, and I have received some very able, and most flattering notices of the drama, and criticisms of it, from Crackow. They all speak highly of it. We are expecting Pss. Czartoryska (whom perhaps you may have unown at Paris) on a visit to Lady Bloomfield, so that you see I am just making many Polish acquaintances. After that we are going into Hungary, on a visit to a Ct Erdödy...

(O sytuacji wewnętrznej w Austrii :)

...The liberal party in questions of commerce, industry and self-govt, are all violent ultramontains reactionists in Church matters and political questions; the liberal Party in political and Church matters, are violent reactionists in all commercial questions — and besides all this you have a dozen different nationalities pulling different ways. So that the Austrian Govt may be compared to the gentleman who congratulates himself that the fleas were not unanimous; since, if they had all pulled in the same direction, they would have pulled him out of bed. The claims of Bohemia and Galicia will sooner or later become serious. The Hungarians are just now all powerful, and the Germans very jealous of them. But I have great faith in the political vitality and energy of the Hungarians.

„Ostatnio gościłem u węgierskich przyjaciół, hr. i hrabiny Nako w ich pięknym zamku w górach. Hrabina jest pełna wrodzonego talentu, gra bardzo dobrze i maluje lepiej niż jakikolwiek mi znany współczesny artysta (6). Hr. Chambord (Henryk V) mieszka w sąsiedztwie i jest przekonany — biedaczysko! że wkrótce będzie na tronie Francji. Comme on se fait des illusions! Na razie stale utrzymuje aparat monarchii.

Inny zdezonizowany majestat, ten blondyn król Hannoveru, mieszka niedaleko nas i również żywi przyjemne złudzenia, że Europa pewnego dnia chwyci za broń aby mu zwrócić tron Gwelfów. Jego minister hr. Platen (którego widuję bardzo często) uważa, podobnie jak Hamlet, że „świat wyszedł z trybów”. W przyszłym tygodniu jadę razem z Edith do Galicji z wizytą do hr. Adama Potockiego (którego brat hr. Alfred jest tutaj ministrem rolnictwa; on sam jest zaś jednym z przywódców Polskiego Stronnictwa w Radzie Cesarskiej i, jak przypuszczam, największym posiadaczem ziemskim w Galicji). Moż-

(6) Lord Lytton poświęcał wolne chwile malarstwu. Szereg portretów jego dzieci, które oglądałem w rodzinnym zamku Knebworth House koło Londynu, dowodzi, że miał pewien talent w tej dziedzinie. Jego syn, Neville, był słynnym portrecistą w przedwojennym Paryżu.

na sobie wyobrazić, jak podniecające było dla mnie odkrycie, że jest on szwagrem śp. Krasińskiego, autora „Comédie infernale”, którą parafrazowałem w „Orvalu”. Opowiedział mi wiele ciekawych rzeczy o Krasińskim, między innymi, że on (Krasiński, poeta) miał w ostatnich latach swego życia wielki wpływ na cesarza Napoleona III, którego zazwyczaj widywał prywatnie, i że każde słowo słynnej cesarskiej proklamacji do Włochów, na początku wojny między Francją i Austrią o niepodległość Italii, było napisane przez Krasińskiego! Jego szwagier, hr. Adam, obiecał pokazać mi ciekawe nieopublikowane manuskrypty zmarłego poety. Notabene muszę tu wspomnieć, że „Orval”, chociaż nie odniósł żadnego sukcesu w Anglii, stał się czymś w rodzaju sensacji dla Polaków. Wszystkie główne polskie gazety i pisma literackie zajęły się nim, otrzymałem niektóre bardzo zręczne i jak najbardziej pochlebne wzmianki o dramacie tudzież recenzje z Krakowa. Wyrażają się o nim bardzo dobrze. Oczekujemy tutaj ks. Czartoryskiej (którą zapewne miał pan sposobność poznać w Paryżu), bo wybiera się z wizytą do Lady Bloomfield (7), widzi więc pan, że zawieram teraz wiele polskich znajomości. Potem pojedziemy na Węgry, z wizytą do hr. Erdödy” (8).

O sytuacji wewnętrznej w Austrii:

„...Partia, liberalna w sprawach handlu, przemysłu i samorządu, składa się z gwałtownych ultramontanów i reakcjonistów kiedy chodzi o kwestie Kościoła i polityki; partia, liberalna w sprawach politycznych i kościelnych, jest gwałtownie reakcyjna kiedy chodzi o kwestie handlu; a poza tym jest tutaj tuzin narodowości, z których każda ciągnie w inną stronę. Tak więc rząd austriacki można porównać do gentlemana który pogratułował sobie, że pchły nie były jednomyślne; bo gdyby wszystkie pchały w tym samym kierunku, wypchałyby go z łóżka. Rewindykacje Czech i Galicji staną się, wcześniej czy później, poważną sprawą. Węgrzy są obecnie wszechpotężni, a Niemcy patrzą na nich bardzo zawistnie. Ale ja mam wielką wiarę w polityczną witalność i energię Węgrów”.

Należy zaznaczyć, że Lord Lytton w tym okresie studiował historię Petöfiiego, Kossutha, Bema i napisał dzieło o patriotcie węgierskim Stefanie Szechenyi.

Niemniej ciekawy jest problem stosunków Gobineau z emigracją polską; dotychczas żaden „gobinista” nie wiedział, że po klęsce francuskiej 1870 roku zrujnowany Gobineau chciał się osiedlić w... Krakowie i zwrócił się do księżnej Marceliny Czartoryskiej.

Postać hrabiny Zofii Tońskiej, czołowej bohaterki arcydzieła Gobineau „Les Pleiades”, uważanego dzisiaj przez wielu wybit-

(7) Lady Bloomfield, żona ambasadora Anglii w Wiedniu i córka Lady Edith Lytton, żony Roberta.

(8) Hrabina Erdödy, urodzona Raczyńska, była przyjaciółką hr. Gobineau.

nych pisarzy francuskich za najlepszą powieść XIX-go wieku (cf. „Figaro Littéraire” z dnia 6 i 13 grudnia 1952) wydaje się potwierdzać w pełni tezę, że Gobineau doskonale znał Polaków, przynajmniej płęć piękną. Zrehabilitowany (9) przez Francję stanowczo i ostatecznie, teraz, kiedy ukazują się na nowo jego „Nouvelles asiatiques”, Gobineau powinien opuścić czyściec na jaki Polska go skazała, mimo prac Michała Sobieskiego i Tadeusza Boya-Żeleńskiego, za przyjaźń z Ryszardem Wagnerem. Ale o tym innym razem.

Adam-Dominique KENETH

Col de Vozas (Haute-Savoie)
i Akron, Ohio. 1956.
Grudzień.

(9) Cf. Jean Mistler i Robert Kemp w nowych wydaniach „Les Pleiades”; A.-B. Duff w „Revue de Littérature Comparée”, Paris, 1952; Adam Keneth ibidem, 1956, Nr. 2; Mgr. A. Blanchet, „Etudes”, Septembre 1953; Etiemble: „Six Essais sur trois tyrannies”, Gallimard, 1947; Jules Romains, „Saints de Notre Calendrier”, Flammarion, 1952; Jean Puyrave „Les mémoires du Comte Louis de Gobineau”, Bruxelles, Erasme, 1955; „Bulletin de Paris”; „Express”; etc. — oct. 1956.

Ostatni teatr żydowski

Z wieczorów spędzonych na londyńskich występach Państwowego Teatru Żydowskiego z Polski szczególnie jeden moment pozostaje w pamięci: początek drugiego aktu „Mirele Efros”. Ida Kamińska, nestorka żydowskiej sceny, grająca rolę tytułową sędziwej matki niewdzięcznych dzieci, zagłębiona w starym, ciężkim fotelu, wśród zapadającego zmierzchu czyta półgłosem psalm, mający jej przynieść pociechę. Z głębi płynie cicha muzyka; z początku trudno uwierzyć uszom oczekującym tradycyjnego hebrajskiego motywu, lecz w chwilę później nie ma już wątpliwości: jest to melodia słynnej arii ze „Strasznego Dworu”.

To połączenie ujawnia źródło wzruszeń, wywoływanych wizytą teatru Kamińskiej. W ciągu długich wieków współżycia obu narodów obyczaj żydowski stał się jakby egzotyczną częścią tradycji polskiej, żydowski dowcip zabarwił nasze poczucie humoru i jakiegokolwiek były trudności i konflikty we wzajemnych stosunkach, Żydzi stanowili nieodłączną, charakterystyczną część obrazu Polski przedwojennej.

Dziś obraz jest inny, toteż nostalgia starszego i średniego pokolenia, mimowolna choćby tęsknota za przeszłością, za krajem dzieciństwa obejmuje także i świat żydowski. Stąd wynika ta osobliwa reakcja uczuciowa, że

epizody z życia żydowskiego w Grodnie, w drobnych miasteczkach na Kresach Wschodnich, wywołują w słuchaczu wizję całej dawnej Polski, a nie tylko jej ghetta. Nie wiem, czy „Mirele Efros” w ten sam sposób grane jest w Warszawie i we Wrocławiu, w Londynie podłożenie pod patetyczny tekst biblijny tej właśnie muzyki było prawdziwym odkryciem inscenizatora, jeśli idzie o polskich widzów. Bez względu nawet na różnicę stylów, na pomieszczenie dwóch odrębnych dziedzin.

Polaka odwiedzającego kraj po wielu latach emigracji, uderza między innymi zniknięcie ludności żydowskiej. Jest to nieobecność tragiczna, zmiana wyglądu niektórych ulic, sztytów sklepowych, pozornie obojętna, dla przyzwyczajonych do niej wprost nieistniejąca, ciągle przypomina przybyszowi tragedię żydostwa. Język żydowski (tak zwany yiddish) jest językiem zamierającym. W Palestynie wypiera go hebrajski, w Europie zaś języki krajów osiedlenia. Wynika to i z dotkliwej lekcji, jakiej doznali Żydzi, i z osłabienia w wielu krajach po ostatniej wojnie tendencji antysemitycznych, i wreszcie w powstania państwa izraelskiego: jest naturalne iż Żyd o silnym poczuciu narodowym emigruje do Izraela, a jego rodak pozostający w swej dawnej ojczyźnie skłania się do asymilacji. W Wielkiej Brytanii jest w tej chwili osiem razy więcej Żydów niż w Polsce (oto wstrząsający wyraz statystyczny tragedii przeżytej przez wiek dwudziesty), a tylko cząstka używa żargonu w życiu codziennym.

W Europie Środkowej, rządzonej przez komunizm, a zwłaszcza w opasowanej przez Rosję Europie Wschodniej dopełnił reszty ukryty antysemityzm sowiecki. Polityka stalinowska zniszczyła teatry i wydawnictwa żydowskie, w latach 1948-1954 w podobny sposób coraz bardziej ograniczano życie kulturalne Żydów w Polsce; teatr Kamińskiej, grający głównie we Wrocławiu, był instytucją na pokaz. Widownia tego teatru kurczy się i dziś, wskutek emigracji do Izraela, wyjazdów Żydów z dawnych obszarów niemieckich do Niemiec Zachodnich i pod wpływem wypierania żydowskiego w młodszym pokoleniu przez język polski. O dokonujących się przemianach świadczy chociażby fakt, że w nazwiskach członków zespołu pełno już imion polskich (Michał, Karol, Andrzej itp.) oraz nazwisk polszczonych w pisowni i w brzmieniu. Znaczenie jednak teatru polega nie tylko na podkreślanu samym swym istnieniem oficjalnego stosunku państwa do antysemityzmu, ale wynika przede wszystkim stąd, iż jest to jeden z dwóch ostatnich teatrów żydowskich istniejących jeszcze w Europie. A ponieważ ów drugi jest w Bukareszcie, tylko teatr Kamińskiej może jeszcze zaprezentować autentyczny repertuar i dawną kulturę żydowską.

Żydowską literaturę teatralną krępował rozdział między językiem poetycznym, a językiem zachowywanym dla religii i nauki. Mimo to pozostały ślady widowisk quasi teatralnych, urządzanych na purim, nieliczne teksty sztuk i moralitetów opartych na tematach biblijnych, wspomnienia o stałym scenie w Mantui na przełomie XV i XVI wieku. Właściwy rozwój teatru zaczyna się dopiero pod koniec XIX wieku w miarę jak żydowski wznosi się do rangi języka literackiego. Pierwszą poważną sceną jest teatr Abrahama Goldfegena, założony w 1876 roku. Podczas pierwszej wojny światowej rozkwita teatr w zniszczonym dziś, słynnym ośrodku kultury żydowskiej w Wilnie, gdzie gra Estera Rachel Kamińska (matka Idy, babka znanego aktora amerykańskiego, Dany Kaye'a). W 1918 roku Maurycy Schwartz zakłada w Nowym Jorku żydowski Teatr Artystyczny, a w

Moskwie rewolucja sprzyja powstaniu Moskiewskiego Żydowskiego Teatru Kameralnego. Prowadzi go Aleksander Granowski, a czołowym jego artystą jest Salomon Michoels. Są to czasy najwyższych osiągnięć sztuki aktorskiej, którym — trzeba szczerze powiedzieć — obecny teatr polski prawdopodobnie dorównuje.

Dramat żydowski zaczyna w tym czasie zdobywać sceny europejskie. Repertuaru dostarczył mu przede wszystkim Goldfaden, nieustrudzony jako tłumacz i autor, spod którego pióra wyszło ponad 400 sztuk. Później zjawiają się sztuki An-skiego, Pińskiego, Szalom Asza, Singera. „Dybuk”, „Golem” i „Josie Kalb” są sukcesami najlepszych scen.

Powojenne ubóstwo życia żydowskiego w Europie, zanikanie języka, wysunięcie się na pierwszy plan „Habimy” i zespołów hebrajskich nadaje teatrowi Kamińskiej pewien melancholijny, nostalgiczny urok. Wystąpił on najsilniej w przeróbce powieści E. Orzeszkowej „Meir Ezofowicz”. Starzy rabini wynurzają się tam z rembrantowskich półcieni, poważni, dostojni, zstępujący ku ziemskim namiętnościom ze świata mistycznych zamyśleń; młodzież żydowska marzy przy dźwiękach skrzypiec o innym, odmiennym świecie rozpozycierającym się poza ghettem, wiążącym ich niewidzialnymi murami. Jest to kraina Chagalla, nostalgicznych motywów pobrzmiwających w muzyce nowoczesnych kompozytorów francuskich żydowskiego pochodzenia.

Powieść Orzeszkowej z konfliktem dwóch pokoleń, starych i nowych idei, tajemnicą spadku duchowego po świętobliwym rabinie, miłością sieroty, scenami sporów religijnych w synagodze, zakończona odejściem reformatora z ojczyznanego miasta w towarzystwie jedyne go ucznia jest dla sceny materiałem na dramat poetycki, potęgujący przede wszystkim atmosferę środowiska i roztaczający kolejne łuki tradycji, obejmującej całe istnienie tych ludzi. Albo też materiałem dla Brechta, do scen podkreślających walkę, odwagę, przesady, oportunizm. W obu wypadkach rozległy materiał powieściowy wymaga kondensacji i zaostrenia efektów dramatycznych. Próba narracyjnego ujęcia dzieła Orzeszkowej musi zawieść na scenie wobec jego rozmiarów i bogactwa wątków. Przeróbka I. Kamińskiej, oparta na poprzedniej, udanej adaptacji radiowej staje się na scenie fragmentaryczną kroniką.

Kamińska, doskonała jako prababka, powierniczka rodowych tajemnic, daje piękne studium rodzajowe starej kobiety, zdradzonej przez dzieci, w sztuce J. Gordona „Mirele Efros”. Mirele jest bogatą wdową, zgadzającą się na ożenek starszego syna z piękną, ale ubogą Szeindek. Czeka ją na swą godzinę córka małomiasteczkowego kombinatora przy pomocy rodziców, naiwnego szwagra, opętanej miłością męża wydiera teściowej jej majątek i doprowadza ją do opuszczenia domu. Gordon napisał tę sztukę w ostatnich latach ubiegłego stulecia jako przeniesienie na postać kobietą tematu żydowskiego Króla Leara, z myślą o znakomitej aktorce, matce obecnej odtwórczyni tej roli. Ida Kamińska tworzy portret pełni życia, rozwija go od surowej powagi pierwszych scen, poprzez rosnące zrozumienie zwyciężającej starości, aż do końcowej sceny triumfu, przychodzącego już zbyt późno aby ze starszki wydobyć tę iskrę życia, jaka ożywiała dawniej majestatyczną, dyktatorską, świadomą swej władzy „właścicielkę”.

Pierwsza scena, w reżyserii Kamińskiej, w bardzo dobrych dekoracjach E. Grajewskiego, powraca nas, ceremonią zaślubin, śpiewem „El Mole Rachnim”, prawie w atmosferę czasów Jankiela. Poprzez malowidło żydowskiego życia prześwieca kanwa polskiej wsi.

Obok Kamińskiej, należącej do pokolenia wspaniałych dam naszego teatru, jak Przybylko-Potocka czy Ćwiklińska, zwraca w zespole uwagę Ketti Efron (młoda żona), oraz Chewel Buzgan. Gra on typowego żydowskiego biedaka w zręcznie ułożonym cyklu obrazów dramatycznych, powstałych z połączenia kilku znakomitych nowel Szelem Alechem. Jest to najwymowniejsza („Tevie der Milchiger” — „Mleczarz Tevie”) z trzech sztuk, pokazanych przez zespół Kamińskiej, gdyż osią akcji jest sytuacja biedy czyniąca ludzi ofiarami złego losu, bez względu na ich wysiłki. Co więcej, specyficzny, podszyty goryczą i masochizmem, dowcip żydowski rzuca, ironiczne światło na losy Milchigera, ujawniając sekret humoru jego narodu: jest to samoobrona przed wieczną czernią dramatu, ocalenie z pogromu radości życia i irracjonalnej wiary w „szczęście” ludu wybranego, a częściowo — przyjmowane barwy ochronnej.

Jeżeli „Meir Ezofowicz” zyskałby na innym ujęciu, „Tevie der Milchiger” właśnie dzięki domieszcze nuty satyrycznej, epizodyczności treści, wprost prosi się o zastosowanie metody Brechta. Unowocześnione — mogłoby to być świetne widowisko. Ale teatr żydowski z Polski trzyma się tradycji realistycznej, spełnia rolę nieco muzealną zachowując kształt minionego życia. Ten brak witalności rzuca dodatkowy cień smutku na jego niewesołych bohaterów i podkreśla rolę tej sceny — jako ostatniego teatru żydowskiego Europy Środkowej. Tym bardziej dobrze, że można go było zobaczyć, z udziałem Idy Kamińskiej która w jakiejś hipotetycznej inscenizacji „Pana Tadeusza” byłaby wspaniałą żoną Jankiela, wybijającego na cymbałach rytm poloneza.

Zdzisław BRONCEL

Teatralna przygoda

Plan wielkiej przygody teatralnej narodził się w Hollywood. Szło o stworzenie takiego teatru, który by dotarł do każdego polskiego ośrodka w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Trudności były ogromne: przygotowanie repertuaru, sceny i dekoracji, transport, organizowanie przedstawień, reklama, wreszcie przestrzeń obliczona na tysiące kilometrów.

Leonidas Dudarew-Ossetyński z pewnością zorganizował najmniejszy teatr na świecie. Kompletowanie zespołu ograniczył do jedynej aktorki, Lidii Próchnickiej, którą sprowadził z Chile. Dwuosobowy team wyruszył na długą wólcę, która trwa już 18 miesięcy. Program tego dziwnego teatru pt. „Od Fredry do Powstania”, całkowicie opracowany i wyreżyserowany przez Ossetyńskiego, składa się z dwóch pełnych jednoaktówek: Fredro i Rittner. Dialogu Hemara. Poezji Norwida, Lechonia, Wierzyńskiego i Jasińskiego. Ossetyński świadomie zrezygnował ze zwyczajowego podkreślania akcentu patriotycznego, który wybucha jedynie w zakończeniu przedstawienia, w powstańczych strofach Jasińskiego, w interpretacji Próchnickiej.

Trasa prowadziła przez Arizone, Texas, Ohio, Illinois, Michigan, Indianę, Kansas itd., by dotrzeć do Manitoby w północnej Kanadzie.

Na tej trudnej drodze wynoszącej 40.000 kilometrów, która nie zawsze biegła nowoczesnymi autostradami, było kilkadziesiąt przystanków, a wśród nich takie, których nie przewidywał teatralny rozkład jazdy. Teatr Ossetyńskiego bowiem jest naprawdę jedynym teatrem na świecie, który nie siedzi na miejscu i nie czeka na publiczność, ale szuka swojego widza i gra dla niego nawet pod gołym niebem. Artyści wraz z całym dobytkiem jadą starym samochodem, który z fantazją dociera wszędzie gdziekolwiek żyją Polacy.

Impreza „Od Fredry do Powstania” ma już swoją historię, znaczoną obszernymi recenzjami i artykułami nie tylko w prasie polskiej ale w amerykańskiej i kanadyjskiej, licznymi listami do redakcji tutejszych pism, a nawet polemiką i dyskusją. Przyszły badacz polskiego dorobku kulturalnego w Ameryce nie będzie mógł pominąć romantycznej drogi, którą przemierzył najmniejszy teatr na emigracji.

Julian DOBROWOLSKI

SENSACJA TECHNIKI I OPLACALNOŚCI !

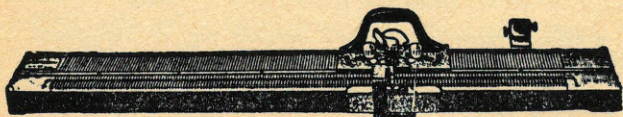
TYLKO

Auto-knitter

66 dol.

wraz
z przesyłką

nowoczesny suwakowy aparat dziewiarski, który
może dać utrzymanie całej rodzinie w Polsce.



**SŁUŻY DO PRODUKCJI WSZELKICH WYROBÓW
TRYKOTARSKICH OD SKARPET DO KOSTIUMÓW
DAMSKICH WŁĄCZNIE. 10.000 OCZEK NA MINUTĘ !
LICZNIK DO LICZENIA OCZEK DODATKOWO \$6.00.**

Tylko przez
firmę

TAZAB

**22 Roland Gardens,
London S.W. 7, England**

albo : 36 Third Ave, New York 3, N.Y., tel.: ALgonquin 4-4161.

Przedwojenna polityka w oświeceniu niemieckim

Pojawienie się książki Hansa Roosa jest zdarzeniem niezwykłym. Jest to pierwsze krytyczne i oparte na całości dostępnych źródeł przedstawienie przedwojennej polskiej polityki zagranicznej: dotychczas mieliśmy w tej dziedzinie do czynienia, zarówno u swoich jak u obcych, z pamfletami, skreślonymi dla celów stronnich. Czas był na próbę opracowania badawczego, z zastosowaniem metod i sprawdzianów naukowych. Dzieło dra Roosa jest taką próbą, dokonaną z powodzeniem.

Dwie cechy nadają szczególną wartość tej książce. Jedna — to zakres i sposób traktowania źródeł. Dotychczasowe opracowania anglosaskie, włącznie z rzekomo wyczerpującymi Przeglądami brytyjskiego Królewskiego Instytutu i amerykańską historią przede dnia wojny profesorów Langer i Gleasona, nie uwzględniają wcale źródeł polskich; dr Roos wykorzystuje je w całości, aż do ostatnich, i jego lista książek polskich zawiera 35 pozycji, prócz licznie cytowanych czasopism. Przy tym źródła przytaczane są szczegółowo, z dokładnym podaniem odnośnych miejsc, co jest niezbędne ze względu na ich mnogość i na ewentualne kontrowersje. Studiujący historię współczesną mają w ten sposób możliwość każdorazowego sprawdzenia faktów i tekstów (1).

Hans Roos, *Polen und Europa, Studien zur polnischen Aussenpolitik 1931-1939*. Tübinger Studien zur Geschichte und Politik. 1957. J.C.B. Mohr (Paul Siebeck), Tübingen. Str. XI, 421.

(1) Wśród zużytkowanych przez autora źródeł znajdują się nie tylko trudno dostępne *Polnische Dokumente* (1940) i *Prager Akten* (1941), ale również nieznane dotychczas części archiwów Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z Warszawy, odnalezione widocznie w Niemczech, między innymi cały *dossier* spraw ukraińskich o największej historyczno-politycznej wadze.

Drugą cechą książki o „Polsce i Europie” jest jej spokojny, rzeczowy ton i obiektywny sąd. Każdy z piszących o tej tragicznej i niszczącej wszelkie walory ludzkie epoce zna momenty niecierpliwości, powstrzymuje z trudem cisnące się wyrazy żalu, gniewu, potępienia. W tych warunkach niezmiernie trudno jest, nawet postronnemu, zachować trzeźwość oceny i spokojny ton. Polacy nawykli już znajdować w literaturze historyczno-politycznej Francji, Anglii, nawet Ameryki, zbyt pośpieszne o nich sądy i zbyt łatwo ferowane wyroki; poza tym — na pochyłe drzewo każda koza skacze. Jest tedy rzeczą raczej nieoczekiwaną, a więc podwójnie przyjemną, znaleźć u niemieckiego historyka staranie o bezstronność i pełne zrozumienia traktowanie zjawisk, ludzi i zagadnień polskich.

Pierwsza część książki poświęcona jest końcowym latom i działaniom Piłsudskiego, którego von Seeckt, jeden z czołowych wojskowych niemieckich, porównywał z Fryderykiem Wielkim (2). Autor rysuje z drobiazgową dokładnością ostatnie plany wojenne polskiego wodza — o ile w ogóle jest rzeczą możliwą rekonstruować jego zamierzenia. Między tymi planami najgłośniejszy się stał zamysł tak zwanej „wojny prewencyjnej” przeciw Niemcom, między rokiem 1932 a 1934. Dr Roos zestawia cały materiał dotychczas dostępny w tej sprawie, w szczególności przygotowania wojskowe Piłsudskiego i wiadomości, jakie o nich otrzymał sztab i rząd niemiecki — nie żywi też żadnych wątpliwości co do samego faktu inicjatywy Piłsudskiego. Nie był to projekt „wojny prewencyjnej”; jak to później sformułowano fałszywie (3): nie pozwały na to ani zasady polityki polskiej, ani przynależność Polski do Ligi Narodów. Było to zwrócenie się na drodze najpoufniejszej do Francji o wspólną akcję, najpierw dyplomatyczną, następnie zapobiegawczo-wojskową, przeciw tajnemu dozbrojeniu i jawnemu rewizjonizmowi Niemiec. Inicjatywa ta spotkała się z dwu- czy trzykrotną odmową Francji, zaś Niemcy powzięli konkretną o niej wiadomość z niedyskrecji francuskich.

Zdaniem autora doniosłe kroki Piłsudskiego nie tylko natrafiły na nieprzewidywane przeszkody, ale skończyły się w znacznej mierze niepowodzeniem. Akcja wykonana w porcie gdańskim przez kontr-torpedowiec „Wicher” (czerwiec 1932) spotkała się w Genewie z przestradchem francuskiego sojusznika i ze słabą obroną min. Zaleskiego, co przyczyniło się do jego dymisji. Zajęcie Westerplatte (marzec 1933), mimo że przewidziane w uprawnienie-

(2) Cytata na stronie 9, według Rathenau'a w jego dziele *Seeckt, Aus seinem Leben*, Leipzig 1940.

(3) Str. 65: „Einen echten 'Praeventivkrieg' — unter diesem Namen sollte seine Initiative spaeter bekannt werden — sah er allerdings nicht vor”. Analogiczną opinię, całkowicie zgodną ze zdaniem dra Roos'a, wypowiadał dotychczas autor słów niniejszych, znający od czasów dawniejszych metody Piłsudskiego. Roos określa tę, według niego „typową” dla Piłsudskiego metodę: „politischen Druck mit militaerischen Mitteln zu begegnen” (str. 38, przypis).

niach portowych Polski, wywołało akcję brytyjskiego sekretarza spraw zagranicznych, Sir John Simon'a przeciw Polsce i gwałtowną interwencję dyplomacji francuskiej w Genewie i Warszawie: Piłsudski zmuszony był częściowo wycofać się z rozpoczętej akcji (4). Francja pozostała głucha na dalsze sondaż Piłsudskiego, zaś Hitler postanowił „niebezpieczeństwu wojny prewencyjnej przeciwstawić swą ofensywę pokojową”. „Chce się tym ludziom wojny? — powiedział wtenczas do Rauschninga — dobrze, będą ją mieli. Ale wtedy, gdy ja zechcę” (5).

Pomimo tych częściowych niepowodzeń, widzialnych dopiero z historycznej perspektywy, pozycja Polski w dobie zgonu Piłsudskiego była czasowo zabezpieczona. Wykorzystany został moment zagrożenia Rosji przez działania Japonii na Dalekim Wschodzie i zawarto z Z.S.S.R. układy o nieagresji. Mimo francuskich prób rozluźnienia zobowiązań względem Polski sojusz z Francją został utrzymany, a równocześnie zacieśniono przywiązanie z Rumunią. W tych warunkach ograniczone porozumienie z Niemcami nosiło cechy rozejmu korzystnego dla stron obu. Piłsudski nie ufał ani w jego trwałość, ani w bezwarunkowe znaczenie; nie dał się wciągnąć w rozmowy przeciw Rosji, ani skompromitować współnictwem z Hitlerem; przeciwnie, odciął siebie i Polskę od „azjatyckich cech w koncepcji państwowej Hitlera, karmionej poniekąd na sowieckich wzorach”; trafnie ostrzegał przed „przeciągnięciem struny” w dyktaturach i ocenił, „zapewne pierwszy w Europie całą doniosłość” jego następstw (6).

W niedostatecznym może stopniu uwydatniony został przez dr. Roosa brak wszelkich danych na to, aby Piłsudski w latach 1931-1932 nosił się z zamiarem agresji wojennej przeciw Repu-

(4) Autor wymienia (str. 65) zarządzenia wojskowe Piłsudskiego (*Aufmarsch*), równoczesne z desantem na Westerplatte. Koncentracja obejmowała tereny: między Gdańskiem a Toruniem, a w szczególności trójkąt Starogard-Tczew-Gdynia.

(5) Autor podkreśla (str. 82) ультимatywny charakter zapytania postawionego Hitlerowi przez Wysockiego w rozmowie 2 maja. W tymże czasie otrzymał rząd Rzeszy pierwsze konkretne informacje o propozycjach zapobiegawczych skierowanych do Francji przez Piłsudskiego: pod wpływem tych wiadomości i w obliczu zupełnego wojskowego braku gotowości Niemiec Hitler się ugiął.

(6) W jednym z najszyblniej sformułowanych ustępów swej książki dr Roos (str 113 sq.) daje porównanie Piłsudskiego z Hitlerem. „Otwarcie mówił (Piłsudski) do Rauschninga: ‘pan Hitler zbyt wiele ryzykuje’ i zauważył, że sąd jego dotyczy nie tylko polityki zagranicznej. Piłsudski uważał za szkodliwe i niezrównoważone niepoohamowanie dyktatury i przeciwstawiał mu swą własną ogłębność w sprawowaniu władzy, a przede wszystkim swoje odmienne zakreszenie celów. Jemu chodziło o wychowanie swego narodu — i to nie w tym znaczeniu jakie mu nadawał Hitler, ustanowienia nieograniczonego samowładztwa, lecz w sensie uzdrowienia duchowych następstw rozbiorów i ukrócenia swawoli, która stanowiła podłoże umożliwiająca rozbiory. Nie zważając na swą awersję do parlamentaryzmu, uznawał on demokrację...”

blice weimarskiej, w szczególności aby zamysłał zajęcie Prus Wschodnich. Wszelkie odnośne, sztabowe i polityczne alarmy niemieckie, wraz ze szczytowym ich momentem — raportem majora Otta na radzie gabinetowej von Papena — noszą cechę wewnętrznych rozgrywek o władzę w samych Niemczech (7).



Odblask rozumu Józefa Piłsudskiego pada jeszcze na pierwsze działania polityki polskiej po jego zgonie. Dr Roos zdaje sobie sprawę z trudności, w jakich znalazł się minister Beck w marcu 1936, w obliczu okupacji Nadrenii, i oddaje pełną sprawiedliwość jego umiejętności. Beck chciał utrzymać sojusz z Francją, ale odgadł że Francja nie zareaguje na akcję Hitlera, że do wojny skutkiem tego nie dojdzie, wobec czego nie chciał nadwierać stosunków z Niemcami. Oferta wypełnienia zobowiązań sojuszniczych była tajna i nawet Hitler by się o niej nigdy nie dowiedział, gdyby nie późniejsze niedyskrecje francuskie.

Druga część książki o Polsce i Europie poświęcona jest polityce Becka i po raz pierwszy ukazuje czytelnikom niepolskim zasadniczą jej koncepcję: nie była to, jak mniemano na Zachodzie, ekwilibrystyka — utrzymanie chwiejnej równowagi pomiędzy dwoma głównymi sąsiadami: była to myśl tworzenia i zorganizowania „trzeciej Europy”, czy też „Międzymorza”, obszaru wolnych narodów, rozciągniętego z jednej strony po kraje bałtyckie, z drugiej — po Rumunię, Węgry, może nawet Turcję. Tej koncepcji nigdy nie zrozumiała, wiedzona tępym rusofilstwem, dyplomacja francuska i to było jednym z powodów nierealności sojuszu francusko-polskiego. Ale ta koncepcja była wykonalna jedynie w warunkach pokoju, i dlatego właśnie Polska prowadziła do końca politykę konsekwentnie pokojową, czego nawet dr Roos zdaje się niedoceniać.

Można by zastrzec, że utrzymanie pokoju, będące warunkiem podstawowym w planach Becka, stało się nierealne z chwilą, gdy główni partnerzy Polski na szachownicy Europy wschodniej, Hitler i Stalin, wzięli sobie za cel wywołanie wojny. Autor „Polski i Europy” wysuwa inną, niemniej ważką obiekcję: Polska była jeszcze zbyt słaba, zarówno militarnie, jak gospodarczo. Z chwilą gdy w 1933 zakończony został pierwszy plan pięcioletni w Rosji i potencjał zbrojeniowy sowiecki zaczął przewyższać Polskę. W dwa lata potem, gwałtowne dozbrojenie Rzeszy wyrównało, a niebawem prześcignęło Polskę, która odtąd stała się słabsza od każdego ze swoich sąsiadów, a bezsilna w razie ich połączenia. Polskie plany — realizowane od 1936 Centralny Okręg Przemysłowy — pozostawały w tyle i swą progresją arytmetyczną, wobec progresji geometrycznej sąsia-

(7) Por. moją rozprawę *Niemcy po wielkiej przegranej*, str. 9 sq.

dów, raczej cofały niż potęgowały stosunkową siłę państwa. Budżet wojskowy, stanowiący 35% ogólnego, wynosił mniej niż same tylko wydatki miasta Berlina. Pomoc francuska przyszła za późno i była bezskuteczna (8). W tych warunkach sama koncepcja „Trzeciej Europy” była planem na wyrost, pozostawała pobożnym życzeniem i ani jeden z jej realnych członków — Unia bałtycka czy zrzeszenie ze Słowacją, granica wspólna Polski z Węgrami czy zbliżenie Węgier z Rumunią — nie mogły dojść do skutku bez pomocy, a nawet decyzji obcej. „Na zagranie rzeczywistej, przewodniczej roli, Polska, w obliczu niemieckich i sowieckich zbrojeń, była zbyt słaba. Jej czasowe znaczenie polegało na ‘aksjomatycznym’ przeciwieństwie niemiecko-sowieckim, a nie na własnej sile. Beckowi groziło niebezpieczeństwo, że zapomni o ostrzeżeniach Piłsudskiego i ‘przeceni zdolność instrumentu’, którym mu przyszło operować”.

W starannie odważonej opinii Roosa „przecenienie własnej siły stanowiło niewątpliwie błąd kardynalny w politycznej kalkulacji Becka. Jednakże najostrzejsze zarzuty autor stawia, zarówno ministrowi, jak poniekąd całej polityce polskiej, w sprawie Czechosłowacji. Tutaj pomawia nawet Piłsudskiego o planowanie, w okresie układów prowadzonych z Niemcami, rozbicia Czechosłowacji, przypisuje mu „dogmatyczną” wiarę w nieży ciowość tego państwa, dostrzega w tym „niebezpieczną moralną *affinité*” z Hitlerem, a nawet współodpowiedzialność za „francusko-czechosłowacko-sowieckie zbratanie z maja 1935”. Otóż polityka Piłsudskiego, jak ją sam dr Roos przedstawia, była obca wszelkiemu dogmatyzmowi, na porozumiewanie się z Hitlerem w sprawie Czech nie ma, aż po rok 1938, żadnych danych, zaś układy Francji i Czechosłowacji z Sowietami wynikły z paniki wobec dozbrojenia Niemiec, a nie z rozważań o polityce polskiej. W przeciwieństwie do innych rozdziałów „Polski i Europy”, ustępy poświęcone stosunkom polsko-czeskim zaczerpnięte są niemal wyłącznie z kampanii rozpętanej w tej sprawie na Zachodzie; ze źródeł zaś polskich traktowana jest poważnie akcja publicystyczna Studnickiego, której autor skłonny jest przypisać inspirowane znaczenie. Dr Roos zapomina, że tak w Anglii jak we Francji tym łatwiej oskarżano Polskę, im trudniej było oskarżać samych siebie. Polityka Becka w kryzysie monachijskim nie była wzorem ani umiejętności, ani etyki; ale, aby o niej sądzić, należy pamiętać o Beneszu, i to nie tylko o pierwszej, wersalskiej jego fazie, ale także o późniejszej — o stałym, konsekwentnym planowaniu i intrydze — z Rosją, z Ukraincami, z komunizmem — z każdym wrogiem Polski na międzynarodowym polu. Cała ta akcja, aż do późniejszego igrania ze Stalinem, czeka jeszcze na swego historyka; w jej zaś

(8) Pozostaje dziwną rzeczą, że stosunki finansowe polsko-francuskie nie doczekały się dotąd wyczerpującej monografii. Co do pożyczki z Rambouillet (sierpień 1936) to, jak słusznie dr Roos przypomina, została ona zdevaluowana, zaliczona częściowo za przeszłość i w końcu wpłacona Polsce w ograniczonej tylko kwocie.

osnowie nie podobna jest zapominać o snującym się przez cały ten czas zakulisowym czynniku, którego autor ani razu nie wspomina : o mafijnych związkach.

Kto więcej, Polska czy Hitler, skorzystał na sześcioletnim między nimi rozejmie? I jakie były istotne intencje Hitlera względem Polski? Na te pytania autor nie daje ostatecznej odpowiedzi. Na podstawie całości zgrupowanego w jego dziele materiału można myśleć, że nie było nic istotnego w polityce hitlerowskiej, prócz zmiennych odruchów, pożerającej wszystko ambicji i złej woli w ogóle — względem wszystkich ludzi i narodów. Zmiana widoczna — w intencjach a może i w planach — zaszła od chwili śmierci Piłsudskiego : odtąd Hitler zamierzył uzależnić Polskę od Niemiec w każdym wypadku — czy to przez sojusz, czy przez podbój. Dr Roos zwraca uwagę na uderzający a najwcześniejszy symptom takich dążeń : tajną wymianę not z Japonią z października-listopada 1936, z okazji zawarcia paktu Anti-Komintern. Rzesza zastrzegła tam sobie nawrót do umów niemiecko-sowieckich, paktów z Rapallo i Berlina, rozgraniczając tym sposobem walkę z komunizmem od stosunków między rządami państw. W świetle tej klauzuli, nieznanej Polsce, propozycje stawiane jej przez Hitlera i Ribbentropa przystąpienia do Anti-Kominternu i współdziałania przeciw Rosji sowieckiej wyglądają na wciąganie jej w pułapkę. Dodać przy tym należy, że zarówno Urząd spraw zagranicznych na *Wilhelmstrasse* jak sztab i dowództwo niemieckie patrzyły przez cały czas krzywym okiem na porozumienie polsko-niemieckie i żałowały „zerwanych drutów” z Rosją. Hitlera pozycja była pod każdym względem dwuznaczna.

Rozejm polsko-niemiecki nie mógł tedy zamienić się ani w pokój trwały, ani w istotne zabezpieczenie. Piłsudski nie miał w tej mierze złudzeń; Beck, jeśli takowe żywił, stracił je po wykryciu złowrogich tonów w rozmowie w Berchtesgaden, w styczniu 1939. W istocie, na czym polegał sens sugerowanej w dalszym ciągu, po śmierci Piłsudskiego, wspólnej wojny z Rosją sowiecką? — na łącznej penetracji Ukrainy, na pchnięciu Polski nad Czarne Morze, które jak mówił Ribbentrop, było tak samo jak Bałtyckie morzem. Takiemu pochodowi towarzyszyłyby z boku i z tyłu wojska niemieckie, liczniejsze i lepiej wyposażone od polskich, a kondominium powstałoby w matni ukraińskiej i nie byłoby już wyzwoleniem Ukrainy, jak zamierzał dawniej Piłsudski. Z drugiej strony zbliżenie z Polską traciło dla Hitlera całe swe znaczenie bez umożliwienia mu dostępu do ukraińskiego *Lebensraum*u.

Podobnie, acz w mniejszej skali, przedstawiały się propozycje *Gesamtloesung* z października-listopada 1938 i stycznia 1939, włączenia Gdańska do Niemiec i przeprowadzenia zmechanizowanego „korytarza przez korytarz”. Jak to subtelnie dr Roos przedstawia, propozycje te, same w sobie, i porównane z rewindykacjami Weimaru, były umiarkowane, i były wynikiem skłonienia się Hitlera na stronę grupy doradców, pragnącej

utrzymania pokoju z Polską (9). Ale, jak trafnie dalej autor wywodzi, samo postawienie tych żądań było w stosunku do dotychczasowych zapewnień Hitlera wiarołomstwem, zaś przyjęcie ich oznaczało danie głowy w jarzmo. Hitlerowi bowiem nie chodziło o „korytarz”, ani o Gdańsk. Dla niego „czas nadszedł, aby niepodległą dotychczas Polskę za pomocą ścisłych powiązań traktatowych włączyć do planowanego przezeń a prowadzonego przez Niemcy systemu *Mittleuroпы*”.

Z tą trzeźwą i obiektywną analizą łączy autor bezwzględne potępienie polityki Becka. Może i tutaj nie umie się on wyswobodzić spod wpływu zawistnych osądzeń przez zainteresowanych Anglików i Francuzów. Zarzuca Beckowi, że przez swój obłądny pościg za „widmem Trzeciej Europy” nie docenił bezpośrednich niebezpieczeństw, a przez jadowite zwalczanie Czechosłowacji otworzył śluzy i zerwał tamy, broniące także i Polski. Te zagadnienia, oddalając się od nas i wchodząc w zakres historycznych badań, nie przestają być aktualne i nie przestaną trapić sumień. Sąd o kalkulacjach Becka nie będzie jednak ani pełny, ani sprawiedliwy, jeżeli nie uwzględni innych czynników — polityki angielskiej i francuskiej, oraz dominującego nad wszystkim szaleństwa Hitlera. Było ono zjawiskiem w dziejach tym osobliwszym, że nie ślepym, ale połączonym z jasnowidztwem i tym bardziej wstrząsającym, że pod gruzami burzonego przezeń świata pograżyło sprawcę. Próżno jest i tutaj historię zawracać wstecz i pytać, czy Piłsudski dojrzałby zawczasu tę grozę, tak jak jasno ocenił jej początek. Beck zbyt długo jej nie widział i nie zdał sobie sprawy z nieobliczalnych następstw.



Dzieło o „Polsce i Europie” winno być przetłumaczone i z ewentualnymi komentarzami udostępnione czytelnikom polskim. Byłby to równocześnie wyraz uznania dla autora za jego ludzkie i pełne zrozumienia podejście do trudnych po dziś dzień spraw.

Michał SOKOLNICKI

(9) Według dra Roos'a w grudniu 1938 dwa kierunki walczyły o przewagę w Berlinie. Z jednej strony Ribbentrop, wspierany przez Forstera, pragnął ostrej rozprawy z Polską. Z drugiej Goering, Himmler i Koch — ten ostatni ze względu na plany ukraińskie — byli za umiarkowanym kursem i kładli ciężar żądań na postulaty gospodarcze, Hitler, w części pod wpływem japońskiego ambasadora Oshimy, zdecydował „uwzględnić interesy Polski” (str. 390 sq.).

O socjologii i socjologicznych czasopismach

Prof. Kotarbiński, prezes PAN, w wywiadzie udzielonym „Po Prostu” (4/57) przedstawił ogólny obraz powolnej naprawy organizacji nauki w Polsce oraz odradzania się wolności nauki. „W zakresie własnej obserwacji”, oświadczył prof. Kotarbiński, „na terenie szkolnictwa wyższego, towarzystw naukowych, instytucji wydawniczych — widzę olbrzymi postęp pod tym względem. Po prostu przestaje się odczuwać nacisk”. Omawiając w szczególności stan nauk humanistycznych prof. Kotarbiński dodał, iż na tym terenie sprawy wyglądają rozmaicie. Na przykład jeśli chodzi o językoznawstwo, nie ma powodów do żalów i niezadowolenia. Rozwija się ono normalnie, ugruntowuje i rozszerza swą międzynarodową reputację. Albowiem językoznawcy nigdy nie ogłosili kapitulacji — „kiedy był nacisk, nasi koryfeusze się nie poddali”. Natomiast jeśli chodzi o całość badań kultury, stan obecny nie przedstawia się najlepiej. „Przeżywamy”, powiedział prof. Kotarbiński, „okres odprężenia po zaprzestaniu ucisku”.

II

Socjologia, jedna z nauk niszczonych w ubiegłym okresie ze szczególną zawziętością, poczyną ożywać po siedmiu latach podziemnego bytowania. W 1949 roku przestał wychodzić „Przegląd Socjologiczny”, katedry socjologiczne w Warszawie, Łodzi, Poznaniu, Krakowie, Wrocławiu, zmieniły nazwę i przestały kształcić socjologów, Polski Instytut Socjologiczny (zrzeszenie socjologów prowadzących prace badawcze i dydaktyczne w ośrodkach uniwersyteckich) zawiesił swą działalność, a nawet termin „socjologia” — prócz użycia w zwrocie „socjologia burżuazyjna”, synonimie rzeczy zdrożnej i kontr-rewolucyjnej — wycofany został z obiegu. Socjolodzy, którzy utrzymali się na przemianowanych katedrach, przestawić się musieli na badania z zakresu historii myśli społecznej i historii kultury. Socjologię można było uprawiać tylko prywatnie i pokryjomu.

Zakreślenie tego tła było rzeczą niezbędną dla uwypuklenia osiągnięć „okresu odprężenia”. Termin „socjologia” odzyskał prawo obywatelstwa. Dawne poglądy na „socjologię burżuazyjną” — twierdzą to obecnie również jej prześladowcy — były

wynikiem podporządkowania nauki ideologii. Podczas gdy socjologia marksistowska uległa petryfikacji, badania socjologiczne w całym świecie dokonały wielkiego postępu i bez uznania ich dorobku nie jest rzeczą możliwą rozwinięcie nowoczesnej szkoły marksowskiej w socjologii. Ponieważ tezy tej teorii podlegać muszą normalnej naukowej weryfikacji, podział na socjologię marksowską i niemarksowską pozbawiony jest sensu. Istnieje po prostu socjologia, a w jej ramach jest miejsce na kierunki i szkoły, z których jedną stać się może szkoła marksowska.

W ślad za rehabilitacją badań socjologicznych rozpoczęła się żywa działalność nad odbudową organizacji tych badań, pracy dydaktycznej i wydawniczej. W połowie ubiegłego roku powołano do życia sekcję socjologiczną w ramach Towarzystwa Filozoficznego (1), wznowił działalność Polski Instytut Socjologiczny, Komitet Filozoficzny PAN przekształcony został na Instytut Filozofii i Socjologii PAN, katedry historii myśli społecznej odzyskują swe dawne miano i stają się ośrodkami nauczania i socjologicznej pracy badawczej. Instytut Filozofii i Socjologii PAN obejmuje trzy zakłady socjologiczne, mianowicie Zakład Badań Socjologicznych, Zakład Teorii Kultury i Przemian Społecznych oraz Zakład Historii i Teorii Moralności. W ramach działalności tych zakładów prowadzone są badania nad przekształceniami klasowymi oraz przemianami kulturalnymi i moralnymi w Polsce. Były one już rozpoczęte wcześniej, lecz „przyciągnięcie do pracy w Instytucie na kierowniczych stanowiskach przedstawicieli starszej kadry socjologów oraz zatrudnienie pracowników z wykształceniem socjologicznym rokuje nadzieje odpowiedniego poziomu pracy badawczej” (Myśl Filozoficzna, 1/57, p. 267; zob. Nauka Polska 4/56, p. 202 n.).

III

Odżył „Przegląd Socjologiczny” oraz ukazał się pierwszy numer nowego czasopisma „Kultura i Społeczeństwo”. Redaktorem obu jest Józef Chałasiński, a współpracownicy rekrutują się głównie z ośrodka łódzkiego z Janem Szczepańskim na czele. Łódzki ośrodek socjologiczny przetrwał „okres nacisku” w najbardziej zorganizowanej formie i nie był nigdy całkowicie pozbawiony możliwości publikacji (2). Tarczę ochronną ośrodka

(1) Tego pierwszego wyłomu dokonano korzystając ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, iż nawet ówcześni ideologiczni wrogowie socjologii potrzebowali legitymacji uzasadniającej udział polskich uczonych w pracach UNESCO, International Sociological Association (S. Ossowski jest obecnie członkiem komitetu wykonawczego I.S.A.) i innych międzynarodowych instytucji (zob. Nauka Polska, 2-3/56, p. 326).

(2) Ośrodek łódzki wydawał w latach 1950-1956 „Przegląd Nauk Historycznych i Społecznych”, którego ukazało się sześć tomów. Ponadto w serii „Prac z Historii Myśli Społecznej” Uniwersytetu łódzkiego wydano sześć monografii i prac zbiorowych. Ich pełny spis wraz z wykazem treści „Przeglądu Nauk Historycznych i Społecznych” znaleźć można w XI tomie „Przeglądu Socjologicznego”.

łódzkiego stanowił Chałasiński, którego rola w czasach „ofensywy ideologicznej” miała dwa oblicza. Chałasiński zyskał niegdyś miano „Napoleona polskiej socjologii”. W latach ubiegłych dodał doń tytuł Claudiusa, którego pewien pisarz-historyk przedstawił jako Cezara przygotowującego potajemnie odbudowę republiki. Sprawdzianem szczerości tej ostatniej roli była działalność Chałasińskiego w okresie „odwilży”. O niej zapominają jego obecni krytycy (nie wyłączając smutnej pamięci Instytutu Nauk Społecznych), gdy wypominają Chałasińskiemu wypowiedzi i artykuły publikowane w okresie triumfu stalinizmu.

Nowy tom „Przeglądu Socjologicznego” jest czwartym tomem powojennym i jedenastym od chwili założenia tej publikacji w Poznaniu w 1930 (3). Jego inicjatorem i pierwszym redaktorem był Florian Znaniecki, wówczas profesor Uniwersytetu Poznańskiego, którego 75-letnia rocznica urodzin, przypadająca na rok bieżący, zbiega się z 25-leciem istnienia „Przeglądu Socjologicznego”. Z tej okazji w przedmowie do nowo wydanego tomu Chałasiński składa hołd Florianowi Znanieckiemu, jego wkładowi do socjologii światowej i zasługom wprowadzenia socjologii polskiej do współczesnej myśli socjologicznej. „Polish Peasant in Europe and America”, dzieło wydane wspólnie z W.I. Thomasem, jest dzisiaj klasykiem literatury socjologicznej. Obok Znanieckiego tylko Stefan Czarnowski zdobył w socjologii reputację międzynarodową. Dzieła zbiorowe Czarnowskiego ukazały się w Polsce w 1956 roku. Czy dzieła Znanieckiego, znane każdemu studentowi socjologii na Zachodzie, pozostaną nadal niedostępne dla jego rodaków?

„Przegląd Socjologiczny” wykazuje wiele śladów spustoszenia umysłów i wyjaławienia myśli socjologicznej w okresie stalinizmu. Tylko dwa artykuły — S. Nowakowskiego i W. Piotrowskiego — należą do socjologii, lecz i one wpadają w ton ogólnikowy i publicystyczny. Jest to rzeczą nieuniknioną, gdy okoliczności zmuszają socjologa do pisania o aktualnie zachodzących zjawiskach społecznych (w tym wypadku o zmianach w miejskich i wiejskich społecznościach lokalnych oraz kształtowaniu się nowej inteligencji w Polsce) na podstawie dorywczo i przypadkowo zebranego materiału, tworzącego namiastkę badań terenowych i systematycznych obserwacji.

Przedrukowane z „Przeglądu Kulturalnego” i „Po Prostu” artykuły Chałasińskiego, które swego czasu odegrały ważną rolę w procesie „odwilży”, opierają się na solidnej wiedzy i szerokiej erudycji, lecz do dociekań teoretycznych i metodologicznych nad kulturą, przekraczających scenę polską, niewiele wnoszą. Sytuacja wymagała wyważania drzwi otwartych, a ta czynność jest marnotrawieniem energii umysłowej, w innych warunkach znajdującej bardziej użyteczne ujęcie. Najtrwalszą wartość posiada esej „O Światowej Opinii Moralnej”, socjologiczna pu-

blicystyka w wielkim stylu, dla której znalazłoby się zaszczytne miejsce w każdym europejskim czasopiśmie.

Przyczynki A. Kłoskowskiej, J. Lutyńskiego i J. Szczepańskiego z zakresu historii myśli społecznej i kultury bądź zajmują się podważaniem ideologicznych spekulacji w badaniach nad kulturą polską pierwszej połowy XIX wieku, bądź noszą ślady odcięcia od nauki światowej. Zwarty i pouczający szkic Szczepańskiego o kryzysie koncepcji uniwersytetu liberalnego nie wykracza poza publikacje ogłoszone w okresie ostatniej wojny. Podobne refleksje budzi artykuł Kłoskowskiej.

Spadek przeszłości, ograniczający i paraliżujący wysiłki badacza historii myśli społecznej, widoczny jest jeszcze pod innym względem. Kłoskowska zмага się z ogólnikowością i wieloznacznością takich „zbitek pojęciowych”, jak na przykład pruska droga do kapitalizmu, pojęć nie ugruntowanych badaniami nad historią gospodarczą, lecz stworzonych ad hoc, dla celów polemicznych i ideologicznych. Podobnie Lutyński z wielką pracowitością wykazuje, iż Marks, Engels i Lenin posługiwali się terminem „liberalizm” w sensie zgodnym z jego przyjętym znaczeniem i że w związku z tym nie ma podstaw do traktowania liberalizmu jako ideologicznej nadbudowy pruskiej drogi do kapitalizmu.

„Przegląd Socjologiczny” zawiera nadto artykuły informacyjne K. Chałasińskiej o literaturze obozów koncentracyjnych. J. Kądzielskiego o badaniach nad kulturą w nauce radzieckiej i K. Kotłowskiego o problematyce szkolnictwa francuskiego. Niewielki związek z socjologią ma rozprawa Z. Gostkowskiego w tonie, treści i tytule („Stosunek Komunistycznej Partii USA do Amerykańskiej Tradycji Liberalno-Demokratycznej i do Liberalów w Okresie ‘Zimnej Wojny’ i Faszyzacji”) nie odbiegająca od dawnych złą sławy wzorów publicystyki polityczno-propagandowej opatrywanych nalepką prac naukowych.

„Kultura i Społeczeństwo” (4) jest nowym kwartalnikiem poświęconym socjologii kultury i zagadnieniom kultury współczesnej. Program kwartalnika jest niezwykle ambitny:

„W programie czasopisma zawiera się intencja traktowania zjawisk życia ludzkiego indywidualnego i zbiorowego — ekonomiki, polityki, techniki, nauki, sztuki, religii — w ich wzajemnym powiązaniu z całością spraw ludzkich, a nie w izolacji jednych od drugih. Nie chcemy więc eliminować z naszych zainteresowań polityki i ekonomiki, zagadnień klasowych i walk klasowych. Chcemy je jednak traktować w sposób naukowy i od strony zaniedbanych w naszym piśmiennictwie zagadnień kultury duchowej. Kładąc nacisk na życie własnego narodu i biorąc je za punkt wyjścia, chcemy traktować je w kontekście międzynarodowym, światowym, a jednocześnie — w kontekście problemów osobistego życia i światopoglądu człowieka naszej epoki. Przekształcenia kultur elitarnego typu w kultury o charakterze ludowym należą do rdzenia procesów dokonujących się w kulturze współczesnej”.

(4) *Kultura i Społeczeństwo*, Zakład Socjologii i Historii Kultury PAN, Tom I, Nr 1, Styczeń-Marzec 1957. Str. 310.

W pierwszym numerze „Kultury i Społeczeństwa” nie ma jednak artykułów o tak ambitnych zamierzeniach, przeważa opis i krytyka przeszkód stojących na drodze rozwoju nauki i kultury w Polsce, informacja i kronika. Wyjątkiem jest piękna rozprawa zmarłego w 1954 roku Ludwika Hirszfelda, światowej sławy hematologa, pt. „Rola Dydaktyki w Życiu i Twórczości Uczzonego”. Rozprawa ta była napisana dla „Nauki Polskiej”, organu PAN. Chociaż Ludwik Hirszfeld był członkiem Prezydium PAN, jego artykuł nie mógł się ukazać w „Nauce Polskiej” „wskutek negatywnej opinii politycznej” (5). Dodajmy, że po śmierci uczonego stworzony przez niego Instytut Hematologii we Wrocławiu uległ niemal całkowitej likwidacji na podstawie decyzji „wyższych czynników”.

Artykuł Chałasińskiego „Drogi i Bezdroża Socjalizmu w Nauce Polskiej” wyjaśnia, jak do tego i podobnych herostratesowych osiągnięć dojść mogło (6). Chałasiński zasiadał w Pre-

(5) Był on jednak opublikowany w czasopiśmie „Postępy Higieny i Medycyny Doświadczalnej”, 9/55, które zapewne dociera tylko do bardzo specjalnego grona czytelników.

(6) Artykuł ten jest w Polsce przedmiotem silnych ataków, gdyż zawiera liczne aluzje i polemiki z określonymi osobami i instytucjami. Sypią się przeto protesty, repliki i złośliwe uwagi pod adresem autora. Artykuł Chałasińskiego miałby większą wagę gatunkową, gdyby nie łączył odstonięcia kulis organizacyjnych PAN z polemiką o personalnym charakterze.

Wśród reakcji, jakie artykuł Chałasińskiego wywołał, na uwagę — ze względu na swe intencje — zasługuje list profesorów i docentów Uniwersytetu Warszawskiego (Przegląd Kulturalny 12/57). List ten potępia w artykule Chałasińskiego próbę przedstawienia Tadeusza Kotarbińskiego jako „praktycznego realisty”, który z powodów koniunkturalnych i utylitarnych zalecał „przystosowanie się do ówczesnej rzeczywistości”. Gdyby Chałasiński miał ten zamiar, potępienie z jakim się spotkał byłoby uzasadnione, a oskarżenie, niegodne i fałszywe, ośmieszałoby jedynie oskarżyciela. Piszący te słowa inaczej jednak odnośny *passus* rozumie. Charakterystyka jednego z aspektów postawy „praktycznego realisty”, zaczerpnięta z artykułu T. Kotarbińskiego, opublikowanego w 1948 roku (co jest uwidocznione w przypisku), okazała się, zdaniem Chałasińskiego, trafna w odniesieniu do postawy faktycznie przyjętej przez niektórych ludzi nauki w okresie późniejszym. Cytat spełniał tę tylko funkcję i w tej roli mógłby być kwestionowany (czego jednak dotąd nikt nie uczynił).

W tym samym numerze „Przeglądu Kulturalnego” członkowie zespołu redakcyjnego „Myśli Filozoficznej” posługują się cytatami z mego artykułu w „Kulturze” (9/55) dla wykazania, iż również dla obserwatora z zewnątrz Chałasiński w pewnym okresie swej działalności był jednym z „marksistowskich kardynałów”. Fakt ten nie podlega dyskusji, lecz jest tylko połową prawdy. Członkowie redakcji „Myśli Filozoficznej” pominęli bowiem inne wypowiedzi tego samego artykułu, które podnosiły zasługi Chałasińskiego i jego kluczową rolę we wczesnym okresie „odwilży”. „Odwilż” nie była zaś dziełem „kardynałów”.

Wszystko to wskazuje, iż pisanie o minionym okresie *sine ira et studio* jest rzeczą niezwykle trudną, a personalne polemiki w rozrachunku z przeszłością do nikąd nie prowadzą. Ogłoszenie Treuga Dei byłoby najlepszym rozwiązaniem, pozostawiającym całą energię dla dzieła naprawy i odbudowy nauki polskiej.

zydium PAN od chwili jej założenia. Zna więc doskonale wewnętrzne stosunki w Akademii, dla obserwatora z zewnątrz zasłonięte fasadą nazwisk uczonych o wielkich zasługach w rozwoju nauki w Polsce i świecie. Kulisy i fasada różniły się zaś w sposób zasadniczy. PAN była fikcją samorządu uczonych i najwyższej instytucji naukowej w kraju. Akademią nie zarządzili uczeni, lecz „środownisko najbardziej kompetentne naukowo”, tak zwanych uczonych z awansu politycznego, szczególnie typ urzędników i administratorów partyjno-politycznych, którzy wyrosli w cieniu „stalinowskiego stalinizmu”. Znaną jest rzeczą, iż wystarczyło osiągnąć szczyt hierarchii partyjnej, by stać się teoretykiem marksizmu, a ten tytuł wystarczał, by stać się również autorytetem naukowym decydującym nieodwołalnie co jest prawdą i fałszem w każdej dziedzinie wiedzy. „Królowie-filozofowie” z Politbiura deliberowali między sobą, a ich postanowienia wykonywali uczeni z awansu politycznego, często ludzie dobrej woli, osobiście uczciwi i obdarzeni entuzjazmem dla swojej pojętej nauki. Oni zarządzili Akademią, administrowali nauką i uczonymi, inicjowali „ofensywy ideologiczne” i komenderowali różnymi „frontami”. Ich nazwiska są publiczną tajemnicą. Wystarczy zajrzeć do „Nowych Drog”, „Nauki Polskiej” i różnych czasopism naukowych, by się dowiedzieć, kto, jak i kiedy „ustawiał” daną dziedzinę wiedzy stosownie do ideologicznych wymagań i poleceń Partii. Jedni byli ślepyimi fanatykami, drudzy — bardziej umiarkowani — łączyli funkcje nadzorców i mecenasów nauki. O tych ostatnich mówiono w Polsce za Wolterem, iż gdyby nie istnieli należałoby ich wymyślić w warunkach wówczas istniejących w kraju. Wprawdzie usuwali autentycznych uczonych z katedr uniwersyteckich i niszczyli ich warsztaty naukowe, lecz bądź pozwalali im jakoś żyć, bądź znajdowali dla nich przytułek w zakładach PAN, gdzie w określonych granicach mogli pracę naukową dalej prowadzić. Warunki schronienia się w tych enklawach były jednak niejednokrotnie poniżające. „Reżym kacyków” niszczył naukę, niszczył charaktery młodzieży, którą uczył cynizmu i pogardy dla impoderabiliów uczonego.

Naprawie stosunków w organizacji nauki i odbudowie nauk zniesionych z powierzchni ziemi decyzją „królów-filozofów” poświęcone są dwa artykuły „Kultury i Społeczeństwa”. Prof. W. Szafer pisze o niektórych nie spełnionych zadaniach PAN, a W. Choynowski odsłania odważnie i bezkompromisowo stan upadku psychologii polskiej.

Część artykułową „Kultury i Społeczeństwa” zamyka doskonała rozprawa sprawozdawcza A. Kłoskowskiej „Charakter Narodowy a Osobowość we Współczesnej Problematyce Badań Społecznych”. Kłoskowska informuje wyczerpująco i obiektywnie o stanie badań nad tymi złożonymi zagadnieniami z pogranicza psychologii społecznej, socjologii, historii i nauki o kulturze w oparciu o szeroką znajomość francuskiej, angielskiej i amerykańskiej literatury przedmiotu. Jedyną bodaj luką w tym erudycyjnym artykule jest pominięcie prac Davida Riesmana

oraz ewentualnie, że względu na metodologiczną pomysłowość, kontrowersyjnych raportów Alfreda C. Kinsey'a.

Drugi artykuł informacyjny „Kształtowanie i Badanie Opinii Publicznej w Stanach Zjednoczonych” Z. Gostkowskiego poważnie wykracza przeciw zasadom obiektywizmu. Autor przybiera postawę pogardliwej wyższości i ideologicznego zarozumiałstwa w stosunku do uczonych amerykańskich rozwijających nową technikę badań. Technika ta jest z pewnością nadal niedoskonała, lecz otwiera możliwości systematycznego zbierania, statystycznego opracowywania i analizowania przy pomocy różnorodnych pomysłowych metod, stanowiących dzisiaj wysoce wyspecjalizowaną umiejętność, materiałów uprzednio wymykających się spod kontroli socjologa. Badania opinii publicznej nie są w Polsce znane, nikt nie próbował ich podjąć i zbadać, jakie są ich walory i niedomagania. Zanim przemówił badacz, do głosu doszedł ideolog i nawyki przeszłości.

Obszerny dział sprawozdań, recenzji oraz „Materiałów i Notatek” (pod redakcją K. Chałasińskiej), którego brak w innych wydawnictwach naukowych dotkliwie się odczuwa, jest godnym naśladowania przykładem powrotu do wypróbowanych wzorów czasopism przedwojennych.

V

„Przegląd Socjologiczny” oraz „Kultura i Społeczeństwo” obrazują na szczególnym przykładzie, iż usunięcie przeszkód hamujących twórczość naukową, swobodę i autonomię nauki, stanowi dopiero początek jej odrodzenia. Istnieje spadek i balast przeszłości — wadliwy aparat pojęciowy, przestarzałe i nieadekwatne teorie, jakie trzeba usunąć, by badania naukowe mogły się potoczyć normalnym torem. Istnieją opóźnienia i niedomagania w zakresie znajomości literatury i stanu wiedzy osiągniętej w świecie w okresie odcięcia Polski od nauki światowej. Istnieją obciążenia ideologiczne i nawyki umysłowe deformujące fakty, ścisłość myślenia i bezinteresowność szukania prawdy. Istnieje potrzeba odbudowy autorytetu uczonego. Pod tym ostatnim względem socjolodzy dokonali już wiele dzięki swym wystąpieniom w procesie poznańskim. Lecz inne niedomagania, o których była mowa, dają się socjologii dotkliwie we znaki i ich usunięcie wymagać będzie czasu i wysiłku. W toku jest proces regeneracji i w tym procesie czasopisma socjologiczne odgrywać mogą doniosłą rolę. Widać trafność wypowiedzi prof. Kotarbińskiego, gdy nazwał okres obecny „okresem odprężenia po zaprzestaniu ucisku”. Socjologia może dokonać wielkiego wkładu do dzieła odrodzenia społecznego, do umysłowej i moralnej kultury społeczeństwa. Dlatego jest rzeczą niezwykle ważną, by okres powrotu do zdrowia trwał najkrócej dla dobra socjologii i ogólnego pożytku.

Zbigniew JORDAN

Z książek krajowych

Opowieść o Justynie Marii Bonieckiej (Czytelnik, 1955-1956) jest książką dziwnie dziewiętnastowieczną, mimo swego „postępowego” nastawienia, a może właśnie dzięki niemu... Postępowość była chorobą XIX wieku, jest to zapewne jedną z przyczyn dlaczego historia zatrzymała się w Sowietach na roku 1917. Pierwszą część książki, *Szklane kulki*, poświęconą głównie dzieciństwu bohaterów, czyta się przyjemnie, mimo denerwujących a zbędnych wstawek politycznych. Szczególnie uderzające dla czytelnika, który nie jest członkiem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, jest umieszczenie części akcji podczas rewolucji w Charkowie. Z niezrozumiałych (jako że rewolucja jest zjawiskiem pozytywnym) powodów, bohaterowie wracają jednak do kapitalistycznej ojczyzny, przy czym ten powrót, jak pisze autorka, „był konsekwencją polityki władzy radzieckiej”. Piękne wspomnienia rewolucji pozostają dzieciom na całe życie (nawet podczas wojny 1920 roku, która omówiona jest — według obowiązującej do niedawna formuły — szeregiem dyskretnych eufemizmów).

Oficjalny banał spotyka się niestety na co drugiej stronie, jak na przykład następująca charakterystyka: „Był z krwi i kości proletariuszem, nie przeżywał żadnych konfliktów wewnętrznych, żadnych wahań” (o tym samym osobniku dowiadujemy się dziesięć wierszy niżej, że był „łagodny, wykształcony, delikatny”...). Tam gdzie autorce udało się od tego banału wyzwolić, potrafi dać obrazki odczute i prawdziwe, choć może zanadto migawkowe. Jej droga zdaje się leżeć w wystrzeganiu się polityki, aktualności, „realizmu”, a także w większej pracy nad znalezieniem własnego stylu.



Jest zastanawiające, że nowa książka Iwaszkiewicza (1) przyjmuje ten sam schemat co książka Bonieckiej: zaczyna się w Rosji, by potem dziać się w Polsce. Ale poza tym akcja ma miejsce w o wiele „wyższych sferach”, wśród hrabiów, książąt itp. w Warszawie i w Paryżu. Jeżeli przypomnieć sobie niedawne sukcesy różnych książek Magdaleny Samozwaniec, to można pomyśleć, że tego rodzaju utwory odpowiadają jakiemuś zamówieniu społecznemu. Jakiemu? Nasuwa się niepokojąca myśl, że awans społeczny proletariatu prowadzi przez tego rodzaju literaturę (nie darmo przedwojenne służące czytały „Ordynata Michorowskiego”). Gdyby ta hipoteza o snobowaniu się proletariatu na arystokrację była niesłuszna, to można by tylko zapytać: kogo? Kogo może tego rodzaju literatura obchodzić? Jest to zapewne jedna z tajemnic socjalistycznego budownictwa (książka ukazała się z początkiem 1956 roku).

Oprócz pierwszej części poświęconej mniej lub więcej rewolucji i wojnie, prawie cała akcja książki toczy się w salonach. Nie musi to oczywiście

(1) *Sława i chwała*, P.I.W., Warszawa, 1956.

a priori decydować o braku wartości, ostatecznie u Prousta akcja też się toczy w salonach. Tylko z tą różnicą, że salony Prousta są interesujące. Ale kto wie, może te pięćset stronic rozwlekłego banału odpowiada zamierzeniom autora, innymi słowy, może chciał on w ten sposób zilustrować pustkę duchową rozkładającej się burżuazji... Jeżeli tak, to udało mu się to najzupełniej.

Jeden z bohaterów książki jest muzykiem, co daje Iwaszkiewiczowi okazję do wtrącenia tu i tam różnych banałów o muzyce. Oczywiście bohaterowie są wyżsi ponad otaczający ich świat (schemat dziwnie znany i to od wcale dawna), oni jedyni muzykę (malarstwo itd.) rozumieją :

„Janusz także nie mógł się przymusić do słuchania. Krępowało go towarzystwo dwóch pięknych, wystrojonych pań. Zdawało się przy tym, że nikt tu nie przyszedł dla muzyki, chyba królowa belgijska, która od pierwszej nuty pogrążyła się w nabożną uwagę...”

Mimo tego całego estetyzmu o jednym z malarzy umie autor powiedzieć tylko tyle, że „był to ten malarz, którego matka nosiła wspaniałe nazwisko Thun-Hohensteinów”. Czytelnik dobrej woli domysła się, że ma to być ironia, ale znowu musi sobie zadać pytanie : „po co?”, jako że z malarzem tym się już potem nie spotyka. Być może chodzi więc tu raczej o nadanie arystokratycznego *couleur locale*.

Szczególnie ciekawie prezentują się w książce „przyjaciele Rosjanie”. Już gdzieś na początku książki dowiadujemy się, że „większość arystokracji polskiej miała w żyłach krew Katarzyny II”. Potem na emigracji, w Paryżu, spotykamy miłych rosyjskich arystokratów, polscy bohaterowie mówią z nimi płynnie po rosyjsku lub po francusku, Rosjanie ci to ludzie kulturalni, czyżby jednym z zamierzeń książki było przekonanie o tym polskiego czytelnika?

Wśród innych, zapewne świadomych, zamierzeń warto wyróżnić tak zwany „stosunek do ludu” (reprezentowanego głównie przez lokai). Żli arystokraci ludem się oczywiście nie interesują : „Księżna ... zwracając się do Stanisława (swego lokaja) spytała : *A propos*, Stanisławie, od tylu lat jesteś u nas, a nie wiem jak ci na nazwisko?”. Lud naturalnie odplaca arystokratom pięknym za nadobne : „Lokaj z twarzą, w której nie drgnął ani jeden mięsień, ale która mimo to wyrażała lekką pogardę, spoglądał uważnie, jak Ariadna zanurzyła widelec i łyżkę w kremowe boki babki. Z boku babki, jak krew i wnętrzności z boku rannego jelenia, zaczęły się wylewać lody...”. Trzeba lojalnie przyznać, że styl Iwaszkiewicza nie zawsze osiąga tego rodzaju godne Mniszkówny wyżyny.

Inaczej zachowują się jednak dobrzy arystokraci. W Paryżu bohater chodzi (od czasu do czasu) odwiedzać syna lokaja księżnej, Jasia Wiewiórskiego („Przyszedłem pod jednym warunkiem, że pan nie będzie mnie tytułował hrabią...”). Raz nawet zaprasza go na przedstawienie Romain Rollanda. Wreszcie, podczas zabawy paryskiej *société*, gdy gospodyni zaproponowała mu różne trunki, między innymi „dwa kurki : leciały z nich piwo i prosta (!) polska wódka... Janusz pomyślał o Jasiu Wiewiórskim i wypił dużą szklanekę wódki za jego zdrowie”.

Z tego rodzaju treningiem nie ma wątpliwości, że w następnym tomie ujrzymy Janusza jako dygnitarza Polski Ludowej.

To „chodzenie w lud” ma posmak dziwnie przypominający koniec wieku XIX, posmak żeromszczyny. Tej żeromszczyny jest więcej. Tenże bohater spędza wieczór z milionerką, która chce zostać sławną śpiewaczką, nadaremnie, bo nie ma absolutnie głosu. Kupiła nawet teatr, by się tam produkować („Pan wie, przecież wszystko można dostać za pieniądze”). „Wracając późnym wieczorem do hotelu Janusz uśmiechnął się do siebie. Jednej rzeczy nie można jednak mieć za największe choćby pieniądze: pięknego głosu”.

Żeromszczyną *par excellence* jest przede wszystkim główna intryga miłosna książki: bohater kupuje za bezcen folwark od zubożałego szlachcica, przy okazji próbuje ukraść całusa jego córce, ale „ona odsunęła się spokojnie i mocno, i wciąż patrząc mu w oczy powiedziała powoli: — Czy pan hrabia myśli, że mnie kupił razem z folwarkiem?”.

Dziesięć lat później szlachcianka zjawia się w majątku, nie ma ani grosza, ojciec umarł, prosi o jakąkolwiek pracę. Hrabia odprawia ją niezbyt życzliwie, ale kielkują w nim widać wyrzuty sumienia (a także tęsknotę za krajem, jako że romansuje w międzyczasie w Paryżu i Heidelbergu, tęsknota za krajem jest obowiązkowym socrealistycznym rekwizytem), dość dość że wprost z Heidelbergu i z objęć pięknej, kosmopolitycznej milionerki („czuł pod dłońią to cudowne, dojrzałe ciało”) wraca do Krakowa, do swojskiej Zosi: „wydała mu się prosta i całe przyszłe życie wydało mu się proste i zwyczajne”... Na zakończenie książki *happy end*: uboga szlachcianka wraca z mężem hrabią do rodzinnego majątku.

Powyższe uwagi, podobnie jak i sama książka, mają raczej znaczenie socjologiczne niż literackie, jak to wynika choćby z tego co powiedzieliśmy na początku. Wartość literacką „Sławy i chwały” charakteryzują zresztą wystarczająco przytoczone wyżej cytaty.



Warszawa wydarta nie pamięci Wacława Rogowicza (2), poświęcona jest nie „wielkiej” historii, ale raczej wspomnieniom dnia codziennego: prosiaki harcujące na rogu Jerozolimskich i Marszałkowskiej, pierwsze Pogotowie Ratunkowe, stójkowi, strażacy, stróże (którzy nie byli jeszcze dozorcami).

Wśród obrazków zapomnianej przeszłości zasługują na wyróżnienie opis jazdy straży pożarnej do ognia (jeździec w mosiężnym kasku na przedzie, wozy z topornikami, drabinami, bosakami itd.), galeria domokrażców oraz posłańców, a wreszcie „jeden dzień z życia stróża” (z tak nieoczekiwanymi obowiązkami jak przyrządzanie, instalowanie i zapalanie łojowych kagańców na trotnarze podczas tak zwanej iluminacji).

Równie nieoczekiwany, acz z innych powodów, jest następujący fragment: „Poświęciłem tyle miejsca opisowi dwóch rodzajów gry w bilard z tego względu, że wzrastające dziś pokolenie warszawiaków nie zna ani samej gry, ani nie wie nawet jak wygląda bilard. W stolicy Polski Ludowej — wszyscy o tym wiemy — z rozrywek w lokalach cieszy się szczególnymi względami tylko gra w szachy. Natomiast bilard jest widocznie uważany za coś „niebezpiecznego dla równości demokratycznej” (uzasadnienie ostracyzmu w starożytnej Grecji). Tym można sobie chyba tłuma-

(2) Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1956.

czyć fakt, że nawet w luksusowo urządzonych kawiarniach i restauracjach na M.D.M. i gdzie indziej nie ma bodaj jednego bilardu na użytek gości. Czynniki decydujące o rozrywkach obywateli stolicy wyszły widocznie z założenia, że jest to gra stuprocentowo burżuazyjna. Takie mniemanie nie jest zgodne z rzeczywistością historyczną...”

Tego rodzaju snop światła na rzeczywistość dzisiejszą jest dla czytelnika żyjącego w świecie kapitalistycznym (a zapewne i dla przyszłego historyka) rewelacją.

Warto pochwalić autora za wspomnienie o Starynkiewicz, prezydencie Warszawy w latach 1875-1891, któremu miasto zawdzięcza sieć wodociągową. Starynkiewicz był bodajże jedynym Rosjaninem, który posiadał ulicę swego imienia w Warszawie.

Trudno natomiast zgodzić się z nazwaniem margrabiego Wielopolskiego człowiekiem „złowrogiej pamięci” (str. 50), dlatego że „zarządzeniem branki spowodował wybuch powstania styczniowego” a to niezależnie czy się uważa samo powstanie za klęskę narodową, czy nie.



Wśród wielu innych książek „Kultura” otrzymała również do recenzji trylogię Jalu Kurka pod tytułem „Janosik”, wydaną w Krakowie w latach 1945-1948 (3). Nie bardzo jasne jest dlaczego autorowi tak zależało na recenzji? Te trzy tomiska, po 350-600 stron wielkiej ósemki każde, należą do dzieł, które powinna okryć jak najprędzej mgła litościwego zapomnienia. Jalu Kurek targnął się na temat ponad swoje siły, rezultat dla czytelnika głównie: nuda, nie łatwo jest przeczytać 1.500 stron realistycznego opowiadania o zbójnikach, umieszczonego na dobitkę nieszczęścia w naszej epoce. Pomijając już fakt, że w 1945-1946 nikt Jalu Kurka nie zmuszał do piosczenia na sanację i do chwalenia bohaterskich komunistów.

Najlepszą stroniką książki jest posłowie do tomu pierwszego. Autor słusznie zauważa, że legenda Janosika jest *legendą*. Wielka szkoda, że konsekwencji z tego stwierdzenia wyciągnąć nie chciał czy raczej nie umiał: aby uwspółcześnić legendę trzeba zrobić w najlepszym razie tak jak Cocteau z Tristanem i Izoldą (*L'éternel retour*). Jeszcze lepiej w ogóle nie uwspółcześniać, jak na przykład Giraudoux.

Jan TOROSIEWICZ

« Buty »

Książka Szczepańskiego (4) jest zbiorem opowiadań zresztą, jak to w mowie stwierdza sam autor z dużym obiektywizmem, opowiadań dosyć nierównych pod względem wartości literackiej. Niektóre z nich łączy wspólna

(3) Wyd. St. Kamińskiego, Kraków, 1945-1948.

(4) Jan Józef Szczepański, *Buty*. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1956, str. 271.

postać porucznika AK, Szarego, wszystkie zaś — z wyjątkiem trzech ostatnich — okres walki z okupantem niemieckim. Z opowiadań tych, najlepszymi wydały mi się: *Wszarż*, *Dwie Jesienie* i *Buty*.

Charakterystyczną cechą spojrzenia na świat Szczepańskiego (dosyć mnie niepokoi to szumne określenie) — jest pełne smutku rozczarowanie do człowieka i duża wrażliwość na absurdalność naszego, godnego lepszej sprawy, bytowania na świecie. Technika pisarska Szczepańskiego — to spokojny obiektywizm, to zestawianie faktów, których wymowa nie potrzebuje komentarzy, to zaufanie do czytelnika, któremu autor podsuwa materiał do rozmyślań i pozwala snuć wnioski, w oparciu o subtelne niedomówienia. Szczepański jest miły i sympatyczny w swym stosunku do czytelnika, ale pełen drapieżności w doborze tematyki.

We „Wszarżu” opowiada nam on historię otepiałego ze starości i nędzy żebraka, który nagle budzi się ze snu, by zdradzić, wzamian za zapłatę, miejsce ukrycia oddziału AK. Tylko, że ci, których brał za Niemców, to przebrani powstańcy. Zapada więc decyzja zlikwidowania nic nie rozumiejącego dziada. W ciszy leśnej kopie on sobie grób na oczach przglądającego mu się oddziału, starannie układając sobie wieczne postanie z liści i mchu. Wyrok na bezbronny i słabym żebraku wykonuje młody chłopak, którego okaleczyła paskudnie kula niemiecka, pozbawiając go pewnych zdolności męskich, do których na ogół przywiązuje się dużą wagę. Zamknięty w sobie, mściwy, trawiony kompleksami młody chłopak odżywa i promienieje po zabójstwie żebraka.

W „Dwu jesieniach”, Szczepański pokazuje nam zdumiewającą kruchość przyczyn, które mogą się stać naszym natchnieniem. Przywódca oddziału leśnego, dotychczas niepokonany „Wilk”, osaczony przez Niemców, straciwszy wszystkich ludzi, złamany na duchu, próbuje ucieczki ostatnim wysiłkiem. W przeczuciu zbliżającego się końca wszystko wydaje mu się bezcelowe. Niespodziewanie dostrzega w ciemnej nocy wąską smugę światła, padającego przez szparę w niedomkniętej okiennicy. Zbliża się do okna i widzi w żółtawym, spokojnym świetle lampy człowieka zatopionego w pisanu. Obraz tego człowieka, zamkniętego w swym świecie bezpieczeństwa, zaufania i pogardy do tego co może się dziać w ciemnej nocy, po drugiej stronie cienkiej szyby okna, jest dla zaszczutego i gotowego na śmierć Wilka, cudownym zastrzykiem, dodającym niespodziewanych sił do nowej walki, jest natchnieniem, symbolem wiary w możliwość innego życia. Druga część opowiadania odsłania nam prawdę. Dowiadujemy się w niej, że ten człowiek piszący za biurkiem — źródło i przyczyna wspaniałego porywu — jest w rzeczywistości biedną i nieporadną istotą, zgębnioną strachem i własną nieudolnością.

„Buty” wreszcie, to opowiadanie, podobnie jak poprzednie, utrzymane w spokojnym, obiektywnym tonie, ale wstrząsające w brutalnym obnażeniu zwierzęcych głębin człowieka. Do oddziału leśnego dołączą grupa własowców. Zbliża się zima, ludzie oddziału AK pozbawieni są butów, płaszczy, odpowiedniego ekwipunku. Własowcy mają wszystko. Powstańcy przyglądają się im z zawiścią. Wreszcie z dowództwa batalionu przychodzi rozkaz zlikwidowania własowców. Wykonać ma to porucznik Szary ze swym plutonem. Po otrzymaniu rozkazu porucznik Szary protestuje, łamie się wewnętrznie, walczy z ogarniającym go wstrętem. Jakże: własowcy obdarzyli ich zaufaniem i teraz podstępnie będą ich zabijać? Gdy jeden z członków oddziału, zwykły kryminalista, proponuje by własowców zamordować, rozbijając im kolejno głowy siekierą, porucznik Szary w obronie resztek człowieczeństwa, opracowuje dokładny i jak mu się wydaje mniej odrażający plan zlikwidowania własowców. Plan ten zostaje wykonany. I magazynier może dostarczyć bosym powstańcom 26 par prawie nowych butów.

Taka jest w największym skrócie tematyka trzech opowiadań Szczepańskiego. Biedny, bezsilny i zgubiony człowiek, który obraca się w okrutnym i niezrozumiałym świecie. Człowiek, który zgubił jakąś miarę, umiejętność oceniania zjawisk, zdolność protestowania. Kto temu jest winien? Wojna? Niemcy? Samo AK?

W przedmowie Szczepański pisze, że przyczyną wszelkiego zła jest faszyzm. Dobrze. Zgadza się, ale pod warunkiem, że przypomnimy, iż faszyci chodzić mogą nie tylko w brunatnych czy czarnych koszulach.

Książka Szczepańskiego jest pisana z niewątpliwym talentem, zaś prawdziwą wartość nadaje jej ostrość widzenia autora, jego bolesna świadomość otaczającej rzeczywistości, jego krzyk protestu zamknięty w spokojnej narracji.

Na zakończenie jedna uwaga: sędzę, że autor mi ją wybaczy. Mam zastrzeżenia co do opowiadania pod tytułem „Koniec legendy”. Rozumiem, że jest rzeczą pociągającą opisać bal kostiumowy w dworze szlacheckim, w chwili gdy nadciąga czerwona armia, a pobici Niemcy uciekają w pośpiechu. Świat wali się, ziemia rozstępuje się pod nogami, a tu arlekiны, markizy i mandaryni wirują w oszalamiającym, pełnym zapomnienia tańcu. Klębią się uczucia, niepokoje, spiętrzone wypitą wódką, oderwanie od rzeczywistości. Przypomina się „Popiół i Diament”, Andrzejewskiego. Ale tam wszystko było spięte fascynującą, przykuwającą atmosferą. Podczas gdy u Szczepańskiego, poza kilkoma doskonałymi fragmentami, całość rozchodzi się niestety między palcami.

Józef URSYN

Nowości poetyckie

Przypadek zrządził, że na stole recenzenta spotkały się książki trzech poetów, książki różne i nieporównywalne. Dwie spośród nich ukazały się w Kraju już w 1957 roku, trzecia natomiast nadeszła do Redakcji z dwunastoletnim opóźnieniem. Wydrukowano ją bowiem w Nowym Jorku, w 1945. Autorem tomu (I) jest Sydor Rey. Dlaczego autor zwlekał tyle lat z nadeśłaniem swego zbioru pozostanie to jego tajemnicą, fakt jest jednak niecodzienny, toteż zajmijmy się najpierw książką spóźnioną.

Jak prawie wszystkie tuż powojenne debiuty książkowe poetów emigracyjnych *Pieśni Mówione* wyrażają naraz tęsknotę za ziemią rodzinną, gorycz emigranckiego życia i poniżenie wojny. Część wierszy można by określić jako lirykę refleksyjną, część zaś jako *poèmes à thèse*. Pośród pierwszych nie brak utworów pięknych i autentycznych jak na przykład:

Sydoor Rey, *Pieśni mówione*, St. Marks, Printing Corporation, New York, 1945.

POCALUNEK

Początek tego wiersza w pocałunku przerwany...
O drzewo zakurzone na rozstaju dróg
O morze stokroć bujniejsze od słońca
Księżycu ciepły na który patrzeć nie umiałem.
Was bym teraz uściskał...
Świat wysliznął mi się z rąk
Jak niedojrzałej matce niemowlę.

(str. 23)

Drugie zaś wiersze należałoby określić jako emigracyjną jaskółkę... socrealizmu. Nie żeby wiersze Rey'a były aż tak złe — nie ma bowiem mowy, żeby ktokolwiek potrafił prześcignąć w antyliryzmie młodych autorów *Wiosny Sześciolatki* — wiersze Rey'a zbliża do socrealizmu co innego: uproszczenie wykładni wydarzeń historycznych i podstawianie owego świadomie uproszczonego komentarza w miejsce wzruszenia autentycznego, sprawdzalnego w tym wypadku przez Polaków z roku 1939 go.

Oto przykłady:

.....
Zaszumiały ogniem lasy,
Gdzie jest luby dym z ogniska?
Nie wiesz, kto podpalił lasy?
Las podpalił nam faszysta.

(Pożar w lesie, str. 33)

Wiersz robi wrażenie alegorii, w którą wetknięto słowo-definicję, wymagającą nieomal dyskusji. Kogo bowiem abstrakcyjnym płaszczem politycznej dialektyki okrywa poeta? Czytelnik może pod to słowo podstawić wiele konkretności... Autor uniemożliwił nam uczestniczenie w swym wzruszeniu, stawiając nas, którzyśmy przeżyli tamte lata, przed pojęciem doklejonym a posteriori do całokształtu typowych wzruszeń ówczesnego Polaka. Zresztą gdzie indziej (str. 15) jest mowa o innych, bliżej nie określonych „faszystach”.

Są też rzeczy inne np.:

.....
I tęskno mi dzisiaj do Karpat,
Gdzie Michał, Danyło, Szłojme
Zmieniwszy kierunek armat
Wojnie wydali wojnę.

(Podkarpacie, str. 36)

Tutaj emigracyjny poeta wyprzedza o lata krajowych socrealistów. Który z nich bowiem, Anno Stalini 1945, myślał o tym, aby wierszem zakłamać rzeczywistość krwawych porachunków, aby wyrzynieć Żydów i przesiedlanie Ukraińców uwieruszać w idyllę, zbliżywszy na nowojorskim papierze trzy imiona-symbole: Michał, Danyło, Szłojme...

Smutny uśmiech budzą te wiersze, tak zresztą jak i inne, w których autor przedstawia polskich emigrantów. (Na uchodźstwie). Dla Rey'a są to

wyłącznie „szlachetkowie wąsaci, kupczykowie brzuchaci”, którzy „płaczą... jedzą, piją, palą, I żalą się, żalą...”

Skąd się wobec tego wziął w Stanach ktoś, kto „zabłąkany nad Hudsonem płacze” (str. 34) i pisze *Modlitwę uchodźcy* (str. 6)? W 1945 Polacy przebywający poza granicami ojczyzny dzielili się na „wąsatych szlachetków” i na „patriotów”. Sydor Rey był na pewno „patriotą”.



Wiersze z notatnika (2) są zbiorkiem, którego lektura budzi na przemian uśmiech i wzruszenie. Uśmiechamy się do wiersza napisanego w obronie „szczerości” poetyckiej.

.....
*Powiecie, że to nastroje przebrzmiałe ?
 Że epigonizm poetycki ? — skądże !
 Człowiek jest wieczny — i serce dojrzałe,
 Tylko gdy szczerze bije — bije mądrze...*

(Okławy przy winie, str. 12/13)

Uśmiechamy się życzliwie przy czytaniu bardzo młodzieńczych liryków, broniących „serca szczutego”, bądź też mówiących iż „trudno być sprawiedliwym człowiekiem i dobrym...”

Za to głęboko wzruszają nas wiersze końcowe, wiersze pisane jesienią 1956 roku. Wzrusza nas ich głośno mówiona polskość i ledwie powstrzymany krzyk :

*Górnicy szepczą „szczęść Boże!”
 Mijając się w grobie ciemnym —
 Ich krew po szerszym śle torze
 Ktoś w rozrachunku tajemnym...*

.....
*Cierpliwa ta stara gleba!...
 W wnętrzu kłofy i szpadle,
 A tam, na szarym tle nieba,
 Hałdy i twarze pobladle...*

(str. 34)

Albo ta strofa *Nocy październikowej* :

*W tę noc nikt nie spał w Warszawie
 Mrok tylko kapturem okrył
 Tysiące oczu płonących
 W tę noc milczącą i czujną...*

(str. 40-41)

Najdojrzalszym wierszem w zbiorku jest utwór zaczynający się od słów „Wyszli z ciemnic więziennych”.

(2) Juliusz Żuławski, *Wiersze z notatnika*, PIW, 1957.

*Wyszli z ciemnic więziennych,
Spod sądów potajemnych,
Wodzą ręką po czole —*

*Wyszli z grobu pamięci,
Imiona ich się święci,
Pod ziemią leżą kości —*

*Wyszli z swego milczenia,
Z bezsenności i z cienia,
Patrzą na łąki, pola —*

*„....A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niej z rzadką ciche grusze siedzą”.*

(str. 38)

Wiersz ten, jak również tu i ówdzie rozrzucone szczęśliwe urywki mowy poetyckiej, pozwala oczekiwać od Żuławskiego innych wartości aniżeli „szczerłość” i bardzo stareńkie poetyckości, o których wiedział już Asnyk i późniejsi „piewcy nastrojów”.



Arkusz poetycki Tymoteusza Karpowicza, *Gorzkie Źródła* (3), zawiera czternaście oszczędnie zbudowanych liryków. Lapidarność ta wyraża się zewnętrznie frazą celowo „szorstką” i strofą, która nie przylega do toku składniowego. Przypomina to naszego Buffet’a w poezji, Różewicza. Karpowicz nie posuwa się jednak tak daleko w oddźwięcznianiu wiersza. Jest bardziej muzyczny, ale i równocześnie bardziej filigranowy.

.....
*Jest w moim krajobrazie
Błąd barw i zapachu
Lecz ciągle,
Ciągle kocham
To co wciąż się
Zmienia.*

*Jak złota piłka
Biegnie wciąż przede mną
Zatrzymywana,
Ukochana
Ziemia.*

(Miłość, str. 6)

Ale wiersze Karpowicza są przede wszystkim związane w swej esencji lirycznej. Można by powiedzieć, że autorowi *Gorzkich Źródeł* potrzeba o wiele więcej materiału wzruszeniowego, o wiele więcej życia na budowę jednego wiersza, aniżeli któremukolwiek z rówieśnych mu poetów.

Większość wierszy wyrasta z syntetycznego widzenia doli — żeby rzecz z rosyjska — polskiego człowieka. Poeta operuje zarówno wierszem symbolicznym, jak i groteską. Wystarczy przeczytać jeden z tych utworów, aby zdać sobie sprawę z oryginalności wizji i z trafności w ujmowaniu strasznych spraw stalinowskiego okresu, a które autor tłumaczy na sztukę niemal półgłosem; wie bowiem że o krzyku nie można mówić krzykiem.

LEKCJA CISZY

Gdy motyl
Zbyt gwałtownie
Czasem złożył skrzydła —
Wołano : proszę o spokój !

Zaledwie piórko
Spłoszonego płaka
Trąciło o promień —
Wołano : proszę o ciszę !

Tak nauczono
Bezszelestnie chodzić
Ślonia po bębnie,
Człowieka po ziemi.

Wstawały drzewa
Bez szumu nad polem
Tak jak powstają
Włosy z przerażenia.

(str. 7)

Na szczęście symbolika tych wierszy nie pozwala uprościć się do łatwo-czytelnej alegorii. Często mamy do czynienia z jednym wielkim porównaniem, którego jednym członem jest wiersz, a drugim... o drugim wiemy, a raczej czujemy, że na pewno istniał lub istnieje w rzeczywistości. I nasza pewność, nasze godzenie się na całą prawdę, poprzez dotknięcie jednego z jej skrzydeł, dowodzi, jak bardzo wiersze te są artystycznie celne i przekonujące.

Zdarza się jednak (*Siedem kwiatów*), że nowoczesny tok wiersza wy-koleja ważką treść utworu. Słowa toczą się bowiem zbyt wątko wąskim potokiem, nie starając się rozgałęzić w naszej wyobraźni. Nazwałbym to sprawą słów zbyt *schludnych*, słów świadomie „codziennych” i „anty-poetyckich”, które nabierają w siebie poezji dopiero w chwili, gdy, prze-czytawszy całe zdanie, odtworzymy sobie *sens* wpisany w nie przez autora. Stąd też w wierszach Karpowicza słowa osobno, słowa jako takie, nie sączą z siebie zielonej liryki; czytelnik przeprowadza bowiem przede wszystkim przewód myślowy.

Być może iż słowo z lekka „zawiane”, wychylające się poza swą pierwszą otoczkę, przydałoby tym zwartym i pięknym wierszom nowego uroku. I Sokrates tańczył...

Marian PANKOWSKI

Bibliografia i chronologia ruchu robotniczego w Rosji

Polacy skłonni są uważać bibliografię za dziedzinę żmudną, nudną i mało efektowną. A jednak jest to nieodzowna nauka pomocnicza każdej dziedziny badawczej, bez której nie jest do pomyślenia żadna poważna twórczość naukowa. Dlatego też wszyscy badacze Europy Wschodniej w ogóle, a rosyjskich ruchów robotniczych w szczególności, winni są dług wdzięczności doktorowi Eugeniuszowi Zaleskiemu za jego benedyktyńską pracę o bibliografii i chronologii tych ruchów w latach 1725-1917 (*).

Dr Zaleski jest wychowankiem Wydziału Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie; uczelnię tę ukończył on już w latach 1939-1940, to jest pod okupacją sowiecką. Aresztowany przez Niemców w 1941 roku za pracę podziemną zostaje wywieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, a następnie do Mathausen. Po zwolnieniu w 1945 roku podejmuje studia doktorskie na Wydziale Prawa Uniwersytetu Paryskiego, gdzie uzyskuje w 1946 roku „Diplôme d'Etudes Supérieures d'Economie Politique” oraz „Diplôme d'Etudes Supérieures de Droit Privé”. W latach 1947-1949 pisze tezę doktorską: „Les courants commerciaux de l'Europe Danubienne aux cours de la première moitié du XX siècle”. Od 1951 roku pracuje w „Centre National de la Recherche Scientifique” w Paryżu jako „Chargé de Recherche”. Jego ostatnia dwutomowa praca podzielona jest na dziesięć części. Tom pierwszy ma cztery rozdziały: 1. Przenikanie idei zachodnich i przemiany ustroju społecznego Rosji (1725-1850); 2. Okres narastania ruchu rewolucyjnego (1851-1884); 3. Narodziny ruchu robotniczego i socjal-demokratycznego (1885-1904); 4. Rewolucja lat 1905-1907. Tom drugi ma też cztery zasadnicze części: 1. Odpyływ fali rewolucyjnej i początek Pierwszej Wojny Światowej (1908-1916); 2. Rewolucja roku 1917; 3. Prace dotyczące dziejów rosyjskiego ruchu robotniczego, ogłoszone w latach 1918-1954; 4. Dodatek do tomu pierwszego. Poza tym tom drugi ma jeszcze indeks alfabetyczny i rzeczowy. Każdy z sześciu pierwszych rozdziałów poprzedzony jest tablicą chronologiczną. Część bibliograficzną dzieli się na dwa działy: najpierw dział wydawnictw periodycznych, a następnie książek i broszur. Każda pozycja bibliograficzna podaje biblioteki, w których dana praca się znajduje, oraz numery katalogowe; pozycje uszeregowane są chronologicznie według roku wydania.

Praca Zaleskiego oparta jest na rozległych poszukiwaniach w głównych zbiorach kontynentu europejskiego, jak biblioteki Paryża, Genewy, Berna Szwajcarskiego, Mediolanu i Amsterdamu. Książka ma wszelkie szanse,

(*) *Mouvements ouvriers et socialistes (Chronologie et bibliographie)*. LA RUSSIE. Tome I: 1725-1907; tome II: 1908-1917. Eugène Zaleski (Les Editions Ouvrières. Paris, 1956, str. 462 et 489).

aby stać się podstawową bibliografią badaczy rosyjskich ruchów robotniczych, pracujących w Europie Zachodniej, a będzie pomocna każdemu, kto interesuje się dziejami Europy Wschodniej w ogóle; praca zawiera bowiem dużą ilość materiału o stosunkach ruchów rosyjskich z ruchami rewolucyjnymi innych narodów dawnego Imperium Carów: Polaków, Żydów, Ukraińców, oraz narodów bałtyckich. Świetny wstęp historyczny dopełnia imponującej całości.

M.K. DZIEWANOWSKI

Konfederacja

Styczeniowy numer „Foreign Affairs” wymienia w przeglądzie wydawnictw książkę Piotra S. Wandycza: *Czechoslovak-Polish Confederation* (1). Przegląd ten prowadzi prof. H. Roberts, dyrektor Rosyjskiego Instytutu przy Uniwersytecie Columbia i ceniony znawca spraw środkowo europejskich. Jego uwagi bibliograficzne są uważane za listę najwartościowszych publikacji.

Autor tej książki, młody uczyony z polskiej emigracji powojennej, jest profesorem historii Uniwersytetu Indiana oraz współorganizatorem i współpracownikiem czasopisma „The Central European Federalist”. W swym dorobku naukowym posiada już kilka poważnych artykułów, ogłoszonych w czasopismach amerykańskich.

Książka jest poświęcona konfederacji czechosłowacko-polskiej, a przede wszystkim analizie stosunków politycznych, jakie istniały między tymi państwami w latach 1918-1939. Zasadnicza uwaga autora skupia się na próbach konfederacji, podejmowanych przez rządy generała Sikorskiego i prezydenta Benesa w okresie ich wojennej działalności w Londynie. Dr. Wandycz poświęca oczywiście sporo miejsca także czynnikowi sowieckiemu oraz podobieństwom i różnicom ogólnej koncepcji politycznej jaką reprezentowały obydwie strony. W rozdziałach końcowych znajdujemy ocenę tych wysiłków przez pryzmat późniejszych wydarzeń oraz próbę wyjaśnienia przyczyn załamania się prac nad zbliżeniem dwu państw i trzech pokrewnych sobie narodów. Książka zaopatrzona jest w teksty najważniejszych dokumentów, dotyczących sprawy konfederacji oraz w bogatą bibliografię tego przedmiotu

W. S.

(1) Piotr S. Wandycz. *Czechoslovak-Polish Confederation*. Indiana University Publication. Slavic and East European Series, vol. 3, p. 152.

Nadesłane nowości wydawnicze

WYDAWNICTWA EMIGRACYJNE

PIASECKI (Sergiusz). *Zapiski Oficera Armii Czerwonej*. Str. 202. Wyd. „Książka dla Wszystkich”, Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1957, fr. 600).

NAGLEROWA (Herminia). *Zawalidroga*. Str. 214. Wyd. drugie. (Wyd. „Książka dla Wszystkich”, Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1957, fr. 600).

NOWAKOWSKI (Tadeusz). *Obóz wszystkich świętych*. Str. 462. (Wyd. „Libella”, Paris, 1957, fr. 850).

CZAYKOWSKI (Bogdan). *Trzciny czcione*. Poezje. Str. 32. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1957).

POŁOWIEC (Henryk). *Co emigracja przemilcza*. Str. 47. (Zeszyt 3, Biblioteka Socjalistyczna, Londyn 1957, nakład. autora, cena 3 sh.).

WYDAWNICTWA ZACHODNIE

CHURCHILL (Winston S.). *Histoire*. T. I. *Naissance d'une nation*. Pp. 512 (1956 r.); T. II.: *Le monde nouveau*. Pp. 414 (1957 r.). (Ed. Plon, Paris, cena 1.800 fr.).

Les archives secrètes de la Wilhelmstrasse. Vol. VIII: *Les années de Guerre*. Livre I.: (4 septembre - 30 décembre 1939), pp. 499 (1956 r., cena 1.770 fr.); Livre II.: (2 janvier - 18 mars 1940). Pp. 351. (1957 r., fr. 1.350). (Ed. Plon, Paris).

JOYEUX (Maurice). *Le consulat polonais*. Pp. 288 (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1957, fr. 620).

FEUCHTWANGER (Lion). *La juive de Tolède*. Traduit de l'allemand par Henri Thies. Pp. 320 (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1957, fr. 790).

BORDEAUX (Henry). *Weygand*. Pp. 143 (Ed. Plon, Paris, 1957, fr. 390).

GUEHENNO (Jean). *La foi difficile*. Pp. 253 (Ed. Grasset, Paris, 1957, fr. 585).

LOCH (Sydney). *Athos: the Holy Mountain*. Str. 264. (Wyd. Lutterworth Press, Londyn, 1957, cena 21 sh.).

STANKIEWICZ (W.J.). *Socio-Economic Changes in Post-war Poland*. Str. 387-406. Odbitka z „Political Science Quarterly”. Vol. LXXI, Nr 3, September 1956. (Wyd. Academy of Political Science, New York, 1956).

First Population census of Sudan, 1955-1956, Second Interim Report. Str. 56 plus mapa. (Wyd. Population Census Office, Khar-tum).

WYDAWNICTWA KRAJOWE

ZYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Liryki*. Str. 99. (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1956).

HERTZ (Paweł). *Pieśni z rynku*. Poezje. Str. 36. (Wyd. PIW, Warszawa, 1956).

ZAGÓRSKI (Jerzy). *Czas Lota*. Wybór poezji. Str. 263. (Wyd. PIW, Warszawa, 1956).

BRAHMER (Mieczysław). *W galerii renesansowej*. Szkice literackie. Str. 339. (Wyd. P.I.W., Warszawa, 1957, cena zł. 15).

WYDAWNICTWA KRAJOWE

(Rok wydania 1956)

WYDAWNICTWO „OSSOLINEUM” — Wrocław :

CALDERON DE LA BARCA (Pedro). *Życie snem*. Przeł. E. Boyé. Str. CIII + 176 (zł. 9.70).
Sylabizm. Praca zbiorowa pod redakcją Z. Kopczyńskiej i M. Mayenowej. Str. 518 (zł. 46).
 STARNAWSKI (Jerzy). *Juliusz Słowacki we wspomnieniach współczesnych*. Str. 297 (zł. 37).

MROZOWSKA (Kamilla). *Walka o nauczycieli świeckich w dobie Komisji Edukacji Narodowej na terenie Korony*. Str. 360 (zł. 58).

Recenzje teatralne Towarzystwa Iksów. 1815-1819. Opracował J. Lipiński. Str. 626 (zł. 66).

„NASZA KSIĘGARNIA” — Warszawa :

GASIOROWSKI (Wacław). *Szwoleżerowie gwardii*. Str. 230 (zł. 7.60).
 GASIOROWSKI (Wacław). *Rok 1809*. Str. 314 (zł. 9.85).
 GASIOROWSKI (Wacław). *Huragan*. Str. 587 (zł. 17.75).
 SKIBA (Wołody). *Nad poziomym*. Str. 358 (zł. 15.10).
 MORCINEK (Gustaw). *Roztomili ludkowie*. Str. 164 (zł. 7.50).
 SMOLARSKI (Mieczysław). *W złożonych pałacach wielkiego Chana*. Str. 497 (zł. 17).
 DEOTYMA. *Panienka z okienka*. Str. 288 (zł. 12.10).
 SZELBURG - ZAREMBINA (Ewa). *Dary czterech wróceł*. Ilust. E. Różańska (zł. 3.50).

NIZIURSKI (Edmund). *Lizus*. Str. 173 (zł. 10.20).
 DAUDET (Alfons). *Port-Taraskon*. Str. 171 (zł. 9.10).
Woda żywa. Baśnie pisarzy polskich. Zebrała Stefania Wortman. Str. 307 (zł. 14.30).
 DĄBROWSKA (Maria). *Czyste serca*. Str. 92 (zł. 4).
 GRIMM (Wilhelm i Jakub). *Baśnie*. Ilustr. B. Truchanowska i W. Majchrzak. Str. 116 (zł. 17).
 ELSZTEIN (Paweł). *Duża książka o małych samolotach*. Str. 81 (zł. 8.10).
 BÜRGER (Gottfried August). *Przygody Münchhausena*. Ilustr. Gustawa Doré. Przekład Hanny Januszewskiej. Str. 126 (zł. 27).

SPÓŁKA WYDAWNICZA „CZYTELNIK” — Warszawa :

Z syreną na ty. Z programów warszawskiego Teatru Syrena 1945-1955. Wybór L. Klekow. Str. 406 (zł. 27.50).
 WELLS (Herbert George). *Opowieści fantastyczne*. Tłum. z ang. Wybór. W. Kopaliński. Str. 562 (zł. 17.70).
 STRUG (Andrzej). *Żółty krzyż*. T. I: *Tajemnica Renu*. Str. 344, T. II: *Bogowie Germanii*. Str. 295, T. III: *Ostatni film Ewy Eward*. Str. 326 (zł. 31.20).
 PAUSTOWSKI (Konstanty). *Opowieść o lasach*. Tłum. z ros. Cz. Jastrzębiec-Kozłowski. Str. 353 (zł. 7.50).

SZEWCZYK (Wilhelm). *Skarb Donnersmarków*. Str. 286 (zł. 11).
Wierszu, rodzona moja mowa... Wybór poezji współczesnej. Str. 195 (zł. 4.80).
 MANN (Tomasz). *Buddenbrookowie*. Tłum. z niem. E. Librowicz. Str. 688 (zł. 32).
 BŁAHUTOWA KLIMAS (Maria). *Przedmieście*. Str. 276 (zł. 8.40).
 JIROTKA (Zdenek). *Człowiek z psem*. Tłum. z czesk. C. Dmochowska. Str. 190 (zł. 6).
 GOFF (Inna). *Serce bije*. Tłum. z ros. E. Dmowska. Str. 252 (zł. 7.90).

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

List p. A. Bregmana powracający do głośnej uchwały Związku Pisarzy Polskich na obczyźnie, jaką Stefan Kisielewski określił niedawno na łamach katolickiego „Tygodnika Powszechnego” jako „niemądrą (u nas w kraju mówi się: głupią)”, wymaga dokładniejszego, aniżeli to robi autor listu, przedstawienia przebiegu owego przygnębiającego zebrania.

A. Bregman pisze że był zdania iż „w takiej sytuacji, w której rozwój wydarzeń w Polsce jest nie do przewidzenia” byłoby lepiej zacząć nieco z formułowaniem stanowiska w takiej zasadniczej sprawie”. I zaraz dodaje: „Większość zebranych, łącznie z przeciwnikami uchwały, nie przychyliła się do tego stanowiska”. Ta informacja nie wyjaśnia dlaczego przeciwnicy uchwały nie mogli poprzeć pozornie kompromisowego wniosku p. A. Bregmana.

Trzeba więc uzupełnić że wniosek A. Bregmana proponował dwie rzeczy: a) potwierdzenie deklaracji z 1947 roku postanawiającej wstrzymać się od ogłaszania czegokolwiek w kraju; b) zwołanie osobnego zebrania dla ponownego sformułowania tej zasady.

Tego rodzaju kompromis wydaje mi się tak zwanym „cygańskim kompromisem”, polegającym na oddaniu jednym konia, a drugiej stronie — końskiego ogona. Nic dziwnego że przeciwnicy ograniczania swobodnej działalności pisarza arbitralnymi decyzjami, a przy tym odrzucający zawsze dawną deklarację części członków Związku, musieli się wnioskowi Bregmana sprzeciwić. Deklaracja z roku 1947 nigdy nie obowiązywała całości Związku; była podpisywana imiennie i tak na przykład pamiętam jak gorąco sprzeciwiał się jej Jan Bielatowicz, dziś główny felietonista redagowanego przez J. Kisielewskiego „Zycia” i obrońca ostatniej uchwały. Potwierdzenie jej rozszerzyłoby ją na innych.

A. Bregman nie zwrócił widać uwagi że istotną sposobność uniknięcia błędów i spowodowanych przez niego rozdzźwięków dawał dopiero wniosek niżej podpisanego. W dyskusji nad niefortunną uchwałą nigdy jakoś nie wspomniano jakie dwa wnioski przeciwstawiały się sobie podczas pierwszego dnia walnego zebrania, i jaka była istota wyboru, dokonywanego przez jego uczestników. Pora to przypomnieć.

Mój wniosek brzmiał: „Walne zebranie itd. odracza dyskusję nad projektem uchwały, przedstawianym przez powołaną przez prezesa T. Terleckiego specjalną komisję pod przewodnictwem J. Kisielewskiego, aż do czasu osobnego zebrania w tej sprawie, do którego możliwie szybkiego zwołania zobowiązuje przyszły Zarząd”. Wniosek taki nie przesądzał meritum sprawy i pozwalał na jej spokojne rozważenie w chwili, gdy ogół będzie już lepiej poinformowany o wydarzeniach w kraju. Tu A. Bregman ma rację

iż zebraniem spieszyło się do rozstrzygnięcia sprawy od razu, gdyż za wysuniętym przeze mnie kompromisowym rozwiązaniem trudności opowiedziały się tylko trzy osoby. Przyjęto natomiast wniosek przewodniczącego (!) zebrania, Zyg. Nowakowskiego, który brzmiał: „Walne Zebranie itd. przyjmuje w zasadzie wniosek Komisji, odkładając jego sformułowanie do dalszego ciągu Zebrania w dniu następnym”. Nie bardzo wiem, jak można uchylać wniosek „nie sformułowany”, a więc pozbawiony i formy, i treści rzeczowej i wagi prawnej. Ale widać prawnicza logika obrad była mniej więcej taka jak ich przenikliwość polityczna, skoro dziwaczny wniosek uchwalono przy trzech tylko głosach sprzeciwu. Następnie powołano komisję dla przygotowania tekstu poprzednio uchwalonego wniosku. Te metody obrad sprawiły, że nie widziałem celu w dalszym uczestniczeniu w Walnym Zebraniu odbywającym się w podobny sposób. Śmiem jednak przypisywać swej kilkakrotnej krytyce projektu Kisielewskiego-Terleckiego pewną zasługę — dzieloną z prof. Kukielem — zwrócenia uwagi zebranych na niedopuszczalny ton i treść pierwotnie proponowanego tekstu i tym samym uratowania Związku od jeszcze dotkliwszej utraty autorytetu, niż stało się to w wyniku całej sprawy.

Tak więc Walne Zebranie rozstrzygało wówczas między odroczeniem dyskusji a natychmiastowym wystąpieniem przeciw drukowaniu w Polsce. Dlaczego zwolennikom tej demonstracyjnej uchwały tak się spieszyło? Sądzę że są tylko dwa prawdopodobne wytłumaczenia. Albo zdawano sobie sprawę, że wkrótce pomysł uchwały wyda się nierozumny i tak zginie sposobność „zasłużenia się ojczyźnie”, albo też po prostu nie wiadzano co się dzieje w kraju, od dawna nie orientując się ku czemu kraj idzie. Osobiście przyjmuję to drugie przypuszczenie. Życie umysłowe w kraju niektórzy pisarze i publicyści lekceważyli od tak dawna, tak się od niego izolowali, zamykając się w prymitywnych formułkach intelektualnych i politycznych, że nie znając go, tym samym — nie rozumiejąc go, nie mieli żadnej nadziei by cokolwiek mogło ulec zmianie. W chwili dokonywania się doniosłej zmiany — uczynili sztandar ze swego passeizmu, akcji przeciwstawili pustosłowie. Gdy nadzieję i zdolność ryzyka posiadał kraj, utraciła je grupa publicystów, dziennikarzy i pisarzy emigracyjnych. Cóż za paradoks!



Popełnianie błędów jest rzeczą ludzką. Wstrząs wywołany przez wydarzenia w Polsce był tak silny, że należało oczekiwać wznowienia dyskusji i odwołania, czy choćby zmodyfikowania owej uchwały wynikającej po prostu ze stanu idealnej niewiedzy. Ale izolacja od życia jest trudna do przezwyciężenia, wytwarza bowiem świat fikcyjnej walki i fikcyjnej cnoty, majestatu itd. Nie pomogło „apostołowanie” Hanny Malewskiej — jak Stefan Kisielewski nazywa wieczór autorski w Związku Pisarzy milego gościa z kraju. Uchwała ani drgnęła.

Swoją drogą dość słabe wydaje mi się to apostołstwo, które unika zajęcia publicznego stanowiska; wyniki potwierdzają tę ocenę. Doprawdy nie mam danych by twierdzić, że utalentowana autorka „Przemija postać świata”, na swoim wieczorze autorskim w Związku Pisarzy choć jednym słowem zaznaczyła swój stosunek do uchwały Związku.

Jest jej absolutnym prawem przemawiać gdzie chce i jak zechce, ale równie dobre prawo ma się wtedy przypuszczać że najwidoczniej przyjmując protektorat Związku, a milcząc w najdrażliwszej sprawie, uznaje rację tej uchwały. Ma w tym, samo przez się, niczego gorszego; wiele osób zgadza się z tą antykrajową demonstracją, wielu przeciw nie protestuje. Ale zawsze przyjemnie wiedzieć z kim się ma do czynienia.

Tak na przykład niemiłe robi na mnie wrażenie wszelkie stwarzanie pozorów odzegnania się od uchwały, osłanianie jej wstydlwym milczeniem a zarazem brak kroków które mogłyby wpłynąć na jej odwołanie. Rozumiem tych co ją zwalczają, rozumiem tych którzy — w dobrej wierze — bronią jej, atakując słabe punkty odmiennego stanowiska; nie rozumiem takich, którzy albo udają że nic się nie stało, albo udają że nie wiedzą o co chodzi.

Zdzisław BRONCEL



Ogunquit (Maine), USA, kwiecień 1957.

Przeczytałem w „Kulturze” z wielkim zainteresowaniem dwa artykuły: „Witamina P” i „Nec Hercules”, które traktowały bardzo drażliwą sprawę: walkę o polskość własnych dzieci. W obydwóch artykułach zabrały głos matki, a teraz przemówi ojciec. Zachowanie polskości było łatwiejsze w Niemczech, czy Rosji, bo najpierw było bliżej Polski, a po drugie obydwa języki były językami wrogów. W dalekim kraju, jak U.S.A., gdzie dla dzieci język angielski nie jest wrogiem, ale łatwiejszym i praktyczniejszym od polskiego, walka o zachowania polskości jest bardzo trudna. Możemy mieć najlepsze chęci zachowania polskości, ale życie zmienia nasze plany. Nie będę przytaczał różnych teorii, lecz podam przykłady z własnej rodziny.

Jesteśmy z żoną w U.S.A. od przeszło czterdziestu lat. Tu wychowaliśmy dwie córki i pięciu synów. W domu mówimy tylko po polsku. Dzieci uczęszczały do polskiej szkoły dokształcającej, należały do harcerstwa, latem przeszły kurs harcerski pod kierownictwem harcerzy z Polski. Żeby utrzymać polskość, chciałem każde dziecko wysłać na jakiś czas do Polski. Pierwszą najstarszą córkę wysłałem na rok do Polski do gimnazjum. Po powrocie brała czynny udział w życiu młodzieży polskiej. Jako studentka uniwersytetu została wysłana do Polski na kursy letnie. Po skończeniu uniwersytetu była nauczycielką języka polskiego w „High School”. Potem wyszła zamaż za Polaka, urodzonego w U.S.A., mówiącego po polsku, ale już między sobą nie rozmawiają po polsku, a ich pięcioro dzieci także nie mówi po polsku.

Potem przyszła kolej na wyjazd do Polski dla starszego syna. Gdy skończył „High School” w 1938 roku, to na wakacje zabrałem go do Polski. Zwiedziliśmy całą Polskę, był nią zachwycony, chciał nawet tam zostać, ale wrócił, by zapisać się na uniwersytet. Przyszła wojna, wstąpił do marynarki, został oficerem, ożenił się z nie Polką. W domu po polsku nie mówią i syn jednak też po polsku nie mówi. Obecnie jest w dużej klinice chirurgiem.

Drugi syn też był w marynarce, skończył inżynierię, jest wice-dyrektorem w fabryce. Dwóch synów jest księżmi, jeden pracuje w duszpasterstwie parafialnym, a drugi jest profesorem chemii na katolickim uniwersytecie.

Ostatni syn bierze kurs handlowy. Najmłodsza córka jest pielęgniarką. Wszyscy z nami mówią po polsku, ale między sobą po angielsku. A więc ani polski język w domu, ani szkoły polskie, ani harcerstwo nie mogły utrzymać mowy polskiej, a nawet pobyt w Polsce nie pomógł. Przy naszych najlepszych staraniach nie udało się nam zachować polskiego języka, a jednak — sędzę — nasze wysiłki nie poszły na marne, bo dzieci czują się Polakami, nie wstydzą się swego pochodzenia i bronią polskiej sprawy słowem i piśmem.

Zasadniczo trzeba sobie uświadomić, o co mamy walczyć, czy o język polski, czy o zachowanie poczucia polskiego? Jeżeli jest niemożliwe utrzy-

manie języka, to starajmy się wpoić w dzieci polskość. Zachowujemy tradycje polskie, mówmy im o Polsce. Niech czytają po angielsku historię polską, niech dowiedzą się o wyczynach narodu polskiego, a wtenczas nie będą się wstydzili swego pochodzenia i jak wyrosną i zajmą stanowiska, to będą oddane sprawie polskiej. Mamy tu moc Irlandczyków, którzy nie mówią po irlandzku, ale zawsze podkreślają że są Irlandczykami i bronią spraw Irlandii. Mamy w U.S.A. Polaków, którzy nie mówią po polsku, ale służą sprawie polskiej jak na przykład : posłów do Izb Stanowych i Federalnych, profesjonalistów, artystów i wielu innych.

Na zakończenie podkreślam, że jeżeli nie możemy zachować języka polskiego u naszych dzieci, to starajmy się wpoić w nie miłość do POLSKI, żeby na przyszłość mogły być pożytecznymi dla NARODU POLSKIEGO.

Inż. Witold W. KOSICKI

Melbourne, 30. 3. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

Należy się uznanie panu Jeleńskiemu i „Kulturze” za śmiałe i bezwzględnie przewentylowanie jednego z narodowych grzechów — antysemityzmu. Jestem pewien, ankietą wyleczy z antysemityzmu wielu emigrantów, a może jej wpływ dotrze i do Kraju. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności antysemityzm polski nigdy nie osiągnął rozmiarów hitlerowskich, lub rosyjskich, ale najmniejszy nawet antysemityzm jest groźny dla naszego narodowego bytu — godzi bowiem w nasze historyczne powołanie, a więc w sens narodowego istnienia. Powołaniem polskiego narodu jest tolerancja i współżycie z innymi narodami. Unia z Litwą i Rosją ocaliła nas od zagłady krzyżackiej, a zgodne współżycie z narodami ruskim i litewskim zbudowało niesłychaną potęgę. Tolerancja religijna rozniosła Polsce dobrą sławę w świecie i otworzyła nieograniczone możliwości polityczne. Niestety — najświetniejsza koniunktura zewnętrzna zbiegła się w czasie z zanikiem umiejętności współżycia i tolerancji. Zygmunt Waza nie zdobył się na tolerancję i zrozumienie dla narodu moskiewskiego, dlatego świetne zwycięstwo S. Żółkiewskiego i cała Wyprawa Moskiewska skończyła się fiaskiem. Nietolerancja i brak zrozumienia dla narodu kozackiego przesądziły o śmierci politycznej Rzeczypospolitej i jej ostateczny upadek stał się tylko kwestią czasu.

Wydaje się, że Polska była skazana przez Opatrzność albo na nieograniczony rozrost, albo na zagładę. W roku 1918 Bóg, wracając Polsce wymodloną przez wiele pokoleń wolność, postawił ją przed próbą jej posłannictwa : wyswobodzenie z czerwonej niewoli narodów niegdyś w skład Rzeczypospolitej wchodzących — Białorusinów i Ukraińców. Próba wypadła ujemnie. Wprawdzie Piłsudski, który zawsze patrzył na otaczające go zjawiska historiozoficznie, rozumiał wyzwanie losu i z całą powagą przystąpił do tworzenia wolnej Białorusi i Ukrainy, jednakże zajadła opozycja kierowana przez Narodową Demokrację zredukowała rezultaty jego wysiłków. Następnie Dmowski i Stanisław Grabski na konferencji pokojowej w Rydze z tępotą obłąkańców pogrzebali bez reszty sprawę wolności narodów, które niegdyś żyły pod wspólnym dachem Rzeczypospolitej.

W Polsce niepodległej Narodowa Demokracja, ta twierdza narodowej ciemnoty i zacofania, usiłowała przeprowadzić eksterminację Żydów. Czy okupacja hitlerowska wyleczyła Polaków z antysemityzmu? Jednych tak, drugich nie. W czasie ostatniej wojny, w obozie jenieckim polskich oficerów w Lubece przebywał pewien filar Endecji (obecnie znajduje się i działa

na emigracji), który w niewoli pisał i partiami wysyłał do Kraju książkę antysemicką. Mówił, że w Polsce niepodległej nie mógł wydać tej książki ze względów cenzuralnych, chciał więc wydać ją pod okupacją. Rodzina autora jednak odmówiła wydania książki, ratując go tym samym od hańby. Szowinizm jest szkodliwy dla każdego państwa; dla Polski, która była raczej zlepkim narodowościowym, szowinizm jest samobójstwem. Jak zwalczyć antysemityzm? Oświatą i uświadomieniem. „Kultura” rozpoczęła to dzieło.

Z poważaniem

W. K.

(Nazwisko znane Redakcji)

Buenos Aires, 17 marca 1957.

Drogi Panie Redaktorze,

W związku ze wspomnieniami ambasadora M. Sokolnickiego w „Kulturze” Nr 1-2/57 „Na rozdrożu czasów” — dopisek (2) strona 136 i 137 — pozwalam sobie nadesłać następujące uzupełnienie.

Konsul generalny w Jerozolimie, Witold Hulanicki, został właściwie usunięty przez min. Kota, jako wyrocznie ówczesnego rządu w sprawach personalnych, a min. Zaleski był tylko formalnym wykonawcą.

Gwałtowne usunięcie Hulanickiego było prawdopodobnie powodem jego późniejszego załamania się, co właśnie chcę opowiedzieć.

Po zwolnieniu z M.S.Z. Hulanicki uzyskał posadę u angielskich władz mandatowych w Palestynie, w roku 1940, jako cenzor-urzędnik, a w latach późniejszych doszedł do stanowiska chief-censor.

W czerwcu roku 1940 ułatwiał Brygadzie Karpackiej przejście z Syrii do Palestyny, torując drogę do odpowiednich władz angielskich oficerowi łącznikowemu por. J. Kłopotowskiemu, wysłanemu z Brygady.

Po przejściu Brygady do Palestyny Hulanicki zaczął bardzo często odwiedzać Brygadę, nawiązując bliższe stosunki z dowódcą, plk. Kopańskim, całym sztabem i wieloma oficerami; odwiedziny były tak częste i natarczywe, że zaczęły wzbudzać pewne podejrzenia; nawet kiedy Brygada później odeszła do Egiptu, do rejonu Aleksandrii, przyjechał tam raz i stale utrzymywał korespondencję z kilkoma oficerami.

Jako ówczesny szef oddziału II na Środkowy Wschód, wyczułem sens działalności Hulanickiego, ale z jednej strony nie miałem jej namacalnych dowodów, a z drugiej strony oceniałem tę akcję — *contradictio in adjecto* — jako „dobrotliwe szpiegostwo” na rzecz Anglików, którzy nas nie znali, a myśmy nic nie mieli do ukrycia przed nimi. Byliśmy dla kolonialnego zespołu angielskich oficerów narodem jeżeli nie egzotycznym to bardzo mało znanym i jako dowcip może świadczyć pytanie jednego z oficerów angielskiej intendencji, po przyjeździe Brygady do Palestyny, czy aby nam religia nie zakazuje spożywania jakiegoś rodzaju mięsa czy tłuszczu (jak np. w wojsku induskim mahometanie nie jedli wieprzowiny, a inni wołowiny).

W każdym razie nigdy nie przypuszczałem, nawet w swej zawodowej podejrzliwości, że Hulanicki może dostawać za swe usługi zapłatę.

Czas płynął, wojna rozwijała się i nasze zainteresowania szły w innych kierunkach.

W roku 1942, w Cairo, pewnego poranku przyszedł do mnie plk. Wittek, delegat szefa intendencji naczelnego dowództwa na Środkowy Wschód,

z prośbą o naświetlenie mu paru spraw Brygady Karpackiej, których nie znał, jako przybyły dopiero w 1941 roku z Londynu. Między innymi prze-Rządu wszystkich wydatków naszego wojska na Środkowym Wschodzie, na podstawie dokumentów przesłanych przez Anglików. Choć „zarachowanie” prowadzał właśnie z Anglikami sprawę „zarachowania” na konto naszego było raczej symboliczne, ale były sprawy niejasne. Jedną z takich spraw — ku memu osłupieniu — były rachunki Hulanickiego za wyjazdy do Brygady, za przyjęcia dla Brygady, za benzynę itd., w poważnej sumie około 4 tysięcy funtów! Za każdą wycieczkę był słony rachuneczek, za przyjęcia rzekome, za benzynę którą dawała Brygada itd.

Domyślać się należy, że raporty poszły inną drogą, bardziej konfiden-cjonalną, a rachunki inną i zostały „zakartotekowane” w archiwum pod hasłem „Polish” i gdy Anglicy wydali rozkaz przesłania rachunków wojska polskiego do „zarachowania”, na konto „Polish” to prawdopodobnie jakiś pilny clerc wyciągnął je i nie czytając treści, odesłał „drogą służbową”.

Pytał się płk. Witek co ma robić z tymi rachunkami?

Sytuacja była wówczas bardzo gorąca; właśnie oddziały gen. Andersa zaczęły napływać z Sowietów wraz z tysiącami wygnańców, kobiet i dzieci. Brygada Karpacka przeformowała się na Dywizję, mieliśmy odjeżdżać do Iraku, gdzie miała tworzyć się cała armia itd. Było tysiąc spraw nagłych i istotnych i wszystkie oparte na współpracy z Anglikami.

Uważałem za niewskazane robienie sądów i alarmów, zadrażnianie Anglików. Szkoda państwową była żadna, chodziło jedynie o degrengoladę jednostki. Sprawę postanowiłem odłożyć do załatwienia po wojnie, rachunki Hulanickiego kazałem odfotografować do archiwum, a oryginały zwróciłem płk. Witkowi i poradziłem odesłać Anglikom z ironicznym listem.

Czas znowu płynął, wojna biegła, przeszliśmy do Iraku, później znów do Palestyny, ale na krótko, wreszcie przez Egipt do Włoch na front. Element polski, który pozostał na dłużej w Palestynie, był z punktu widzenia politycznego mało interesujący: dzieci, młodzież, kobiety i starsi panowie. Natomiast w Palestynie zaczynało gwałtownie wrzeć zagadnienie żydowskie, zasilone około trzema tysiącami żołnierzy-Żydów z 2 Korpusu, którzy pozostali samowolnie w Palestynie. Zachodzi podejrzenie czy Hulanicki nie przerzucił się wtedy na Żydów.

W roku 1946 Hulanicki został zamordowany przez bojówkę żydowską: widocznie Żydzi wiedzieli za co go mordują, i byli od nas mniej wyrozumiali.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Wł. MICHNIWICZ, ppłk. dypl.



Belo Horizonte (Brazylia), 28. III. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

W prasie krajowej ostro atakują Władysława Broniewskiego za serwilizm w stosunku do Stalina i jego reżymu w Polsce. W zażartej walce intelektualistów o n o w e z konserwą partyjną co raz spadają na niego ciężki. W wielu wypadkach robiono z jego dzieła oręż polityczny czy też tarczę, pozostawiając samego człowieka na marginesie; w innych, najczęstszych, ataki przybierają pozór łatwych dzisiaj porachunków z wielkim poetą. Zapal-

czywość w walce wiele usprawiedliwia, stawia ją na płaszczyźnie namietności, nie dziwi. Z innym uczuciem czytałem atak na niego w „Kulturze” pióra Mariana Pankowskiego. W tym ataku trudno dopatrzeć się usprawiedliwiającej zapalczywości skoro wiemy, że atakujący patrzył na sprawę z odległej łóży, a atakowany — bezsilny, może nawet zawstydzony, ani się broni, ani, być może, nie chciałby bronić pozycji atakowanej. Zawsze wydawało mi się, że walczyliśmy o wolność dla wszystkich, nawet dla komunistów, nawet dla tych o odcieniu natolińskim. Wolność jest jedna i niepodzielna. Nie musimy być wszyscy zgodni, ale uznać prawo do wolności musimy dla wszystkich, nawet dla tych którzy jej nie uznają.

Pankowski oskarżył Broniewskiego ciężko, napisał o nim: oportunistą. Znam Broniewskiego od lat czterdziestu i wiem jak zarzut ten był celny. Życie Broniewskiego nie jest dla mnie ani dla nikogo z Polaków tajemnicą. Legiony wbrew woli rodziny, rezygnacja z łatwej kariery po wojnie polskorosyjskiej w roku 1920, nędza („pożyczcie, proszę, 20 złotych”), konieczny niedosyt ambicji literackich, więzienia rodzime i obce, obozy, tułaczka — oto etapy życia „oportunisty”. Wprawdzie Pankowski ich nie ukrywa, ale używa jedynie do zestawienia z inną, niedawną przeszłością. Piszę że Broniewski upodlił się dla SŁAWY. Coś mi tutaj nie pasuje. Dla sławy Broniewski nie potrzebował pisać wierszy o treści politycznej, bowiem nie temat, lecz forma i głębia ujęcia w jego utworach przynosiły mu sławę.

Czym się kierował pisząc upokarzające jego samego „Słowo o Stalinie” czy „Nadzieję” — któż to zgadnie. Nie dałbym, być może, pełnej wiary nawet jego własnej na ten temat wypowiedzi. Dopuszczmy, że w i e r z y ł. Najłatwiejsze są oczywiście skróty: z jednej strony patrioci, z drugiej podejrzani i koniec. W życiu jest zwykle inaczej, nie tak schematycznie. Więc może jednak Broniewski nie jest oportunistą, może jest tylko inowiercą, a może po prostu — zbłądził. Nie on jeden, nie on pierwszy i nie on ostatni.

M.B. LEPECKI

Toronto, Ont. (Kanada).

Szanowny Redaktorze,

Spory okres czasu minął między napisaniem a wydrukowaniem notatki „Polonica na uniwersytetach kanadyjskich” w następstwie czego pewne dane zdezaktualizowały się. I tak na przykład kilku profesorów zdołało już opuścić Kanadę, ale bardziej przykry jest błąd drukarski. Z zestawienia polskich wykładowców uniwersytetu McGill wypadło nazwisko dr. Bogdana Zaborskiego, profesora geografii, odgrywającego dużą rolę w życiu naukowym Kanady. Przy nazwisku dr. L. Ujejskiego opuszczono nazwę uczelni, na której wykłada, mianowicie Sir John William's College w Montrealu.

Pragnę jeszcze raz podkreślić, że zestawienie — mimo iż niekompletne — obrazuje jednak wielki wkład Polaków w życie naukowe Kanady. Następne zestawienie pracowników naukowych różnych instytucji badawczych, poza uniwersyteckich, łącznie z uzupełnieniem listy Polaków wykładowców na wyższych uczelniach winno pozwolić na uzyskanie obrazu wkładu polskiego w młodą kulturę kanadyjską.

B. HEYDENKORN

Buenos Aires, 28. III. 1957.

Do Redaktora „Kultury”.

Zmartwił mnie list p. Jana Kowalika w nr 3/113 „Kultury”, w którym to liście stoi iż ja obawiałem się, że moja odpowiedź na wiadomą ankietę mogłaby „snadno stracić indywidualny wydźwięk”. Potem p. Kowalik gniewa się na mnie, że jestem taki zarozumiały i doradza abym „walkę z przerostami polskości zaczął od własnej niesfornej osobowości”.

Ze swej strony doradziłbym p. Kowalikowi aby nie oddawał się pysze i nie zabawiał się w pouczanie pisarzy jak mają pisać, gdy — wyraźnie to z listu jego wydać — jest czytelnikiem, który niezbyt umie czytać. Literatura, panie Kowalik, jest tyleż sprawą pisania co czytania. Jeśli czytelnik kiepski i nierozgarnięty, to i autor będzie zawsze godny nagany — ale nie ten autor, który istnieje w rzeczywistości tylko ten, którego ma w głowie p. Kowalik. W danym wypadku chodzi o jakiegoś kowalikowego Gombrowicza z którym za nic nie chce mieć nic wspólnego niżej podpisany

Witold GOMBROWICZ

Glasgow, 14 luty 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

P. R. Walewicz („Kultura”, styczeń-luty 1957, str. 226) wyrzuca mi użycie słowa *slang* (użyłem nb. również przymiotnika *slangowy*, por. „Kultura”, październik 1956, str. 86, 87, listopad, str. 123).

Wbrew temu, co sugeruje p. Walewicz, i *slang* i *slangowy* nie są obce językoznawczej literaturze w Polsce. Na przykład na łamach krakowskiego dwumiesięcznika „Język Polski” znajdujemy oba te słowa w artykułach pt. „O pochodzeniu wyrazu *sitwa*” (1948, str. 79-80) i „Przyczynki do słownictwa wojennego” (1950 str. 84-87). Słowo *slang* podaje na str. 663 *Słownik wyrazów obcych* (tj. polskich pochodzenia obcego i obcych używanych w polszczyźnie!), ułożony przez trzech profesorów językoznawstwa, Rysiewicza, Safarewicza i Śluszkiewicz (P.I.W., 1954).

Co się tyczy czterech terminów zalecanych przez p. Walewicza, nie żyjący już Henryk Ułaszyn, moim zdaniem słusznie, wypowiedział się przeciw używaniu *szwargotu* i *żargonu* (por. str. 16, *Język łódzieski*, Łódź 1951). Swój własny pogląd na różnicę między *gwarą* a *narzeczem* sformułowałem na str. 53-4 *Rzeczy o polszczyźnie* (Londyn, 1956).

Co do *drapacza nieba*, który p. Walewicz kwestionuje, w tłumaczeniu „Włóczęgi dookoła świata” Richarda Katza, dokonany przez Zofię Petersową, jest i *drapacz chmur*, i *drapacz nieba* (sprawdzone w przedmowie, str. 5-7, i w części traktującej o Stanach, str. 302-343, wydanie II, Warszawa 1938): „*drapacze chmur*”, str. 7, „*drapaczem chmur*”, 329, „*Drapacze chmur* stoją bezcelowe puste niepotrzebne”. Zresztą nie mogłyby dziś „drapać chmur”, 337; „nie ma city ani *drapaczy nieba*”, 320; „Pod moimi oknami budują nowy *drapacz nieba*”, 328. Można na tym poprzestać, aby stwierdzić, że *usus* był i jest mieszany. *Nota bene* p. Walewicz nieuważnie czyta: w artykule o „Zmianach w polszczyźnie krajowej” pisałem tylko, że „*ponoć* w ostatnich czasach” twór *wieżowiec* stał się synonimem *drapacza* („Kultura”, październik 1956, str. 77).

Wyraz *wydzwięk*, którego p. Walewicz używa w sposób raczej niezbyt szczęśliwy („Wszystkie te słowa mają *wydzwięk*”!), ostro krytykuje Eugeniusz Śluszkiewicz w warszawskim *Poradniku Językowym* z roku 1951, str. 25-26. Śluszkiewicz również bardzo źle się wyraża o osobach używających słowa *wydzwięk*, co już zresztą raczej stanowi wypadek poza językoznawstwo.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Stanisław WESTFAL



Londyn, 8 luty 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

Panu rotmistrzowi Zdzisławowi Budynowi coś „sien” pomyliło.

Zdanie cytowane częściowo przez Pana Rotmistrza w moim artykule „Gen. Przewłocki w Motoli” brzmi: „Jeden z pułkowników napisał, że odkomenderowanie z jego pułku 10 ułanów rozbija mu cały pułk i że rozkazu nie wykona. Na drugi dzień pułkownik ten meldował się u generała w spinaczach i pasie (z bardzo ładnie wyczyszczoną sprzączką) a następnego dnia mieliśmy 10 ułanów w szkole”.

Zarzucanie mi że wyrzodziłem krzywdę nieistniejącemu w 2 Korpusie 10-temu Pułkowi Ułanów i jego nieżyjącemu dowódcy śp. ppłk. K. Buslerowi, którego zasługi nie potrzebują „kupieckiej reklamy” jest śmieszne.

Byłoby bardzo dobrze gdyby Pan rtm. Z. Budyn uważnie przeczytał artykuł zanim zdecydował się na napisanie do redakcji. List taki przynajmniej w jednym aspekcie — umiejętności czytania słowa pisanego — nie przysparza na pewno sławy bohaterskim „Dziesiątkom”.

Byłoby może też dobrze gdyby Pan Redaktor, skoro sam nie miał czasu sprawdzić uwag zawartych w liście z oryginałem, przesłał mi ten list do wypowiedzenia przed jego ogłoszeniem.

Ostatecznie mogą się znaleźć tacy czytelnicy, którzy nie czytali mego artykułu a przeczytali list. Może wtedy u nich pozostać przeświadczenie o niedokładności faktów przeze mnie cytowanych i chęci obrażenia nieistniejącego w korpusie pułku.

Łączę wyrazy poważania

Antoni ZIELICKI



W Y J A Ś N I E N I E

W tygodniku „Przemiany” (nr 9/21 i następne) z dnia 3 marca 1957 ukazał się przedruk opowiadania Andrzeja Bobkowskiego „Spotkanie”, opublikowanego w „Kulturze” (nr 3/101) z marca 1956. Przedruk został zaopatrzony w następujące objaśnienie redakcji „Przemian”: „Opowiadanie Andrzeja Bobkowskiego pisarza przebywającego na emigracji, po raz pierwszy było drukowane w miesięczniku „Kultura”, ukazującym się w Paryżu i redagowanym przez p. Jerzego Giedroycia, za jego zgodą rozpoczynamy druk „Spotkania”. Autor przeznaczył należne mu honorarium na pomoc dla repatriantów z ZSSR”.

Ponieważ stylizacja tego objaśnienia może sprawiać wrażenie, że p. Andrzej Bobkowski wyraził zgodę na przedruk i zadysponował swoim honorarium — wyjaśniamy, dla uniknięcia jakichkolwiek nieporozumień, że zarówno zgodę na przedruk jak dyspozycję co do honorarium załatwiła redakcja „Kultury” bez porozumiewania się z autorem, który został o tym poinformowany po fakcie. Wyjaśnienie to jest tym bardziej potrzebne, że p. Andrzej Bobkowski jest przeciwny drukowaniu w obecnej chwili utworów w prasie krajowej przez pisarzy emigracyjnych, zaś swoje stanowisko sprecyzował w ankiecie ogłoszonej w swoim czasie w tej sprawie przez „Kulturę”.

REDAKTOR

Po ogromnym sukcesie, jakim wciąż jeszcze cieszy się „Baśka i Barbara” Zofii Romanowiczowej, wydaliśmy nową powieść jednego z najlepszych młodych pisarzy emigracyjnych :

TADEUSZ NOWAKOWSKI

OBÓZ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

P O W I E Ś Ć

Przeszło 400 stron druku. Cena fr. 850, sh. 17/., dol. 2.50.

Zamówienia prosimy kierować :

„LIBELLA” – Składnica Książek Polskich

12, rue Saint-Louis-en-l’Ile, Paris 4. (France)

WARUNKI SPRZEDAŻY :

Jeżeli ktoś mieszka we : Francji, Belgii, Holandii, Szwajcarii, Szwecji, Austrii, Niemczech, Luksemburgu lub we Włoszech, książkę możemy wysłać za zaliczeniem pocztowym, płatną przy odbiorze listonoszowi.

Jeżeli ktoś mieszka w Stanach Zjednoczonych należność może nam przesłać czekiem swego banku wystawionym w dolarach na „Libella” lub też może przekazać bez trudu za pośrednictwem poczty „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w : Kanadzie, Australii lub Nowej Zelandii należność może nam przekazać za pośrednictwem poczty — „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w innych krajach jak : Brazylia, Venezuela, Congo belgijskie itp. należność może przekazać nam, za pośrednictwem banku.

Jeżeli ktoś mieszka w Polsce, może poprosić swego krewnego lub znajomego mieszkającego zagranicą, aby książkę u nas zakupił i mu wysłał.

Książkę można również zamawiać we wszystkich polskich księgarniach.

DOKUMENTY

Zeszyt III



Przyczyny
rewolucji węgierskiej



Testament Haricha

Przyczyny rewolucji węgierskiej

(TAJNY DOKUMENT WĘGERSKI)

PRZEDSTAWIONY PRZEZ FRANÇOIS FEJTÖ)

Walki zamarły na Węgrzech, ale spiski trwają. Przede wszystkim w łonie Partii, będącej rzekomo „u władzy”. Partia zwyciężyła, ale za jaką cenę: oto zmuszona jest powracać do metod tajnego działania sprzed 1945 roku. Aktywiści organizują się w komórki złożone z 12-tu do 14-tu członków, zbierając się coraz to u innego towarzysza. Oficjalnie tłumaczy się tę nową formułę organizacyjną brakiem lokali (1). Istotnie, znaczna część lokali zajmowanych przez Partię, zwłaszcza w Budapeszcie, została podczas powstania zajęta przez bezdomnych, lub przez robotników żyjących przedtem w fatalnych warunkach mieszkaniowych. Oczywiście Partia mogłaby usunąć tych „intruzów”. Ale „nie chce”. Bezsilność potężnych...

Opozycja również spiskuje. Przede wszystkim zarząd Związku Pisarzy, który zbiera się prawie otwarcie, nie zważając zupełnie na rozwiązanie Związku przez rząd (2). Reszta opozycji, a zwłaszcza dawni zwolennicy Nagy'ego, zachowują się bardziej dyskretnie. Wydaje się, że brak jej jakiegokolwiek centralnego kierownictwa, więzi organizacyjną są raczej grupy studiów. Na licznych, tajnych zebraniach dyskusyjnych omawia się tam zawsze — jak donoszą mi z Budapesztu — zasadniczą naturę wypadków październikowych. Rewolucja czy Kontrrewolucja? Rewolucja narodowa i demokratyczna, czy też rewolucja ludowa i socjalistyczna? Grupa intelektualistów węgierskich, przeważnie zwolenników Imre Nagy'ego postawiła sobie nawet za główne zadanie oświecenie zarówno głębokich jak i bezpośrednich przyczyn wydarzeń z zeszłego października i listopada. Uważają oni, że tego rodzaju analiza jest podstawowym warunkiem wszelkich planów na przyszłość. Z początkiem roku przesłano mi z Budapesztu powielony do-

(1) „Nepszabadsag”.

(2) Według tygodnika „Magyarország” z 28 marca 1957, pisarze tak daleko posuwają swą „bezcelność”, że zamierzają przyznać w tym roku, jak gdyby nigdy nic, wielką nagrodę literacką imienia Attili Jozsefa.

kument, który stanowił próbę samokrytyki węgierskiej lewicy rewolucyjnej i uwagi o jej perspektywach. Dokument ten omówiłem, przytaczając z niego spore ustępy w „France-Observateur” z 31 stycznia. Obecnie otrzymałem dalszy ciąg tej pracy, znacznie ciekawszy: 66 stron powielonego maszynopisu, zawierającego analizę przyczyn rewolucji. Jest to praca zbiorowa, pod ostateczną redakcją jednego z najwybitniejszych teoretyków węgierskich, który podpisuje się „Hungaricus” (3).

Jest to pierwszy na Węgrzech wysiłek podjęty celem wyprowadzenia wniosków teoretycznych z doświadczenia rewolucyjnego. Wiemy już, że trzecia część tego dokumentu omawiać będzie przebieg samej rewolucji. Zamierzamy oczywiście wydać całość tej pracy, ale wydaje mi się że udostępnienie już teraz części przez nas otrzymanej, wywoła zainteresowanie polskiego czytelnika. To co wydaje mi się przede wszystkim godne uwagi, to pełnia świadomości, wyjątkowy obiektywizm „Hungaricus” (i tych, którzy kryją się za tym zbiorowym pseudonimem), a więc ludzi którzy żyją, pracują i myślą w warunkach bardzo trudnych, pod nieustanną grozą aresztowania, zdani na pastwę pierwszej denuncjacji. Z radością stwierdzam również, że ich punkt widzenia pokrywa się z moim własnym: aby odnowić socjalizm, trzeba powrócić do jego źródeł moralnych i filozoficznych.

Nic nie jest bardziej oddalone od umysłowości tych prześladowanych komunistów, niż szowinistyczny obskurantyzm, o który oskarżają ich pewne koła. Ci intelektualiści, rzekomo „anarchizujący”, są marksistami, i umieją wpisać wypadki w których uczestniczyli w perspektywę ogólnej transformacji świata komunistycznego. Widzą oni sedno stalinizmu w rozwoju

„kasty kierowniczej, której większość, w obronie własnych interesów i wskutek przywiązania do władzy, stoi na przeszkodzie demokratyzacji systemu”.

Mimo to, mówią oni,

„ta ewolucja jest nieunikniona ... W samym Związku Socjalistycznym, dojrzały już obiektywne warunki postępu w kierunku socjalizmu, którego nie wolno utożsamiać ani z upaństwowionym przemysłem, ani z kolektywizmem rolniczym, a którego głównymi cechami są wolność i dobrobyt”.

Świat komunistyczny jest w pełnym ruchu: wszędzie system totalitarny traci na sile, zagrożona jest sama ideologia; policja, cenzura nie mogą już opanować całości. Staje się coraz bardziej oczywiste, że dyktatura jednej partii, nawet jeśli przyjmuje cechy paternalizmu i dobroliwej tolerancji wobec ludu, stanowi bardziej przymus i hamulec niż katalizator energii. Mit skutecznego planowania załamał się razem z mitem sowieckiej wyższości. W tych warunkach, komuniści muszą przemyśleć na nowo zarówno swe cele jak i środki. Jeśli się na to nie zdołają, grozi im rewolucja antykomunistyczna, której przedsmak dała rewolucja węgierska.

(3) Według ostatnich wiadomości Hungaricus miał opuścić Węgry, udając się do innej demokracji ludowej.

Ale jakież są szanse reformy komunizmu w Z.S.S.R. ? Węgrzy myślą, że reforma ta przyjdzie, ale przyjdzie powoli. Osobiste kontakty, które wielu z nich miało z sowieckimi przewodcami nie pozostawiły im wielkich iluzji w stosunku do moskiewskiego kierownictwa. Hungaricus pisze o

„zadziwiającym ubóstwie intelektualnym większości rosyjskich przewodców”. : „Porównajmy choćby przemówienia Szepiłowa i Susłowa z tym co na temat węgierskiej rewolucji powiedzieli Chińczycy, Togliatti, Dutt, Forster i inni zachodni komuniści. Oczywiście, zarówno zachodni komuniści jak i Chińczycy, wykrzywiali rzeczywistość, fałszowali ją. Ale przynajmniej była tu jakaś próba analizy. Starali się oni przytoczyć jakieś dowody, znaleźć argumenty przynajmniej prawdopodobne. Podczas gdy ze strony sowieckiej mamy całkowitą pustkę umysłową. Twierdzić, jak to czynili, że rewolucja węgierska była dziełem cudzoziemskich agentów, to nie tylko fałsz. To głupota”.

Otóż, według naszych węgierskich przyjaciół, ta głupota nie jest tam cechą indywidualną. Jest ona społecznym wytworem kultu Stalina i uprzywilejowanej sytuacji kierowniczych kadr Z.S.S.R., które zawdzięczają swój awans swoistej selekcji systematycznie eliminującej oryginalnych i uczciwych myślicieli na korzyść ambitnych i brutalnych średniaków. Skądinąd dawny już zwyczaj, zakorzeniony za życia Stalina, na mocy którego w sowieckiej klasie kierowniczej likwiduje się przeciwników „w drodze administracyjnej”, nie był zachętą do umysłowych wysiłków. Wystarczy przejrzeć główne sowieckie pisma, „Kommunista”, „Woprosy Filozofii”, „Woprosy Istorii”, aby przekonać się o niewiarogodnym otępieniu i braku jakiejkolwiek oryginalności, cechujących sowiecką „elitę”.

Autorzy dokumentu mniej są pesymistyczni jeśli chodzi o możliwości komunistów zachodnich. Nie uważają oni za wykluczone by

„niektóre z tych partii odnowiły się od wewnątrz”,

bez brutalnych rozłamów. Warunkiem jest jednak, aby kadry zerwały z dogmatyzmem, który skazuje je na intelektualny zastój i izolację.

„Zachodni przewodcy komunistyczni odżegnują się od widma rewizjonizmu. Nie mają odwagi poddać rewizji tez Lenina. A przecież rewolucyjna ważkość Lenina polegała właśnie na tym, że śmiało poddać Marksa interpretacji, rzucając najbardziej zafany kraj Europy w proletariacką rewolucję”.

Hungaricus przeciwstawia ortodoksyjnym „pseudo-rewolucjonistom” nie tylko przykład komunistów jugosłowiańskich, polskich, czy nawet chińskich, ale również przykład niektórych partii socjaldemokratycznych, zwłaszcza partii skandynawskich,

„które poprzez wysiłki podniesienia poziomu życia i poprzez politykę neutralności oddały o wiele większe usługi klasie robotniczej, aniżeli partie komunistyczne bezpodstawną demagogią. Ale, niestety, międzynarodowa socjaldemokracja tworzy obóz,

w którym szczerzy aktywiści socjalizmu zmieszani są z elementami służącymi interesom kapitalizmu, w rodzaju Guy Mollet”.

Prześadowani komuniści z Budapesztu z równą uwagą śledzą wysiłki ki Bevana czy Nenniego, ale sądzą surowo — i jakże nie przyznać im racji — socjalistycznych przewódców którzy narzucają wewnątrzno-partyjnej demokracji ograniczenia niemal równie arbitralne (bez, oczywiście, likwidacji fizycznej), co wodzowie komunizmu.

Czy alternatywa socjaldemokracja-kunizm nie należy do przeszłości? — zapytuje Hungaricus. Sądzi on również, że rewolucja węgierska przyczyniła się do wyjaśnienia i zjednoczenia ruchu robotniczego. Reforma tego ruchu będzie miała miejsce zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz obecnych partii robotniczych, ale, jeśli chodzi o Węgry,

„socjaliści nie mogą już współpracować ze zreorganizowaną partią, która uznała za dogmat jednopartyjność i posłuszeństwo Moskwie. Musieliśmy wybrać: zdradzić lud i socjalizm, oddając się w niewolę, czy też bronić jednocześnie niezależności, demokracji i socjalizmu. Jeśli zaszła konieczność zerwania, to nie my jesteśmy za to odpowiedzialni. To agresja sowiecka z 23 października przekształciła w otwartą wojnę konflikt który można było uregulować inaczej”.

IMPORTOWANA REWOLUCJA

Podczas gdy Szepiłow upiera się przy tezie cudzoziemskich agentów, niektórzy komuniści zachodni starają się dać bardziej prawdopodobne wytłumaczenie rewolucji węgierskiej, mówiąc o błędach popełnionych przez Rakosi i Gerö. I tak, austriacki komunista Franz Marek wyrzuca węgierskim przewódcom że „stracili z oczu konieczność ciągłego, codziennego przekonywania mas”. Prześadowani komuniści z Budapesztu, którzy nie są przecież zwolennikami Rakosiego, biorą go tu w obronę:

„Marek” — pisze Hungaricus — „był chłopczykiem kiedy Rakosi umiał już na pamięć, i w pięciu językach, wszystkie tezy leninowskie i stalinowskie o potrzebie utrzymywania kontaktu z masami”.

Cokolwiek by się powiedziało o Rakosim, trzeba mu przyznać i świetną pamięć i inteligencję.

„Ale w roku 1949, nie tylko Rakosi, ale jednocześnie z nim Gottwald, Bierut, Dej, Czerwenkow, Hodża i wielu innych, zapomniało jak gdyby z dnia na dzień o wszystkich elementarnych przepisach kontaktu z masami. Czyżby chodziło o jakąś zbiorową amnezję? W istocie, Rakosi, podobnie jak inni przywódcy satelitów, zaczęli wykonywać w roku 1949 nową linię podyktowaną im z Moskwy, która polegała na przerwaniu demokratycznej

i ludowej ewolucji rozpoczętej w roku 1949, na korzyść „dyktatury proletariatu”, opartej na sowieckim wzorze. Jakiegokolwiek byłyby przyczyny, które spowodowały tę politykę Stalina (wydaje się, że był on wówczas przekonany o nieuniknionej wojnie), wchodził tu w grę cały proces centralizacji, który niwelował wszystkie różnice w rozwoju państw satelickich. Cóż z tego, że Polska była pierwszą ofiarą faszyzmu, że Bułgaria i Rumunia biły się przeciw faszyzmowi, podczas gdy Węgry pozostały do końca po stronie Hitlera? Cóż z tego, że niektóre z tych państw miały głęboko zakorzenione tradycje demokratyczne, inne nie? Czechosłowacja należała do najbardziej uprzemysłowionych państw Europy, a Albania była na poziomie hodowli kóz? Cóż z tego? Wszystkie te kraje stały się „dyktaturami proletariatu” i z miejsca 98% ludności (ani mniej, ani więcej) głosowało na komunistów ze szczerością, której rewolucja węgierska była tak wybitnym dowodem. Zastosowano w stosunkach międzynarodowych system, który z powodzeniem stosuje się do rekrutów w sowieckich koszarach. Cóż z tego, że jeden jest blondynem, drugi brunetem, jeden kędzierzawy, drugi nie: odtąd będą wszyscy tysi. Tego samego dnia, w ten sam sposób ogoli się wam wszystkim głowy, z tym samym entuzjazmem”.

Ale jeśli Rakosi był tylko wykonawcą, autentyczni komuniści węgierscy nie przeczą, że zabrał się do „golenia” swego ludu z wyjątkowym zapalem.

„Żaden przewodca wschodnich krajów nie dał tylu dowodów lokajstwa i antypatriotyzmu co Rakosi i jego klika”.

Rakosi równie okrutnie i bezwzględnie przeprowadzał czystkę partii, co kolektywizację czy żdanowizację kultury. Paweł Ignotus podkreślił niedawno że Rakosi powiesił przynajmniej sto razy więcej komunistów niż antykomunista Horthy...

Zapewne, osobisty wkład Rakosiego, urodzonego sadysty, człowieka mściwego, jest dość znaczny. Tym niemniej, lud węgierski, nawet nienawidząc go z całej duszy, uważał go zawsze za instrument. Źródło wszelkich klęsk które spadały na Węgry, lud widział w utracie niepodległości i w rosyjskiej przemocy.

„Lud węgierski zaczynał się przyzwyczajać do faktu, że pierwszy lepszy artykuł wstępny z „Prawdy” więcej miał wpływu na sprawy węgierskie, niż wszystkie przemówienia budapeszteńskiego „parlamentu” razem wzięte, nawet przy założeniu, że przemówienia te mogły zawierać coś rozsądnego. Wszędzie natykano się na sowieckich ekspertów zachowujących się z bezczelnością kolonialistów wobec tubylców. To ci eksperci kierowali żołnierzami i policjantami węgierskimi, ubranymi w sowieckie mundury. To oni organizowali procesy, podczas gdy sowieckie urzędy bezpieczeństwa zarzucały wszędzie swe własne sieci. Tej faktycznej przemocy towarzyszyły, nie wiadomo po co, poniżające ceremonie. Józef Rewaj, który jest przecież autorem

świetnej analizy rewolucji 1848 roku i roli Kossutha, posunął podłość tak daleko, że podczas inauguracji olbrzymiego posągu Stalina, oświadczył, że największym człowiekiem węgierskiej historii jest... Stalin. Kiedy, jesienią 1955 roku drugorzędny delegat sowiecki, niejaki Pagow, zabrał głos na publicznym zebraniu w Budapeszcie, by złożyć hołd „wytwórczemu zapałowi robotnika węgierskiego”, bliski współpracownik Rakosiego — Istwan Kovacs, odpowiedział mu: „Dziękujemy towarzyszowi Pagowowi i przyrzekamy mu, że węgierska klasa robotnicza dołoży wszelkich wysiłków, aby również w przyszłości zasłużyć na jego pochwały”. Robotnicy węgierscy, obecni na tej uroczystości, drżeli z ukrytej wściekłości. To przeciw temu upokorzeniu całego narodu wybuchło w pierwszym rządzie powstanie z 23 października. Głos serca ludu, głos pochodzący z najbardziej elementarnych składników jego duszy, brzmiał: „Rosjanie do domu”. Rewolucja miała charakter narodowy, jej pierwszym celem było wyzwolenie narodowe, była zwrócona przeciw reżimowi importowanemu, który utrzymywał się dzięki obcej sile okupacyjnej” (4).

REWOLUCJA NIEDOŻYWIANYCH

Najciekawszą częścią otrzymanego przez nas studium jest analiza gospodarczego podłoża rewolucji. Przyznając, że rewolucja październikowa była zrywem narodowym, a nie „rewolucją nędzy”, Hungaricus twierdzi, że byłoby błędem nie docenić wagi niezadowolenia ludu, spowodowanego przyczynami gospodarczymi.

„Kilku lekarzy leczących rannych powstańców, mówiło nam, że nieraz spotykali młodych ludzi, którzy nic nie wiedzieli o Klubie Petöfi, którzy nigdy nie słyszeli o Gomułce, i którzy, zapytani o przyczyny dla których chwycili za broń, odpowiadali: Cóż warte jest życie kiedy się zarabia 600 florinów miesięcznie?”

Analizując sytuację gospodarczą kraju, autorzy dokumentu czerpali obficie z raportu, stanowiącego rezultat ankiety, przeprowadzonej przez węgierskie związki zawodowe na kilka miesięcy przed powstaniem, raportu poufnego, przeznaczonego jedynie dla informacji wyższych kadr partii i związków zawodowych.

(4) Do podobnych wniosków doszedł jeden z głównych teoretyków reżimu, obecnie zwolennik Kadara, Aldar Mod. W powielonym studium, które rozesał przyjaciółom pod koniec listopada, określił rewolucję węgierską jako „rewolucję demokratyczną, narodową, antystalinowską, w której wziął udział cały lud”. Według prasy Kadara (z 30 marca), Mod, mimo że przyłączył się do rządu, nie zrezygnował ze swej rewizjonistycznej tezy. „Nepszadsag” daje do zrozumienia że nawet w ramach „oczyszczonej” partii, istnieją tendencje heretyckie.

„Minimum życiowe, przyjęte za podstawę ankiety, było bardzo niskie : jedno ubranie na osobę co trzy lata, jedna para itd. W ten sposób doszło się do określenia minimalnej pensji w sumie 1.400 florinów na rodzinę, złożoną z trzech osób (5). Otóż z ankiety wynikało, że jedynie 15% rodzin robotniczych zarabiało w r. 1956 więcej niż minimum określone w ankiecie; 30% zarabiało około tych 1.400 florinów, podczas gdy zarobki 55% stały poniżej owego minimum życiowego. 15% rodzin robotniczych nie posiadało jednego prześcieradła na osobę, a 20% robotników nie posiadało zimowego płaszcza”.

„Dziennik *Nepszabadsag* cytował niedawno wypadek wielkiego posiadacza z czasów reżymu Horthy'ego, niejakiego Milenko Nagykovacsi, którego olbrzymie dochody pochodziły z własności domów mieszkalnych w Budapeszcie. *Nepszabadsag* słusznie podkreślał, że Nagykovacsich nie ma już na Węgrzech. Ale jeśli zniknięcie Nagykovacsich i ich olbrzymich dochodów może dać dużą satysfakcję autorowi artykułu, który sam jest uprzywilejowanym dziennikarzem, zarabiającym od czterech do pięciu tysięcy florinów miesięcznie — nie może ono być żadnym pocieszeniem dla robotników, którzy nie mogą sobie pozwolić na kupno płaszcza”.

„Niezadowolenie klasy robotniczej, które z taką siłą wybuchło od pierwszych chwil powstania, wydaje się tym bardziej usprawiedliwione, że wbrew przyrzeczeniom reżymu, poziom życia, który dość szybko wzrastał od roku 1945 do roku 1949, zaczął potem spadać, i w roku 1953 wykazywał według danych oficjalnych spadek 17%”.

Jakież są przyczyny tego spadku? Czy trzeba go przypisać, śladem większości Węgrów, eksploatacji kraju przez Rosjan? Oto co na ten temat mówi Hungaricus :

„Czy lud węgierski miał rację uważając sowieckie czołgi za główną przyczynę swej nędzy? Zapewne nie należy bezkrytycznie przyjmować wszystkich poglądów, krążących na temat sowieckiej eksploatacji. Ale u podstaw przeświadczenia ludu o odpowiedzialności Rosjan dotyczącej rozkładu węgierskiej gospodarki, tkwią pewne bezsprzeczne fakty — nawet jeśli wnioski które z nich ogólnie wyciągano były przesadzone. I tak, faktem jest, że kiedy odkryto na Węgrzech obfite złoża uranu, otoczono je sowieckim kordonem wojskowym, zanim węgierska komisja atomowa dowiedziała się o ich istnieniu. Faktem jest również, że eksploatacja towarzystw mieszanych, zlikwidowanych w roku 1955 zapewniała Rosjanom znaczne korzyści ekonomiczne. Wreszcie faktem jest, że kurs rubla został ustalony w skali korzystnej dla interesów sowieckich”.

(5) Oficjalny kurs : 1 florin = 30 franków francuskich. W istocie siła kupna równa się 10 frankom francuskim.

Hungaricus twierdzi poza tym, że narzucone przez Rosjan bezmyślne przenoszenie sowieckich metod planowania i gospodarczej administracji, wyrządziło węgierskiej gospodarce szkody o wiele większe niż bezpośrednia eksploatacja sowiecka z pozycji siły.

„Rosjanie wprowadzili na Węgrzech, razem z dyktaturą proletariatu, przerost biurokracji, będący główną plagą ich własnego reżymu. W roku 1955 sama administracja państwowa liczyła 280.000 osób na ludność liczącą dziewięć i pół miliona! Należy do tego dodać efektywy wojska — od 250.000 do 300.000 żołnierzy, zwykłą policję, 100.000 członków policji politycznej (A.V.H.), urzędników aparatu partyjnego (ponad 40.000), urzędników administracji przemysłowej i rolnej. Cyfry te dają przybliżone pojęcie o strukturze reżymu, który wprowadził w sposób gorzej niż karykaturalny Komunę, to wymarzone przez Marksa „tanie państwo”. Gdyż ponad milion dorosłych obywateli, zdolnych do pracy wytwórczej, zajętych było rejestracją, kontrolą, „uświadamianiem politycznym”, szpiclowaniem, a często i torturowaniem trzech i pół miliona Węgrów zatrudnionych w pracy wytwórczej”.

Niewątpliwie „nadwartość”, zagarniana przed wojną przez kapitalistów, była znacznie mniejsza od kosztu tego potwornego aparatu biurokratycznego. Fakt ten dyskredytuje oczywiście nie socjalizm, ale jego sowiecko-biurokratyczną karykaturę narzuconą Węgrom. Tym bardziej, że polityka gospodarcza tej olbrzymiej biurokracji: wściekle uprzemysławianie, konstrukcja gigantycznych zakładów jak na przykład huta stalowa w Stalinvaros, absurdałne inwestycje w rodzaju budapeszteńskiego metra, którego konstrukcję musiano zarzucić, kolektywizacja która oczywiście pociągnęła za sobą spadek wydajności rolniczej — była oparta na zasadach przeciwnych elementarnemu zdrowemu rozsądkowi, rodziła się w papierowej próżni, w oderwaniu od jakiegokolwiek kontaktu z rzeczywistością, pogrążyła kraj w tak daleko posuniętą anarchię, że w porównaniu z nią anarchia produkcji kapitalistycznej wydawała się z góry ustaloną harmonią.

„Szepiłow wyrzucał nam — dziewięciu milionom mieszkańców węgierskiej prowincji — sztuczne i przesadne wyolbrzymianie błędów, które zaistniały w ramach „wielkiej socjalistycznej rodziny” — pisze Hungaricus. — „Ale czyż można sprowadzać do „błędów” sytuację w której premierzy wyznaczani są nie w stolicy własnego kraju, ale zagranicą, w której obce państwo narzuca politykę gospodarczą, za którą musi płacić cała ludność? Czy można wtedy żądać od ludu, żeby okazywał cierpliwość, żeby był zawsze wielkodusznie wyrozumiały wobec tak potwornych objawów?”

Hungaricus próbuje wreszcie sporządzić ogólny bilans reżymu komunistycznego na Węgrzech:

„Cóż myśleć o ubiegłych dwunastu latach? Czy można, w stosunku do Węgier postawić tę samą tezę co w stosunku

do Rosji, to jest że mimo okropności, tortur i marnotrawstwa, będących cechami reżymu stalinowskiego, kraj przeszedł przez przemiany, które należy uznać za postępowe? Czy można twierdzić, że w sumie, bilans reżymu jest pozytywny? W pewnym sensie tak — mimo, że nasze osiągnięcia są o wiele mniej znaczne od osiągnięć sowieckich. To prawda, że jeśli idzie o uprzemysłowienie urzęczywistniono niezaprzeczone postępy w kierunku socjalizmu. Kapitalizm należy na Węgrzech do bezpowrotnej przeszłości. Dziesiątki tysięcy synów robotników i chłopów mogło się wykształcić. Ale antypatriotyczna polityka, obca przemoc, przeszkodziły ludowi węgierskiemu właściwie wykorzystać pozytywne osiągnięcia ostatnich dwunastu lat. Partia Rakosiego i Gerö nie zdała egzaminu przed Historią. Używając barbarzyńskich metod w budowie socjalizmu, Rakosi i jego klika podkopali wszystko to, co lud dokonał wielkiego pod kierownictwem partii. W Rosji stalinowskiej uprzemysłowienie dawało przynajmniej ludowi poczucie wielkości i odrodzenia narodowego. Przeświadczenie o pracy na rzecz przyszłości własnego kraju mogło być dla Rosjan pewną kompensatą za olbrzymie poświęcenia, których od niego wymagano, za wielkie opóźnienie w poprawie ich osobistego losu. Ale na Węgrzech Rakosi i jego klika prowadzili politykę antynarodową, nawet w chwili gdy lud mógł się przyczynić do materialnego rozwoju”.

SIŁA REAKCJI NA WĘGRZECH

Dalsza część studium poświęcona jest analizie sił, którymi dysponowała na Węgrzech reakcja przed rewolucją. Zdaniem Hungaricusa, reakcja posiadała na Węgrzech spore rezerwy, których nie należy niedoceniać. Ale fakt ten w niczym nie usprawiedliwia sowieckiej interwencji. Wręcz przeciwnie, interwencja ta powiększyła tylko potencjał reakcji i znacznie osłabiła szanse wprowadzenia na Węgrzech autentycznego socjalizmu. Interweniując zbrojnie, po tylu interwencjach dyplomatycznych, politycznych i gospodarczych, Sowiety obiektywnie wsparły kontrewolucję.

„Niektórzy z naszych towarzyszy uznają doniosłość roli odegranej przez reakcję, ale sądzą, że nie należy tego elementu wysuwać obecnie, aby nie lać wody na młyn Kadara. Jest to, naszym zdaniem, stanowisko całkowicie błędne. Żadna prawda nie może przynieść szkody. Nie możemy dzielić rzeczywistości na części przyjemne, które należy przyjmować i nieprzyjemne, które należy kryć”.

„Dlatego też musimy przyznać, że istniały i istnieją w dalszym ciągu na Węgrzech znaczne siły reakcyjne. Aby uniknąć jakiegokolwiek nieporozumienia na ten temat, okreśmy co rozumiemy przez „reakcję”: są to te siły które dążą do restauracji na Węgrzech władzy wielkiej własności ziemskiej i kapi-

tału. Należy tu wprowadzić rozróżnienie między „arcyreakcjonistami” i reakcjonistami „mimowoli”, to znaczy tymi wszystkimi, którzy stali się mniej lub więcej świadomym reakcjonistami na skutek zbrodni reżymu Rakosiego”.

„Do pierwszej kategorii należą wywłaszczeni wielcy posiadacze ziemscy, wywłaszczeni kapitaliści, oraz legitymistyczni, pół-faszystowscy prałaci. Zapewne, nawet w tej grupie społecznej można znaleźć ludzi neutralnych, a nawet postępowych, ale całość grupy pozostała reakcyjna, nienawidziła reżymu za pozbawienie jej przywilejów, i, prawdopodobnie, równie nienawidziłaby reżymu demokratycznego, który by ją pozbawił tych przywilejów. Ale prawdą jest również, że nawet w stosunku do członków tej grupy Rakosi nie postąpił mądrze. I tak, nie starał się on nigdy rozpatrywać indywidualnie poszczególnych wypadków, zastosował wobec całej grupy, bez żadnego rozróżnienia, terror nawet tam gdzie był on w istocie niepotrzebny czy szkodliwy. Dzienniki węgierskie przytaczały ostatnio chińskie metody polegające na częstym mianowaniu na stanowiska dyrektorów zakładów byłych przemysłowców, wykazujących zrozumienie dla reform reżymu. U nas nie było nigdy nic podobnego. Tym niemniej błędy terrorystyczne popełnione w stosunku do członków dawnych klas kierowniczych nie były decydujące z punktu widzenia stałości reżymu. Większość grupy arcyreakcjonistów była w każdym wypadku wroga reżymowi. Liczba ich nie przekraczała jednak kilkudziesięciu tysięcy osób, wliczając w to byłych służących, personel wielkich majątków ziemskich, byłych wysokich urzędników i ich sympatyków. Wobec tak nielicznej opozycji, żaden reżym nie nie ryzykuje”.

„Najpółowniejsze błędy, być może już nie do naprawienia, popełniono wobec drobnych kapitalistów i drobnomieszczan. Marks przewidywał, że społeczeństwo kapitalistyczne podzieli się na dwie antagonistyczne grupy: burżuazję i proletariat. Ale ten antagonizm nie miał nigdy istnieć w ściśle określonych zarysach. Marks określał drobnomieszczaństwo, z punktu widzenia społecznego i gospodarczego, jako klasę dekadentką i reakcyjną. Ale ostrzegał nas zarazem, że nie należy klasy tej gwałcić, gdy proletariat dojdzie do władzy. Skądinąd, Marks, Engels, a później Lenin, często radzili ostrożność w stosunkach między proletariatem i chłopami. Otóż, w tej dziedzinie także Rakosi służył wzorowi na metodach sowieckich. Stosując metody bezwzględного przymusu, reżym Rakosiego pchnął w objęcia reakcji setki tysięcy ludzi, których można było — stosując odmienne metody — zneutralizować, czy nawet pozyskać dla sprawy ludowej demokracji. W ten sposób, reżym Rakosiego zajmował się racjonalną hodowlą własnych wrogów”.

Pierwszą grupą społeczną, którą Rakosi odepchnął od socjalizmu byli rzemieślnicy, mimo że wielu z nich należało przed wojną do socjaldemokracji. Liczni rzemieślnicy byli również aktywistami przedwojennej tajnej partii komunistycznej. Otóż, jeśli w roku 1948 istniało na Węgrzech 180.000

rzemieślników — czyli, razem z rodzinami, 500.000 osób utrzymywało się z rzemiosła — w roku 1953, na skutek antyrzemieślniczej polityki rządu, pozostało ich zaledwie 46.000.

„W ten sposób nasi hurrarewolucjoniści z kliki Rakosiego, z których większość była zresztą pochodzenia burżuazyjnego, synowie kupców, karczmarzy, adwokatów — podniecili przeciw socjalizmowi 134.000 rodzin rzemieślników, których zmuszono, brutalnymi zarządzeniami, do porzucenia swych warsztatów. A była to tylko jedna strona medalu. Drugą konsekwencją tych zarządzeń było pozbawienie całej ludności możliwości taniej i skutecznej naprawy butów, aparatów radiowych, urządzeń sanitarnych itd. Niezależni rzemieślnicy zostali zastąpieni przez „rzemiosło socjalistyczne”, źle zorganizowane, niesłychanie kosztowne i przekupne. Skutki tej polityki stały się wkrótce tak oczywiste, że w latach 1953 i 1954 pierwszy rząd Imre Nagy'ego oddał warsztaty 106.000 rzemieślników. Ale w roku 1955, po upadku Imre Nagy, powrócono do dawnych metod antyrzemieślniczych, po to aby znowu, w roku 1957, po sowieckiej interwencji, zacząć akcję rozbudowy prywatnego rzemiosła. Te absurdalne wahania między terrorem i liberalizacją stosowano tak nonszalancko, jakby chodziło o bydło, a nie o ludzi. W roku 1951, tolerowano jeszcze na Węgrzech 3.000 piekarzy; w roku 1953 pozostało ich trzech na całe Węgry. W roku 1954, było ich znów 537 w „sektorze prywatnym”... I tak dalej, zależnie od wahań i widzimisię biurokratów... zależnie od konfliktów w łonie Partii”.

„Inna grupa społeczna, którą reżym Rakosiego niepotrzebnie nastawił przeciw socjalizmowi, „likwidując” ją w sposób nagły i niehumanitarny, to drobne kupiectwo. W roku 1950 było jeszcze 41.000 drobnych kupców, w 1952 — 2.700. W rok później spostrzeżono, że sieć handlu państwowego jest niewystarczająca i przywrócono do „sektora prywatnego” 7.000 drobnych kupców”.

„Brutalna likwidacja kułaków przedstawia problem jeszcze poważniejszy. W zasadzie nie chodziło o „likwidację”, rząd się do tego nie przyznawał, chciał rzekomo „ograniczyć kułaków”. Ale w praktyce istniało na Węgrzech w roku 1949 — 47.000 małych gospodarstw przekraczających 14 hektarów. W sześć lat później było ich już tylko 7.000. „Ograniczono” więc tak skutecznie 40.000 zamożnych chłopów, że ich zlikwidowano. Zamiast zneutralizować czy nawet pozyskać dla socjalizmu 40.000 rodzin, *wytworzono* z 40.000 rodzin nieprzejednanych wrogów nie tylko Rakosiego, ale wręcz socjalizmu. Dodajmy, że chodziło tu przeważnie o chłopów cieszących się szacunkiem, jeśli nie sympatią szerokich mas chłopskich. Byli oni właścicielami najlepszych gospodarstw, najbardziej wykształconymi i prześladowania mogły tylko dodać im miru”.

Hungaricus oblicza w ten sposób, że reżym Rakosiego, przez podobne niepotrzebne ekscesy, zmusił do antysocjalizmu około milion osób. Ludzie ci powzięli przeciwko reżymowi nieubłaganą nienawiść. A ich uczucia znajdowały życzliwe echo u członków klas pracujących w ścisłym tego słowa znaczeniu, to znaczy u robotników, drobnych chłopów i inteligentów, mimo że reżym im bez przerwy pochlebiał.

„Polityka Rakosiego rozszerzała bez przerwy kręgi niezadowolenia i wrogości. Wkrótce do kułaków przyłączyli się chłopci tak zwani „średni”, których lokalni urzędnicy partyjni złośliwie wpisywali na listę kułaków, czyli ludzi których należy tępić. Wielu technicznych specjalistów traciło pracę na skutek rzekomych poglądów politycznych, czy po prostu na skutek burżuazyjnego pochodzenia. Dziesiątki tysięcy drobnych chłopów pochodzenia jugosłowiańskiego wywieziono z zony nadgranicznej ze względów „strategicznych”. Dorzućmy do tego 150.000 aresztowanych i internowanych z roku 1953 i ich rodziny oraz komunistów prześladowanych przez reżym za rzekome odchylenia. Ale nie potrzeba nawet tak segregować. System przymusowych świadczeń rolniczych, zmuszający chłopów do sprzedaży państwu znacznej części plonów poniżej ceny kosztu, groźba kolektywizacji, sprawiły, że masa chłopska stała się szybko zdecydowanie wroga wobec reżymu. Co do klasy robotniczej, jej większość była antyreżymowa nie tylko na skutek zniżki rzeczywistych płac, ale także z powodu pozbawienia jej wolności organizacyjnej. Robotnicy źle się czuli w związkach zawodowych, będących ekspozyturą Partii i pozbawionych jakiegokolwiek we wewnętrznej demokracji”.

Hungaricus notuje dalej paradoksalne zjawisko: rząd nie tylko tracił stopniowo jakikolwiek wpływ na masy, ale ułatwił, co prawda mimowoli,

„infiltrację arcyreakcjonistów do klasy robotniczej. Wielu oficerów armii Horthy’ego, zlikwidowanych kułaków, synów wywłaszczonych wielkich właścicieli ziemskich, zmuszonych było do pracy robotniczej w fabrykach, do chłopskiej pracy w rolniczych kooperatywach i gospodarstwach państwowych — razem z dziesiątkami tysięcy drobnomieszczan. Zapewne, „kadry” partyjne w fabrykach nie miały do nich zaufania, ale robotnicy widzieli w nich tylko towarzyszy niedoli. Czyż nie żyli oni życiem robotników, w przeciwieństwie do kadr partyjnych, robotniczego nieraz pochodzenia, ale przemieniających się w osobną kastę? Robotnicy, coraz bardziej niechętni do komunistów, znajdowali w tych zdeklasowanych elementach sympatycznych rozmówców, często lepiej od nich poinformowanych i operujących trudnymi do odparcia argumentami. I tak w wielu fabrykach można było stwierdzić podczas powstania wielki wpływ elementów, których głównym celem nie była obrona interesów robotniczych, czy reforma socjalizmu, ale poszukiwanie aliantów do walki z socjalizmem”.

W sumie, Hungaricus oskarża Rakosiego o

„restaurację kapitalizmu w umysłach ludzi”

natychmiast po jego materialnym zlikwidowaniu; o poszerzenie ludowych podstaw reakcji, i oddanie jej tego co było dla niej cenniejsze bodaj od jej dóbr materialnych: jej czystego sumienia. Rakosi i jego klika nie przestawali krzyczeć że „nie odda się im nigdy ich ziem i ich fabryk”, ale oddali „im” poczucie godności.

„Niestety, to co szeptali ci reakcjonisci o antypatriotyzmie Rakosiego, o jego zмовie z Rosjanami, o zbrodniach i śmiesznościach reżymu, o kłamstwach propagandy, wszystko to było prawdziwe, nie trudne do sprawdzenia. Toteż kredyt ich wzrastał nieustannie. Podobnie jak kredyt Kościoła”.

Hungaricus podkreśla istotnie w swoim studium, że katolicyzm, jeśli nie klerykalizm, węgierski wyszedł szczególnie wzmocniony z próby ostatnich lat. Przed wojną katolicyzm węgierski — w przeciwieństwie do Polski — niewiele miał wspólnego z prawdziwym doświadczeniem religijnym, była to raczej praktyka społeczna. Tymczasem dzisiaj obserwuje się w kraju jakąś nową falę mistycyzmu, mnożą się różne sekty i dzienniki partyjne skarżą się na wzrost przesądów.

„To odnowienie religijnego ducha, którego wpływ, według zasad marksizmu, winien był zmniejszyć się z chwilą zlikwidowania jego bazy społecznej, tłumaczy się nie agitacją księży, ale wzmocnieniem społecznych źródeł wiary. W istocie, ta masa kilkuset tysięcy drobnomieszczan, o których była mowa powyżej, wytworzyła sobie z socjalizmu, w ciągu tych lat terroru, obraz Straszego Ojca, niezrozumiałego, o nieprzewidzianych reakcjach, który — posługując się sloganami pozostającymi bez najmniejszego związku z rzeczywistością — operował aresztowaniami, torturami, szykanami, groźbą śmierci. Poczucie niepewności wciąż wzrastało. Pewien znajomy lekarz opowiadał nam o wypadku chłopca, którego przyprowadzono do niego na konsultację, przypuszczając że ma raka w gardle. Radioskopia wydawała się potwierdzać tę diagnozę, ale lekarz nie był o niej przekonany. Długo wypytywał staruszkę i wreszcie odkrył przyczynę choroby: stary miał gospodarstwo, które było na samej granicy tego co uważano za gospodarstwo kułackie. Stąd raz wpisywano go na listę kułaków, raz go z niej skreślano. W roku 1951, w chwili wielkiej czystki kułaków, starzec spędzał bezsenne długie noce, spodziewając się że aresztuje go AVO. Istotnie, pewnej nocy zatrzymał się przed zagrodą jeep policyjny. Przyjeżdżano nie po niego, lecz by aresztować jego sąsiada. Stary chłop, który właśnie jadł kolację, odczuł przykry kurcz gardła. Była to więc ta „somatyzacja” przerażenia, którą wiejski lekarz wziął za raka... Otóż, setki tysięcy ludzi żyło w podobnych warunkach niepewności i strachu. Cóż dziwnego, że szukali w religii schronienia i pociechy? Setki tysięcy chłopów,

szewców, gospodyń, robotników i robotnic, którzy dawniej nie bywali częściej w kościele jak dwa razy do roku — na Boże Narodzenie i Wielkanoc, teraz chodzili co dzień, a nieraz i dwa razy na dzień...”

Czyż można lepiej odmalować atmosferę psychologiczną Węgier w przede dniu powstania. Zapewne, propaganda Kádára nie kłamie mówiąc o rosnącym wpływie reakcji na Węgrzech. Ale wyciąga stąd wnioski wręcz odwrotne od tych, które wyciągają członkowie tej socjalistyczno-komunistycznej opozycji, którą reprezentuje *Hungaricus*. Istotnie, zdaniem *Hungaricusa*,

„socjalizm może zwyciężyć reakcję jedynie poprzez wielkie pojednanie narodowe, pojednanie, z którego wykluczone byłyby jedynie elementy skrajnie reakcyjne i antynarodowi przedstawiciele interesów wielkich mocarstw. Jesteśmy bowiem między młotem i kowadłem. Z jednej strony — antyludowa reakcja, skazana przez Historię, ale ciesząca się wsparciem pewnych obcych aliantów. Z drugiej strony klika u władzy, która podporządkowuje interesy węgierskie interesom wielkiego obcego mocarstwa. Między tymi skrajnymi elementami musimy torować sobie drogę i możemy tego dokonać jedynie odwołując się do wszystkich sił postępowych, lub takich które można zdobyć dla sprawy postępu”.

W tym leży całe credo postępowej opozycji węgierskiej.

POLEMIKA Z KARDELJIM

Jeden z najciekawszych rozdziałów przytaczanego dokumentu dotyczy genezy i rozwoju komunistycznej opozycji węgierskiej. Rzuca on ciekawe światło na postacie Imre Nagy i Janosa Kádára. Co do Nagy’ego, dowiadujemy się, że jego konflikt z Rakosim sięga roku 1948: Nagy już wtedy sprzeciwił się polityce kolektywizacji. Kiedy w roku 1949 Rakosiemu nakazano wyznaczenie kandydata na wielki proces antytitowski, który Stalin zdecydował zorganizować w Budapeszcie, wahał się pewien czas między Nagym i Rajkiem. Jeśli wybrał ostatecznie Rajka, to zapewne dlatego, że zdawał sobie sprawę z przyjaźni jaką cieszył się Nagy w otoczeniu Malenkowa.

W roku 1953, Nagy został po raz pierwszy zrehabilitowany i mianowany premierem. Rakosi oświadczył później, w 1955, że to Beria kazał mianować Nagy’ego. *Hungaricus* ujawnia, że wobec rozbicia i różnic poglądów wewnątrz Węgierskiego Komitetu Centralnego, główni przywódcy wraz z Imre Nagy’em zostali zawezwani do Moskwy, gdzie Prezydium sowieckie i węgierskie Biuro Polityczne odbyły wspólne zebranie (6). Beria jako

(6) To do tego decydującego zebrania robi aluzje V. Begowicz w „Borbie” z 5 kwietnia 1957, w którym odpowiada na pewne zarzuty Bułganina i Kádára.

„główny referent” prezydium od spraw narodowościowych i demokracji ludowych, wygłosił wówczas referat o sytuacji węgierskiej i zaproponował w imieniu swoich kolegów, mianowanie Nagy’ego premierem.

Prawdą więc jest, że Nagy’ego wyznaczili Rosjanie. Podówczas zresztą jego przywiązanie do Związku Sowieckiego nie było mniejsze niż przywiązanie Rakosiego. Różniło ich to, że Nagy, z usposobienia i przekonania bliski był klanowi „reformy” Kominformu, który uważał Malenkowa za swego przywódcę.

„Dopiero po mianowaniu go premierem, na skutek kontaktu z węgierską rzeczywistością i poznając bliżej intrygi i metody sabotażu, stosowane przez stalinowców, Imre Nagy przemieniał się pomatu z przedstawiciela liberalnej tendencji sowieckiej w przedstawiciela węgierskiej drogi do socjalizmu”.

Hungaricus podkreśla uczciwość i odwagę cywilną tego człowieka, który — kiedy Rosjanie zażądali od niego samokrytyki na wzór Malenkowa (w roku 1955) — aby umożliwić mu, podobnie jak Malenkowowi, pozostanie w rządzie, odrzucił tę ofertę po bolesnym konflikcie wewnętrznym i oświadczył, że nie będzie już nigdy współpracował z Rakosim, odpowiedzialnym za tyle zbrodni i marnotrawstwa. Ale Hungaricus zwraca również uwagę na pewną krótkowzroczność Nagy’ego jako polityka. To Nagy przeciwstawił się w roku 1955 utworzeniu politycznego ośrodka akcji antystalinowskiej, którego chcieli jego bardziej przewidujący zwolennicy, celem nawiązania kontaktów z innymi elementami demokratycznymi i organizowania grup działania wśród klasy robotniczej.

„Nawet po wykluczeniu go z Partii, Nagy nadal chciał szanować jej przepisy mimo że wiedział iż Rakosi i jego klika ich nie przestrzegają, że śmieją się z decyzji Centralnego Komitetu, że utworzyli między sobą frakcję która widywała się regularnie i postanowiła skoncentrować w swoim ręku istotną władzę nad partią. Ile Imre Nagy nie chciał iść za tym przykładem. Chciał aby sprawa jego zwyciężyła legalnie, zgodnie ze statutami, bez oparcia o żadne organizacje”.

Hungaricus bierze dalej w obronę opozycję grupy Nagy’ego przed zarzutami niektórych Jugosłowian, a zwłaszcza Kardel’ego. Kardelj zarzucał intelektualistom-zwolennikom Nagy’ego „brak programu” oraz „idee nacjonalistyczne”. Oto jak na to odpowiada Hungaricus :

„Opozycja miała swój program. Żądała realizacji programu rządowego z czerwca 1953, żądając w dodatku ustanowienia rad robotniczych kierujących zakładami przemysłowymi, czystki aparatu biurokratycznego i przywrócenia niepodległości. Czy nie jest to program realny? W myśl tego to programu masy ruszyły na ulicę 23 października i nie ich jest winą, że Gerő odpowiedział im prowokacyjnym przemówieniem i strzałami. Program opozycji węgierskiej był zresztą podobny do programu Gomułki w październiku”.

Hungaricus dziwi się, że Kardelj zarzuca „nacjonalizm” intelektualistom z opozycji :

„Przeczytajcie wszystkie przemówienia i artykuły przywódców opozycji, a zobaczycie że żądania niepodległości narodowej są tam sformułowane w sposób o wiele bardziej umiarkowany niż w zwykłych wypowiedziach Jugosłowian broniących swoich praw. Z drugiej strony w okresie poprzedzającym rewolucję żaden druk antysowiecki nie ukazał się na Węgrzech. Jakżeż mogło być inaczej? Co do opozycji — to zadawała się ona domaganiem się, i to ostrożnym, równości praw. Czy należy wnioskować z tego, że to co jest elementarnym prawem dla Jugosłowian staje się „nacjonalizmem” gdy chodzi o Węgrów? Kardelj robi aluzje do „elementów reakcyjnych”, które doszły do głosu w Klubie Petöfi. Chcielibyśmy by dał w tej sprawie bliższe szczegóły, by dostarczył dowodów, gdyż z tego co my sami wiemy, żaden z mówców w Klubie Petöfi nie zasługuje na nazwę reakcjonisty i nigdy nie reakcyjnego nie powiedział”.

„Niech nasi przyjaciele Jugosłowianie będą spokojni: odpowiedź nasza nie jest podyktowana przewrażliwieniem. Musimy jednak bronić prawa do wybrania naszej własnej drogi walki z komunizmem typu sowieckiego, nawet jeśli droga ta nie zawsze jest równoległa do drogi socjalizmu jugosłowiańskiego, którego wagę historyczną w pełni uznajemy. Ale naszym zdaniem, znaczenie jugosłowiańskiego przykładu, znaczenie odważnej walki jugosłowiańskiej przeciw stalinizmowi, polega właśnie na obronie prawa każdego narodu do wyboru własnej drogi. To w tym właśnie Jugosłowianie byli dla nas przykładem. Jeśli idzie o zasadę budowania socjalizmu szukaliśmy i będziemy szukać innych rozwiązań niż te, które oni znaleźli.



W końcowych wnioskach, dokument podpisany przez Hungaricusa potwierdza naszą tezę według której bezpośrednią przyczyną wybuchu z 23 października była fałszywa kalkulacja Sowietów. Złe poinformowani przez Gerö, stalinowcy sowieccy — Suslow i jego przyjaciele, którzy nie mieli zaufania do Nagy'ego i nie mogli się pogodzić z usunięciem Rakosiego — doszli do wniosku, że użycie siły potrafi zatamować prąd opozycyjny i że uda się narzucić rozwiązanie przejściowe. Intencją ich było dopuścić do powrotu Nagy'ego do władzy jedynie pod tym warunkiem, że da się otoczyć przez dwóch ludzi którym ufali: Gerö i Kadar. Kadar, mimo że nienawidził Rakosiego i miał pewne sympatie do węgierskiego titoizmu, dzielił nieufność pozostałych członków aparatu partyjnego wobec Nagy'ego, który nie był nigdy biurokratą partii. To prawda, że Kadar zawdzięczał Nagy'emu uwolnienie z więzienia, do którego wrzucili go Rakosi i Gerö; ale, stwardniały przez cierpienia — taki jakim go przedstawia Jerzy Paloczy-Horvath w świetnym szkicu, który ukazał się w marcowym numerze „Preuves” — Kadar nie czuł się związany takimi głupstwami jak wdzięczność. Hungaricus ujawnia, że Kadar zerwał wszelkie stosunki z Nagy'm, kiedy z końcem

1955 Nagy'ego wykluczono z partii. Na wiosnę 1956, podczas zebrania aktywistów prowincji Pest, Kadar nazwał Nagy'ego „prezesem związku kulałów”. Tej samej wiosny, zaproszony przez opozycję do wzięcia udziału w organizowanym przez nią bankiecie ku czci Nagy'ego — odmówił. Nieco później, na prośbę Susłowa, Kadar zaczął nawet akcję propagandową na rzecz swego największego wroga — Rakosiego. I jeszcze rankiem 23 października oświadczył dziennikarzom z opozycji, że Imre Nagy winien dokonać samokrytyki zanim powróci do władzy.

Aby przeprowadzić swój własny plan, Gerö i jego sowieccy przyjaciele zdecydowali się na prowokację. 13 października, a więc na dziesięć dni przed powstaniem, wysoki dygnitarz partyjny, bliski współpracownik Gerö, ostrzegł potajemnie Nagy'ego o tych zamiarach. (Fakt ten został nam potwierdzony również przez inne wtajemniczone osobistości oraz poprzez artykuł, który doskonale poinformowany korespondent poświęcił rewolucji węgierskiej w kwietniowym numerze „Esprit”). Gerö przygotowywał więc zasadzkę dla Nagy'ego. Hungaricus jest przekonany, że w celu ukrycia tej operacji Gerö udał się do Belgradu, aby pozyskać zaufanie Jugosłowian i przedstawić się w oczach opinii węgierskiej — on najbardziej służalczy instrument Sowietów — jako przyjaciel Tita i zwolennik zbliżenia węgiersko-jugosłowiańskiego.

„Zachowujemy cały nasz szacunek i całą naszą wdzięczność dla komunistów jugosłowiańskich. Ale nie możemy się powstrzymać od myśli że w tym wypadku dali się nabrać”.

Jedną z głównych zalet analizy, którą przedstawiliśmy, jest nacisk na wahania polityki sowieckiej. Jugosłowianie nie dość przywiązali wagi do tych wahań. Rozjazdy po wschodniej Europie Chruszczowa i innych emisariuszy jak Susłow i Mikołaj, z których jeden niszczył to co drugi zbudował, wykazują niepewności i sprzeczności polityki sowieckiej. Kreml wahał się i waha nadal pomiędzy neo-stalinizmem, opartym o wzrastającą na sile potęgę wojskową, i prądem reformistycznym, który narasta w społeczeństwie sowieckim, prądem dążącym do humanizacji i narzucenia ram konstytucyjnych socjalizmowi, podobnie jak w swoim czasie liberalny prąd burżuazyjny dążył do narzucenia ram konstytucyjnych monarchiom absolutnym. Mao Tse Tung, Gomułka, Tito, wydają się dążyć do pośredniego rozwiązania — między stalinizmem i demokracją — rozwiązania, które pod pewnym względem przypomina tezy liberalnego Cesarstwa. W ten sposób, pomalutku, perspektywy ewolucji sowietyzmu stają się dla nas jaśniejsze. Zapewne, jak podkreśla Edgar Morin w swym świetnym artykule w „Arguments” (Nr 2), nie jest to perspektywa „powrotu do kapitalizmu”. Niestety nie jest to również perspektywa nieuniknionej demokracji. Jest to perspektywa walki, chronicznego kryzysu, rewolucji i kontrrewolucji nie koniecznie pokojowych, ewolucji rozwoju w której kadry intelektualne i myśliciele, będą mieli do odegrania rolę decydującą i często niebezpieczną.

François FEJTŐ

(Tłumaczył K.A. JELEŃSKI)

Testament buntownika Partii

I. — KIM JESTEŚMY

Jesteśmy grupą funkcjonariuszy Partii S.E.D. (Zjednoczonej Partii Socjalistycznej Niemiec), reprezentujemy licznych zadeklarowanych i jeszcze liczniejszych niezadeklarowanych zwolenników. Zwolennicy ci są szczególnie liczni w instytucjach kulturalnych Niemieckiej Republiki Demokratycznej — w uniwersytetach, zakładach naukowych technicznych i innych, w redakcjach gazet i domach wydawniczych.

Uczyliśmy się z rezolucji XX Zjazdu Komunistycznej Partii Radzieckiej i z kontaktów z towarzyszami zagranicą. Osobiste dyskusje z polskimi, węgierskimi i jugosłowiańskimi towarzyszami utwierdziły nas w naszych konkluzjach. Nasz rozwój ideologiczny zawdzięczamy najbardziej towarzyszowi George Lukacs(1).

Bertold Brecht aż do zgonu sympatyzując wspólnie z naszą grupą widząc w niej największą nadzieję partii. W częstych z nim dyskusjach poznaliśmy goręcość i rozczarowanie z jakim patrzył on na obecne warunki w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

Granice legalności.

Przeżyliśmy długi proces klasyfikacji ideologicznych, który rozpoczął się wkrótce po zgonie Stalina a przybrał na sile po wydarzeniach 17 czerwca 1953 roku. Po XX Zjeździe Partii opracowaliśmy projekt własnej niemieckiej drogi do socjalizmu, dla wewnętrznej dyskusji partyjnej.

Próbowaliśmy zaznajomić z tym projektem kierownictwo Partii, ale spotkaliśmy się z niedostępnością przywódców. Fred Oelssner, Paul Wandel i Kurt Hoyer (2) odmówili przyjęcia nas, wzięcia pod uwagę naszych intencji czy też zaznajomienia się z naszym projektem. Dlatego też czuliśmy się zmuszeni do wręczenia naszego „projektu” ambasadorowi sowieckiemu, towarzyszowi Puszkin, aby za jego pośrednictwem dotrzeć do naszych przywódców partyjnych.

(1) Wybitny myśliciel węgierski, który przewodził rewolucji intelektualnej ubiegłej jesieni; obecnie w więzieniu.

(2) Członkowie Komitetu Centralnego.

Projekt nasz pomyślany był jako podstawa wewnętrznych dyskusji na temat reformy partii. Nie jest naszym zamiarem zrywanie z partią i stanie się renegatami w takim rodzaju, powiedzmy, jak Arthur Koestler. Nie zamierzamy odrzucać marksizmu-leninizmu, lecz tylko uwolnić go od stalinizmu i dogmatyzmu oraz przywrócić mu podstawę humanistycznego, antydogmatycznego myślenia.

Pragniemy przedyskutować i wprowadzić nasze idee do partii i Niemieckiej Demokratycznej Republiki w sposób najzupełniej legalny. Nasz legalizm jednak skończy się jeżeli kierownictwo partyjne postępować będzie nielegalnie. To zaś, naszym zdaniem, ma miejsce obecnie. Mimo oficjalnych zapewnień, nasza partia systematycznie przywraca kult jednostki.

Wszyscy jesteście winni.

Dyskusje wewnętrzno-partyjne są dławione, prasa kneblowana; niezadowolenie klasy pracującej jest w sposób całkowicie anty-marksistowski tłumaczone jako wynik działalności agentów imperializmu. W takiej sytuacji dyscyplina partyjna nie może stanowić celu sama w sobie. Bierzymy tu za przykład Karola Liebknechta (3), który w roku 1914 i, powtórnie w roku 1918, naruszył dyscyplinę partyjną dla uratowania partii.

Nasze zerwanie z obecnym przywództwem partyjnym nie oznacza zerwania z Partią Komunistyczną. Te dwa pojęcia nie są identyczne. Nie zamierzamy również odwracać się od N.D.R. ani też wykręcać się od naszej obywatelskiej odpowiedzialności za jej obecny stan.

Wszyscy jesteście obciążeni winą za tę sytuację do której partia nasza doprowadziła N.R.D. Dlatego też naszym obowiązkiem jest zmienić tę sytuację i walczyć o tę zmianę.

Do tego obowiązku należy zmiana naszego stosunku wobec Socjal-Demokracji, która jest najsilniejszą partią robotniczą w Niemczech, i która doprowadziła do zjednoczenia klasy robotniczej w Zachodnich Niemczech. W wielu szczegółach nie zgadzamy się z nią, jak również nie podzielamy jej niektórych burżuazyjno-demokratycznych i oportunistycznych tendencji. Ale zgadzamy się z S.D.P. w zasadach. Ta zgoda w zasadach może umożliwić przezwycięzenie podziału Niemiec.

2. — NASZE KONCEPCJE IDEOLOGICZNE

Stwierdzamy, że kapitalizm w Europie Zachodniej jest przestarzały i że socjalizm jest nieunikniony, ale nie sądzimy, aby do zwycięstwa socjalizmu w Europie Zachodniej konieczna była rewolucja. Uważamy że przejście od kapitalizmu do socjalizmu zachodnio-europejskiego odbędzie się na drodze pokojowej.

(3) Niemiecki przywódca komunistyczny zamordowany przez oficerów armii niemieckiej w roku 1919.

Jesteśmy ponadto zdania, że proces transformacji od kapitalizmu do socjalizmu w Europie Zachodniej nie wszędzie nastąpi pod auspicjami partii komunistycznej, lecz że w wielu krajach komuniści nie będą mieć żadnego udziału w prowadzeniu tego procesu.

Przemiana ku socjalizmowi jest obiektywnym procesem historycznym i żadna partia nie ma w nim monopolu. Uznajemy, że w Zachodnich Niemczech tylko S.D.P. może przynieść socjalizm ponieważ komuniści utracili wszelki wpływ na zachodnio-niemiecką klasę robotniczą. Z tych samych przyczyn w Wielkiej Brytanii tylko Labour Party, we Włoszech tylko partia socjalistyczna mogą przynieść socjalizm. W zjednoczonych Niemczech socjalizm może być rezultatem jedynie aliansu S.D.P. z prawdziwie socjalistycznymi siłami w łonie partii S.E.D., lub (o czym dalej) nowej partii robotniczej, która mogłaby powstać z fuzji S.D.P. ze zreformowaną S.E.D., oczyszczoną ze stalinizmu i stalinowców. W każdym razie odrzucamy, przynajmniej co do Niemiec, pretensje komunistów do wyłączności przywództwa w budowie socjalizmu, gdyż jest koncepcja sekciarska, nierealistyczna i skazana na niepowodzenie.

Realne możliwości rozwoju socjalizmu w Europie jako całości widzimy w sposób następujący :

Kraje Europy Wschodniej potrzebują radykalnych reform politycznych, ale w swej strukturze gospodarczej górują nad większością Europy Zachodniej. Poddane radykalnej destalinizacji zarówno Z.S.S.R. jak Demokracje Ludowe mogą swym przykładem stopniowo wpływać na rozwój gospodarczy Europy Zachodniej. Równocześnie zachodnie koncepcje liberalnej demokracji będą wpływać na Wschód i krok za krokiem wymuszą odwrót od politycznego totalizmu.

W takim wzajemnym wpływie i przenikaniu dopatrujemy się prawdziwego znaczenia koegzystencji, która winnaby doprowadzić do dania Wschodowi wolności politycznej i demokracji a Zachodowi strukturalnych zmian gospodarczych, które przynajmniej w podstawowych przemysłach okażą się nieuniknione. Zamierzamy przyspieszyć ten proces w N.R.D. tak aby stępić ostrze antagonizmu Wschód-Zachód i przez to przyczynić się do pokoju europejskiego.

Rosja przeszkodą.

Stosunki nasze z Z.S.S.R. wyznaczają następujące założenia : Z.S.S.R. jest pierwszym państwem socjalistycznym świata. Nawet stalinizm nie może zmienić tego faktu. Ale sowiecki schemat socjalizmu nie może być wzorem dla każdego innego kraju, przeciwnie nawet Z.S.S.R. będzie go musiał zmienić u siebie, gdyż schemat ten, w jego obecnym kształcie, staje się nawet wewnątrz Z.S.S.R. przeszkodą do dalszego rozwoju socjalizmu.

Forma którą socjalizm przybrał w Z.S.S.R. jest uwarunkowana historycznie. Poza rosyjskim zacofaniem i brakiem tradycji demokratycznych, przerost aparatu partyjnego i państwowego,

który go cechuje, wynikał z potrzeby szybkiego dośnięcia Zachodu w rozwoju przemysłowym. To pierwsze uprzemysłowienie Z.S.S.R. było konieczne; w tym zakresie Stalin miał słuszość a Trocki się mylił.

Ale metody i formy w jakich to zostało osiągnięte oznaczały polityczną degenerację partii bolszewickiej i państwa radzieckiego. Dostrzegając to Trocki miał słuszość, a Stalin negując — mylił się. Ta właśnie degeneracja Partii i Państwa spowodowała że XX Zjazd Partii skrytykował metody i formy stalinizmu. Ta jednak krytyka Stalina nie była analizą marksistowską — nawet nie dotknęła ona podstawowych przyczyn degeneracji systemu radzieckiego.

Nie dotknęła ona również podstawowych zagadnień stosunku pomiędzy Z.S.S.R. i Demokracjami Ludowymi.

Po roku 1945 Związek Sowiecki był we Wschodniej Europie czynnikiem zarówno postępowym jak i reakcyjnym. Był postępowym w skończeniu z kapitalizmem i feodalizmem, ale równocześnie eksportował system polityczny który stał się już przeszkodą do dalszego rozwoju w samym Związku Radzieckim — i w tym grał on rolę reakcyjną. Nawet gorzej, przystąpił do eksploatacji Demokracji Ludowych z lekceważeniem ich suwerennej równości i narodowej niezależności.

Jasne jest dziś, że polityka Z.S.S.R. w stosunku do Demokracji Ludowych całkowicie zbankrutowała. Doprowadziła ona do rozprzężenia i groźby rozpadu w obozie socjalizmu. Opór Demokracji Ludowych przeciw hegemonii Z.S.S.R. jest zasadniczym punktem rewolucyjnej walki klasowej mas ludowych przeciw stalinowskiemu aparatowi partii i państwa, oraz jego metodom. Gdzie zdrowe siły partii objęły przywództwo tej walki klasowej tam prowadzi ona do regeneracji i odnowienia postępu ku socjalizmowi. Polska jest tu najwyraźniejszym przykładem.

Metody faszystowskie.

W samym Z.S.S.R. stalinowski aparat od chwili zgonu Stalina uświadomił sobie, że staje przed ślepyim zaułkiem. Zdecydował się on na poczynienie koncesji dla mas ludowych. Stąd wyprowadza się zarówno linia polityki gospodarczej Malenkowa, jak i krytyka Stalina przez Chruszczewa. XX Zjazd Partii był próbą uprzedzenia grożącej rewolucji oddolnej przez rewizję odgórną dla utrzymania kierownictwa w ręku aparatu. Próba ta nie mogła być skuteczna w praktyce, gdyż samo istnienie aparatu stanowi główną przeszkodę rewizji.

W stosunkach swych z Demokracjami Ludowymi Związek Radziecki po XX Zjeździe Partii próbował narzucić destalinizację tak samo mechanicznie jak poprzednio narzucał stalinizację. To wywołało tarcia i usiłowania Demokracji Ludowych przeprowadzania destalinizacji na własny sposób. To zaś z kolei pobudziło Związek Radziecki do reagowania metodami stalinowskimi czy wprost faszystowskimi. Przykłady: reakcja na wywiad

Togliatti'ego po XX Zjeździe Partii, okólnik radzieckiej partii komunistycznej na temat Jugosławii, reakcje wobec Polski i Węgier, utrzymywanie stalinizmu w N.R.D.

Jedynym możliwym wnioskiem z tego nawrotu Związku Radzieckiego ku stalinizmowi jest to, że pozbawia on wszelkiego uzasadnienia pretensje Z.S.S.R. do roli kierowniczej w obozie socjalistycznym, niezależnie od faktu że Z.S.S.R. jest najsilniejszym państwem socjalistycznym na świecie. Radziecka Partia Komunistyczna stoi dziś na pozycji nacjonalizmu i stalinizmu; aby zejść z tej pozycji musi być zepchnięta co najmniej na linię Malenkowa i stanowisko XX Zjazdu Partii.

3. — NASZ PLAN

Z tego obrazu obecnej sytuacji wyciągamy następujące konkluzje dla partii S.E.D. oraz dla N.R.D.

PARTIA. Pragniemy zreformować partię od wewnątrz. Stoimy przy marksizmie-leninizmie. Odrzucamy stalinizm. W stosunku do teorii marksizmu-leninizmu znaczy to, że musi być ona uzupełniona i rozszerzona przez wzięcie pod uwagę myśli Trockiego, a nawet więcej, Bucharina (4), Róży Luksemburg (5), oraz częściowo Karola Kautskiego (6); musi być wzbogacona przez krytyczne przyjęcie myśli Fritza Sternberga i innych teoretyków socjal-demokratycznych. Teoria marksizmu-leninizmu winna również uwzględnić doświadczenia zgromadzone w Jugosławii, oraz nowe idee wyłonione z ostatnich teoretycznych dyskusji w Polsce i Chinach. VIII Zjazd chińskiej partii komunistycznej dostarczył szczególnie ważnych materiałów w tym zakresie.

Reformy państwowe.

W odniesieniu do organizacji następujące posunięcia są niezbędne: dominacja aparatu partyjnego nad członkami partii musi być radykalnie złamana; „demokratyczny centralizm” należy uczynić rzeczywiście demokratycznym; zasady Marksa, Engelsa i Lenina winny być przywrócone w praktyce życia partyjnego; stalinowcy muszą być wyrzuceni z partii.

PAŃSTWO. Następujące reformy są konieczne: produkcja winna być zaplanowana na nowo z zadaniem podniesienia standardu życia mas (linia Malenkowa). Norm pracy nie należy podnosić. Wprowadzić udział w zyskach w zsojalizowanych przedsiębiorstwach i handlu. Starcze emerytury dla robotników oprzeć na

(4) Rozstrzelany podczas wielkiej czystki Stalina.

(5) Przywódczyni niemieckich komunistów, zamordowana wraz z Liebknechtem w roku 1919.

(6) Niemiecki przywódca socjalizmu, gwałtownie atakowany przez Lenina i wciąż uważany przez radzieckich komunistów za arcy-heretyka.

tych samych zasadach co emerytury dla pracowników umysłowych. Zniesienie przywilejów dla kierowniczych funkcjonariuszy. Rady robotnicze na wzór Jugosławii we wszystkich zakładach uspołecznionych.

Równość w traktowaniu wielkich znacjonalizowanych i drobnych, prywatnych przemysłów.

Zniesienie przymusowej kolektywizacji, jako nie odpowiadającej szczególnym warunkom niemieckiego rolnictwa; likwidacja nieekonomicznych gospodarstw kolektywnych; polityka rolna popierająca małego i średniego rolnika.

Przywrócenie kompletnej wolności myśli. Pokój z Kościołem dla zniesienia alienacji religijnie nastawionej części ludności. Autonomia uniwersytetów.

Pełna restytucja całości prawa. Zniesienie państwowej policji bezpieczeństwa. Zniesienie tajnych rozpraw sądowych. Przywrócenie nadrzędnej władzy parlamentu. Utrzymanie systemu blokowego pod przewodnictwem zreformowanej partii S.E.D. Wybory w systemie jednej listy ale z większą liczbą kandydatów niż miejsc aby dać wyborcy rzeczywistą szansę wyboru.

W polityce zagranicznej utrzymanie obecnych aliansów z krajami obozu socjalistycznego z zastrzeżeniem pełnej niepodległości i równości; wspólna polityka winna być swobodnie uzgadniana w równych i niezależnych konsultacjach z wszystkimi innymi Demokracjami Ludowymi.

4. — JEDNOŚĆ WSZECHNIEMIECKA

Jeżeli przeprowadzimy te reformy i osiągniemy wyższy standard życia (nawet gdyby pozostawał on niższy od zachodnionieemieckiego) to będziemy mogli rościć sobie prawo do stawiania warunków zjednoczenia również i Zachodnim Niemcom. Zasadą naszej polityki niemieckiej jest że zjednoczenie nie może oznaczać restytucji kapitalizmu.

Zanim będziemy mogli zjednoczyć się z Zachodnimi Niemcami przyszła większość socjal-demokratyczna w Bundestag będzie musiała przeprowadzić następujące zarządzenia w Republice Federalnej :

Odwroćenie procesu remilitaryzacji. Wycofanie się z NATO. Usunięcie faszystów i militarystów z administracyjnych stanowisk w Republice Federalnej. Znacjonalizowanie kluczowych przemysłów. Reforma rolna — parcelacja wielkich majątków gdy będzie to gospodarczo i politycznie uzasadnione. Reforma nauczania : wyższe wykształcenie nie może pozostawać przywilejem bogatych.

Przy takiej polityce Socjal-Demokratów będziemy się mogli zgodzić na wszechniemieckie wolne wybory. W tych wyborach siły reakcyjne Republiki Federalnej i stalinowcy Republiki Demokratycznej niewątpliwie zostaną ujawnieni jako izolowane mniejszości.

Jesteśmy świadomi tego, że w podobnych warunkach partia Socjal-Demokratyczna prawie na pewno uzyska większość w całych Niemczech. Zreformowana partia S.E.D. będzie musiała bezwarunkowo uznać i uszanować taką decyzję narodu niemieckiego.

5. — JEDNOŚĆ ROBOTNICZA

Wstępnym warunkiem przyszłej jedności ruchu niemieckiej klasy robotniczej jest partia S.E.D. uwolniona od stalinizmu i całkowicie niezależna od obcych partii w swej ideologii i polityce. Po przeprowadzeniu naszej zamierzonej reformy partia S.E.D. będzie po prostu lewoskrzydłową partią marksistowską, która nie będzie mieć nic wspólnego z partią komunistyczną starego typu, jaką stała się ona przez stalinowską degenerację. To usunie główną przeszkodę do zjednoczenia ruchu robotniczego.

Ponieważ w Zachodnich Niemczech jedność niemieckiej klasy robotniczej osiągnięta została w ramach partii socjal-demokratycznej, przeto przyszły zjednoczony ruch robotniczy będzie więcej zbliżony do typu partii socjal-demokratycznej, wobec jej większego znaczenia, niż do partii S.E.D. Ale będzie on niewątpliwie posiadać silniejsze lewe skrzydło niż obecna partia socjal-demokratyczna. Zanim jednak będziemy mogli zwracać się do Socjal-Demokratów i stawiać im żądania musimy przedtem przyjrzeć się belce w naszym własnym oku.

Obecnie dzieli nas od Socjal-Demokratów wiele z tego co u nich krytykujemy (burżuazyjne iluzje demokratyczne, tendencje oportunistyczne itd.), ale główną rzeczą która nas od nich dzieli jest nasz własny stalinizm. Stąd partia S.E.D. musi przede wszystkim oddzielić się od stalinizmu zanim współdziałanie z partią S.D. stanie się rzetelnie możliwe.

Dopiero kiedy oczyścimy się z naszych własnych błędów, będziemy mogli krytykować błędy Socjal-Demokratów, ale i wtedy zniesławianie Socjal-Demokratów jako agentów kapitalizmu musi być raz na zawsze wykluczone.

Jednakże — jako pierwszy krok ku przyszłemu współdziałaniu — jedno może być możliwe już obecnie : to jest konspiracyjna współpraca towarzyszy opozycyjnych z partią S.E.D. z S.D. dla zwalczania stalinizmu w N.R.D. Gdy zaś antystalinowska opozycja uzyska wewnętrzną kontrolę nad partią S.E.D. wtedy nastąpi oficjalny kontakt między S.D. i zreformowaną partią S.E.D. Z tego mogą się rozwinąć zarodki przyszłego zjednoczenia, choć żadna z tych partii nie powinna wchłonać drugiej. Żaden ze stalinowców, który choćby w najmniejszym stopniu brał udział w zbrodniach grupy Ulbrichta nie może być dopuszczony do nowej partii robotniczej, do której wejść winni tylko ci którzy aktywnie walczyli przeciw stalinowskiej degeneracji S.E.D.

6. — NASZA OBECNA TAKTYKA

Przeciw nam stoi partia stalinowców i aparat państwowy. Ten reakcyjny aparat będziemy musieli zwalczać wszelkimi rozporządzalnymi środkami. Podstawą naszej opozycyjnej działalności są: statut S.E.D., XX Zjazd Radzieckiej Partii Komunistycznej oraz rezolucje 28 plenarnej sesji Centralnego Komitetu S.E.D. Na tej podstawie mamy zamiar prowadzić otwartą i legalną opozycję. Jesteśmy jednak gotowi zastosować metody frakcji i konspiracji jeżeli będziemy do tego zmuszeni.

Nawiązujemy kontakt z opozycyjnymi siłami w Demokratjach Ludowych i porównujemy nasze obserwacje.

Opozycyjni towarzysze winni szukać ścisłego kontaktu z ludem; krytykować politykę przywódców partyjnych, pogłębiać rozłam pomiędzy ludnością a obecnym przywództwem ale równocześnie zapobiegać wybuchowi ludowego powstania.

Niebezpieczeństwo powstania ludowego w N.R.D. istnieje jeśli stalinowska grupa Ulbrichta trwać będzie przy władzy a siły opozycji nie zdołają usunąć stalinowców z przywództwa. Jeżeli jednak zdołamy od wewnątrz zreformować partię na zasadach niniejszej propozycji to nie będzie drugiego powstania ludowego w N.R.D.

Jest zatem naszym obowiązkiem uczynić wszystko co jest w naszej mocy aby oczyścić partię ze stalinowców i poprzez zmianę polityki odzyskać zaufanie klasy robotniczej oraz całej ludności.

WOLFGANG HARICH

Profesor Wolfgang Harich, lat 36, został niedawno skazany we Wschodnim Berlinie na dziesięć lat więzienia za zdradę. Według oskarżenia był on czynnikiem kierowniczym reformistycznego ruchu intelektualistów i członków partii we Wschodnich Niemczech, którzy ubiegłej jesieni usiłowali obalić reżym Ulbrichta.

Aż do chwili aresztowania profesor Harich zajmował katedrę nauk społecznych na uniwersytecie wschodnio-berlińskim — stanowicą prawdopodobnie najważniejszą pozycję akademicką we Wschodnich Niemczech. Poniższe memorandum, które na język angielski tłumaczył Sebastian Haffner, pisane było przez Haricha w ostatnich dniach przed jego aresztowaniem i przekazane Socjal-Demokratom w Berlinie Zachodnim. Widoczne są w nim oznaki pośpiesznej kompozycji a w podkreślaniu pewnych stwierdzeń jest ono zapewne zabarwione przez skierowanie go głównie do Socjal-Demokratów.

Prawo autorskie (copyright) tego tłumaczenia zastrzega się dla „The Observer”. Tłumaczenie polskie za uprzejmą zgodą redakcji „Observer”. („The Observer”, 17 marzec 1957).



SPROWADZANIE RODZIN — EMIGRACJA
BILETY LOTNICZE, MORSKIE I KOLEJOWE
Z POLSKI I DO POLSKI

BILETY LOTNICZE I MORSKIE
DO U.S.A. — KANADY i AUSTRALII
WAKACJE I WYJAZDY NA KONTYNET

Polskie Biuro Podróży **FREGATA**

122 WARDOUR STREET — LONDON — W. 1, ENGLAND

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo :
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l’Île, Paris 4°

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec
UKAZUJE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia :
MANNHEIM-SCHENAU, Gendarmerie Kaserne

SYGNETY HERBOWE

wykonuje zakład zegarmistrzowski-jubilerski

L. KANTECKIEGO

BIJOU, 194 North End Rd., London W. 14, England

PREUVES

publie dans son numéro de MAI

N' KRUMAH (chef de l'Etat de Ghana) : *Souvenirs d'enfance*;
Richard WRIGHT : *Du Gold Coast au Ghana*; LAURENS
VAN DER POST : *L'œil noir de l'Afrique*; Herbert LUTHY :
Bertolt Brecht ou les dividences de Weimer; Armand GUI-
BERT : Fernando Pessoa ou le poète multiplié; André PRUD-
HOMMEAUX : Tradition poétique de la Révolution hongroise;
Marie SUSINI : Solitude de Rome.

PREUVES : 23, rue de la Pépinière, Paris (8°)
Le n° de 56 p. ill. : 200 fr. - C.C.P. : 178-00 Paris

Nowość

TOM XXI

BIBLIOTEKI " KULTURY "

WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK

(1953-1956)

Stron 360.

Cena 850 fr. (17 sh., dol. 2,50)

W roku 1957

**UKAZAŁY SIĘ W
BIBLIOTECE " KULTURY "**

Tom XVI:

Leo LIPSKI

DZIEŃ I NOC

Opowiadania.

Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1955

Cena : 350 fr. (7 sh., 1,00 dol.)

Tom XVII:

Andrzej CHCIUK

SMUTNY UŚMIECH

Opowiadania.

Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1955

Cena 350 fr. (7 sh., 1,00 dol.)

Tom XVIII:

SMUTNY UŚMIECH

POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ

Cena 700 fr. (14 sh., 2,00 dol.)

Tom XIX:

Czesław MIŁOSZ

TRAKTAT POETYCKI

Cena 350 fr. (7 sh., 1,00 dol.)

Tom XX:

Józef MACKIEWICZ

KONTRA

Cena 700 fr. (14 sh., 2,00 dol.)

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

*Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).*

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 2^e Trimestre 1957

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczno
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15 th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, «Libreria Polaca», Serrano 2076, Buenos Aires	17 peso	102 peso	204 peso
AUSTRALIA : «Vistula» (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Saintelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują : Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlinska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Hanna Lekszczyka, r. Guara 139, vila Pompeia, Sao Paulo ..	40 cruz.	200 cruz.	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-4	180 fr.	800 fr.	1.800 fr.
HISZPANIA: Wl. Pajor, Paseo de los Olivos 93, Madrid		120 peset	240 peset
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA : Jaxa-Debicka, 220 Howard Park Ave, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; K. Krakowska, 3445 Marlove Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; St. L. Lemanski, 472 Aikins St., Winnipeg/Man.; H.R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel.: HY-0829; «Zwiazkowiec», 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Apartado Postal 294, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : «Ostatnie Wiadomosci», Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève. Tel.: 32-32-92. Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25,00 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1471 Lakeland Ave., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 183 Chancellor Ave, Newark 8, N.Y.; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : «Gryf» Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh 9 d.	21 sh.	42 sh.
WLOCHY : Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

TOM XX - Biblioteki "Kultury"

JÓZEF MACKIEWICZ

KONTRA

JUŻ JEST W SPRZEDAŻY

Cena 700 fr. (14 sh., 2.00 dol.)

DOSKONAŁY BRYTYJSKI WARSZTAT DZIEWIARSKI
do robienia swetrów, pończoch i wszelkich trykotaży

SUPER *Knitmaster*

wyróżniony przez Brytyjski Instytut Wzorowego Gospodarstwa,

MOŻE UTRZYMAĆ CAŁĄ
RODZINĘ W POLSCE.

Posiada on wzmocnione wstawkami
wstawkami stalowymi, niełamące się
łożyska igielne.

12-MIESIĘCZNA GWARANCJA

Cena za model SUPER 3500 wraz
z licznikiem i dostawą DO DOMU
w Polsce — \$ 69, za mo-
del SUPER 4500 wraz z
licznikiem i dostawą jak
wyżej — \$ 84. Części za-
mienne dostarczamy na-
tychmiast na żądanie. Za-
mówienia indywidualne prosimy kie-
rować do nas.

JAKO WYŁĄCZNYCH
PRZEDSTAWICIELI FABRYKI

na Polskę, Rosję, Czechosłowację, Węgry, Bułgarię i Rumunię

WINTREX & Co Ltd - 51 Brompton Road
LONDON SW3, England

Zamówienia z Francji do SICOMEX, 20, rue Royale,
Paris (8).

